

Bestsellerowy thriller psychologiczny

K.L.

SLATER

Nie wierzysz jej
Boisz się jej
Nie możesz się
od niej oderwać

NIEBEZPIECZNA DZIEWCZYNA


AMBER

K.L. SLATER

**NIEBEZPIECZNA
DZIEWCZYNA**

Przekład
STEFAN DRZAZGA



Mojej córce, Francesce Kim.

Dziękuję ci za miłość i wsparcie

od samego początku.

Więc wreszcie leżą opatuleni w łóżku. Bierzesz garść zapalek i zapalasz po kolei, patrząc, jak spalają się na czarny, miałki proszek.

Popiół w otwartym palenisku kominka przygasa, ale w głębi nadal jest rozpalone do białości jądro, jeszcze na tyle mocne, żeby pomóc ci wreszcie załatwić sprawę na dobre.

„Dwie poduszki z gąbki na krzesło, cztery poduszki z gąbki na krzesło”. Ale fajnie, kiedy śpiewa się to na melodię Dziesięć butelek na murku.

Przysuwasz krzesło tak blisko nich, że tapicerki z krzesła i z łóżka stykają się. Szczypcami ostrożnie wyjmujesz z popiołu dwa kawałeczki rozżarzonego węgla, delikatnie kładziesz je pośrodku poduszek. Teraz rozsiadasz się i patrzysz, jak wtapiają się głęboko. Rozżarzone kule toną łapczywie w miękkiej piance, a przypalona powłoczka poduszek kurczy się, jakby próbowała uciec.

Nie ma hałasu, radujesz się ciszą.

Jesteś w transie, patrzysz, jak płomyki zaczynają tańczyć, migoczą ślicznymi, śmiercionośnymi językami. Ich siła zadziwia cię, przeraża i jednocześnie zaspokaja. Czujesz, jak warstwy ochronne, którymi próbowałeś się okryć przez całe lata, są teraz zrywane. Potrzebowałeś ich, żeby móc przetrwać dzień za dniem i noc za pijaną nocą, ale teraz jesteś bezpieczny. Płomienie dają ci bezpieczeństwo.

Jasne, wiele razy próbowałeś im powiedzieć, próbowałeś prosić o pomoc, ale nie rozumieli, co chcesz im przekazać. A teraz brutalność twojego strachu, twojego smutku jest tutaj, żeby każdy zobaczył ją w jaskrawości gęstego, zsiarczonego powietrza.

Nie wolno ci kaszleć. Nie chcesz ich obudzić, bo głupiątką zaczęłyby krzyczeć i płakać. Niech śnią, wkrótce się dowiedzą.

Płomienie rosną, potem się łączą. Wiesz, że to znak, że milcząc, obiecują ci pomoc, a jednak przez sekundę naprawdę zastanawiasz się, czy nie zmienić zdania. Mógłbyś stłumić płomienie i krzyczeć o pomoc. Mógłbyś ich obudzić.

Wtedy to słyszysz.

– Zróbmy swoje – szepczą płomienie. – Rano wszystko będzie lepsze.

I właśnie wtedy wreszcie postanawiasz odejść.

Teraz

Anna

Mały srebrny samochód nadjeżdżający z naprzeciwka jedzie za szybko i kiedy pokonuje zakręt, kierowca traci nad nim kontrolę i przejeżdża na przeciwległy pas.

Wszystko dzieje się tak szybko: nie ma czasu, żeby zwolnić ani nawet żeby wjechać na krawężnik.

Rozlega się mocny, stłumiony łomot i samochód uderza w jadący przede mną motocykl. Motocyklista wylatuje w powietrze, robi półobrót i ląduje twarzą na jezdni. Metal wygina się i skręca, skowycząc jak ranne zwierzę, ręce unoszą mi się do twarzy, próbując na próżno zdławić kwaśny smród płonącej gumy, który zaczyna wypełniać mi płuca.

Stopa wbija mi się w hamulec, wyskakuję, drzwi od strony kierowcy zostawiam szeroko otwarte, a samochód – na środku jezdni. Stoję, łykam obrzydliwy smak wlewający mi się w usta.

Wszystko jakby zastygło w czasie. Zapada cisza. Ma w sobie zdolność ogłuszania i przez chwilę jestem zagubiona w otaczającym mnie pustym ryku.

Potem czar pryska, otwierają się drzwi srebrnego samochodu i wytacza się kobieta około czterdziestki, w dżinsach i krótkiej różowej kurtce. Wymiotuje na poboczu. Odsuwa włosy z twarzy, jakby było dla niej ważne, żeby ich nie zabrudzić.

I w tym ułamku sekundy rozpoznaję ją.

Nie da się pomylić tej twarzy.

Przypominam sobie, że trzeba oddychać. Gardło mam spięte i suche, serce zaciska się mocno, prawie czuję, że wisi mi w piersi, jak wyschnięta pestka moreli.

Dwanaście lat temu, kiedy wyszłam ze szpitala, chociaż spotykałam ją krótko tylko przy paru okazjach, każdą wolną minutę poświęcałam, żeby znów ją odnaleźć.

Byłam wtedy taka młoda, zdesperowana i naiwna. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc, waliłam głową w mur: po prostu rozwiała się w powietrzu.

W końcu musiałam przyjąć do wiadomości, że ją zgubiłam. Mogłam tylko się modlić, że przeznaczenie naprawdę istnieje i że ona dostanie to, co się jej należy za to, co nam zrobiła.

A teraz ona jest tutaj, tuż przede mną. Zniszczyła kolejne życie.

Patrzę, jak srebrnowłosego kierowca czarnego mercedesa, który zatrzymał się za mną, zrzuca z siebie drogą marynarkę i narzuca jej na ramiona. Pociesza ją, podając opiekuńczo ramię, i wszeptuje jej w ucho pocieszające słowa.

Ona ma w sobie coś, co przyciąga ludzi, daje im wrażenie, że jest porządną osobą.

Cóż za ironia.

Jakby znikąd pojawiają się grupki ludzi.

Myślę, żeby wsiąść do samochodu, odjechać stąd. Jakaś część mnie chce od niej uciec, ale oczywiście tak nie zrobię.

Nie pozwolę, żeby znowu odeszła.

W całym tym chaosie mój wzrok przyciągnął długi, połamany kształt leżący na drodze. Wokół niego rozsiane są kawałki motocykla, jak fragmenty wystrzępionego, chromowanego konfetti.

Ignoruję rosnący tłum po drugiej stronie ulicy i kucam przy nim, szukam pulsu. Ręka mi się trzęsie, kiedy łagodnie naciskam jego nadgarstek, i przez chwilę myślę, że ona znowu to zrobiła, bo pod palcami nie wyczuwam żadnego ruchu. Żadnego znaku życia.

Potem on mruga, a ja wypuszczam powietrze.

Ludzie wylewają się z małych szeregowych domów stojących wzdłuż Green Road, pokazują palcami, usta mają zastygłe, szeroko otwarte.

Znów na niego patrzę.

Wyczuwam, że trzyma się życia na jednej nitce. Jeśli teraz nitka się urwie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Już dawno nie ma przerażonej młodej dziewczyny, która nie wiedziała, jak postąpić, żeby było dobrze.

Może tym razem uda mi się.

Motocyklista upadł na twarz, na lewą stronę ciała. Gęsta kałuża, jak rubinowa melasa, wykwiła spod jego głowy.

Chcę pogłaskać go po twarzy, ale nie puszczam jego ręki.

Wygląda na trochę starszego ode mnie: jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Ma gładką skórę, długie, ciemne rzęsy, które drgają, jakby śnił.

Po drugiej stronie drogi ona wyje, cała uwaga skupia się na tym.

Jest ledwie drażnięta, ale zawsze dobrze jej szło odgrywanie roli ofiary, więc chyba nie powinnam być zaskoczona.

Próbuję się nie gapić, żeby się nie zdradzić, ale nie muszę się martwić – ona nie zważa na nikogo poza sobą.

Nie ma pojęcia, kim jestem ani co mi zrobiła lata temu.

Prawda, teraz wyglądam inaczej. To było długie trzynaście lat. Mam ciemniejsze włosy i przybyło mi prawie dwadzieścia cztery kilogramy. Nie

pozostał ślad po naiwnej, smukłej dziewczynie, która tak łatwo jej uwierzyła.

Rozumiecie, tacy jak ona nigdy nie zauważają mało znaczących ludzi wokół siebie.

Idą przez życie, podejmując samolubne decyzje, i zostawiają za sobą zniszczenia, które nic ich nie obchodzą.

Aż wszystko mściwie wraca, właśnie tak, żeby dobrze to odczuli.

Słyszę, jak ktoś woła.

– Karetka już jedzie!

Teraz wokół są już tabuny ludzi, gapią się.

Ich oczy utkwione są w motocykliście, ale nie widzę wielkiego współczucia, raczej z lekka ukrywany głód krwawych szczegółów, które może się pojawiać, jeśli dłużej postoją.

Sztywno wstaję z kolan, kucam i już mam wstać, żeby odejść, zanim nadjedzie karetka.

Wiem, że już nie spuszczę z niej oka, że znajdę ją w relacjach lokalnej prasy z wypadku, a później pójdę na policję jako świadek.

Bardzo chciałabym zostać, ale nauczyłam się mnóstwa rzeczy od mojej terapeutki. Na przykład, jak oderwać się od własnych myśli i ocenić sytuację spokojnie, logicznie, żeby podjąć najlepszą decyzję.

Gdybym została, chyba nie mogłabym zaufać sobie, że nie urządzę sceny. Tym razem muszę być pewna, że każde działanie, każdy mój krok będą starannie zaplanowane i przemyślane.

Nie chcę pomyłek.

Czuję, że coś ociera się o moją rękę, spoglądam w dół. Palce rannego motocyklisty zaciskają się wokół moich palców.

Jego niebieskoszare oczy są przekrwione i szeroko otwarte, ale chyba nie widzi wszystkich tych ludzi, którzy stoją wokół, jakby nie mógł zobaczyć niczego poza moją twarzą.

Robi ostry wdech, patrzy na mnie.

– Pomóż mi – szepcze.

Pracuję na poczcie już od pięciu lat.

Przez sześć dni w tygodniu ustawiam budzik na czwartą rano i jadę do placówki, żeby zacząć zmianę o piątej.

Moim pierwszym zadaniem jest zawsze ułożenie przesyłek według kodów pocztowych i adresów w moim rewirze. Potem wkładam listy do torby i dostarczam je mieszkańcom osiedla Clifton, wielkiej masy szarego betonu na przedmieściach Nottingham, która kiedyś szczyciła się wątpliwym przywilejem największego osiedla w Europie.

Łatwo to powiedzieć, ale dostarczenie poczty we właściwe miejsce i na czas nie jest takie łatwe i wymaga kwalifikacji. Ludzie najczęściej przywiązują wielką wagę do usług pocztowych.

Dla niektórych pracowników poczty to tylko praca, ale moim zdaniem nie to ma największy wpływ na życie ludzi.

Pani Gray na Beck Crescent ma owrzodzone nogi, więc w piątek rano zawsze najpierw wyrzucam jej śmieci. Tego lata w dzień wolny kosiłam trawnik pana Bagleya, kiedy dał mu się we znaki artretyzm.

Teraz, kiedy łapie mnie w drzwiach, opowiada bez przerwy o swoim jedynym synu, który mieszka w Australii. Często mam ochotę powiedzieć: „A gdzie jest ten pański wspaniały syn, kiedy trawa musi być skoszona, a panu trzeba przynieść lekarstwa?”.

Ale, oczywiście, nigdy tego nie mówię.

Moi koledzy z placówki są naprawdę w porządku, wiedzą, że trzeba zostawić mnie w spokoju i pozwolić, żebym robiła swoje.

Ludzie już od dawna nie próbują wciągać mnie w swoje niekończące się rozmowy na temat reality TV i *Coronation Street*, chociaż przyznaję, że przez jakąś dziwną osmozę mogłabym pewnie opowiedzieć, co dzieje się w każdym z tych programów, o których gadają.

W pracy wszystko szło doskonale, aż tydzień temu, znienacka, sytuacja się zmieniła. Kierownictwo uznało, że musimy dokonać ponownej oceny rewirów.

Kiedy przyszła moja kolej, Jim Crowe podszedł do mojego okienka.

– Anno, kończysz dopiero długo po trzeciej – powiedział, patrząc na podkładkę. – Myślimy, że tak jest, bo rewir może być dla ciebie za duży.

To Jim rozmawiał ze mną, kiedy pięć lat temu złożyłam podanie o pracę. Przedtem tak się zdenerwowałam, że wsiadłam nie w ten autobus i przyjechałam pięć minut za późno.

Pamiętam, jak Jim powtarzał pytania, kiedy się pogubiłam i mówił, żebym się nie spieszyła, kiedy zapomniałam, co chcę powiedzieć.

Wtedy zaryzykował, dał mi pracę. Od tamtego czasu chyba trochę mi się przyglądał. Jakby gdzieś z tyłu głowy rozumiał, że czasem sprawy są dla mnie za trudne.

Nie wiedział jednak, co mi się wcześniej przytrafiło. Żadne z nich nie wiedziało.

– Obchodzę cały rewir, prawda? – odpowiedziałam.

– Z jedną, dwiema nadgodzinami. Anno, nie możemy za to płacić. Nadgodziny są drogie, a ja mam polecenie, żeby obciąć grafik.

Patrzyłam, jak kropelki potu osadzają się w miejscach, gdzie włosy Jima przeredziły się. Milczałam, czekałam, aż spojrzy mi w oczy, ale on przez cały czas tylko przerzucał papiery na podkładce.

W końcu Jim zgodził się, żebym na jakiś czas zatrzymała swój rewir, o ile nie wystąpię z żądaniem zapłaty za nadgodziny. Cóż za łaskawość.

– Zobaczmy, jak z tym będzie – powiedział. – Jeśli nie będziesz kończyć na czas, to może damy ci inny rewir, możliwe, że w Huntsmoor. Wybacz, Anno, tym razem to przekracza moje kompetencje.

Wzruszyłam ramionami i odeszłam, ale parzące gorąco przeniknęło mnie do szpiku kości. Nikt nie chciał rewiru w Huntsmoor i właśnie dlatego zawsze oddawali go personelowi agencji.

Budzące postrach Huntsmoor, morze brudnego betonu i zabitych deskami okien.

Cud, jeśli pocztowcowi udawało się przejść obok psów agresywnych, zakazanych ras napinających smycze i wrzaskliwej, zakapturzonej młodzieży, która wystawała przed gminnymi domami ze wspólną kuchnią od świtu po zmierzch, bez względu na pogodę.

Cierpła mi skóra na głowie, kiedy myślałam, że mogę skończyć w rewirze Huntsmoor, jeśli kierownictwo wprowadzi wielkie zmiany.

Praca trzymała mnie przy życiu, dzięki niej mijał dzień za dniem. Pomagała mi ująć przed mrocznymi czasami, do których nie chciałam wracać.

Natychmiast postanowiłam trzymać się zawodu listonosza, za wszelką cenę.

Jak się okazuje, nie muszę się martwić.

Począwszy od dzisiejszego dnia, kończę obchód na czas i tak jest dokładnie przez tydzień, bez konieczności dodawania nadgodzin.

Teraz kierownictwo nie ma wymówki, musi się wycofać i zostawić mnie w spokoju. Mogą poszukać kogoś innego, bo ja znalazłam sposób, żeby sobie poradzić.

W każdym razie na teraz.

Dziś rano skończyłam dokładnie o czasie i przyniosłam na pocztę pustą torbę. Postarałam się, żeby Jim widział, jak ją odwieszam.

Na początek, kto mógłby się domyślić, że rodzina Bensonów z Buxton

Crescent każe dostarczać swoje zakupy internetowe pod numer 86, po drugiej stronie ulicy?

Skąd nowy pocztowiec mógłby wiedzieć, że nieskazitelny pan Staniforth, który dojeżdża do Canary Wharf i nie ma go w domu czternaście godzin dziennie, lubi, żeby jego poczta była obwiązana gumową przepaską, bo inaczej rozlatuje się po całym korytarzu.

Właśnie takie szczegóły liczą się u ludzi.

Kiedy dziś rano skończyłam zmianę, przymocowałam rower do stojaka na dworze i ruszyłam do domu samochodem. Nie zdjęłam odblaskowej kamizelki, a że nadal było ciepło, jak na październik, nie mogłam trochę się nie spocic.

Pamiętam, jak bardzo chciałam wrócić do domu, gdzie mogłam włożyć domowe ciuchy, pobawić się z moim kotem, Albertem, zrelaksować się gorącą czekoladą i nagrany odcinkiem *Homes Under the Hammer*.

To stało się, gdy odrobinę uchyliłam okno i skręciłam w Green Road.

Teraz, kiedy przypominam to sobie, dociera do mnie, że każda minuta, każda co do jednej, z ostatnich trzynastu lat ustawiła się w doskonałym szeregu do tej właśnie chwili – żeby sprowadzić ją z powrotem do mnie.

Chociaż już dawno temu straciłam nadzieję, że pewnego dnia będzie musiała zapłacić za to, co zrobiła, prawda była teraz czysta jak kryształ.

Było mi przeznaczone, że ją odnajdę.

Rano w „Nottingham Post” jest krótka wzmianka o wypadku.

Skandal, że nie podają nazwiska kierowcy, ale przecież znam jej prawdziwe nazwisko. To znaczy, zanim je zmieniła.

W każdym razie zakładałam, że tak zrobiła. Miesiące spędzone na próbach znalezienia jej i ciągle trafianie w ślepe uliczki zalatywało kimś, kto przybrał nową tożsamość i zniknął. Ale jeśli udało się jej uzyskać jakąś anonimowość, teraz, dzięki wypadkowi, straciła ją na dobre.

Całą noc dużo myślałam o tej sprawie i sądzę, że najważniejsze, co mogę zrobić, to pozostać w kontakcie z rannym motocyklistą.

Jeśli zdołam go utrzymać, to na pewno od razu znajdę ważne informacje. Zachowam trwałą więź z tą kobietą, nie uda się jej uciec, choćby bardzo próbowała. Nie teraz, kiedy wmieszała się w to policja.

Zanim wczoraj odjechałam z miejsca wypadku, policjantka dzielnicowa spisała moje dane. Powiedziała, że wkrótce policja skontaktuje się ze mną, żeby spisać zeznanie, a to będzie dla mnie szansa, żebym jako naoczny świadek przedstawiła najważniejsze dowody.

Wycięłam artykuł i położyłam go na stole, zanim zjadłam i wypiałam coś na śniadanie.

Na dworze, już w samochodzie, właśnie zapięłam pas, ale przypomniałam sobie, że nie sprawdziłam kuchenki. Nigdy za mało ostrożności, jeśli chodzi o urządzenia elektryczne. Zawsze lepiej być zabezpieczonym niż poszkodowanym.

Znowu otwieram drzwi do kuchni i wsadzam przez nie głowę, ale od razu widzę, że wyłączyłam kuchenkę i przyklepiłam roześmianą buźkę na przełączniku.

Znów zamykam drzwi i ruszam do szpitala, obracając w myślach artykuł z gazety.

Podali pełne nazwisko motocyklisty, Liam Bradbury, napisali, że jest w stabilnym stanie mimo urazu głowy i obecnie leży w Queen’s Medical Centre, w Nottingham, nazywanym w okolicy QMC.

Dziś rano, kiedy zadzwoniłam do QMC, recepcjonistka wydawała się zaskoczona, kiedy powiedziałam, że jestem tą osobą, która siedziała na jezdni i trzymałam Liama za rękę, póki nie przyjechała karetka. Po tych słowach bez problemów podała mi numer jego sali.

Na drodze nie ma wielkiego ruchu i do szpitala dojeżdżam w niecały kwadrans.

Jadę obok takich samych galerii handlowych upstrzonych parami emerytów idących spokojnym krokiem od swoich samochodów. Młode kobiety spacerują chodnikami, zatopione w rozmowach telefonicznych popychają w stronę miasta

ignorowane, znudzone dzieciaki w wózkach spacerowych.

Parkuję i zatrzymuję się przy szpitalnym sklepiku z zawyżonymi cenami, żeby wziąć koszyczek owoców. Potem idę do windy.

W oddziale ósmym wpuszczają mnie od razu, nie pytając, kim jestem. Muszę powiedzieć, że to kpina z systemu bezpieczeństwa.

Pytam pielęgniarkę za biurkiem, gdzie jest łóżko Liama.

– Pani jest krewną? – Spogląda na mnie zza biurka. – Chodzi o to, że on teraz odpoczywa, a pani przysłała poza godzinami odwiedzin.

Wyjaśniam, kim jestem.

– Chciałam tylko upewnić się, że z nim wszystko w porządku – mówię.

Idę za nią przez oddział do małej, prywatnej salki na końcu. Mało mi nie odbiera tchu, kiedy go widzę.

Chociaż jest posiniaczony, naszpikowany wąskimi plastikowymi rurkami, a maska tlenowa zakrywa większą część jego twarzy, nie mogę się powstrzymać przed myślą, że to całkiem atrakcyjny mężczyzna. Ta głowa porośnięta brązowymi włosami przeplatany rozświetlonym słońcem złotem, chociaż przyćmiona i matowa, rokuje nadzieje na łśnienie.

I wygląda jak Danny. Brzmi to dziwnie: złączenie słów „brat” i „atrakcyjny”, ale Danny był bardzo atrakcyjny, a kwadratowa szczęka Liama i szeroko rozstawione oczy sprawiają, że jestem coraz bardziej pewna, że to musiało się zdarzyć.

Stawiam koszyk z owocami na stoliku obok niego.

– Doznał poważnego urazu, ale już go ustabilizowaliśmy – mówi pielęgniarka, rozprostowując pościel. – Ale nie mam pojęcia, jak jego biedna babcia da sobie radę, kiedy wypiszemy go do domu.

Przychodzi mi do głowy, że jest trochę za stary, żeby mieszkać z babcią, ale myślę, że dzisiejsze ceny nieruchomości nie pozwalają wielu ludziom stanąć na drabinie prowadzącej do własnego mieszkania, więc nie osądzam go.

Myślę o moim własnym, skromnym domku szeregowcu. To przecież nic nadzwyczajnego, ale przynajmniej jest mój. Był mój od... hm, w każdym razie przez ostatnie trzynaście lat.

Chciałabym, żeby pielęgniarka zostawiła nas samych. Wtedy mogłabym odtworzyć w myślach wczorajsze wydarzenia.

Bezwładna dłoń Liama odcina się bielą od bladoniebieskiego szpitalnego koca, a jego powieki w ogóle się nie poruszają, nie mrugają tak, jak mrugały na drodze.

Kiedy pielęgniarka wychodzi, żeby z kimś porozmawiać, pojawia się moja szansa. Sięgam do torebki i wydaję telefon. Chwila i mam to, o co mi chodziło. Dobrze poszło, bo zaraz potem słyszę, jak pielęgniarka znowu szura za mną stopami.

– Zdaje się, że będę musiała już iść – mówię.

– Przepraszam, musimy wszystkich traktować jednakowo, jeśli chodzi o sprawy wizyt. – Patrzy na mnie i mina nieco jej łagodnieje. – Może przyjdzie pani trochę później, około szóstej? Będzie jego babcia i na pewno chętnie podziękuje za wszystko, co pani dla niego zrobiła.

Patrzę na dłoń Liama.

– Zrobiłam tylko to, co każdy by zrobił – mówię.

Wracam do samochodu w chłodnej, szarej mżawce.

Zazwyczaj, kiedy mam jakąś niezłałatwioną sprawę, bo coś się zdarzyło, idę na spacer do Colwick Park, który znajduje się zaledwie o rzut kamieniem od Sneinton, gdzie mieszkam.

Lubię siedzieć i patrzeć, jak kaczki kołyszą się na jednym z jeziorok. Ich życie jest takie proste i spokojne. Wcześniej zabierałam z sobą chleb na trawiasty brzeg, ale tłoczyły się i rozrabiały, więc przestałam to robić.

Żeby wszystko działało, jak należy, trzeba zachowywać ścisłą kontrolę. Nic innego nie pomoże.

Dzisiaj jest za zimno na odwiedzanie parku, więc jadę z powrotem do domu, żeby poczekać, aż w szpitalu zaczną się o szóstej oficjalne godziny odwiedzin. Przed wejściem do domu zaglądam do sąsiadki, pani Peat.

Stukam w okienko z boku, a ona patrzy znad swojego ściegu krzyżykowego.

– Wszystko w porządku, proszę pani?! – wołam zza szyby.

Uśmiecha się i kiwa głową, macha do mnie leciutko mięsistą ręką.

Mamy kod: ja stukam w szybkę, a ona, jeśli chce, żebym weszła, przyzywa mnie ręką, a ja wtedy idę za dom i wchodzę, używając klucza schowanego pod zardzewiałym stojakiem na mleko przy drzwiach.

Czasem po prostu wchodzę, czy mnie potrzebuje, czy nie. Często piję z nią herbatę, żeby przerwać monotonię jej dnia. Jestem jej przynajmniej tyle winna.

– Mów do mnie po prostu Joan – strofuje mnie zawsze, ale ja nie jestem w stanie tego zrobić. Mieszkałam z nią po sąsiedzku przez całe życie i niektóre sprawy, cóż, są uświęcone, prawda?

W moich oczach pani Peat zawsze będzie panią Peat.

We dwie, z pielęgniarką społeczną Lindą, staramy się, żeby miała dobrą opiekę. Naprawdę nie sprawia żadnego kłopotu.

Jej nic niewarta córka, Janet-Mae, mieszka ponad osiemdziesiąt kilometrów stąd i składa wizyty raz na miesiąc, jeśli pani Peat ma szczęście. Sądzę jednak, że przyjechałaby szybko, gdyby któraś z nas znalazła jej biedną matkę sztywną jak deska w jej fotelu i nadszedł czas sprzedaży domu.

Oczywiście nigdy czegoś takiego nie powiem.

Kiedy wracam do domu, Albert siedzi przy tylnych drzwiach, czeka cierpliwie. Zawsze staram się po zmianie wracać prosto do domu, żeby nakarmić

go codziennie o tej samej porze. Albert zdaje się rozumieć, jak cenną rzeczą jest rutyna.

Ludzie skłonni są myśleć, że koty nie są towarzyskimi zwierzętami, ale myślą się. Albert jest ode mnie uzależniony pod każdym względem. Oczywiście nie pozwalałam mu wychodzić w nocy, myśl, że łązi po ulicach, wystarcza, żebym nie mogła zasnąć. Wiem, jacy okropni potrafią być ludzie, to nie zawsze obcy krzywdzą czyjeś zwierzę.

Zamykam oczy i wciskam bolesne wspomnienia z powrotem do wymyślonego pudełka z tyłu głowy, jak nauczyła mnie terapeutka. Teraz nie czas, żeby rozmyślać o przeszłości.

Kiedy nakarmiłam Alberta, przejrzałam inne lokalne gazety, które kupiłam, żeby sprawdzić, czy znajdę coś jeszcze na temat wypadku. Było parę wzmianek, zaledwie jeden, dwa wiersze, znacznie mniej niż w „Nottingham Post”. Ale i tak je wyciąłam i włożyłam do teczki z innymi wzmiankami.

Otworzyłam w komputerze nowy folder i robiłam nowe wpisy, notując czas wizyty porannej w szpitalu i stan Liama. Nie omieszkałam zapisać tego, co powiedziała pielęgniarka, że mieszka z babcią.

Niczego nie zostawiam przypadkowi.

Wystawiam Alberta na korytarz, żeby mi nie przeszkadzał. Wyświetlam fotografię w telefonie. Okazuje się, że jest znacznie lepsza, niż się spodziewałam.

Pstryknęłam ją pospiesznie, kiedy pielęgniarka wyszła z sali, i nawet nie mogłam być pewna, czy aparat był prawidłowo zogniskowany. Ale obraz jest bardzo wyraźny, pokazuje Liama, jak leży blady i połamany na szpitalnym łóżku, pokryty rurkami i otoczony ekranikami monitorów.

Utworzyłam drugą teczkę na laptopie i w niej zachowałam zdjęcie, które wysłałam do siebie mailem.

Jaka szkoda, że nie pomyślałam, żeby zrobić zdjęcie, kiedy wczoraj leżał ranny na jezdni. Wyobrażam sobie, że Liam będzie się zapewne na mnie złościł, kiedy poczuje się lepiej.

Sprawy nie potoczyły się tak, jak chciałam, czy miałam nadzieję, że dziś się potoczą.

Jadąc rano do szpitala, wyobrażałam sobie, że zastanę Liama siedzącego w łóżku, gotowego, żeby opowiedzieć mi wszystko, czego policja dowiedziała się o kobiecie, która go skosiła.

Znów patrzę na zdjęcie, które mu pstryknęłam, i robi mi się ciężko na sercu. Nadal jest nieprzytomny po lekarstwach, które mu dali.

Nawet nie wie, że istnieję.

Słucham tykania zegara i drapania Alberta, który chce, żeby wpuścić go znowu do salonu.

Zaczynam żałować, że rano zgłosiłam przez telefon chorobowe. A jeśli

kierownictwo znajdzie kogoś innego na mój rewir i ten ktoś będzie lepiej pracował?

Powinam pójść. Nie mogę ryzykować, że odkryją, dlaczego naprawdę udaje mi się zakończyć obchód bez nadgodzin.

Kiedy odeszłam od stołu i usiadłam w fotelu, spojrzałam na wytarty tweed, gdzie przez lata spoczywały przedramiona mojej matki.

Z lodówki dochodzi nieprzerwanie niskie buczenie, ale poza tym w domu jest cicho. Powietrze jest gęste i ciężkie, jakby owijało się wokół mnie jak peleryna ociekająca nieprzyjemnymi wspomnieniami.

Kiedy byliśmy dziećmi, nie wolno nam było siadać w fotelu matki. Wiedziała, gdy jej poduszka została przesunięta choćby o centymetr.

Lubiła, żeby wszystko było w takim stanie, w jakim to zostawiła.

Zamknęłam oczy, czułam szorstką materię naciskającą na cienką, bladą skórę nadgarstków.

Nic nie może mi zrobić za to, że tutaj siedzę.

Nikt nie może mi nic zrobić.

Joan Peat

Zawsze zostawała w środkowym pokoju, kiedy Anna wychodziła do pracy. Joan nie musiała jednak siedzieć przy oknie i patrzeć: wystarczyło słuchanie. Ich boczna uliczka była spokojna. Niewiele samochodów nią jeździło, zwłaszcza wcześniej rano, kiedy sąsiedzi szli do pracy.

Dzisiaj Anna złamała rutynę, wyszła z domu później, niż zazwyczaj chodziła do pracy, i wróciła znacznie wcześniej, niż kończyła się jej zmiana. A teraz Joan usłyszała właśnie, jak trzasnęły tylne drzwi – Anna znów wyszła.

Zaparkowała przed domem. Joan patrzyła, jak podchodzi do drzwi od strony kierowcy.

Przez ostatnie parę lat przybrała na wadze, zauważyła Joan. Ubierała się albo w pocztowy uniform, albo w dżinsy, buty i szary za duży sweter, który nadawał jej dość niechlujny wygląd.

Joan rzadko widywała Annę w makijażu, a przez ostatnie tygodnie dziewczyna zaczęła nosić nieładną ciemnobrązową czapkę baseballową, która tylko podkreślała bladość jej z lekka nalanej twarzy.

Jednak Joan niezmiennie wierzyła, że Anna, ta, którą wcześniej знаła, nadal gdzieś tam jest, ukrywa się tylko, za bardzo się boi, żeby wyjść. Żyła nadzieją, że pewnego dnia ujawni się iskra tego entuzjazmu do życia, którą Anna miała za młodu.

Ledwie sąsiadka odjechała, Joan dźwignęła się z fotela i poszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę.

Zarówno Anna, jak i Linda, jej pielęgniarka środowiskowa, myślały, że Joan nie może się samodzielnie poruszać. Joan było obojętne, że to skończone kłamstwo. Mogła się poruszać. Po prostu nie powiedziała im prawdy. A to różnica.

W każdym razie często miała problemy i nawet w dobry dzień nie biegała po domu jak przełajowiec Mo Farah.

Więc Joan woląca myśleć o tym jak o niewinnym kłamstewku.

Ogólnie rzecz biorąc, było prawdą, że nadal potrafi poruszać się bez jakiegokolwiek pomocy. W niektóre dni udawało się jej wchodzić nawet na piętro, jeśli uważała, żeby się nie przemęczyć, i w drodze na górę od czasu do czasu robiła sobie przerwę na oddech.

To było takie miłe, widywać regularnie Annę i Lindę. Gdyby wiedziały, że Joan daje sobie radę, pewnie przestałyby wpadać tak często, a to była ostatnia rzecz, jakiej by chciała.

Oszukiwało się zdumiewająco łatwo: nawet pielęgniarkę okręgową, Jasmindę, która zachodziła do niej co parę miesięcy, żeby zbadać jej napuchnięte, owrzodzone nogi.

Wszystkie były takie ufne wobec Joan i całkowicie polegały na jej słowie. W końcu dlaczego miałyby je oszukiwać w takiej sprawie?

Hm, powodem była samotność.

Joan myślała, że bardzo często używa się tego słowa: samotność. Używają go ludzie, którzy nie mają pojęcia, jakie jest jego prawdziwe znaczenie. Ludzie, którzy nie doświadczyli duszącej płachty ciszy przylepiającej się do człowieka jak cienka przezroczysta folia od chwili, gdy się obudzi.

Używają go ludzie, którzy nie mają pojęcia, jak to jest, kiedy musi się ustawiać radio w innym pokoju, żeby udawać, że rodzina lub przyjaciele przyszli z wizytą.

Ale Anna i Linda to byli prawdziwi ludzie, z którymi Joan mogła rozmawiać prawie codziennie, i to pomagało jej oddychać. Pomagało jej przebrnąć, dzień po dniu, przez każdy długi tydzień.

Wszyscy ludzie, których Joan regularnie widywała, przychodzili do niej, bo myśleli, że nie potrafi się poruszać i nie da sobie rady bez ich pomocy. I na swój sposób mieli rację.

Prawdę mówiąc, nie dałaby sobie rady bez nich.

Joan czuła się szczęśliwa, że miała wokół siebie takie troskliwe dusze.

I wreszcie, w przeszłości zawsze próbowała robić coś podobnego, pomagała innym, robiąc co w jej mocy, żeby im ulżyć.

Weźmy Annę.

Były sąsiadkami od prawie trzydziestu lat i Joan praktycznie opiekowała się nią, kiedy wyszła ze szpitala. W każdym razie do osiemnastego roku życia.

Anna nie miała nikogo na świecie, na kim mogłaby się oprzeć.

Joan widziała to tak, jej nogi były na wykończeniu, ale pamięć i słuch miała w porządku, chociaż już dawno skończyła siedemdziesiąt lat.

Niestety, to znaczyło, że była w stanie przypomnieć sobie każdy szczegół z tego, co zdarzyło się po sąsiedzku przed trzynastu laty.

Cóż to był za koszmar!

Równie jasno pamiętała dzień, w którym Clarke'owie stali się jej sąsiadami.

W nocy z lekka sypnął śnieg, a rano Monica i Jack Clarke zamieszkali po sąsiedzku ze swoją dziewczynką Anną.

Joan i jej mąż Arthur słyszeli, że Jack Clarke pracował na ścianie w kopalni węgla w Annesley, ale podczas zmiany maszyna urwała mu ramię.

Clarke'owie wykorzystali odszkodowanie, żeby kupić domek szeregowy w sąsiedztwie Joan i Arthura, żeby być bliżej centrum, gdzie Monica mogłaby poszukać jakiejś pracy na część etatu.

Arthur wtedy oczywiście żył. Zdrow jak ryba, codziennie jeździł na rowerze prawie pięćdziesiąt kilometrów do fabryki. To było na dwa lata przedtem, jak zabrał go rak trzustki: sześć tygodni od diagnozy do śmierci.

Joan ostrożnie postawiła filiżankę i spodek na stoliku i wyrzała na ulicę.

Monica Clarke była bufonowata i nieprzyjazna od samego początku, chociaż Joan nie miała pojęcia, skąd bierze się ta jej pycha.

„Blondyna z butelki, bez manier, z za dużym dekoltem na pokaz”, tak Arthur opisał Monicę, ledwie wysiadła z ciężarówki do przeprowadzek, którą wynajął Jack.

Monica zignorowała ich powitalne machanie z właśnie tego okna. Arthur zawsze dobrze osądzał charaktery.

Inaczej z małą Anną: odwróciła się i uśmiechnęła do nich serdecznie.

Co za słodkie stworzenie. Cała w jasnych loczkach, z niebieskimi oczami, jak lalka z porcelany.

Córka Joan i Arthura, Janet-Mae, była wtedy na uniwersytecie, studiowała handel w Manchesterze. Przyjeżdżała do domu, kiedy mogła, ale nie zdarzało się to często.

Kiedy Joan ujrzała małą Annę, jej serce nabrzmiało od wspomnień małej Janet-Mae, kiedy jeszcze jej potrzebowała. To było bardzo dawno temu.

Teraz Joan patrzyła na miejsce, w którym Clarke'owie przed laty zaparkowali swoją ciężarówkę. W nocy padało i rynsztok był brudny, płynęło nim błoto, liście i zbity żwir, który przylepiał się do skraju krawężnika jak guzy rakowe.

Odwróciła wzrok i wspominała, jak Anna stała przed domem i machała do nich, póki Monica nie wyszła, nie chwyciła jej za ramię, mocno za nie szarpnęła i odprowadziła.

Wkrótce odkryli słabość Moniki do alkoholu i mężczyzn.

Jako osoba regularnie uczęszczająca do kościoła, Joan zdecydowanie unikała przyłączania się do sąsiedzkich plotek o barwnym nocnym życiu Moniki, szeptanych przez ogrodowe murki i w sklepie na rogu. Ale to nie było łatwe.

Z okna na piętrze późno w nocy Joan nie raz widywała Monicę w ramionach mężczyzny, który zdecydowanie nie był jej mężem. Znacznie bardziej prawdopodobne, że był mężem innej kobiety.

Clarke'owie mieszkali po sąsiedzku zaledwie rok, kiedy Monica zaszła w ciążę z Danielem.

Dobry Boże, klótnie trwały tygodniami. Za pomocą odwróconej szklanki przytkniętej do ściany działowej Joan często słyszała słowo w słowo, co tam mówiono.

Wystarczy powiedzieć, że Jack Clarke był całkowicie przekonany, że to nie jego dziecko, i w ciągu miesiąca wyprowadził się z domu. Zostawił ciężarną

Monicę i swoją córkę, Annę.

Wtedy Peatowie widzieli go po raz ostatni.

Pół roku później Jack Clarke nie żył. Słyszeli, że po pijanemu wdał się w mięcie w bójkę z ciężarówką i, jak można było się spodziewać, przegrał.

Właśnie wtedy mała Anna zaczęła regularnie odwiedzać Joan i Arthura.

Nieustannie zdumiewa mnie, jak łatwo przedstawiać się ludziom inaczej i żyć wewnętrznym życiem jako ktoś zupełnie inny.

Oczywiście najpierw idą lata praktyki. Ale na dłuższą metę warto tak żyć, bo kiedy widzi się kogoś, kogo się rozpracowało, można powiedzieć z dystansem: „Ja to zrobiłem”.

Można by powiedzieć, że to jest tak, jakby włożyło się najwspanialsze ubranie wyjściowe i nikt nie zauważa, że pod nim człowiek czuje się marnie, że jest zagubiony. Bylibyście zdumieni, jak łatwo ukryć prawdziwe uczucia pod uśmiechem i uprzejmym słowem.

Nie zrozumcie mnie źle, udawanie niewidzialnej postaci może być irytujące. Niech myślą, że to, czego chcesz, i to, co czujesz, naprawdę nie ma znaczenia.

Sztuka w tym, żeby milczeć i słuchać, wchłaniać wszystko, co się da. Ludzie uwielbiają mówić o sobie.

Mówię im to, co chcą usłyszeć, patrzę, jak łykają moje przebiegłe słowa, jakby to były ostrza brzytwy zanurzone w miodzie.

Nie przychodzi im do głowy, że gram na nich, jak na starych skrzypcach.

Zanim zaczną coś podejrzewać, jest już za późno. Wyciągam śmiercionośną wstęgę brzytew, a oni cierpią.

Wiem, jak to działa, bo to nie jest mój pierwszy raz.

Anna

Po nieoficjalnej porannej wizycie w szpitalu, przez całe popołudnie pakowałam wszystko w domu, patrzyłam na zegar i nic poza tym nie robiłam, aż znowu nadszedł czas wizyty.

Chociaż bardzo starałam się oczyścić myśli, nie potrafiłam wyrzucić z głowy jej twarzy.

To twarz, która nie zmieniała się tak bardzo z upływem lat. Nie było widać niszczycielskiego działania czasu, żadnych głębokich zmarszczek dokumentujących cierpienie albo żal, ale to pewnie dlatego, że cierpienie i żal były jej obce. Zawsze dotyczyły kogoś innego.

Gdybym miała być drobiazgową, to chyba wyglądała trochę inaczej, niż ją zapamiętałam. Rysy miała nieco bardziej obłudne, niż zapamiętałam, jakby oszustwo z czasem wypaczyło jej twarz.

Ale przecież to naturalne, że teraz widzę ją inaczej. Kiedy ostatni raz ją widziałam, miałam zaledwie piętnaście lat: naiwne, bardzo wystraszone dziecko.

Minęło sporo czasu, ale terapeutka pomogła mi zrozumieć, że to tamta kobieta pozwoliła mi zapamiętać, jaka wtedy byłam. Powiedziała, jakie to ważne, żeby ciągle pamiętać, że byłam tylko dzieckiem, że zrobiłam wszystko, co wtedy można było zrobić.

Przyswojenie tej myśli pomogło mi w walce ze skorodowaną linią poczucia winy, która skręcała się i owijała tak szczelnie moje wnętrze, jakbym nigdy nie miała się jej pozbyć.

W trudne dni, nawet teraz, lina zaciska się trochę bardziej, tyle ile trzeba, żebym wiedziała, że nadal tam jest.

Czekanie na informację z policji o tym drugim kierowcy jest torturą, ale pociesza mnie świadomość zbliżającej się odpłaty.

Kiedy pojawią się szczegóły, będzie mnie kusilo, żeby na nią naskoczyć i skrzywdzić, jak tylko się da, ale postanowiłam zachować zimną krew, wykalkulować wszystko.

A teraz stawką jest też coś innego.

Liam, jeszcze bezbronny, musi dowiedzieć się, jaka ona jest niebezpieczna. Teraz nie mogę przedstawić mu tego w odpowiedni sposób, bo wyjdę na paranoiczkę i ujawnię swoje plany, ale przecież on też potrzebuje obrony przed nią.

Chociaż jeszcze o tym nie wie.

Wreszcie nadchodzi czas, żeby wybrać się do szpitala. Dwa razy muszę

wracać, żeby poprawić poduszki w salonie, ale wreszcie wychodzę do samochodu.

Na dworze jest już ciemno, a leje bez przerwy, w mokrej, lśniącej nawierzchni odbijają się światła nadjeżdżającego w moją stronę samochodu.

Jadę powoli do szpitala, w milczeniu myślę o tym wszystkim.

Praca. Wypadek. Ona.

W głowie mam potok myśli, przypływają i odpływają, jak czarne wody, ale mięśnie szyi powoli zaczynają mi się rozluźniać wraz z hipnotycznym rytmem wycieraczek wibrującym w całym samochodzie.

Kiedy zatrzymuję się na światłach, wyczarowuję obraz babci Liama. Pewnie to korpulentna, swojska kobieta, która weźmie mnie w ramiona i przyjmie do rodziny.

Spodziewam się, że będzie bardzo zadowolona, że mnie spotkała, i na pewno spróbuje dać mi coś za to, co zrobiłam dla Liama, ale przecież to nie było nic wielkiego. Niektórzy pomyślą, że jestem za skromna, ale ja nie z tych, którzy lubią robić wokół siebie szum. Po prostu chcę tam być, kiedy on odzyska przytomność.

Zatrzymuję się na kolejnym czerwonym świetle i wpatruję w deszcz. Serce zaczyna mi szybciej bić. W ciągu kilku sekund głos w głowie zaczyna swoje stare sztuczki.

A może babcia Liama nie chce, żebym zjawiała się w szpitalu? A może nie pozwoli mi się z nim zobaczyć i nie będę mogła dowiedzieć się, jak przebiega policyjne śledztwo?

Odkąd przed laty życie rozpadło mi się na kawałki, łatwiej jest mi trzymać się od ludzi na odległość niż do nich wychodzić. W tych okolicznościach to chyba najłatwiejsza sprawa.

Chodzi o to, że nie wiadomo, komu można zaufać, choćby nie wiem jak długo się tego kogoś znało, prawda? Doprawdy, nie sposób poznać wszystkich ukrytych cech jakiejś osoby.

Wiem o tym lepiej niż inni.

Kiedy myślę o tym, że poznam Liama i jego babcię, w rękach czuję mrowienie.

Ale tym razem nie chodzi tylko o mnie, teraz spoczywa na mnie nowa odpowiedzialność. Liam poprosił mnie na ulicy, żebym mu pomogła, a ja się zgodziłam.

Kim byłabym, gdybym go zawiodła?

Z powodu za małego parkingu przy szpitalu, kiedy się pojawiam, jest już dobrze po szóstej.

Pielęgniarka, którą wcześniej widziałam, stoi przy stanowisku administracyjnym pośrodku oddziału. Uśmiecha się na mój widok.

– Kochana, właśnie przyszła babcia pacjenta. Daj mi sekundkę, a zaprowadzę cię na dół, on leży teraz na innej sali.

Okazuje się, że czekanie trwa dłużej niż sekundę.

Dzwoni telefon, potem lekarz prosi ją, żeby podała mu dokładne dane kontaktowe jakiegoś pacjenta. Biedna pielęgniarka pada z nóg, a ja fatalnie się czuję, że wydłużam jej listę zajęć, ale to ważne. Muszę go zobaczyć.

Kciukiem żłobię palec wskazujący, co często robię, kiedy buzują we mnie myśli.

Patrzę, jak mija wpół do siódmej, i zaczynam liczyć oddechy, próbuję je spowolnić.

Wizyty kończą się o ósmej, a ja chcę spędzić z Liamem jak najwięcej czasu. W takim tempie może się zdarzyć, że w ogóle go nie zobaczę.

„Nie możesz zobaczyć przyszłości, więc przestań sobie powtarzać, że wszystko obróci się na złe”, odzywa się głos terapeutki w moich uszach.

Tak też robię. Przestaję. Zamiast tego myślę o wypadku, o dłoni Liama w mojej dłoni.

W końcu pojawia się pielęgniarka i wychodzi zza zakrzywionego kontuaru.

– Teraz zaprowadzę panią na dół. Pani Anna, prawda?

Kiwam głową i idę za nią do jednych z czworga drzwi na końcu oddziału.

Co kilka metrów wzdłuż głównego korytarza pojawia się z boku podłużna, prostokątna przestrzeń mieszcząca sześć łóżek. Identyczne koce, a na nich blade, wymizerowane twarze, w większości stare, o rozwodnionych oczach skupionych niewidząco na średnim dystansie.

Jakaś osłabiona kobieta próbuje wstać z łóżka, szpitalny szlafrok marszczy się z jednej strony, ukazując przypieczoną, marmurową skórę. Próbuję wyobrazić ją sobie jako młodszą kobietę z mężem, jak pracuje, troszczy się o młodą rodzinę.

Myśl, że trzeba znosić ciekawskie spojrzenia bez szansy na prywatność, sprawia, że żołądek mi się wywraca. Cieszę się, że Liam ma prywatną salę i nie musi cierpieć takich upokorzeń.

– Jesteśmy na miejscu – mówi pielęgniarka, zwalniając.

Stuka do drzwi, wchodzę za nią do sali.

Liam jest pokryty masą rurek i aparatem do oddychania tak jak poprzednio. Jest jeszcze bledszy, wygląda wątłej, jeśli to możliwe.

Czuję w sobie szarpnięcie i w myślach rozbłyskuje mi twarz Danny’ego.

Chcę usiąść przy Liamie bez obecności innych.

Chociaż nadal jest nieprzytomny, chcę mu powiedzieć, że jestem tutaj ze względu na niego.

– Ivy? – zwraca się pielęgniarka do kruchej starszej pani siedzącej przy łóżku Liama. – To jest Anna, przyszła w gości, mówiłam ci już o niej.

Ivy spogląda na mnie obojętnie. Jest mała, żylasta, ma w sobie coś z gryzonia. Porusza nosem, jakby próbowała mnie ocenić.

– Anna to ta pani, która pomogła Liamowi po wypadku – przedstawia mnie

pielęgniarka.

Ivy próbuje wstać, ale jej słabe nogi chwieją się i znów siada.

– Więc to pani pomogła mojemu wnukowi – mówi, jakby Liam nadal był bezradnym chłopczykiem.

Pielęgniarka mruga do mnie konspiracyjnie, kiedy Ivy wyciąga małą, pomarszczoną dłoń.

– Bardzo dziękuję. Doceniam to, co pani zrobiła.

Ściskam jej rękę, ale patrzę na łóżko.

– Jak on się czuje? – pytam.

Ivy kręci głową i zaciska wargi, jakby nie ufała swoim słowom.

– Na razie bez zmian – zauważa pielęgniarka, dotykając ramienia Ivy. – Ale tego należało się spodziewać, przecież tyle przeszedł.

– Macie już namiary na drugiego kierowcę? – pytam.

– Niczego nie słyszeliśmy – mówi Ivy. – Myślę, że jest za wcześnie.

– Zostawię was, żebyście sobie pogawędziły.

Pielęgniarka wychodzi z pokoju, a Ivy gmera w swojej torebce.

– Lekarz mówi, że na razie to najlepsze dla niego, to znaczy sen pod wpływem lekarstw. – Wyciąga chusteczkę. – Mówi, że to da jego biednemu ciału szansę, żeby samo się naprawiło.

Rozumiem, że jest zrozpaczona i pewnie zagubiona przy takiej liczbie informacji, która do niej napływa, ale jej ślepa wiara w lekarza wkurza mnie. To ważne, żeby przy Liamie był ktoś, kto potrafi zadać personelowi medycznemu właściwe pytania.

– Co z tą kobietą, z tym drugim kierowcą? – pytam. – Co robi policja w jej sprawie?

– Kiedy po raz pierwszy zaszli do mnie, do domu, żeby poinformować mnie, że Liam uczestniczył w wypadku, powiedzieli, że wkrótce znów się skontaktują – mówi Ivy. – Jeden z nich dał mi wizytówkę służbową ze swoim numerem telefonu. Mam ją gdzieś w domu.

Powoli przechodzę na drugą stronę łóżka.

Ramię Liama jest odkryte, leży na kocu. Delikatnie go dotykam, moje palce zwlekają kilka sekund.

Myślę, że dotykanie ręki mężczyzny musi być dziwne dla dziewczyny, która nigdy nie miała chłopaka, i przyznaję, że zauroczyły mnie jego wielkie palce i zahartowana pogodą skóra.

Stoję przez chwilę i patrzę, jak jego pierś unosi się i opada pod kocem. Zastanawiam się, czy Danny tak by wyglądał w jego wieku.

Kiedy podnoszę wzrok, Ivy patrzy na mnie, więc odsuwam rękę.

– Mówią, że trzymała go pani, póki nie nadjechała karetka – odzywa się słabym głosem.

– Nie trzymałam jego, trzymałam jego rękę.

Ludzie zawsze źle rozumieją sprawy. Nie wolno przesuwac rannych, można wyrządzić więcej zła niż pomóc. I znów myślę, że nie wszyscy ukończyli kurs pierwszej pomocy dla ochotników i nie wszyscy dostali najwyższy stopień w grupie.

– Będzie pani musiała uzyskać od policji szczegóły ubezpieczenia tamtej kobiety, jej nazwisko i adres – mówię. – Im wcześniej, tym lepiej. Nie chce pani przecież, żeby się z tego wymigała.

– Jak mówiłam, wkrótce powinni się ze mną skontaktować. – Ivy poprawia się gwałtownie na krześle.

Już mam zaproponować, że skontaktuję się z policją w jej imieniu, ale zmieniam zdanie. Chyba pomyślałaby, że to trochę za dużo, skoro dopiero co się spotkałyśmy.

– Wie pani, to dobry chłopak, ale uparł się na ten motocykl – ciągnie Ivy, patrząc na Liama. – Powiedziałam mu, że „to jest zabójcza maszyna”, ale pani wie, jacy są chłopcy, po prostu nie słuchają.

Trudno nazwać Liama chłopcem.

Sposób, w jaki ciągle o nim mówi, jakby nadal był nastolatkiem, sprawia, że chce mi się zgrzytać zębami, a nie powinnam znów wpadać w ten nałóg.

Mniejsza o to, kto co powiedział, Ivy powinna naciskać na policję, żeby zacząć postępowanie przeciwko tamtej kobiecie kierującej samochodem.

Czuję się odpowiedzialna za to, żeby oboje nie ustępowali. To dla ich własnego dobra. Ale na razie nic nie mówię.

Wstaję, odwracam się do niej plecami, podchodzę do okna, żeby popatrzeć z wysoka na parking.

Patrzę, jak ludzie biegną do samochodów i od samochodów, i do parkomatów, pochłonięci przerażającym cyklem, obudzić się, iść do pracy, przyjść z wizytą. To trzeba wycierpieć, kiedy w szpitalu leży ktoś z rodziny.

– Widzi pani, w domu jesteśmy tylko ja i Liam – mówi cicho Ivy. – Prawdę mówiąc, nie wiem, co bez niego zrobię. On trzyma mnie... – Nagle milknie.

Odwracam się, żeby zobaczyć, dlaczego przerwała w połowie zdania, jednocześnie salka wypełnia się jej piskliwymi krzykami.

Przyskakuję od okna, sapię z zaskoczenia, spoglądając na łóżko.

Liam ma szeroko otwarte oczy.

Ivy sięga po jego rękę, ja patrzę w milczeniu, serce wali mi tak mocno, że czuję je w gardle.

– Dzięk Ci, Boże. – Ivy zaczyna cicho szlochać, przyciska rękę do twarzy. – Z nim jest okej, będzie okej.

Czekam, aż powie Liamowi, kim jestem, że jestem tą, która była przy nim na skraju drogi, ale ona nic o mnie nie mówi.

Sięgam ręką obok Ivy i naciskam brzeczyk przy głowie Liama, potem przenoszę się na drugą stronę łóżka i lekko dotykam palcami jego dłoni.

Spogląda na mnie, ale w jego wzroku nie ma rozpoznania ani wdzięczności. W ogóle nie ma uczuć.

– Nie pamięta mnie – mrużę.

– Gdzie jest pielęgniarka? – Ivy idzie do drzwi i wygląda na korytarz. Potem słyszę kroki na zewnątrz salki.

Biorę dłoń Liama w moją.

– Liam, pamiętasz wypadek? Czy policja powiedziała coś o tej kobiecie, która kierowała samochodem?

Zamyka na krótko oczy, jakby w umyśle przeglądał pokaz przezroczy. Kiedy znów je otwiera, powoli kręci głową.

Otwierają się drzwi i energicznie wchodzi dwie pielęgniarki, a za nimi Ivy, ma poszarzałą twarz.

– Czy już coś powiedział? – pyta jedna z pielęgniarek.

Kręcę głową i wypuszczam dłoń Liama, kiedy zaczynają się wokół niego krzątać, sprawdzać różne kable i rurki.

– Musimy zrobić parę testów – mówi do Ivy korpulentna pielęgniarka. – Właśnie wysłałam pagerem wiadomość doktorowi Khanowi.

Ivy stoi przy drzwiach, ale się nie odzywa.

– Kochana, nie martw się, z nim będzie dobrze – mówi pielęgniarka, mimo że nie może być tego pewna. – Lekarz zaraz zjedzie.

Zaczyna mówić druga pielęgniarka, głośno i dramatycznie.

– Liam, słyszysz mnie? Możesz coś powiedzieć? – Liam nie reaguje, tylko patrzy, tym strasznym, niczego nierozumiejącym wzrokiem. – Liam, wiesz, gdzie jesteś?

– Odezwij się do pielęgniarki, synu – prosi Ivy. – Żebyśmy wiedziały, że z tobą wszystko w porządku. – Zbliża się o kilka kroków do łóżka. – Liam, proszę. Tylko coś powiedz.

Liam powoli przekręca głowę, patrzy na nią i załamującym się szeptem mówi:

– Kim jesteś?

Trzydzieści lat wcześniej

Carla Bevin od ponad dwóch lat pracowała w zespole szkół w Cumber Meadows. Zaczęła pracę natychmiast po ukończeniu kursu Brytyjskiego Stowarzyszenia Psychologii i Psychoterapii.

Nie miała wielkiego doświadczenia, ale wystarczające, żeby zrozumieć, dlaczego dla niektórych dzieci szkoła jest nie do zniesienia.

Często nie było jednego powodu, który ściągał na nich taką traumę, po prostu należeli do pewnego typu, który fascynował Carlę. Chciała znaleźć to, co łączy ofiary, i pewnego dnia napisać o tym artykuł.

– Dzieci są okrutne, rzucają się na każdego, kto jest chociaż trochę inny. Ich rodzice powinni po prostu przenieść je do innych szkół. – Mark dzielił się swoją znakomitą wiedzą w rzadkich chwilach, kiedy rozmawiali o jej pracy, a nie o tym, ile pieniędzy spodziewa się ze sprzedaży swoich dzieł sztuki.

„Studio artystyczne” jej męża, jak lubił je nazywać, było właściwie tylko elegancką szopą z B&Q w głębi ogrodu. Mark miał do pewnego stopnia rację, w sprawie dręczonych w szkole dzieci, ale Carla przypadkiem wiedziała, że ten specyficzny typ młodych ludzi może być przenoszony do nowych szkół po sto razy, zaczynać wszystko od nowa, a rezultat będzie prawdopodobnie zawsze taki sam.

Jakby niektóre dzieci miały znak z napisem „dręczcie mnie”, widoczny tylko dla innych nastolatków.

Ale Carla, na jej obecnym stanowisku psychologa szkolnego, nie mogła tak po prostu, otwarcie powiedzieć czegoś takiego. Politycznie poprawna zgraja dostalaby ataku szału. W końcu zdanie, które najczęściej powtarzała wobec młodej klienteli brzmiało: „to nie twoja wina”.

Ale podnieta do nieustannego prześladowania i nienawiści za kolor włosów, za taną markę tenisówek albo po prostu za to, że oddychają, była jak wydzielany przez młodych ludzi smród przyciągający najgorsze drapieżniki.

A Daniel Clarke był jednym z tych dzieciaków.

Żeby usprawiedliwić „minimum pięćset funtów inwestycji”, którymi każde z badanych dzieci obciążało szkolny budżet, uczeń musiał być uznany za zdolnego do samobójstwa, zanim rada administracyjna zaaprobowalaby jej zaangażowanie w sprawę.

Jednak ostatnio zaaprobowali Daniela, i słusznie. Kiedy w tamten poniedziałkowy poranek zapukał do drzwi jej gabinetu, był w naprawdę złym

stanie.

Dzieci reagowały bardzo różnie podczas pierwszych kilku wizyt, ale Carla zauważyła, że dzielą się ogólnie na trzy typy.

Niektóre były bardzo gadatliwe, nawet przesadnie rozmowne, mówiły o wszystkim i niczym, próbując pokryć cienkim welonem swoje prawdziwe uczucia.

Inne mówiły mniej i otwierały się powoli, z czasem, jak stłamszony kwiat.

Daniel należał do rzadszego, trzeciego typu, który Carla prywatnie nazywała „pustakiem”.

Rzecz nie w tym, że chłopiec mówił bardzo mało. On odmawiał wypowiedzenia choćby słowa, dania jakiegoś wzrokowego sygnału w odpowiedzi na to, co do niego mówiła.

Kiedy tylko Carla otworzyła drzwi do gabinetu, rozpoznała pusty wyraz przyklejony do jego twarzy, martwy jak maska. Właśnie tego potrzebowała.

– Danielu, usiądź, proszę – powiedziała radośnie, siadając na wybranym przez siebie jednym z wygodnych krzeseł w odcieniu niebieskofioletowym, przypominającym kolor morza.

Beżowy dywan (piasek) i bardzo jasne, żółte ściany (słońce) łączyły się, zmyślnie oddając kojącą linię morskiego brzegu.

Niestety, w pokoju nie było okien, ale Carla zadała sobie trud i przyniosła kilka gładkich, płaskich kamyków i parę kawałków drewna wyrzuconych na brzeg, żeby wzmocnić pogodny nastrój i zrekompensować brak naturalnego światła.

Ale to wszystko nie istniało dla Daniela Clarke’a, jakby tego nie dostrzegał.

Usiadł jak automat, nie kręcił się na krześle, żeby zająć wygodniejszą pozycję, nie rozglądał się po pokoju, żeby przyjrzeć się otoczeniu. Patrzył przed siebie, na pusty kawałek świeżo pokrytej tynkiem ściany, na którą nie znalazła jeszcze odpowiedniego zdjęcia w ramkach.

Zapisała pierwsze uwagi na kawałku papieru z nazwiskiem Daniela i klasą w nagłówku.

– Jestem Carla. – Odłożyła długopis i splotła palce na kolanach. – Danielu, wiesz dlaczego tutaj jesteś? Dlaczego cię do mnie przysłano?

Daniel nie poruszył się, nie mrugnął okiem.

Był chłopcem drobnej budowy, ale według niej raczej źle odżywionym niż z natury filigranowym.

Proste, ciemnoblond włosy, które bardzo potrzebowały fryzjera, opadały bezwładnie na brudny kołnierzyk od koszuli. Kręcił palcami wskazującymi, Carla zauważyła, że obie ich zewnętrzne krawędzie były czerwone i wyglądały na obolałe, jakby jakoś zerwał z nich zewnętrzne warstwy skóry.

– Jestem tutaj po to, żeby ci, Danielu, pomóc. Myślę, że przechodzisz przez trudny okres.

Żadnej reakcji.

– Chcę cię zapewnić, że to, co tutaj powiesz, że wszystko, o czym będziemy mówili, jest ściśle poufne. Nikomu nie powtórzę ani słowa.

Myślała, że w oczach chłopca coś krótko zabłysło, ale niemal natychmiast znów pojawiła się pustka.

Poprzedniego dnia spotkała się z nauczycielką Daniela, panią Martin, która przekazała jej pełną informację. Nauczycielka zauważyła, że Daniel robi się coraz bardziej wycofany, odkąd zaczął się semestr jesienny.

Dalsze badanie, w które zaangażowali się inni nauczyciele, upewniło panią Martin, że Daniel zaczął posługiwać się znaną taktyką uników podczas dnia w szkole, takich jak siadanie w pobliżu drzwi, żeby pierwszy wypaść z klasy, kiedy zabrmi dzwonek i że najczęściej obywat się bez lunchu, żeby nie wchodzić do jadalni.

– Pewien nauczyciel zauważył nawet, że Daniel między lekcjami idzie skrótem przez budynek, zamiast wyjść na dwór z innymi uczniami. – Pani Martin pokręciła głową. – Rozmawiałam z tymi, którzy najczęściej są podejrzani w klasie Daniela, Philipem Nayloriem i jego bandą opryszków, ale oni do niczego się nie przyznają. Tym razem wierzę im, kiedy mówią, że nie mają z tym nic wspólnego. Ale nie potrafię zgłębić, co jest nie tak, bo Daniel stanowczo odmawia rozmowy na ten temat ze mną czy z kimkolwiek innym.

Sprawą zainteresowała się dyrekcja, kiedy podczas ostatniej lekcji wuefu, nauczyciel zauważył coś, co wyglądało na ślady po samookaleczeniu na ramieniu chłopca.

– Sądzimy, że biedak robił sobie nacięcia – westchnęła pani Martin. – Uczę już dwadzieścia lat i nie widziałam czegoś tak złego jak to. On niknie w naszych oczach, ale nie chce, żeby ktoś mu pomógł.

Wszystkie te niepokojące informacje zostały przekazane administracji szkoły, poinformowano też odpowiednie instytucje. Ale wcześniejsze doświadczenia mówiły Carli, że mogą minąć tygodnie, zanim zawaleni robotą miejscy pracownicy socjalni podejmą jakiegokolwiek działania.

Po kilku minutach całkowitej ciszy Carla ze stojącego na niskim stoliku dzbanka nalała wody do dwóch szklanek i pchnęła jedną z ich po jasnym fornirze w stronę Daniela.

Nawet jej nie tknął.

– Danielu, jestem po twojej stronie, chcę, żebyś o tym wiedział. Nie jestem nauczycielką. Jeśli chcesz, możesz widzieć we mnie przyjaciela.

– Pracujesz dla szkoły.

Jego szorstki, chłodny ton zaskoczył Carlę i przez chwilę nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć.

– Danielu, to prawda, że szkoła mnie zatrudniła – powiedziała, nie podnosząc głosu. – Ale moja praca psychologa jest całkowicie prywatna.

Cokolwiek tu powiemy, zostaje co do słowa między nami.

Daniel szyderczo pociągnął nosem i popatrzył sobie na rękę.

– Możesz mi powiedzieć, jak się czułeś w szkole, odkąd zaczął się semestr?
– naciskała Carla.

Milczenie. To będzie twardy orzech do zgryzienia.

Choćby dlatego, że sesje były za krótkie. Dwadzieścia minut raz, albo dwa razy w tygodniu to nie jest czas, podczas którego można zbudować relacje oparte na zaufaniu ze strony dziecka z urazem psychicznym.

Mimo wszystko Carli zazwyczaj udawało się na pierwszej sesji wyciągnąć z uczniów coś na temat ich problemów.

W każdym razie znacznie więcej niż mizerne kilka słów, które chłopiec z siebie wyrzucił.

– Boisz się kogoś? Ktoś ci groził?

Ukończone z dyplomem szkolenie kazało terapeutce mówić jak najmniej, żeby pozwolić młodemu klientowi obnażyć wszelkie problemy w wybranym przez niego czasie.

Sprawdzało się to doskonale podczas spokojnych godzinnych płatnych sesji, ale niezbyt dobrze działało w ubogiej w gotówkę państwowej szkole, która nieustannie naciskała na nią, żeby wykazywała się szybkimi rezultatami.

Carla wypracowywała własne zasady, żeby spokojnie, po swojemu, dochodzić do pożądaných wyników i jak do tej pory nieźle to zdawało egzamin.

Szacowała, że jeszcze parę miesięcy i zbierze tyle sukcesów, żeby starać się o dobrze płatną pracę, która jak słyszała, pojawiła się w prestiżowej, niezależnej szkole średniej w city.

Słuchanie zamożnych dzieciaków, których najgorszym problemem był wybór między kucykiem a czynnym wypoczynkiem w Stanach Zjednoczonych na Boże Narodzenie, wygrywało w przedbiegach z wielkomięskimi cierpieniami, które próbowała rozwikłać tutaj, w Cumber Meadows.

I widziała w tym szybką ścieżkę do osiągnięcia imponującej renomy.

Wtedy w krótkim czasie otworzyłaby własną praktykę z górnej półki i miałyby prawo obciążać wysokimi rachunkami tłumy znękaných rodziców, którym nie starcza czasu albo chęci, żeby samemu zająć się mętlikiem w głowach własnych uprzywilejowanych dzieci.

Był to również klucz do uwolnienia się od niewysokiej góry długów, które pozostały po skazanym na niepowodzenie wypadzie Marka w świat sztuki.

Przy rosnącym zadłużeniu na kartach kredytowych, które brało się ze zbyt ambitnej miesięcznej opłaty za wynajem nieruchomości w prestiżowej, zadrzewionej dzielnicy zwanej Parkiem, nowa praca była jedynym właściwym sposobem na utrzymanie przyzwoitego standardu życia.

Mark lubił nobliwie opisywać nieczytelne plamy błotnistých kolorów na

plótnie jako „współczesną ekspresję abstrakcyjną”.

Jedyny problem w tym, że były tak abstrakcyjne, że nikt nie chciał ich kupować.

Kiedy wracała myślami do tamtych dni, przypominała sobie, aż za dobrze, ciężar zabezpieczenia ich przyszłości, który spadał wyłącznie na jej barki.

Jeśli było coś, z czego można by się cieszyć po bolesnym rozstaniu, to że teraz, dzięki Bogu, miała tylko siebie na utrzymaniu.

To prawda, mieli za sobą wiele szczęśliwych lat, ale Carla była pewna, że gdyby została, skończyłaby tak samo jak Mark: żyłaby w ulotnym świecie marzeń, których nie da się spełnić.

Poprawiła się na krześle i znów skupiła uwagę na pokoju. Kilka sekund nic nie mówiła, ale w tej bitwie na milczenie Daniel z łatwością wygrywał.

– Myślę, że jest powód, dla którego pierwszy wypadasz z klasy – powiedziała łagodnie do chłopca. – Wiem, że chodzisz skrótami na lekcje, żeby uniknąć innych uczniów. Więc przed kim uciekasz, Danielu?

Chłopiec spojrzał na nią po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju.

Jego wzrok skupił się dziwacznie tuż przed twarzą Carli.

– Jeśli mi powiesz, będę mogła ci pomóc. Wiesz, nie powinieneś się tak zachowywać. Wystarczy, że mi zaufasz. Musimy ufać sobie nawzajem. Czy ktoś grozi, że cię skrzywdzi?

Chłopiec gwałtownie zamrugał, jego oczy były wielkimi kałużami oliwkowego nieszczęścia w wyblakłej, wychudzonej twarzy.

Carla zauważyła niemal niedostrzegalne kiwnięcie głową.

– Kto to jest? – nacisnęła go mocniej. – Wierz mi, najgorsze, co możesz zrobić, to nadal milczeć: łobuzy z tego korzystają. Nikt nie wie, że tutaj jesteś, i nikt nie może się dowiedzieć choćby słowa z tego, co mi dzisiaj powiesz. To sprawa wyłącznie między nami dwojgiem, rozumiesz, Danielu?

Chłopiec pokręcił głową, a Carla patrzyła, jak złapał się za kolana tak mocno, że kostki palców mu pobieleły.

– On zawsze na mnie patrzy – wyszeptał Daniel. – Wie, co myślę. Wie o wszystkim, co robię.

Teraz

Anna

Przybywa doktor Khan i pokój napelnia się lekarzami i pielęgniarkami.

– Czy z nim będzie dobrze? – Ivy przyciska pięść do warg.

– Wszystko okaże się we właściwym czasie – odpowiada doktor Khan, nie patrząc na nią. – Urazy głowy potrafią być podstępne, nie ma dwóch takich samych.

– Panie doktorze, on mnie chyba nie poznaje – mówi Ivy.

– W takich okolicznościach można się spodziewać pewnej utraty pamięci – mruczy doktor Khan, dokładnie oglądając wydruk. Gwałtownie podnosi wzrok, brwi ma uniesione. – Dajmy mu czas, pani...

– Bradbury – podpowiada pielęgniarka.

Proszą nas, żebyśmy wyszły do poczekalni w głównym oddziale. Ivy milknie, siada z opuszczoną głową, wykręca sobie dłonie.

Czekanie dłuży się, jakby trwało całe wieki, potem pielęgniarka przynosi Ivy filiżankę herbaty, ja siedzę obok bez herbaty. Filiżanka i podstawka grzechoczą jej w rękach, grożą, że wszystko rozleje na kolana.

Łagodnie kładę dłoń na ramieniu Ivy, ale ona nie reaguje. To jest przygnębiające dla nas wszystkich, ale niektórzy próbują tego nie pokazywać po sobie.

Przychodzi pielęgniarka i mówi, że Liam znów dostał środki uspokajające i nie obudzi się do jutra.

– On mnie nie pamięta. – Ivy ociera sobie oczy. – On niczego nie pamięta.

– Może to i dobrze – argumentuję. – Nie chciałaby pani pamiętać, że mała pani nie zginęła, prawda?

Ivy nie odpowiada, ale eleganckim ruchem stawia filiżankę i podstawkę na podłodze.

– Lepiej już pójdę. – Wygląda w ciemność za szybą. – O tej porze będzie jeszcze mnóstwo autobusów.

– Bez sensu brać autobus – mówię, wstając. – Mogę panią podwieźć do domu.

– Nie, Anno, nie wolno mi zawracać pani głowy – mówi stanowczo, biorąc płaszcz i torbę. – Ze mną wszystko w porządku, zawsze jeżdżę autobusem.

– A co by, do diabła, powiedział Liam, gdybym puściła panią samą do domu, kiedy pani jest taka zdenerwowana?

Patrzy na mnie.

– Zaparkowałam bardzo blisko, tylko dwie minuty od głównego wejścia.

Kiedy doszliśmy do samochodu, otworzyłam drzwi, usadziłam ją wygodnie i upewniłam się, że bezpiecznie przypięła się pasem.

Wyobrażam sobie, jaki zadowolony byłby Liam, że opiekuję się jego babcią.

– Jakież to uprzejme z twojej strony, Anno – powtarza, kiedy siedzimy, czekając na zmianę świateł na skraju szpitalnego kampusu. – Ale ja naprawdę nie chcę cię fatygować.

– To nie problem, ale będziesz musiała mi powiedzieć, gdzie mieszkasz, bo nie mam pojęcia, dokąd jedziemy. – Obie śmiejemy się na te słowa, a mój oddech trochę zwalnia.

W takich okolicznościach to naturalne, że pojawia się napięcie. Wkrótce Ivy zrozumie, że chcę tylko pomóc i wesprzeć ją, kiedy Liam dochodzi do zdrowia. I zagwarantować, że uzyska sprawiedliwą odpłatę.

Okazuje się, że mieszkają w bliźniaku gminnym na skraju osiedla St Ann's.

Właśnie w tym rewirze w ubiegłym roku parę razy dostarczałam pocztę, kiedy starali się o personel, kiedy kierownictwo było jeszcze wdzięczne ludziom, że chcą pracować w nadgodzinach.

Jak na każdym osiedlu mieszkaniowym są tu dobre i złe obszary, ale Ivy kieruje mnie do Heath Close, które leży po tej lepszej stronie. Niektórzy mieszkańcy mają domy na własność i z reguły starają się dbać o nie lepiej niż inni lokatorzy gminy.

– Chyba dostarczałam pocztę do twojego domu – mówię, kiedy stajemy przed domem. – Mały jest ten świat, prawda?

– Teraz poczta dochodzi dopiero po południu. – Ivy wciąga miękkie, pomarszczone policzki. – Zawsze mówiłam Liamowi, że byłoby szybciej, gdybym sama ją przynosiła.

– Ivy, to nie ma nic wspólnego z listonoszami. – Wyłączam silnik i odwracam się do niej. – To nowa polityka. Zmniejszyli zatrudnienie i wstrzymali wszystkie nadgodziny.

– Och, nie winiłam pocztarzy. – Wzrusza ramionami. – Chodzi tylko o to, że dostawaliśmy pocztę o przyzwoitej porze, a teraz jest zawsze późno po południu.

Bicie serca podskakuje mi o stopień.

– Ale winią nas, a to nie jest sprawiedliwe. Klienci zawsze myślą, że to przez nas, a my nic na to nie możemy poradzić. – Myślę o Jimie Crowe. Paraduje z tą swoją podkładką na dokumenty jak marionetka kierownictwa. – Wolałabym zacząć wcześniej i kończyć wcześniej, ale myślisz, że posłuchają? Myślisz, że

obchodzi ich, co myślimy?

Wszyscy w moim rewirze skarżą mi się, że teraz poczta przychodzi do nich znacznie później.

W głowie mi dudni.

Z jakichś powodów zaczynam myśleć, co jest w zapasowym pokoju. Coś podnosi mi się w gardle i trudno mi przelić.

Ivy odgina pas i sięga po rączkę u drzwi.

– Anno, dziękuję, że mnie podwiozłaś. Lepiej już wejdę.

Zatraskuje drzwi, a ja otrząsam się ze swoich myśli.

Patrę, jak przy furtce sięga do torebki, wyciąga klucze, potem odwraca się i macha.

Nie zaprosi mnie do środka.

Wyłączam silnik i wychodzę z wozu. Zatrzymuje się na odgłos zamykanych drzwi i odwraca się.

– Mogłabym skorzystać z toalety? – Widzę, jak się waha. – Powinnam z niej skorzystać, zanim wyszliśmy ze szpitala, ale chciałam zawieźć cię do domu.

– Oczywiście – mówi, a ja wypuszczam powietrze. – O ile w ogóle znajdę te przeklęte klucze do drzwi.

To jeden z tych domów z obłożoną, drewnianą werandą cuchnącą wilgocią. Idę za Ivy i zrzucam buty.

W środku, idąc za nią, widzę, że drzwi frontowe prowadzą prosto do salonu.

Ivy włącza światło, które ukazuje pokój, jak można się było spodziewać, zwyczajny i staromodny. Ściany pokryte są pomalowanymi na kremowo kawałkami drewna, a do połowy wysokości biegnie popękana, ciemnoczerwona lamperia.

Czuć silny, chemiczny zapach odświeżacza powietrza, którego nie użyłabym we własnym domu choćby dlatego, że Albert kichałby nieustannie.

– Więc masz własną rodzinę, Anno? – pyta Ivy, zdejmując płaszcz.

Po kilku sekundach przestaje zmagać się z wyjmowaniem ręki z rękawa i patrzy na mnie.

– Przepraszam, koniecznie muszę do ubikacji. – Przeskakuję z nogi na nogę.

– Och, łazienka jest na górze, pierwsza po lewej.

Kiwam głową i pędzę do schodów.

Na górze jest bardzo chłodno i bardzo cicho.

Nie licząc pani Peat, właściwie nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam w czymś domu.

Pierś mi trzepocze, jakby uwięziony był w niej mały ptaszek.

Drzwi do łazienki są uchylone, jest też dwoje zamkniętych drzwi prowadzących od półpiętra.

Pociągam sznurek zapalający światło w łazience i przyglądam się

pozostałym drzwiom. Zastanawiam się, które prowadzą do pokoju Liama.

Słyszę, jak Ivy grzechocze naczyniami stołowymi w kuchni na dole.

Oczywiście, nie musiałam do łazienki, ale symuluję do końca, spuszczam wodę i myję ręce, żeby kupić sobie trochę czasu.

W szafce w łazience stoją kobiece kosmetyki, a z tyłu półki parę tabletek przepisanych dla „Ivy Bradbury, 11.9.37”.

Zauważam, że używają tego samego szamponu i pasty do zębów co ja.

Kiedy wracam na dół, wielkie rude kocisko ociera mi się o nogi, a z kuchni wyłania się Ivy.

– Widzę, że Boris się przedstawił. – Uśmiecha się, kiedy schodzę na dół. Jej przeterminowana różowa szminka przesącza się w maleńkie zmarszczki rozchodzące się promieniście od ust, jakby miała na twarzy krwawiącą ranę.

Zmuszam się, żeby odwrócić wzrok.

– Nie lubi, jak wychodzę, rozumiesz, nie jest przyzwyczajony do samotności – mówi dalej Ivy.

– Mój kot, Albert, jest taki sam – odpowiadam. – Codziennie, bez wyjątku, siedzi przy drzwiach i czeka, aż wrócę z pracy do domu.

Jakbym machnęła magiczną różdżką.

Ivy zaczyna gadać, jakbym знаła ją od lat, opowiada mi sekrety osobiste wszystkich kotów, które kiedykolwiek miała.

Raz czy dwa razy próbuję wprowadzić do rozmowy Alberta, ale Ivy jest zbyt zatopiona we własnych opowieściach, żeby wysłuchać, co ja mam do powiedzenia. To irytujące, ale myślę, że pewnie będę taka sama, gdy osiągnę jej wiek.

– Jak myślisz, kiedy policja oskarży tamtą kierującą? – pytam.

– Mówiłam ci, Anno, nie wiem. – Z jej tonu wynika, że nie powinnam pytać.

– Mam nadzieję, że wkrótce. Tamta kobieta mogła zabić Liama.

Jestem zadowolona, że Ivy przynajmniej chce sprawiedliwości tak samo, jak ja chcę, ale nie potrafię na dłużej utrzymać jej zainteresowania wypadkiem.

Opowiada mi, że Liam lubi koty i ma szczególne podejście do zwierząt. To mnie nie dziwi. Od razu poznałam, że jest z tych wrażliwych.

Ivy mówi, że Liam zaczął z nią mieszkać, kiedy miał zaledwie siedem lat.

Ktoś powinien jej powiedzieć, że już dorósł od tamtego czasu, ale w tych okolicznościach byłoby to cokolwiek bezduszne. To zrozumiałe, że jest zdenerwowana i martwi się o wnuka. Może po prostu włączył się jej instynkt macierzyński.

– Jego matka, Lynette, odeszła, kiedy miał dwa lata, więc właściwie nie zdążył jej poznać – wyjaśnia Ivy. – Pewnego dnia zniknęła w Hiszpanii z jakimś łajdakiem, który sprzedawał używane samochody. Zawsze było z niej ziółko. Mówiłam mojemu Robertowi, że „będą z nią kłopoty, zważ na moje słowa”. Ale on, oczywiście, nie wierzył mi. A potem było za późno.

Oczywiście, jak zwykle winna jest kobieta. Matki i ich doskonali, nieskazitelni synowie!

Udaje mi się domyślić, że Robert był synem Ivy i ojcem Liama. Ivy ma denerwujący zwyczaj rzucania nazwiskami z założeniem, że wiem, kto jest kim.

Mówi, że ojciec Liama i jego młodsza siostra zginęli w wypadku przed laty.

– To straszne. – Przyciskam dłoń do ust. – Co się stało?

Splata powykręcane palce i patrzy na nie.

Widzę plamy różowej skóry przeświecające przez rzadkie, siwe włosy. Są za krótko przycięte z tyłu i ukazują się spod nich kościsty występ na końcu kręgosłupa.

– To było dawno temu. – Kręci pochyloną głową. – Lepiej tego wszystkiego nie rozwlekać.

– Przepraszam – mamroczę.

– Ale możesz sobie wyobrazić, co czułam, kiedy wczoraj przyszła do domu policja – mówi, znów podnosząc wzrok. – Myślałam, że historia się powtarza.

– Kiedy zobaczyłam, jak wylatuje z motocykla i uderza w jezdnię – mówię cicho – myślałam, że nie żyje.

Po tym rozmowa nagle ustaje, czuję wyraźnie, że Ivy czeka, aż sobie pójdę. Chciałabym ją jeszcze wypytać o Liama, ale właściwa chwila już minęła. Żegnam się i idę do samochodu.

Temperatura na dworze opadła i żałuję, że nie opatuliłam się trochę ciepłej.

Byłoby miło posiedzieć jakiś czas z Ivy, poznać się wzajemnie i napić razem herbaty. Można by powiedzieć, że przynajmniej tyle jest mi winna, ale ja nie z tych, co to źle myślą o ludziach.

Ale i tak głupio, że obie spędzimy resztę wieczoru samotnie we własnych domach.

Podczas jazdy do domu próbuję skupić się na uspokajającym szumie silnika, ale okazuje się, że to niemożliwe.

Denerwuje mnie to, bo wiem, że dam sobie z tym radę. Bez trudu uporam się ze swoim rewirem. To wymaga tylko czasu.

Problem w tym, że Jim Crowe i kierownictwo właśnie czasu nie chcą mi przydzielić.

Jeśli spojrzę na to z tej strony, można powiedzieć, że samo kierownictwo zmusza mnie do oszukańczych działań. No bo jaki pozostał mi wybór?

Otwieram tylne drzwi i Albert przemyka się obok moich nóg, nawet nie zwracając na mnie uwagi. Czasem żałuję, że nie potrafię być taka wytrwała jak on.

Idę powoli na górę, nie zdejmuję płaszcza ani butów, stoję przed zapasową sypialnią.

Trzymam rękę nad klamką.

Ostatnie, czego bym chciała, to narobić kłopotów ludziom, którzy naprawdę mnie cenią, moim klientom. Smutne, ale nie miałam wyboru.

Kiedy kierownictwo obcięło nadgodziny, to musiało źle się skończyć.

Przypominam sobie, że po prostu kupuję sobie trochę więcej czasu, póki nie poukładałam spraw i póki wszystko nie wróci do normy. To po prostu niezbędny środek tymczasowy i tyle.

Przyciskam czoło do drzwi. Są twarde i chłodne.

Codziennie przychodzę tutaj po zmianie i otwieram drzwi tylko na kilka sekund. Zawsze uważam, żeby mieć odwróconą głowę.

Kiedy już to zrobię, znów zatraskuję drzwi i zbiegam ze schodów.

Ale dzisiaj coś mnie popycha, żeby na to spojrzeć.

Zobaczyć na własne oczy.

Biorę głęboki wdech i przygotowuję się. W końcu to tylko trochę ponad tydzień.

Chwytam za klamkę i mocno popycham. Drzwi otwierają się szeroko i oto

jest, nawet gorzej niż sobie wyobrażałam.

Gigantyczna sterta nedoręczzonej poczty.

Budzę się nagle o trzeciej dwadzieścia pięć nad ranem.

Z terapeutką zaczęłam się spotykać w szpitalu, a kiedy mnie wypisano, nadal się z nią spotykałam przez dwa lata.

Pokazała mi parę ćwiczeń oddechowych. Próbuję zrobić je teraz, ale nie działają. Nadal nie mogę zasnąć.

Wiem dlaczego. Dzisiaj są moje dwudzieste ósme urodziny.

Nienawidziłam urodzin, odkąd pamiętam. To przemożne uczucie, że powinno się zrobić coś szczególnego albo pójść gdzieś, gdzie się nie było.

Pamiętam dzieci w szkole, ich przyjęcia urodzinowe i ich luksusowe wycieczki, a potem, parę lat później, podniosło się to do rangi wyjścia do kina na mieście. Matka mawiała, że to wszystko wielkie zawracanie głowy o nic.

Zaproszenia dla mnie przychodziły rzadko i zawsze odmawialiśmy, bo jeśli przyjmie się czyjaś gościnność, czymś trzeba by się zrewanżować.

Działa ten głupi rytuał. Jeśli to twoje urodziny, spodziewają się po tobie, że przyniesiesz ciastka z kremem dla wszystkich. W ubiegłym tygodniu Roisin ukończyła w weekend czterdziestkę.

W poniedziałek rano kupiła wielkie pudło wymiotnie wyglądających łakoci z eleganckiej ciastkarni w centrum. Przyniosła mi parę ciastek na talerzu, ale powiedziałam jej, że mam rozstrój żołądka.

– Och, daj spokój, Anno. Musisz to uczcić razem ze mną. – Roisin uśmiechnęła się. – W końcu to czterdziecha.

– No, dobrze. – Wybrałam czekoladową eklerkę tylko dlatego, że eklerki najmniej szkodzą. Roisin wybrała to samo.

– Co za ciasto – zachwyciła się. – Takie lekkie, że rozpuszcza się w ustach, prawda?

– Wiedziałaś, że ciasto ptysiowe robi się, topiąc wszystkie składniki na patelni, żeby potem wcisnąć je w formę do pieczenia?

– Nie wiedziałam. – Uniosła brwi. – Jesteś kopalnią wiedzy, Anno, właśnie taka jesteś.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie, a Roisin trąciła mnie w bok i odwzajemniła uśmiech.

– Ciągłe czekamy, aż Anna będzie miała urodziny i przyniesie trochę ciastek – zażartował ktoś na końcu sali z przesyłkami.

Odkładam papierowy talerzyk i zaczynam odchodzić.

– Anno – krzyczy Roisin. – Nie dokończyłaś eklerki!

Właśnie dlatego staram się nie jadać ciastek przynoszonych przez ludzi: nie mogą rzucić ich mi w twarz.

Ale to wszystko nie zmienia faktu, że dzisiaj bez wątplenia są moje

urodziny.

Przez cały czas rzucam się i przewracam w łóżku, pocieram napiętą pierś i patrzę, jak czerwone, neonowe cyfry na zegarze przy łóżku odliczają najpierw minuty, potem godziny.

Ciepłe ciało Alberta naciska mi na nogę, próbuję oddychać wraz z łagodnym unoszeniem się i opadaniem jego klatki. Moja niespokojność chyba w ogóle nie przeszkadza mu spać.

Albert ma proste życie, nietknięte ludzką głupotą i ciasnymi pomysłami ludzi, jak człowiek powinien się zachowywać.

Zaczynam myśleć o policji i próbuję zrozumieć, dlaczego tak opieszale informują Ivy o wypadku.

Jasne, że do tej pory powinni podać jej imię, nazwisko i adres tamtej kierującej, choćby ze względu na ubezpieczenie.

Twarz tamtej kobiety kotłuje się w moich myślach jak trująca chmura i zostaje mi w głowie, zaciemniając inne myśli. Te perfekcyjnie umalowane usta, te wąskie, wyrachowane oczy.

Rzucam się i obracam, ale w końcu musiałam zasnąć, bo kiedy znów otwieram oczy, na dworze zaczyna się rozjaśniać.

Słyszę, jak Albert drapie kuwetkę na dole.

Po wizycie w łazience schodzę na dół i zatrzymuję się, żeby nacieszyć się widokiem kartek na wycieracze.

Jedna różowa, dwie zupełnie białe, jedna kartka z obwódką w paski leżą rozrzucone pod skrzynką na listy.

Zbieram je i zabieram do kuchni, gdzie robię sobie pierwszą filiżankę herbaty tego dnia.

Albert siedzi mi na kolanach, czyści pazurki, a ja otwieram koperty i piję herbatę.

Jedna jest od Mary, dziewczyny z mojej klasy w szkole.

Widziałam ją raz czy dwa razy na ulicy niedaleko mojego domu, jak popychała wózek z niemowlęciem. Chociaż nie mogę powiedzieć, że wtedy była moją przyjaciółką, to nigdy nie była dla mnie tak podła jak inni.

Rozdzieram pozostałe dwie koperty i na głos odczytuję kartki Albertowi.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Anno.

Nie możemy się doczekać, żeby się z tobą spotkać w sobotę wieczorem i coś zjeść!

Wyrazy miłości od Amandy, Dave'a i Sarah xxx

Anno,

Baw się dzisiaj dobrze... Nie mogę się doczekać spotkania w niedzielę!

Całuski, Suze X

Później, kiedy układam kartki na parapecie, rozlega się pukanie do drzwi.

Tym razem nie ukrywam się, aż pukający odejdzie.

– Przesyłka dla panny Anny Clarke. – Doręczyciel rozpromienia się. – Twój szczęśliwy dzień, kochana.

Uśmiecham się i biorę od niego wielki bukiet kwiatów. Zamykam drzwi i wnoszę kwiaty do środka.

To moje ulubione: lilie tygrysie, jakże pięknie się rozwiną. Wielkie jasnozielone pączki z nutką rózu, pełne drzemiącego życia.

– Zobaczmy, Albercie, od kogo są.

Wkładam paznokieć pod skrzydełko małej białej koperty przyklejonej taśmą do celofanu.

Początek jest prosty:

Anna

Z jednym podkreśleniem.

Na kartce przedstawiony jest domek z ogródkiem w pełnym rozkwicie, a wyszukane złote litery głoszą:

To są twoje urodziny!

W środku odręczna wiadomość.

Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin Anno.

Dziękuję za uratowanie mi życia.

Serdeczności, Liam X

Trzydzieści lat wcześniej

Carla przez cały tydzień nie potrafiła przestać myśleć o Danielu Clarke'u.

Było w tym coś dziwnego, bo mimo ciężkich przeżyć i smutków, które widziała w życiu swoich młodych klientów, rzadko miała problem z pozostawianiem tego wszystkiego w gabinecie.

Znajdowała radość w wyzwaniu, jakim było wchodzenie pod uszkodzoną emocjonalnie skórę, ale w przypadku Daniela było coś więcej. To dziecko niepokoiło ją. Było w nim coś niedającego spokoju.

Ale nakłonienie Daniela, żeby się otworzył, nie było jedyną sprawą, która dręczyła ją, kiedy ostatniej nocy próbowała zasnąć. Jej umysł z uporem odmawiał zrelaksowania się liczeniem wymyślonych owiec albo wyobrażaniem sobie idyllicznej plaży.

Natomiast z uporem ożywiał ten nieszczęsny dzień sprzed dwóch lat, kiedy wszystko, co uważała za solidne i rzeczywiste w jej życiu, zaczęło się kruszyć.

Tamtego dnia od samego rana szukała wszędzie swojego ulubionego kubka z porcelany.

Jak mówiła jej babcia, nie ma nic lepszego niż ładna porcelana, żeby wypić pierwszą herbatę, ale kubka, ku jej irytacji, nigdzie nie było.

Mark wcześniej rano wyjechał do miasta do sklepu Borge's z artykułami artystycznymi. Uwadze Carli nie umknęło, że od niedawna spędzał więcej czasu na wybieraniu zapasów, niż w ogóle robił coś, co w ogóle nadawałoby się na sprzedaż.

Miał też fatalny nawyk robienia sobie picia w domu i zabierania go do ogrodu, przy czym nie zwracał uwagi na to, że mnóstwo filiżanek z resztkami słabej kawy stoi w szopie, na powierzchniach roboczych.

Miała ten kubek od lat. Mieściło się w nim tyle płynu, ile trzeba, a ona była gotowa przysiąc w ciemno jak jej babcia, że w takim kubku herbata smakuje znacznie lepiej.

Carla przejrzała wszystkie kredensy i w końcu wydedukowała, że winny jest bez wątpienia Mark. Musiał zabrać kubek do cholernego ogrodu.

Wyszperaała w kuchennej szufladzie zapasowy klucz, włożyła stary sweter i porośniętą chwastami ścieżką podreptała w klapkach na koniec ogrodu.

Długi, wąski trawnik skąpany był w słońcu. Było za wcześnie, żeby dzieci z sąsiedztwa wrzeszczały na siebie przed pójściem do szkoły, więc chociaż tym razem było tu rozkosznie cicho.

Mimo że wiatr był chłodny, Carla mocniej otuliła się swetrem i z twarzą zwróconą ku słońcu stała przez kilka chwil, rozkoszując się spokojem.

Całe miesiące nie zapuszczała się do studia Marka głównie dlatego, żeby oszczędzić sobie męki ponownego oglądania jego praktycznie identycznych obrazów, które jej pokazywał. Mówił jej też, ile pieniędzy zarobi i że to tylko kwestia czasu, żeby jakaś szacha z londyńskiej galerii zauważyła online jego arcydzieła.

Po trzech latach wysłuchiwania po raz kolejny tej samej mowy, że muszą być cierpliwi, póki się nie przebije, a tymczasem niech ona płaci wszystkie rachunki... trochę trudno było jej entuzjastycznie przytakiwać.

Carla poszła dalej przez ogród i otworzyła drzwi do szopy. Włączyła światło i zajrzała do ciemnego wnętrza pracowni.

Nieukończone płótna stały obok siebie oparte o ścianę, inne były rozrzucone po podłodze, jak zużyte arkusze grubego papieru.

Kiedy Mark nabył szopę, Carla kupiła mu stos plastikowych tac i specjalistycznych pojemników na farby i pędzle od Borge's. Podskakiwał wokół swojego nowego studia jak podniecony szczeniak, obiecując jej wystawne życie.

„Jak tylko ugruntuję sobie opinię w lokalnych galeriach, będziesz miała podeszwy butów wysadzane diamentami”, entuzjasmował się. Złapał ją i mocno pocałował w usta. „Obiecuję ci, mała”.

Zmarszczyła brwi, patrząc na swoje nabytki ze sklepu z materiałami artystycznymi. Były teraz pokryte skorupą zeschniętej farby i rzucone na stos w różnych zakamarkach pracowni.

Pęk bardzo drogich pędzli sobolowych leżał porzucony obok kipiącego kosza na śmieci, ich cieniutkie włoski były twarde jak skała i sklezione tak, że nie nadawały się do naprawy.

Carla nie była w stanie zgłębić, jak Mark był w stanie stworzyć coś wartościowego w tym chaosie. Prawda, twórczy umysł źle zareaguje na schludną, uporządkowaną przestrzeń, jak jej gabinet, ale to śmietnisko poważnie przekraczało skalę czyichkolwiek standardów.

Carla rozejrzała się, szukała w gmatwaninie znajomego, zielonkawoniebieskiego błysku porcelany.

Szukając go, zaglądała do pustych pudeł, odsuwała pomięte gazety i na wpół wyschnięte garnuszki z farbą. Nic.

Kiedy spojrzała na stary fotel, zamarła, powietrze w pokoju zrobiło się nagle gęste, zatykało jej gardło.

Liliowa, moherowa narzuta, którą babcia zrobiła na drutach na kilka miesięcy przed śmiercią, zwisała niedbale z oparcia, jej delikatne sploty wlokły się po poplamionej farbą podłodze.

Carla korzystała z narzuty tylko parę razy po śmierci babci, bo był to

przedmiot o tak wielkim dla niej znaczeniu, że bała się go rozerwać.

Nie miała wielu pięknych przedmiotów, ale te, które miała, były dla niej cenne. Do rzeczy, które były dla niej ważne, zawsze podchodziła w ten sam sposób.

Jej rodzice harowali, żeby zapewnić sobie przyzwoite życie w należącem do miasta osiedlu w Lincolnshire. Luksusy były trudne do zdobycia dla Carli i jej siostry i chętnie przyznawała, że przez to przecenia sprawy materialne. A Mark o tym wiedział. Kiedy dopiero co się poznali, zwykł żartować, że Carla ma „gen posiadania”.

Ale z kocem po babci było inaczej. Tkwiła w nim wartość emocjonalna dalece przekraczająca wszelką wartość materialną.

Zdała sobie sprawę, że coś tu się nie zgadza.

Przede wszystkim, żeby wziąć narzutę, Mark musiał pójść do szafy i rozmyślnie wyjąć ją z tyłu półki.

Irytujące było, że musiał też ominąć mocno zniszczone i z lekka przybrudzone narzuty ze sztucznych futer, z których korzystali wieczorami, kiedy oglądali telewizję, siedząc na dwóch zimnych skórzanych kanapach.

Dlaczego nie wziął któregoś z tamtych?

Carla zapomniała już o porcelanowym kubku, podniosła narzutę i powąchała ją. Gdyby śmierdziała środkiem czyszczącym do pędzli, Mark byłby już martwy.

Ale nie śmierdziała terpentyną, czuć ją było czymś innym, czymś całkiem przyjemnym. Właściwie to nie były perfumy, ale chyba piżmowy krem do skóry.

To nie był zapach Marka.

Carla usiłowała przełknąć kwaśną grudę, która pojawiła się jej w gardle, ale gruda nie chciała ustąpić.

Mogłaby szybko wyciągnąć wnioski. Znajac Marka, będzie miał doskonale dopasowaną wymówkę.

Podniosła narzutę do światła, żeby sprawdzić, czy nie ma plam i coś cienkiego owinęło się jej wokół palca jak babie lato.

Włos, długi, jasnorudy.

Carla zacisnęła oczy, próbując powstrzymać łzy spływające jej po policzkach.

Mogłaby myśleć i myśleć o tym, co stało się dwa lata wcześniej, ale niczego by to nie zmieniło.

Pamiętała, że osobą, której chciała się zwierzyć, z którą chciała porozmawiać, kiedy była w dołku po znalezieniu włosa, była jej siostra.

Ale dlaczego Carla miałaby się spodziewać po niej wsparcia, skoro sprawiła jej tak wielki zawód? Kiedy siostra jej potrzebowała, Carla zostawiła ją w klubie, żeby pójść z jakimś przypadkowym facetem, i właśnie wtedy siostrę zaatakowano.

Siostra i matka nigdy jej tego nie wybaczyły.

Kiedy wyszła ze studia Marka, pomyślała, żeby wziąć telefon i zadzwonić do siostry. Pomachać gałązką oliwną. Ale w końcu postanowiła tego nie robić.

Gdyby wtedy podjęła inne decyzje co do małżeństwa, wynik mógłby być inny, ale pławienie się w żalu do niczego jej nie doprowadzi.

Nie miała wyboru, musiała podjąć decyzję i zmienić swoje życie.

Weszła pod prysznic i parzące bicze wody zrobiły swoje, tak jak na to liczyła. Nie minęło pół godziny, kiedy wysuszyła włosy, nałożyła skąpy makijaż i ubrała się.

Złamane serce znów ukryła na początek kolejnego dnia.

W szkole ominęła pokój nauczycielski, popędziła prosto do swojego gabinetu i dla kurażu wypila szybko gorący kubek bardzo mocnej czarnej kawy.

Druga sesja terapeutyczna z Danielem Clarkiem zaczynała się o wpół do dziesiątej. Miała nadzieję, że poczyni jakieś postępy.

Przez te ostatnie parę dni zainwestowała całe godziny w myślenie o tym, jak podejść do tej sesji. Była zdecydowana, że go rozgryzie, nie miała zamiaru czekać na to tygodniami.

Jego sprawa będzie doskonałym przykładem ilustrującym – oczywiście anonimowo – jej wybitne umiejętności terapeutyczne podczas rozmowy kwalifikującej na stanowisko w szkole średniej.

Wczoraj poświęciła trochę czasu, żeby zapoznać się z zawartością szkolnych akt Daniela i zyskać pełny wgląd w jego sytuację domową.

Ojca w domu nie było i jak to często bywa w takich przypadkach, w aktach szkolnych nie zapisano dlaczego. Daniel mieszkał obecnie z matką Monicą i piętnastoletnią siostrą Anną.

Monica Clarke miała niewiele kontaktów ze szkołą. Rzadko przychodziła na spotkania rodzicielskie. Była tam także notatka ostrzegająca grono pedagogiczne, że z reguły nie odpowiada na listy kierowane do domu.

Według doświadczenia Carli samotni rodzice często mają więcej niż jedną pracę. Poza tym bardziej martwią się, żeby mieć co do garnka włożyć i opłacić rachunki, niż czy edukacja ich dzieci jest na dobrej drodze.

Mimo to zarówno Daniel, jak i Anna byli bardzo rozgarnięci, zaś Annę wybrano w ubiegłym roku do prestiżowego szkolnego programu „Uzdolniony uczeń”.

Carla znalazła jeszcze jedną notatkę, w której zapisano, że na prośbę, żeby Anna, jako jedno z dwadzieścioro wybranych, uzdolnionych uczniów, wzięła udział w szkole letniej, Monica Clarke odmówiła, bo córka jest jej potrzebna w domu, do pomocy. Żadnych szczegółów nie podała.

Powtarzane próby zorganizowania wizyty domowej u pani Clarke, żeby sprawę przedyskutować, były odrzucane.

Za dwadzieścia dziesiąta Daniela nadal nie było.

Kiedy dzieci sprawiały problem nauczycielom, takie nieobecności były trochę bardziej niepokojące niż zazwyczaj. Na szkole spoczywała odpowiedzialność za bezpieczeństwo dziecka.

Carla zamknęła drzwi do gabinetu i poszła do klasy 6M, w budynku K2.

Pani Martin podeszła do drzwi, kiedy zauważyła Carlę wahającą się na korytarzu.

– Daniel nie pojawił się na sesji – powiedziała Carla.

– Dzisiaj tutaj też go nie ma – szepnęła pani Martin, a siedzące w ławkach dzieci wyciągały szyje, żeby zobaczyć, z kim rozmawia ich nauczycielka. – Ale wczoraj był w szkole, jak zwykle melancholijny. Nic nadzwyczajnego.

Szkoła zazwyczaj dokonywała wpisu w dzienniku, kiedy rodzic dzwonił, żeby powiedzieć, że dziecko nie przyjdzie, bo jest chore.

– Nie ma informacji w dzienniku, ale jego siostra chyba jest w szkole, w dziesiątej klasie. Anna. Podczas przerwy mogłabym chyba sprowadzić ją tutaj, gdyby pani chciała z nią porozmawiać.

Carla zamyśliła się na chwilę.

Zyskanie zaufania Daniela było najważniejsze, a na tym wczesnym etapie rozmowa z jego siostrą bez jego wiedzy mogłaby narazić to na szwank. Telefon do domu mógłby dać ten sam skutek.

– Tym razem dam spokój – powiedziała Carla. – Po szkole lata jakiś paskudny bakcyl, mnóstwo dzieci przez to nie przyszło. Pewnie nie ma się czym martwić.

Teraz

Anna

Tyle czasu spędziłam, podziwiając kwiaty i kartki urodzinowe, że zabrakło czasu na prysznic, a nawet na przełknięcie śniadania.

Nie mam wyboru, muszę po prostu włożyć uniform, który cholernie domaga się prania. Wiem, bo szybko powąchałam go pod pachami. Muszę szybko wyjść z domu, ale jestem taka zmęczona po niespokojnej nocy, że sprawdzanie zabezpieczeń zajmuje mi dwa razy tyle czasu. Przeglądam pokrętła i urządzenia w kuchni, potem przechodzę do salonu.

Mimo że jestem taka zmęczona, mój mózg już pracuje. Według Ivy policja nie ma jeszcze szczegółów dotyczących tej drugiej, która prowadziła samochód. Mogła z łatwością zabić Liama. Może wtedy wykazaliby trochę więcej zainteresowania.

To wszystko jest takie denerwujące, ale przecież nie mogę teraz odejść i pozwolić, żeby Liam i Ivy załatwiali sprawy na własną rękę.

Choćby dlatego, że nie mają pojęcia, z kim się zadali. Nie wiedzą, do czego ona jest zdolna.

Co ważniejsze, jestem gotowa postawić swoją polisę ubezpieczeniową przeciwko ponownemu zgubieniu tej kobiety.

Pokrętła przeszły sprawdzian, więc zaczynam spulchniać poduszki i układać je we właściwym porządku na kanapie.

Mam wrażenie, jakbym znała Liama od lat i chociaż pewnie nie powinnam tego mówić, podejrzewam, że on może czuć to samo.

Myślę o jego ręce ściskającej moją na drodze, o tym, jak włosy spadały mu na twarz tak jak Danny'emu. O jego przerywanym szepcie błagającym mnie o pomoc. O jego zaufaniu, które natychmiast do mnie poczuł.

Czy to za wiele, żeby mieć na to nadzieję po całym tym czasie?

Po przeprowadzeniu ostatecznego sprawdzianu pokręteł w kuchni chwytam torbę i zmuszam się, żeby wyjść za drzwi i dać sobie radę z dniem.

W pracy wszyscy mają własne, przydzielone sektory przy blacie do sortowania.

Pod powierzchnią roboczą są półki, a na ścianie, nad blatem, wielka kratownica z przegródkami z jasnego dębu, w której każdy pracownik poczty

układa rozmaite kody pocztowe swojego rejonu.

To ważny proces. Jeśli źle się ułoży adresy, może się to skończyć na cofaniu się tymi samymi ulicami, żeby dostarczyć list, a to wydłuża czas pracy.

Przed wyjściem z sortowni zawsze zostawiam swoją sekcję blatu uporządkowaną, ale za każdym razem, kiedy przychodzę następnego dnia, na mojej części leżą rozrzucone przez innych pracowników elastyczne opaski, nieostemplowana poczta i zmięte ulotki.

To dlatego lubię przychodzić do pracy na dobry kwadrans przed początkiem mojej zmiany o piątej rano. Ważne jest, żeby zacząć dzień w jakimś porządku.

Ale dziś rano przyjeżdżam tylko kilka minut wcześniej.

Odpinam rower ze stojaka dla pracowników i wchodzę do biura, kierując się do głównej sortowni.

Jak zwykle gromadka pracowników plotkuje w kącie, ale Roisin odrywa się od nich, widząc, że podeszłam do swojej części blatu.

– Jim cię szukał. – Jej śliczna, piegowata twarz marszczy się z niepokoju. – Mówi, żebyś natychmiast przyszła do jego gabinetu. Anno, wszystko w porządku?

Serce we mnie zamiera na myśl o tym, czego Jim ode mnie chce, co mi powie.

Czuję zimno na twarzy, więc schylam się pod blat i udaję, że głębiej wpycham torbę na półkę, żeby mieć kilka sekund na dojscie do siebie. Kiedy się prostuję, twarz mam już opanowaną, uśmiecham się.

– Wpadnę tam teraz, spotkam się z Jimem – mówię wesoło. – Wiem, o co chodzi.

Zanim zdołałam czmychnąć, przycisnęła dłoń do mojego ramienia.

– Kochana, powiedz, czy jest coś, co mogłabym zrobić. To znaczy, gdybyś miała ochotę pójść po pracy na kawę i pogadać, zawsze jestem tutaj.

Wyobrażam sobie Roisin i mnie, jak siedzimy w kawiarni Costa w Castle Marina. Popijamy kawę, gawędzimy, śmiejemy się. Tak jak robi to mnóstwo ludzi.

Coś we mnie chce zgodzić się na to spotkanie, naprawdę tego chce. Ale szybko pojawia się inne, mocne uczucie, zanim zdołałam odpowiedzieć, że tak.

– Dziękuję, Roisin, ale dziś nie dam rady – mówię. – Może innym razem.

Ledwie te słowa wychodzą z moich ust, wiem, że innego razu nie będzie.

Widzę Jima przez szybę w drzwiach do jego gabinetu.

Telefonuje, rozparty w fotelu. Kiedy mnie zauważa, kiwa, żebym weszła.

Jim jest bardzo zatopiony w rozmowie, więc siadam na obłazącym krześle obrotowym i wydłubuję żółtą piankę z brzegów.

Biurko zavalone jest brązowymi teczkami, długopisami bez skuwek i pomiętymi pokwitowaniami na doręczenie. Spostrzegam fotografię w ramach ustawioną na wierzchu ubiegłorocznego kalendarza, ale jest odwrócona ode mnie i nie widzę twarzy.

Jim, wysoki i chudy, używa długich, kościstych palców wolnej ręki, żeby dźgać powietrze, podkreślając to, co mówi do dzwoniącego.

– Mówię: My. Potrzebujemy. Tego. Na dziś. Żadnych wymówek, Larry.

Niewiele wiem o moim szefie, tylko że jest żonaty i ma dwóch dorosłych synów. Z drugiej strony on wie o mnie wszystko, bo ma pełny dostęp do mojej teczki personalnej.

Jim kończy rozmowę, bierze długopis ze zniekształconym, pogryzionym końcem i stuka nim w biurko.

– Dziękuję, że przyszłaś, Anno. – Kołysze się do tyłu w krześle. – Było parę skarg od mieszkańców twojego rewiru.

– Skarg? – Słowo, które wypowiadam, brzmi normalnie, ale walczę, żeby dłonie mi się nie trzęsły.

Przegląda leżące przed nim papiery i wybiera z nich kartkę.

– Cztery dni temu dzwoniła pani Sheen z 43 Briar Close – czyta na głos. – Jej córka spodziewała się listu o przyjęciu na uniwersytet, list nie nadszedł. Zapytała o to i wysłali następny list, priorytetem. Tego drugiego też nie dostała.

Jim patrzy na mnie i szeroko otwiera oczy, czekając na odpowiedź.

Wzruszam ramionami, marszczę wargi i próbuję wymyślić, co by tu powiedzieć.

Jim znów spogląda na kartkę.

– Potem wczoraj zarząd główny dostał telefon od panny Shelton z Cox Crescent, mieszkania 1B. – Przegląda drukowany zapis. – Tu jest napisane, że ominęły ją dwie prace, bo nie dostała listów zapraszających na rozmowę. Według wszelkich znaków urządziła zarządowi głównemu wścieklą awanturę.

– Jim, nie wiem, co powiedzieć. – Staram się mówić opanowanym głosem. – Zawsze dokładnie sprawdzam adresy, zanim dostarczę pocztę.

Nie licząc, oczywiście, poczty na piętrze. Tej w ogóle nie dostarczyłam.

Krzywię się, kiedy paznokieć kciuka wbija mi się w palec wskazujący.

Jim odkłada arkusz i ściska sobie mostek nosa.

– Słuchaj, tak między nami, nie przykładam większej wagi do tego rodzaju zażaleń. Gdyby ludziska zdawali sobie sprawę z rozmiarów korespondencji, która przechodzi przez te drzwi, dwa razy by się zastanowili, zanim zaczęliby jęczeć.

Kiwam głową i wycieram dłonie o spodnie.

– Niemniej muszę o tym wspomnieć, bo obaj skarżący są mieszkańcami twojego rewiru, a to już niezwykła sprawa. Coś ci powiem. – Macha długopisem w kierunku papierów. – Tym razem nie wpiszę niczego do twojej teczki, ale po prostu bądź ostrożna Anno, starannie sprawdzaj dostarczaną pocztę.

Wychodzę z gabinetu Jima i idę przez sortownię do mojego blatu. Próbuję wyglądać na pewną siebie, ale udaje mi się tylko tyle, że nie uciekam na dwór.

Ludzie przy różnych stanowiskach odwracają się, żeby przyjrzeć mi się z

zainteresowaniem.

– Wszystko w porządku, Anno? – szepcze Roisin, kiedy przechodzę obok jej blatu.

– Tak, świetnie – mówię, ale na nią nie patrzę.

Nie mogę się doczekać, kiedy wyjdę i wsiądę na rower.

Sortuję swoją pocztę dwa razy szybciej, wychodzę i odjeżdżam.

W powietrzu wczesnego poranka jest zimno, które kąsa mnie w twarz, kiedy pedałuje pod Patchings Hill, ale nie naciągam głębiej czapki, tylko szerzej otwieram oczy i pozwalam, żeby zimno je zalewało. Dobrze jest pedałowac z takim bolesnym mrowieniem.

Na osiedlu Clifton pracuję ciężko, szybko, ale robi mi się ciężko na sercu, kiedy widzę, że torba tak powoli się opróżnia. Spojrzenie na zegarek potwierdza, że jestem już w połowie przyznanego mi czasu pracy.

Na pół godziny przed końcem nadal mam mnóstwo porannej poczty zamkniętej w skrzynce pocztowej w pobliżu wieżowca. Te listy czekają, że je dostarczę.

Udaje mi się zacząć, przekraczam nawet mój czas pracy o kwadrans, ale nie mam śmiałości, żeby zaryzykować, że zobaczą mnie, jak pracuję ponad wyznaczoną normę.

To byłoby jak przyznanie się, że nie daję rady, a to właśnie chce udowodnić kierownictwo.

Przenoszę niedostarczoną pocztę do torby na śmieci i znów zamykam ją w skrzynce pocztowej. Potem pedałuje z powrotem na pocztę i oddaję puste torby na listy. Odbijam karetkę zegarową, machając od niechcenia do Jima, jakbym nie miała żadnych zmartwień.

Po drodze do domu zabieram pełną torbę ze skrzynki pocztowej i przenoszę ją do bagażnika samochodu.

Pierś mam ściśniętą, oddycham ze świstem, jakbym właśnie fatalnie się przeziębila.

Czasem myślę, że najlepiej byłoby uciec od tego wszystkiego i zacząć gdzieś anonimowo od nowa.

Chyba ona tak zrobiła.

Jest różnica: jeśli ja zniknę, grupka ludzi dostanie pocztę z opóźnieniem i tyle.

Niczyje życie nie legnie w gruzach.

Trzydzieści lat wcześniej

Mimo, że Daniel Clarke nie stawiał się na spotkanie, Carla miała w dzienniku pełen grafik umówionych konsultacji.

Przyjmowała swoich klientów, uczniów z puli sześciu podstawówek i jednego ogólniaka. Wszystkie należały do rodziny szkół Cumber Meadows, dla której pracowała.

Nie licząc sytuacji, kiedy dziecko nie przychodziło na sesję, tak jak Daniel tamtego dnia rano, rzadko miała wolną godzinę. W ciągu dnia miała więcej niż trzeba do zrobienia, ale twarz Daniela majaczyła jej w głowie podczas wszystkich spotkań.

Nauczycielka Daniela, pani Martin, nie wyglądała na zbyt zaniepokojoną jego nieobecnością, więc Carla powtarzała sobie, że i ona nie powinna się niepokoić. Ale przez cały dzień coś siedziało jej z tyłu głowy, nawet kiedy tuż po siódmej wróciła do domu po tygodniowym zebraniu rady pedagogicznej.

Sięgnęła do lodówki po butelkę sauvignon i przez głowę zaczęły jej przemykać rozmaite możliwości, co też mogło się zdarzyć w życiu Daniela i dlaczego dzisiaj nie przyszedł do szkoły.

Kiedy była w połowie kieliszka, jej niepokój o chłopca przygasł i jego miejsce zajęła nowa, znacznie bardziej niebezpieczna myśl. Bardzo natarczywa myśl.

– Obiecałaś, nigdy więcej – wysyczała na głos do siebie, wypijając długi łyk wina.

Bardzo się starała, żeby zwalczyć pokusę, i to działało przez ostatnich parę tygodni.

Do teraz, gdy rano zaczęła szukać pilnika do paznokci w szufladzie w łazience i znalazła jedną ze spinek do mankietów Marka w zapinanym na zamek błyskawiczny etui na kosmetyki.

Była to srebrna spinka z pojedynczym diamentem, jedna z jego ulubionych. Jakoś przetrwała odstrzeliwanie wszystkiego, co choćby trochę przypominało Marka, kiedy przeprowadziła się do nowego mieszkania w Nottingham.

Zatrzasnęła szufladę i zostawiła spinkę tam, gdzie była. Ale jej postanowienie zniknęło w wielkiej czarnej dziurze, która się w niej otworzyła i podniecenie mściwie powróciło.

Zrobiła sobie herbaty, ale zostawiła ją, żeby wystygła. Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek wina, potem przerzuciła setkę śmieciowych kanałów telewizyjnych,

żeby stwierdzić, że nie ma niczego, co by do niej przemawiało.

Spokojnie pochodziła po kuchni, póki nie okazało się, że nie znajduje w sobie siły, żeby to zwalczyć. Wtedy poszła do sypialni i zaczęła się przygotowywać.

Już zdecydowała. Dziś wieczór włoży białą sukienkę.

Teraz

Anna

Wracam do domu i wtedy uderza mnie ten zapach.

Jakby gnijące mięso z dominującą wstrętną, wymiotną nutką, smród, który przywarł mi do wnętrza nozdrzy od chwili, gdy przeszłam przez drzwi.

Nie było go, kiedy rano wychodziłam do pracy, a gnijącego jedzenia na pewno nie ma w miseczce Alberta ani w koszu na śmieci.

Wącham, idąc przez dom.

Wchodzę nawet na górę, ale o dziwo, zapach pozostaje dokładnie ten sam, ani słabszy, ani mocniejszy, bez względu na to, do którego pokoju zaglądam.

Wlokę swoje ciało, jakby już nie żyło, ale chyba nie ma się co dziwić, bo jestem wyczerpana po tak krótkim śnie i pracy na całą zmianę.

Rozpaczliwie pragnę odpocząć, ale zamiast tego chodzę godzinami po domu, próbując zidentyfikować ten zapach.

Przeצלapałam już trzy razy cały dom i przeszukałam wszystkie pokoje, ale nadal nie mam pojęcia, co to może być.

W kuchni wracam do wypchanej czarnej torby na śmieci z dzisiejszą niedoreczoną pocztą. Leży przy tylnych drzwiach, ciemna i groźna jak wielki czarny pajak, który czeka na właściwą chwilę, żeby zatopić we mnie trujące kły i wykończyć mnie.

Nie dam rady zawlec tego na górę do składziku. Nie teraz.

Mogłabym upchnąć torbę w kredensie pod schodami, a może nawet w pojemniku na śmieci na dworze, ale kiedy o tym myślę, natychmiast do mnie dociera, że to pewny sposób na utratę kontroli nad pocztą i ryzyko, że sprawa się wyda.

Zresztą, przecież chcę wszystko dostarczyć. Zajmę się tym, jak tylko sprawy uspokoją się w pracy i z powrotem wprowadzą nadgodziny.

Ale teraz, jeśli chcę zachować swój rewir, najważniejsze jest utrzymanie iluzji, że daję sobie radę.

Z tego, co wiem, niektórzy z listonoszy mogą robić dokładnie to samo, bo też zmagają się z ukończeniem swoich obchodów.

Nikt nie chce mieć obciążonych godzin albo żeby go obciążyli najbardziej głównianym rewirem, gdyby Jim Crowe uznał, że się nie wyrabia.

Może gdybym nawiązała bardziej przyjazne stosunki z Roisin, mogłabym się dowiedzieć, co sądzą inni.

Mogłabym spotkać się z nią na kawie i pogawędzić. To przecież nic takiego.

Trzęsie mną fala gorąca, osiada w klatce piersiowej. Nie mogę się z niej otrząsnąć.

Muszę spróbować i znaleźć dla siebie coś innego, zanim wciągnie mnie w złe wspomnienia, ale wchodzę w nie, zanim udaje mi się zmienić tok myślenia.

Większość szkolnego życia obserwowałam innych z autu. Już dawno zrozumiałam, że większość moich złych doświadczeń życiowych wynikała z tego, że komuś zaufałam i zawiodłam się.

Logicznym rozwiązaniem było trzymać się od ludzi na odległość, kiedy tylko da się radę.

Ogólnie sprawdzało się to nieźle. Ale tamtego dnia, na koniec letniego semestru, okazałam się na tyle głupia, że dałam się uśpić poczuciu fałszywego bezpieczeństwa.

– Hej, Anno! – zawołała do mnie Ruth Metcalf po jednej z popołudniowych lekcji. – Po szkole spotykamy się w kawiarni Cheatham's. Masz ochotę przyjść?

Zaskoczyła mnie.

Ruth należała do najfajniejszej grupy dziewczyn na naszym roku. Byłabym idiotką, gdybym odmówiła, to mogła być moja szansa, żeby zdobyć parę prawdziwych przyjaciółek.

– Świetnie, no to tam się spotkamy. – Uśmiechnęła się i potruchtała do innych, kiedy wysypywałyśmy się z klasy.

Kiedy dotarłam do kawiarni, czekały na mnie na zewnątrz.

Ruth stała z tyłu wielkiej grupy dziewczyn tak, że ja kręciłam się obok nich, czekając, aż mnie zawołają.

– Co ty tutaj do diabła robisz? – powiedziała do mnie ich prowodyrka, Carol Taylor. – Tu nie ma miejsca dla cholernych dziwadeł.

– Ja... ja myślałam...

Próbowałam spojrzeć Ruth w oczy, ale ona odwróciła się ze śmiechem do przyjaciółki.

Otoczyły mnie, szturchały, łapały za torbę i za włosy.

Skrzywiłam się, zacisnęłam oczy, żeby nie widzieć, jak się na mnie pchają.

Poczułam, jak któraś mocno szarpie mnie za włosy, bije w twarz. Ktoś zerwał mi torbę z ramienia.

– Dziwadło, dziwadło, dziwadło!

Skandowały jednym głosem.

Usłyszałam gardłowe kaszlnięcie i lepka ślina trafiła mnie w policzek, tłuszcza ryknęła śmiechem.

Potem tak było raz za razem, dzień po dniu. Minuty zawsze wlokły się jak

godziny, zanim interweniowała nauczycielka.

Żeby się od tego oderwać, kiedy próbowały zrobić mi krzywdę, myślałam o naszym kocie. Albo o mamie, kiedy wypija kilka pierwszych drinków i pozwala mi się do siebie przytulić.

Ale to nie działało.

Wtedy postanowiłam nie myśleć w ogóle o niczym, jakby o pustej, białej ścianie.

Albo jakbym kulila się w kącie czarnego pokoju bez światła, gdzie nikt nie może zrobić mi niczego złego.

Tak robię do dziś – w najgorsze dni.

Zaczynam od kuchni, opróżniam wszystkie szafki, wycieram półki i znów wkładam rzeczy.

Wyrzucam kuwetkę Alberta na dwór, ale wiem, że to nie on jest winowajcą, jeśli chodzi o zapach. Koty to bardzo czyste zwierzęta, w przeciwieństwie do ludzi. Poświadczają to toalety dla pracowników na poczcie.

Myję mopem podłogę w kuchni i kiedy czuję tylko kwaśny cytrynowy płyn do czyszczenia, przechodzę dalej.

Czyszczę pokój za pokojem, odkurzam, spryskuję i wycieram niekończące się powierzchnie.

Podczas pracy przychodzi mi na myśl, żeby zaproponować Ivy pomoc w sprzątanii, przecież pamiętam, że jest słabego zdrowia. W niektóre dni mogłabym pójść do niej prosto z pracy. Może to się jej spodoba.

Postanawiam, że później, w szpitalu, ją o to zapytam.

Dociera do mnie, że podczas pracy śpiewam pod nosem. Jestem zaskoczona, kiedy patrzę na zegarek i widzę, że sprzątam już prawie trzy godziny. Czas wizyt w szpitalu zaczyna się za niecałe dwie godziny, ale muszę jeszcze znaleźć pół godziny na odpoczynek.

Pozostawanie w domu nie wchodzi w rachubę. Wiem, jak bardzo Liam będzie czekał na moją wizytę, rozczaruje się, jeśli nie przyjdę.

Wczoraj wieczorem zaproponowałam Ivy, że będę ją podwozić na wizyty, a potem zabierać do domu. Z początku wyglądała na niechętną, ale ja nie odpuszczałam, i w końcu z wdzięcznością to przyjęła.

– To głupie, telepać się autobusem, kiedy ja mam czas – powiedziałam jej, zanim się rozstałyśmy. – Przyjaciele powinni sobie pomagać, nie sądzisz?

Zamrugła do mnie, ale nie odpowiedziała. To się nazywa wdzięczność.

Idę na górę, kładę się na łóżku i przykrywam nogi miękkim kocem z flauszu. Czuję, jak materac się ugina, kiedy wskakuje na niego Albert. Mruczy, ugniata łóżko w małych kółeczkach, wreszcie uspokaja się i przytula do moich nóg.

Powieki mam ciężkie i obolałe, ale ręce i nogi nadal zbyt żwawe, żeby zasnąć, więc leżę z otwartymi oczami i przyglądam się cienkim pęknięciom na

suficie. Znam każdą linię, każdą szczelinę.

Pęknięcia rozchodzą się promieniście z centralnej szczeliny w suficie, która wygląda na gorszą, niż naprawdę jest. Niektóre pęknięcia są tak cienkie, że z początku ich nie widać, ale jeśli się wpatrywać, powoli materializują się przed oczami, wyłazą jak chude nóżki owadów na to, co z początku brało się za doskonale gładkie obszary tynku.

Po kilku minutach zamykam oczy i wykonuję ćwiczenia oddechowe, ale nie pomagają.

Nadal czuję ten zapach.

Zaczynam się martwić, co się stanie, jeśli zapach po prostu nie ustąpi, nawet gdybym wymyła i wyszorowała w domu każdą szczelinę.

A jeśli będzie gorszy, jeśli przywrze mi do ubrań i kiedy wyjdę z domu, wszyscy to poczują?

Paznokcie kciuka zaczyna drażnić, bardzo się staram głębiej oddychać i odegnąć negatywne myślenie.

Jakoś jednak udaje mi się odpłynąć, bo zaraz potem nagle się budzę i robi mi się niedobrze.

Chciałam tylko podrzemać, unieść się w to kojące miejsce między jawą a snem, ale wszystko pochrzałam.

Spojrzenie na zegar potwierdza, że jest kwadrans po piątej, a ja powinnam o wpół do szóstej zabrać Ivy do szpitala.

Odrzucam koc i wyskakuję z łóżka, Albert miauczeniem wyraża sprzeciw, wyciąga się, ziewa, wysuwa lśniące, czarne pazurki.

W ubiegłym tygodniu zostawił mi do posprzątania małą, wilgotną górkę wnętrzości i piór. To chyba był wróbel.

Może stąd ten zapach: schowany gdzieś „prezent” od Alberta.

Szybko się ubieram i przelatuję przez listę rzeczy do sprawdzenia przed wyjściem z domu, chociaż nie tak dokładnie, jakbym chciała. Ale pamiętam, żeby wyjąć z lodówki białe pudło, które kupiłam wczoraj. Idę do samochodu.

Ivy czeka przed domem.

– Myślałam, że nie przyjedziesz. – Zwraca głowę w moją stronę siadając na fotelu dla pasażera.

Zerkam na zegarek, jest dopiero wpół do szóstej. Czuję, jak skóra na głowie mi cierpnie.

– O to się nie martw – mówię. – Przekonasz się, że jestem solidna. Przynajmniej tyle.

Solidność. To jedno pole Jim zawsze zakreśla w mojej indywidualnej rocznej ocenie.

– Kochana, nie wątpię, ale czy o tej porze można liczyć, że nie będzie korków?

Są ludzie, którzy muszą znaleźć odpowiedź na wszystko. Nic nie mówię i włączam silnik.

Ledwie dojeżdżamy do głównej ulicy, wbijamy się w korek.

Ivy marszczy brwi na widok masy samochodów przed nami.

– Nie zaznam spokoju, jeśli powie, że chce mieć kolejny motocykl.

– Dostałaś już jakieś informacje z policji?

Kręci głową.

– Powiem ci, jak coś będzie.

Jasno i wyraźnie słyszę: koniec i kropka. Ale nie pozwolę, żeby to powstrzymało mnie przed pytaniami. Sprawa jest zbyt ważna.

Jedziemy w milczeniu przez kilka minut. Przypominam sobie, na jaki pomysł wpadłam.

– Jeśli chcesz, przyjdę do ciebie któregoś dnia – mówię. – Porządnie posprzątam ci dom, żebyś sama nie musiała się o to martwić.

Odwraca się, żeby na mnie popatrzeć.

– To bardzo miłe z twojej strony, Anno. – Domyślam się, że zaraz będzie „ale”. – Ale naprawdę nie ma potrzeby. Spokojnie do tego podchodzę i jak do tej pory daję sobie radę.

Ugryzłam się w język.

– Ale to naprawdę bardzo miłe z twojej strony – powtarza. – Na pewno masz dużo zajęć, mnóstwo przyjaciół i pewnie chłopaka?

Nie spuszczam wzroku z jezdni. Zobaczymy, czy smakuje jej własne lekarstwo, milczenie.

Do szpitala docieramy tuż po szóstej.

Udało mi się dowieźć nas w rekordowym czasie. Przemykałam się bocznymi drogami, żeby tu i tam zaoszczędzić po parę sekund.

– Anno, potrafisz zdziałać cuda za kierownicą – rozpromienia się Ivy. – I tak miło, że jest ktoś, z kim można po drodze pogawędzić.

Promienieję w środku. Może coś źle zrozumiałam i Ivy jednak lubi moje towarzystwo. Trochę szczęścia i niedługo zupełnie się zrelaksuje i chętnie przyjmie moją pomoc.

Kiedy docieramy do sali, Liam siedzi na łóżku.

Nadal ma kilka rurek i monitorów przymocowanych do klatki piersiowej i przedramion, ale w stosunku do poprzedniego dnia zaskakująco dobrze wygląda.

Ivy podbiega do łóżka i obejmuje go. Widzę, jak Liam sztywnieje.

– Cześć... babciu – mamrocze z zakłopotaniem.

– Uważaj na rurki, Ivy – mówię, stawiając białe pudełko, które z sobą przyniosłam, na wysuwanym stoliku w nogach łóżka Liama.

Siadam na krześle obok i czekam, aż Ivy przestanie robić zamieszanie.

– Jak się czujesz, Liam? – pytam.

– Nadal mnie boli, ale przynajmniej zabrali już większość tych rzeczy. – Pokazuje na pozostałe rurki wijące się na jego klatce.

– Coraz bardziej przypominasz siebie. – Ivy przygląda mu się uważnie i głaszcze go po rękę. – Wrócisz do normy, zanim się spostrzeżesz, zobaczysz.

Liam odwraca głowę, patrzy przez okno.

– Nie będę wiedział, kiedy zacznę przypominać siebie – mówi niejasno. – Nie wiem, kim jest ten człowiek. Albo był.

– Bzdura – mówi Ivy. – Jeszcze jakieś parę dni i wszystko wróci. Lekarz to powiedział, prawda, Anno?

– Lekarz powiedział, że pamięć „może” mu wrócić, ale musimy być cierpliwi – poprawiam ją. – Tymczasem nie powinniśmy o tym rozmawiać, Ivy.

– Ale jak ma sobie przypomnieć, jeśli mu nie pomogę? – Sięga do torebki i wyjmuje brązową kopertę. – Przyniosłam ci kilka zdjęć, żebyś je obejrzał, żeby zobaczyć, czy to pomoże.

Rozpościera na łóżku mały stosik czarno-białych zdjęć.

– Wszystko w porządku? – W drzwiach staje pielęgniarka.

– Ivy przyniosła kilka zdjęć, żeby pokazać je Liamowi – mówię znacząco. – Mam nadzieję, że go to nie zasmuci.

– Nie zasmuci mnie. – Liam zerka pobieżnie na zdjęcia. – Nie wiem, kim są ci ludzie.

– Ależ popatrz, to twój dziadek. – Ivy podnosi małą fotografię z pozaginanymi rogami, przedstawiającą starego mężczyznę w szelkach opierającego się o szpadel. – Przecież musisz go pamiętać?

Zastanawiam się, dlaczego nie przyniosła świeższych fotografii, żeby pokazać je Liamowi, może jakichś zdjęć jego rodziców albo przyjaciół. Na pewno łatwiej byłoby mu przypomnieć sobie nowsze wydarzenia.

– Kochana, lepiej nie popędzać – mówi łagodnie pielęgniarka do Ivy i zaczyna zbierać zdjęcia. – To nie służy Liamowi, tobie też może to sprawić ból.

Twarz Ivy marszczy się.

– Zawsze był tak blisko z dziadkiem, byli nierozłączni, aż do dnia jego śmierci, a teraz nie wie, kto to jest.

Zastanawiam się, kiedy zrobiono to zdjęcie. Sądząc po nim, Liam musiał być wtedy małym chłopcem.

Liam znów kładzie głowę na poduszce.

– Przepraszam – mówi. – Ale przeszłość to dla mnie pustka.

Joan Peat

Joan wyjrzała przez okno, kiedy samochód Anny znów ruszył od krawężnika.

Ostatnio Anna ciągle przyjeżdżała i wyjeżdżała. Ich codzienna herbatka skurczyła się do pospiesznych, przypadkowych pięciu minut od czasu do czasu.

Joan tęskniła za jej towarzystwem, ale przynajmniej wynagradzała to myśl, że Anna pewnie wzięła swoje życie w karby. Tego zawsze chciała dla Anny.

Westchnęła i usiadła w fotelu Arthura obok okna. Lubiła tu siadywać, bo mogła obserwować ulicę zza firanki, chociaż ostatnio niewiele się działo na dworze.

Ludzie rzadziej spacerowali. Wskakiwali do samochodów i jechali do rzędu sklepów tuż za rogiem.

Jeśli wierzyć informacjom medialnym, dzieci były teraz zainteresowane wyłącznie grami w wymyślonych światach – światach wirtualnych, jak na to mówiono – na ekranach komputerów. Zaskakujące.

Joan często myślała, że gdyby Arthur żył, miałby na ten temat zdanie.

Ale jej Arthura nie było już od lat, a jej zostały tylko wspomnienia, jak to kiedyś bywało.

Właśnie z tego okna obserwowali swoją pięcioletnią sąsiadkę, jak urzędowała na ulicy herbatki dla wypchanych zabawek.

Joan uśmiechnęła się na to wspomnienie. Anna nigdy nie była miłośniczką lalek.

Popatrzyła za siebie, przez otwarte drzwi salonu, przez które widać było kuchnię.

Prawie trzydzieści lat temu Joan stała właśnie tam, tuż za drzwiami, kiedy Anna przyszła po raz pierwszy z własnej inicjatywy.

Widziała teraz siebie, jak podśpiewuje piosenkę z radjka, które lubiła włączać, kiedy pracowała z rękami zanurzonymi w zlewie pełnym mydlin. W ładnej, kolorowej sukience z krótkimi rękawami, obwiązana w pasie jasnym, cytrynowym fartuchem. Czarne jak smoła włosy podcięte, trochę rózu i szminki, chociaż była przecież w domu.

Zawsze lubiła starać się dla Arthura.

To było wkrótce potem, jak Jack Clarke, ojciec Anny, opuścił dom. Dzień był gorący, parny.

Kuchenne okno było szeroko otwarte, ale prawie nie czuło się wiatru i

powietrze na dworze pachniało ściętą trawą i spieczonym asfaltem.

Joann chodziła powoli po domu przez całe rano, a kiedy otworzyła drzwi, żeby wystawić opłukane butelki po mleku, ona tam stała: jasne loczki poplątane i rozczochrane, z nosa jej ciekło. Joan domyśliła się, że przez całe dni szczotka do włosów nie tknęła główki dziecka.

Kiedy w drzwiach pojawiła się Joan, Anna wystraszyła się. Mocniej przytuliła obszarpaną pluszową zabawkę do piersi i już miała uciekać.

– Chcesz domowej lemoniady?! – zawołała Joan.

Dziecko znów się odwróciło i ostrożnie kiwnęło głową. Zerknęła we wszystkie strony po podwórku.

Joan wprowadziła ją do środka i zabrała do pokoju od frontu. Kiedy Anna zobaczyła Arthura, przytuliła się wstydliwie do jej nogi. Joan przypomniała się Janet-Mae i to, że córka okazywała jej tak mało uczucia, nawet jako małe dziecko.

– Kogo my tu mamy, pani Peat? – Arthur zerknął na Annę znad gazety. – Śliczną wróżkę, którą znalazłaś w ogrodzie?

Anna zachichotała na te słowa.

Wsadziła sobie kciuk do ust i zrobiła krok w jego stronę, nadal trzymając kurczowo coś, co Joan teraz rozpoznała jako poszarpanego pluszowego kota o nieokreślonym kolorze.

– Cóż, jeśli kogoś odwiedza się w domu, zazwyczaj mówi się troszeczkę o sobie – powiedział uprzejmie Arthur. – Zobaczmy. Jak masz na imię i ile masz lat, wróżko?

– Jestem Anna. – Rozpromieniła się, głos miała czysty jak dzwoneczek. – W najbliższy wtorek kończę pięć lat.

– Pięć lat?! – krzyknął Arthur, rzucając gazetę. – Ależ jesteś prawie dorosła!

Od tej chwili Anna cała była Arthura. Joan zawsze wszystkim mówiła, że dziewczynka czciła ziemię, po której stąpał.

Nalała Annie szklaneczkę chłodnej lemoniady, którą rano zrobiła, i przyniosła ją do frontowego pokoju razem ze słodowym herbatnikiem.

Anna połknęła to w kilka sekund.

– Smakowało ci, prawda? – zauważyła Joan. – Czy mama robi dla ciebie domową lemoniadę?

Joan oczywiście mogła od razu zgadnąć, jaka jest odpowiedź. Poczula pewną satysfakcję, że Arthur jest świadkiem, jak Anna kręci głową, machając poplątanymi loczkami.

– Kochana, czy twoja mama wie, że tutaj jesteś? – Joan uznała, że musi o to zapytać, ale natychmiast pożałowała, że to zrobiła. Na wspomnienie o matce dziecko natychmiast zaniepokoiło się, zaczęło wykręcać sobie ręce.

– Chyba z powodzeniem możemy powiedzieć, że jej matka nie bardzo się interesuje, gdzie ona jest – wymruczał pod nosem Arthur.

To była prawda. Wiele razy widzieli, jak Anna włóczy się po ulicy i całymi godzinami bawi się samotnie pluszowymi zabawkami na poboczu.

Ale Arthur zawsze powstrzymywał Joan, żeby nie wyszła sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Kochanie, to nie nasza sprawa – powiedział ze smutkiem. – Monica Clarke nie podziękuje ci.

A Joan wiedziała, że ma rację.

Wkrótce po napomknięciu o matce dolna warga Anny zaczęła drżeć. I znów Arthur ją uspokoił.

– Chodź, usiądziesz obok mnie. – Poklepał poduszkę na kanapie. – Mam tutaj coś, na co taka mała wróżka pewnie chętnie by popatrzyła.

Sięgnął w dół i wyjął gablotkę z motylami na szpilkach. Lubił siadywać na fotelu ze szkłem powiększającym i godzinami oglądać okazy.

Przez kilka ostatnich lat Joan dużo myślała o tej gablotce.

Była zapakowana do pudła, gdzieś w zapasowej sypialni. Nie lubiła mieć jej w pobliżu, niepokoiło ją, że coś tak pełnego życia i piękna mogło zostać schwyte, przeklute i zmienione na zawsze.

Anna

Oczywiście, świadomie nie życzyłabym Ivy niczego złego, ale tak się zdenerwowała sprawą tej starej fotografii i że Liam nie potrafił rozpoznać zmarłego dziadka, że w rezultacie zemdląca.

Tutaj, w szpitalu, w naszej obecności. Odwożą ją na wózku, żeby doszła do siebie.

– Nie martw się, z nią będzie dobrze – zapewnia pielęgniarka Liama. – Jest wyczerpana, tylko tyle.

Kiedy pielęgniarka odeszła, Liam mówi:

– Anno, martwi mnie, że nie jestem zmartwiony. Wiem, że powinienem.

Serce mi rośnie, że tak łatwo zapamiętał moje imię. Przynajmniej będę mogła sama z nim porozmawiać, bez Ivy trajkoczącej bez przerwy o przeszłości.

Siadam na krześle tuż obok jego łóżka, które zazwyczaj rekwiruje Ivy.

– Czuję się winny – mówi Liam. – Nie żywię żadnych uczuć wobec własnego dziadka.

Jego niebieskoszare oczy wpijają się we mnie.

Nie jestem przyzwyczajona, żeby ludzie patrzyli na mnie z tak bliska. Czuję mrowienie na twarzy, jakby pokryła ją kłująca pokrzywka.

Ale Liam nie odwraca wzroku, a ja widzę, że jego oczy są łagodne i pełne zaufania, i wtedy trochę bardziej mi się to podoba.

– Opowiedz mi trochę o sobie – mówi Liam, nadal na mnie patrząc.

– O mnie? Och, niewiele jest do opowiadania. – Śmieję się, drapię po nadgarstku. – W każdym razie nic interesującego.

– No powiedz. – Klepie mnie lekko po ramieniu, więc znów muszę podnieść wzrok. – Nie wstydź się.

Przez sekundę, dwie, zanurzam się w tych oczach prawie tego samego odcienia, co oczy Danny’ego. I te włosy z subtelnymi złotymi smużkami, które nieustannie odbijają światło.

Zastanawiam się, czy tak wyglądałby Danny, gdyby tylko pozwolono mu...

– Anno?

– Przepraszam – mamroczę. – To tylko... bo ja wiem, naprawdę nie lubię o sobie mówić.

Zazwyczaj irytuję się, kiedy ktoś wsadza nos w moje sprawy, ale z Liamem jest inaczej. Wygląda na to, że naprawdę jest mną zainteresowany.

– Dobry czas, żeby zacząć – naciska. – Z czego się utrzymujesz?

Więc mówię mu nierobiącą wrażenia prawdę, że jestem listonoszką na poczcie brytyjskiej i że mieszkam samotnie w małym domku na końcu rzędu szeregówek z kotem Albertem.

Nie potrafię tego upiększyć.

Mam wrażenie, jakby niewidzialna ręka ścisnęła moją tchawicę. Przeszuję mówić.

– Kiedy się tam przeprowadziłaś? – pyta, a jego oczy ześlizgują się z mojej twarzy na palce, którymi się drapię.

Spuszczam wzrok i widzę kiść zaczerwienionych obręzków po wewnętrznej stronie nadgarstka. Przeszuję się drapać i składam koniuszki palców w strzelisty kształt.

– Zawsze tam mieszkałam – mówię. – To znaczy, tam dorastałam, a potem... cóż, dom stał się na koniec moją własnością.

– Niewielu ludzi w twoim wieku ma pełne prawo własności do swojego domu – zauważa Liam. – To robi wrażenie.

– Nie powiedziałabym tego. – Skubię brzeg koca, a gorąco podchodzi do moich policzków.

– A twoi przyjaciele i w ogóle? – Marszczy mu się czoło. – Czy w twoim życiu jest ktoś szczególny?

Wtedy szybko wstaję, wachluję twarz broszurą narodowej służby zdrowia *Jak zwalczać infekcję*.

– Masz ochotę na herbatę? – pytam radośnie. – Mam pójść do automatów na dole i przynieść nam po jednej?

Liam kręci głową, ale nic nie mówi. Klepię białe pudełko na bocznym stoliku.

– Przyniosłam ciastka – mówię – żeby poprawić ci nastrój.

Otwieram pudełko i zaglądam do środka siląc się na swobodny ton, mówię:

– Policja już z tobą rozmawiała o wypadku?

Kręci głową.

– Nie wiem.

– Ta kobieta, ta, która kierowała samochodem, mało cię nie zabiła. Liam, nie możesz puścić jej tego płazem.

Wzrusza ramionami i patrzy sobie na ręce.

– Nawet nie pamiętam, jak ona wygląda.

– Nie chcę cię niepokoić, ale to ważne, żebyś poprosił policję, niech przyjdą i w najbliższym czasie porozmawiają z tobą, niech ci powiedzą, co wiedzą na jej temat – mówię. – To nie ma znaczenia, że nie pamiętasz niczego z wypadku. Tam byli inni ludzie, którzy widzieli, co się wtedy stało.

– Ale co mi mają o niej powiedzieć? – Ziewa i patrzy, jak strugi deszczu chlapią o szyby.

– Mają ci podać jej nazwisko, adres, tego typu sprawy – mówię znów, przesuając się przed okno, żeby skupił się na moich słowach. – Nie wolno jej popuścić po tym, co zrobiła. Musisz się upewnić, że policja niczego przed tobą nie zataiła, że powiedzieli ci wszystko, co o niej wiedzą. Rozumiesz, dla celów ubezpieczeniowych. Jeśli chcesz, mogę się skontaktować...

Zirytowana podnoszę wzrok, słysząc, że ktoś wchodzi do pokoju.

Młoda pielęgniarka, której wcześniej nie widziałam, podchodzi trochę nerwowo i podnosi plastikową torebkę z przedmiotami, których nie rozpoznaję.

– Proszono mnie, żebym to oddała. To należy do Ivy Bradbury. – Patrzy na mnie.

– Dziękuję. – Biorę torbę. – Na pewno jej to oddam.

– Wygląda na klucze i tego typu rzeczy – mamrocze Liam zupełnie niezainteresowany. – Pewnie moje.

Kiedy dziewczyna szybko wychodzi, wciskam torebkę do kieszeni mojego płaszcza wiszącego na oparciu krzesła.

– Później dam to Ivy – mówię energicznie. – Teraz czas podjąć wielką decyzję. Czekoladowa eklerka czy ciastko waniliowe, co ma być?

Patrzy na mnie zmieszany.

– Moje urodziny. – Sięgam po pudełko z ciastkami. – Pomyślałam, że się poczęstujemy.

Myślę o tamtych pięknych liliach i radości na widok paru pastelowych kopert na macie.

Co rok wysyłam sobie kartki urodzinowe, ale kwiaty wysyłam po raz pierwszy.

Jazda do domu ciągnie się bez końca.

Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę zawartość torby, którą dała mi pielęgniarka.

Gdy wyszłam ze szpitala, postanowiłam, że poczekam z tym, aż dojadę do domu, i teraz rozkoszuję się oczekiwaniem.

Na koniec, chociaż Ivy trochę się poprawiło, lekarze zdecydowali, że powinna zostać na noc na obserwację, bo gdyby ją wypisali, w domu byłaby sama.

Wtedy zrozumiałam, że nie powinnam obciążać jej torebką z rzeczami Liama. To by ją jeszcze bardziej przygnębiło.

Więc postanowiłam zabrać to do domu na przechowanie.

Kiedy weszłam, trzepnęłam we włącznik światła i zamknęłam za sobą drzwi do salonu, ignorując niezadowolone miauczenie Alberta. Ten jeden raz będzie musiał poczekać na kolację.

Wyjmuję uszczelnianą, przezroczystą torebkę rozmiarów mniej więcej powieści w twardej oprawce. Zawartość zajmuje tylko jedną trzecią torby, ale wykładam przedmioty na stolik.

Jest tam porysowany telefon komórkowy, parę monet i banknot pięćofuntowy, złożony list i mały pęk kluczy na skórzanym breloczku suzuki.

List jest ze studia fotograficznego, potwierdza, że Liam został przyjęty na kurs instruktażowy, jak korzystać z obiektywów szerokokątnych. Wtedy zdaję sobie sprawę, że jeszcze go nawet nie zapytałam, gdzie pracuje i czy Ivy powiadomiła pracodawcę, że wnuk jest w szpitalu.

Wącham powietrze. Zapach nadal jest w domu, może nie tak silny jak wcześniej, ale jest.

Myśli na ten temat szybko się rozchodzą, kiedy podnoszę pęk kluczy, z których jeden to jasnozłoty yale. Bardzo wygląda na klucz do drzwi wejściowych.

Wchodzenie w cudzą prywatność to nie jest powód do dumy ani coś, co często mi się zdarza, ale sytuacja robi się coraz bardziej napięta. Nie mam teraz ważniejszej sprawy niż zebranie większej ilości informacji o ich życiu.

Kiedy Ivy niechętnie rozmawia o wypadku i o śledztwie policyjnym, a jednocześnie stało się jasne, że Liam utracił pamięć całkowicie, chociaż przejściowo, ktoś musi przyglądać się temu, co się dzieje.

Ivy coś wspominała o numerze kontaktowym na policję, który leży gdzieś w domu. Znalezienie go będzie dobrym początkiem, żeby popchnąć sprawy.

Postanawiam więc, że pokonam osobistą niechęć i skorzystam z klucza Liama, jeśli jest szansa, że to przyspieszy sprawę.

Chyba właśnie taka jestem.

Nadal jest wczesny wieczór, zaledwie wpół do ósmej.

Zirytowałam się, bo pielęgniarki zasugerowały, żebym wyszła wcześniej i pozwoliła Liamowi odpocząć po dramatycznym omdleniu Ivy. Nie protestował, najwyraźniej przez nie zastraszone.

Nie mogę się uspokoić. Jestem zbyt podenerwowana, żeby oglądać telewizję, zbyt zmęczona, żeby ponownie przeczesać dom w poszukiwaniu tajemniczego zapachu.

Staram się wyrzucić z głowy klucz Liama, kiedy myślę, co powinnam zrobić, ale nie mogę zapomnieć o Borisie, kocie Ivy, którego dziś wieczór nie ma kto nakarmić.

Przychodzi mi do głowy, że Ivy będzie wdzięczna, jeśli wpadnę, żeby sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku.

I to przesądza sprawę.

Jest ciemno, kiedy skręcam w Heath Close i parkuję w połowie ulicy.

Jest cicho, wszyscy już siedzą w swoich ciepłych, zacisznych domach i gawędzą o minionym dniu nad kieliszkiem wina.

Pies bez obroży, niezidentyfikowanej rasy systematycznie obwąchuje i obsikuje drogę wzdłuż żywopłotu po drugiej stronie ulicy, ale szczęśliwie to jedyna oznaka ruchu.

Heath Close jest krótką uliczką i po paru minutach, mijając swobodnie dwie niepalące się lampy i wyrzuconą ramę od roweru, podchodzę do numeru 53.

Zdumiewające, jak niewielu ludzi zasuwa zasłony na wieczór. Idąc ulicą, mam dobry widok na wnętrza niejednego domu.

Stary mężczyzna, w okularach w drucianej oprawce, ślęczy nad stolikiem i robi jakąś konstrukcję z maleńkich patyczków z jasnego drewna. Światło zapewnia mu pojedyncza silna żarówka.

W tym żywym obrazie jest coś rozpaczliwego, co sprawia, że odwracam wzrok.

Docieram do domu Ivy i Liama. Przychodzi mi do głowy, że powinnam zejść od tyłu, jeśli chcę uniknąć wchodzenia na ganek prosto z ulicy, oświetlona jak choinka.

Ciemność opatula mnie, kiedy idę wzdłuż bocznej ściany domu. Nie widzę, czy na kółku jest inny klucz, który pasowałby do tylnych drzwi.

Jeśli sąsiedzi Ivy chociaż trochę przypominają moich, firanki zaczną drgać.

Moja wizyta nie powinna nikogo interesować, ale zazwyczaj większość ludzi jest za bardzo zainteresowana życiem innych dla własnego dobra.

Z tyłu domu też nie ma zewnętrznego światła, więc szamoczę się z kluczami, próbując znaleźć właściwy. Wtedy przypominam sobie, że przy własnych kluczach mam maleńką latarkę.

Oświetlam zamek w obłazących drewnianych drzwiach i tracę zapal. Potrzebny jest długi klucz, tak jak do otwierania szopy z rowerami w pracy.

Znow oświetlam pęk kluczy Liama i szybko je przeglądam.

Między kluczem do motocykla a kluczem yale lśni dłuższy klucz. Łatwo obraca się w zamku. Pchnięciem otwieram drzwi i po raz pierwszy zastanawiam się, co zrobię, jeśli zacznie wyc alarm. Ale nie mam się czym niepokoić, nadal jest cicho.

Nie widzę Borisa, ale czuję, jak bezszelestnie robi ósemki wokół moich nóg.

Stukam palcami po ścianie, aż znajduję włącznik światła, ale zanim go naciskam, odwracam się, żeby spojrzeć na rząd zabudowań wychodzących na mały ogródek z tyłu domu.

Są tam okna sypialń. Widać z nich miejsce, w którym stoję.

Trochę się uspokajam, bo nie widzę oczywistych znaków, że ktoś mnie szpieguje. Włączam światło w kuchni, potem zamykam drzwi na klucz.

Szybko przechodzę do środkowego pokoju, z przyzwyczajenia zrzucam buty i zamykam Borisa w kuchni. Pospiesznie rozglądam się, żeby zorientować się w sytuacji.

Na podłodze leży dywan we wzorki, pośrodku pokoju stoi stół z ciemnego dębu i cztery krzesła. Wzdłuż ścian biegnie listwa wykończeniowa z talerzami w jaskrawe wzory. Niektóre są wyszczerbione i popękane.

Muszę powiedzieć, że to przyjemność rozglądać się wedle uznania i wszystko chłonąć. Cokolwiek, co da mi wskazówkę, jakie życie prowadzi Liam, może mu przecież pomóc, skoro opuściła go pamięć.

Kiedy tamtego wieczoru, po podwieszeniu Ivy, wpadłam tutaj, żeby skorzystać z łazienki, musiałam szybko wyjść. Wszystko działo się szybko i byłoby nieuprzejme zostać dłużej. Teraz mam okazję, żeby rozejrzeć się po domu bez pośpiechu i wyrobić sobie zdanie, jak oni żyją i jak można by im pomóc.

Pobieżnie oglądam salon z wygasłym kamiennym kominkiem i brązowozieloną wykładzinę dywanową we wzory. Pod nogami nie czuje się prawdziwej wełny: wykładzina to tandetna nylonowa imitacja.

Dom wygląda na wysprzątnany, ale czuć go stęchlizną. Wymaga porządnego wietrzenia. Jest inny niż mój dom, widzę w tym coś podniecającego.

Kładę dłoń na klamce drzwi prowadzących na schody i z trudem przełykam, próbując pozbyć się uczucia suchości w gardle.

Ściśle mówiąc, nie powinno mnie tutaj być, ale przypominam sobie, że robię to dla dobrego celu, a właśnie to się liczy.

Schody są strome i wąskie, a na górze jest jeszcze zimniej i z lekka wyczuwa się wilgoć.

Dziwnie to brzmi, ale dom jest wyraźnie nieprzyjazny, jakby mnie tutaj nie chciał. Podobne fluidy dochodzą do mnie także od Ivy.

Zastanawiam się, czy Liam jest szczęśliwy, mieszkając tutaj ze starą kobietą, która nie wie, kiedy się zamknąć i wysłuchać rad mądrzejszych ludzi.

Stoję u szczytu schodów, dokładnie w tym samym miejscu, w którym stałam dwa dni temu, patrzę na zamknięte drzwi przy długim, wąskim korytarzu.

Wtedy zastanawiałam się, który z pokoi to pokój Liama, ale teraz mogę wejść, gdzie tylko zechcę.

Pierwsze drzwi, które otwieram, prowadzą do sypialni Ivy od przodu domu, z widokiem na ulicę. Zadowolam się słabym światłem z korytarza i zaglądam do środka.

Pokój jest skąpo ozdobiony, ale utrzymany w kobiecej kolorystyce. Z różowej, pluszowej narzuty na łóżko wystaje pełno powyciąganych nitek, a u góry widać niedopasowane pastelowe powłoczki na poduszki.

Zakurzone butelki z czymś, co wygląda na wodę lawendową stoją razem w rogu orzechowej toaletki z lustrem. Wilgoć. Lawenda. Starość.

Robi mi się żal Liama. W kwiecie wieku musi mieszkać ze starszą panią, której już nie poznaje, i cierpieć te zapachy.

Pewnie marzy, że spotka kogoś mniej więcej w jego wieku i razem rozpoczną nowe życie.

Trzydzieście lat wcześniej

Carla otworzyła oczy, zarejestrowała nieprzerwany łomot w głowie i jęknęła. Sięgnęła do stolika nocnego i wcisnęła przycisk home iPhone'a. Natychmiast zmrużyła oczy, tak jasno się zrobiło. Była czwarta dwadzieścia pięć rano.

Carla obiecywała sobie, że już tego nie zrobi, ale w ostatni wieczór znów wyszła na miasto.

Tylko na drinka, powtarzała sobie, kiedy taksówka szukała drogi do city. Tylko żeby znów pobyć między ludźmi i czerpać przyjemność z uspokajającego gwaru wokół niej.

Ale w istocie w to nie wierzyła. Wiedziała, jak to się skończy. Tak jak zawsze się kończyło.

Taksówkarz Azjata ledwie na nią spojrzał, przyjął tylko instrukcje, dokąd ma jechać, kiedy wsiadła do wozu.

Dwunastominutową podróż poświęcił na rozmowę we własnym języku przez zestaw głośnomówiący.

Carla była z tego zadowolona. Nie potrzebowała rozmowy, tylko ukojenia.

Przed jedenastą taksówka wyrzuciła ją przed Lexi's. Było za wcześnie, żeby zupełnie się zgubić i zyskać anonimowość w tłumie, tak jak chciała. Ale jeśli nie chciała następnego dnia pójść do pracy po nieprzespanej nocy, nie mogła stąd wyjść za późno.

Przycupnęła tuż za grupką piszczących, roześmianych dziewczyn, które weszły tuż przed nią. Z jedną z nich nawet pożartowała, kiedy tamta potknęła się przy wejściu.

Carla chwyciła ją za ramię, żeby nie upadła.

– Cholera jasna, niby nic, ale jestem wzorowym kierowcą. – Roześmiała się do Carli, kiedy przechodziły obok dwóch krzepkich bramkarzy, którzy wyglądali tak młodo, że mogliby być synami Carli.

Carla zobaczyła, jak sprawdzają dwie młodsze kobiety w grupie, a potem patrzyła, jak ich wzrok przelatuje obok niej, jakby jej tu w ogóle nie było.

Wiedziała, że dobrze wygląda w białej sukience. Rozmiary: dół dwanaście, góra dziesięć.

Co prawda, nie osiągnęła tego rezultatu poprzez ćwiczenia. Jej styl życia raczej nie należał do zdrowych.

Piła teraz za dużo wina i jadła głównie gotowe posiłki, bo głównym kucharzem i opróżniaczem butelek wcześniej był Mark.

Strogonow, pasta ze śmietaną i kurczakiem, zielone tajskie curry i lepki ryż... dla Marka upichcenie wspaniałego obiadu pod koniec długiego dnia to był żaden problem.

„To mnie odpręża”, mawiał. „Pewnie to moje geny twórcze”.

Carla ponuro myślała, że pewnie byłby z niego lepszy kucharz niż artysta. Nawet przy minimalnej pensji i tak zarabiała więcej, niż on dostawał za swoje obrazy.

Raz w miesiącu Carla szła do fryzjera, żeby jej lśniący, kasztanowy język był porządnie utrzymany. Dziś wieczór nałożyła makijaż, zaryzykowała nawet założenie sztucznych rzęs, które powiększały jej wielkie brązowe oczy. W wieczór, w który się spotkali, Mark powiedział jej, że są „całkowicie niewiarygodne”.

Ale dwaj bramkarze jej nie zauważyli. Jakby była niewidzialna.

Jakby jakiś wewnętrzny czujnik powiedział im, że jest po prostu za stara, żeby się nią interesować, nawet bez sprawdzania.

Dlatego rozpoczęła randkowanie online, chociaż nie była zainteresowana prawdziwym związkiem.

Można przebrnąć przez głupie gadanie i złowić kogoś na wieczór.

Tylko na tyle, żeby dotknąć skórą skóry, poczuć ciepło czyjegoś ciała i ramiona wokół siebie, które jak się zamknie oczy, dają uczucie, że komuś na tobie zależy.

Na tyle długo, żeby utrzymać uraz z dala od siebie.

Na imię miał Chad.

Był handlowcem z Kentu, od zaopatrzenia medycznego. W East Midlands pracował od tygodnia.

Siedziała przy barze z trzecim koktajlem, przyglądała się parkietowi, kiedy go zauważyła.

Mężczyzna wyglądał prawie na czterdziestkę. Miał przycięte włosy sól z pieprzem i krzywy, ale atrakcyjny uśmiech.

Kiwnął na nią ręką i wskazał na puste krzesło obok siebie.

Tani hotelik to była jej propozycja.

Zazwyczaj tam chadzała, było to zaledwie pięć minut spaceru od Lexi's.

Chad mówił do niej przez całą drogę i kiedy się meldowali. On płacił. Opowiedział jej o swojej pracy i dzieciach. Wolałaby, żeby nie mówił.

Potem niewiele pamiętała z tego, co mówił. Była tylko tęsknota za bliskością, za jego męskością, jego ciepłem.

Pokoik był maleńki, ale wystarczał. Sterylna łazienka pachniała szpitalem.

Carla odsunęła firankę i popatrzyła na ulicę.

Zaniedbany mężczyzna szedł, potykając się i krzycząc przez Market Square. Ludzie śmiali się, obchodzili go, żeby się z nim nie zetknąć.

Chad podszedł i stanął obok niej. Przyciągnął ją łagodnie za brodę i

pocałował w usta.

Neon na budynku naprzeciwko rzucał na ściany różowy poblask. Carla słyszała, jak w pobliżu głośno zawodziła syrena, a potem stopniowo cichła w oddali, aż w końcu zupełnie zanikła.

Oparła głowę o jego pierś i zamknęła oczy. Chad był inny niż Mark, bardziej miękki.

Kiedy się rozebrali, zobaczyła, że ma blade ciało i niewielki brzusek i jest bardziej owłosiony, niż ona lubi u mężczyzn.

Ale był tutaj, a potem był miły, nie mówił o pracy ani o dzieciach, a Carla przestała się czuć taka samotna.

A teraz Carla jest tutaj, z powrotem w domu, we własnym łóżku. Przynajmniej tym razem się jej udało.

Ledwie sobie przypomina, jak przed hotelem zatrzymała czarną taksówkę i klapnęła na tylne siedzenie.

Kierowca nalegał, żeby zapłaciła, zanim zacznie jazdę. To ją zmartwiło bardziej niż cokolwiek.

Włączyła lampkę i postawiła nogi na podłodze.

Oczy miała suche, pod powiekami czuła piasek, a łomotanie w głowie było teraz jeszcze gorsze. Rozpaczliwie chciała się napić wody.

Sięgnęła po kawałek papieru przy telefonie i mrużąc oczy, popatrzyła na bazygroły. Numer Chada.

W łazience zmięła papier i wyrzuciła go do kosza na śmieci.

Teraz

Anna

Wychodzę z sypialni Ivy i drepczę długim, wąskim korytarzem.

Kiedy klikam na włącznik światła tuż za drzwiami, natychmiast spostrzegam komputer i drukarkę na niskim stoliku pod oknem.

Pokój Liama.

Plakaty z wymyślnie chromowanymi motocyklami pokrywają ściany. Stosy czasopism o motocyklach i podręczniki leżą w chwiejnych stosach obok wąskiego łóżka i są poutykane na półkach obok komputera.

Łóżko jest niezasłane, a na podłodze leżą brudne rzeczy do prania. Pokój wygląda, jakby należał do przeciętnego, bałaganiarskiego nastolatka.

Okazuje się, że Ivy w ogóle nie sprzątała pokoju, odkąd Liam leży w szpitalu. Tym bardziej się irytuję, bo wczoraj z miejsca odrzuciła moją propozycję, że jej pomogę. Mówiła, że da sobie radę, a przecież potrzebuje pomocy.

Chciałam tylko przejechać to wszystko szmatką i cytrynowym płynem do czyszczenia. Gdyby odkurzyć te czasopisma i poustawić meble, maksymalizując powierzchnię, powstałoby wrażenie większej dojrzałości.

Jestem pewna, że Liam byłby zachwycony.

Ale dziś wieczorem nie mogłam się tego podjąć. W ogóle nie powinno mnie tutaj być, w środku zamieszania, które ich dopadło.

W głowach łóżka wisi plakat wyjęty ze środka czasopisma razem ze zszywkami. Jakaś zdzira, w krótkich dzinsowych spodenkach praktycznie pokazuje, co robiła rano.

Jeśli mam być szczerą, spodziewałam się po Liamie wyższych standardów. Muszę zwalczyć nagły, niewytłumaczalny poryw, żeby zedrzeć ten plakat.

Muszę sobie przypominać, że Liamowi nie jest teraz łatwo. Prawdopodobnie nie mieszka z babcią, bo tak chce, szczególnie że jego sypialnia wygląda, jakby zatrzymała się w czasie.

Prawdopodobnie nawet nie zauważa tych wszystkich plakatów, które wiszą, odkąd był niedojrzałym młodym człowiekiem.

To jasne, że Liam wolałby mieć własne mieszkanie, gdyby tylko mógł.

Wyciągam z kieszeni telefon i robię parę fotografii z różnych kierunków, żeby później, w domu dokładniej im się przyjrzeć.

Zaciągam na wąskim oknie cienką roletę, żeby mieć trochę prywatności.

Widzę, że biurko z komputerem jest wysprzątane i uporządkowane w przeciwieństwie do reszty pokoju.

Nad monitorem, na podskakującej drucianej sprężynie wisi znak z napisem: „Cisza! Geniusz pracuje!”

Przesuwam palec po zakurzonej klawiaturze i dotykam klawiszy. Zastanawia mnie, czy Liam korzystał z komputera wtedy, rano, kiedy miał wypadek.

Większość ludzi ma obsesję na tle sprawdzania maili albo Facebooka, i to co godzina. Całkiem możliwe, że Liam zrobił to tuż przed wyjściem z domu, w dniu zderzenia.

Mógł dotykać palcami klawiszy, na których leżą teraz moje palce i kompletnie nie miał pojęcia, na jak straszne niebezpieczeństwo wkrótce się natknie.

Siadam na krześle, próbuję sobie wyobrazić Liama, jak tutaj siedzi.

Przychodzi mi do głowy trzeźwiąca myśl, że żadne z nas nie wie, co czeka za rogiem, jakie koszmarnie wydarzenia może nam przynieść los.

Aż tragedia spada na człowieka jak tona cegieł.

Rozumiem, co to znaczy.

Mruga na mnie małe zielone światełko, które pokazuje, że komputer nie został wyłączony, jest tylko w stanie uśpienia. Klikam przełącznik maszyny i komputer budzi się do życia. Monitor mruga, pokazuje wygaszacz ekranu z harleyem-davidsonem, a na nim mnóstwo ikon pulpitu.

Trochę przesuwam klawiaturę, żeby dopasować ją do mojej pozycji i wysuwa się spod niej kawałek białego papieru. Wyciągam go i przyglądam się dokładniej, próbując odczytać enigmatyczny napis.

Z początku nie widzę w nim żadnego znaczenia, po prostu bezsensowne słowa i zdania. Potem zdaję sobie sprawę, na co patrzę.

Lista nazw użytkownika i haseł Liama.

Nigdy nie byłam z tych „przyjacielskich”. Po prostu nie widzę sensu w tworzeniu związków z ludźmi, którzy mogą pochłonąć człowiekowi cały czas i chcą poznać wszystkie jego sprawy.

Matka nie pozwalała nam przyprowadzać przyjaciół do domu. I słusznie, przy tych jej wahaniach nastroju i innych sprawach.

Strasznych sprawach, o których z początku nie miałam pojęcia.

Nie zrozumcie mnie źle, trochę chciałam bardziej zaprzyjaźnić się z innymi w szkole. Mieć z kim usiąść na przerwie i podczas lunchu, to byłaby miła odmiana, ale spójrzmy prawdzie w oczy, jak człowiek zacznie się zbliżać do innych, to kończy na tym, że mówi o rzeczach, o których wolałby nie mówić.

O rzeczach, które ludzie mogą później wyciągnąć i użyć przeciwko tobie.

O tym właśnie myślę, kiedy Roisin próbuje zagadywać mnie podczas pracy.

Wygląda na bardzo miłą kobietę, ale przecież do końca tego się nie wie.

Facebook odpowiada mi o tyle, że można mieć kontrolowany kontakt z ludźmi na własnych warunkach. A jednak nawet w tych ramach istnieje możliwość, że zostanie się upokorzonym.

Można dodawać przyjaciół, ale to nie znaczy, że zaakceptują cię na swojej liście przyjaciół. Nie, czekasz i czekasz, aż zdajesz sobie sprawę, że odrzucili twoje zaproszenie. Następnego dnia musisz iść do pracy, widzieć ich w realnym życiu i udawać, że nic się nie stało albo że się jeszcze tego nie zauważyło.

Bo ja wiem, może to ja źle coś robię? Nie twierdę, że jestem specjalistką od informatyki, ale radzę sobie z rozwiązywaniem podstawowych problemów.

Klikam na ikonę na pulpicie i wyskakuje strona z logowaniem do Facebooka. Wprowadzam adres mailowy i hasło, które jest zapisane na kawałku papieru z oznaczeniem „Fb”.

Przygotowuję się na porażkę, ale w ciągu kilku sekund na moich oczach ładuje się strona profilowa Liama.

Odsuwam się i robię kilka wdechów.

Ważne, żeby nie robić niczego pochopnie. Nie chcę, żeby Liam zobaczył, że ktoś grzebał w jego informacjach, kiedy nie mógł wrócić do domu, chociaż jestem pewna, że moje zainteresowanie nie będzie mu przeszkadzało.

Możliwe, że są tam ludzie, którzy nie wiedzą, co się z nim dzieje, ludzie, którzy próbują się z nim skontaktować i zastanawiają się, gdzie się podział. Rozumiem, że ludzie poważnie traktują swoje media społecznościowe, ale Ivy w ogóle nie będzie o tym wiedziała.

Wyskakuje pudełeczko z informacją, że Liam ma osiemdziesiąt pięć powiadomień i jedną prywatną wiadomość od kogoś, kogo nie zna.

Jest link, na który musi kliknąć, jeśli chce przyjąć wiadomość.

Zanim zdążyłam to przemyśleć, klikam na link i czekam, kiedy ładują się wiadomości przychodzące. Gotowe, zanim zdążę zmienić zdanie, otwieram ikonę koperty i ostro nabieram powietrza.

Wiadomość jest od niej.

Trzydzieści lat wcześniej

Daniel Clarke siedział na górze, na gołych deskach podłogi swojej sypialni i czekał na przybycie ojca MacCarricka.

Dziś rano nie poszedł na spotkanie ze szkolną psycholog. Wiedział, że Carla jest z takich, którzy na pewno będą chcieli usłyszeć, dlaczego się nie pojawił.

Wyrzucił z głowy myśli o szkole. W tej chwili miał co innego do przemyślenia.

Matka wyszkoliła go, jak powinien odpowiadać na pytania, które może zadać ksiądz.

Matka nie wiedziała, że ojciec MacCarrick już mu powiedział, jak powinny brzmieć prawidłowe odpowiedzi, kiedy wczoraj wezwał go do zakrystii.

Ksiądz często wzywał go do zakrystii, ale Daniel o tym też próbował nie myśleć.

– To twoja szansa, żeby naprawić wszelkie twoje złe uczynki, żeby żałować za grzechy. – Matka zmarszczyła brwi, kiedy niedawno mu to mówiła, i zrobiła znak krzyża na piersi. – Tylko Bóg nad nami wie, co ojciec MacCarrick w tobie widzi. Lepiej nas nie zawieść.

Z wielu powodów nie chciał być ministrantem, ale nie chciał o tym z nikim rozmawiać, a już na pewno nie z matką. A jeśli dowiedzą się w szkole? Miałby jeszcze bardziej żałosne życie, jeśli to w ogóle możliwe.

– Zrozum, nie robi z ciebie ministranta ot, tak sobie – powiedział wczoraj mu w kościele John Peters, kiedy Daniel siedział i modlił się. Tylko ulubieńcy ojca Maca zostają ministrantami.

John był seminarzystą, uczniem kościoła i często grubiańsko wyrażał się o ojcu MacCarricku, kiedy ksiądz nie było w pobliżu.

– Ksiądz musi cię naprawdę lubić. Mówię naprawdę! – John uśmiechnął się, odsłaniając żółte zęby. – Danny, wiesz, o co mi chodzi?

Szponiasta dłoń Johna zjechała w stronę krocza Daniela, chłopiec przesunął nogi w bok, żeby się ochronić. John już wcześniej złapał go mocno za jaja, a to bolało.

Ojciec MacCarrick naprawdę go lubił. Daniel był tego pewien. Inaczej nie prosiłby go regularnie o pomoc przy porządkowaniu papierów w swoim prywatnym gabinecie ani o towarzyszenie przy czyszczeniu szat i naczyń liturgicznych w zakrystii.

Ale Daniel był zdziwiony, że ksiądz potrzebował jego pomocy.

Pani Bream na ochotnika regularnie sprzątała w kościele i miała szczegółowy grafik przypięty w kruchcie, który zawierał również odkurzenie zakrystii.

Daniel słyszał, jak jego matka krząta się na dole.

Chociaż raz nie leżała na kanapie, oglądając to amerykańskie show, w którym używano testów DNA i wykrywaczy kłamstw wobec ludzi, którzy klęli na siebie i walczyli na scenie.

Słyszał brzęczenie talerzy i sztuców.

Matka sądziła, że jest ważną osobą w kościele, ale ojciec MacCarrick nigdy nie pozwalał jej robić niczego ważnego, a trzy panie, które układały kwiaty, często szeptały o niej z tyłu nawy, kiedy modliła się przed mszą, siedząc na jednej z frontowych ławek.

Matka myślała, że wie wszystko, ale nic nie wiedziała. W ogóle nic.

Nie miała pojęcia o szkole, a jeszcze mniej o tym, co się działo, kiedy ojciec MacCarrick wzywał go do zakrystii.

Teraz

Anna

Kolejny dzień spędzam na rejestrowaniu nowych informacji i zdjęć z wczorajszej zaimprovizowanej wizyty w domu Liama.

Daje mi ona wgląd w to, na czym stoimy, a także nie pozwala, żebym o czymś zapomniała. Zdarza mi się zapominać.

Szok po odkryciu jej wiadomości dla Liama na Facebooku sprawia, że zwalniam tempo. Nawet trochę spóźniam się z wizytą w szpitalu.

Trudno się dziwić, bo w nocy ledwie zmrużyłam oczy.

Myśl, że wyszła Liama na Facebooku, żeby przesłać mu taką zakłamaną, przebiegłą wiadomość, nie da się opisać.

Czy lampart zmieni swoje cętki... jakoś tak to idzie, że ludzie się nie zmieniają, choćby minęło wiele czasu.

Teraz nazywa się Amanda Danson, więc przynajmniej jedna tajemnica wyszła na jaw.

Zanim wyszłam z ich domu, dokładnie, słowo w słowo, spisałam wiadomość od Amandy, a w domu wydrukowałam najbardziej udane zdjęcia sypialni Liama i włożyłam je do jednej teczki razem ze zdjęciem, które mu zrobiłam w szpitalu.

Byłam rozczarowana, że nie mogłam zobaczyć nic poza jej zdjęciem profilowym, bo miała wysokie ustawienia prywatności. Jeśli to nie jest dowód, że ma coś do ukrycia, to nie wiem, co to jest.

A jednak cieszę się, że odkryłam tę wiadomość, zanim Liam ją zobaczy i da się nabrać na jej wściekłe kłamstwa.

Kiedy już ją skopiowałam, usunęłam ją z jego poczty przychodzącej. Jaki byłby ze mnie przyjaciel, gdybym zostawiła wiadomość, żeby ją przeczytał, kiedy jest taki bezbronny?

Przed pójściem do samochodu wpadam po sąsiedzku, żeby sprawdzić, co z panią Peat. Tracę zapał, kiedy przyzywa mnie ręką: robi się późno, a wizyty zaczynają się zaledwie za pół godziny.

– Anno, nogi mi dzisiaj dokuczają, pomogłabyś mi dojść do łóżka?

Pani Peat może i jest stara, ale nadal jest całkiem krzepka, żeby ująć to uprzejmie, i trochę chodzi.

Cierpi na chroniczne reumatoidalne zapalenie stawów, ma lepsze i gorsze

dni. Linda, jej pielęgniarka społeczna, ustawiła łóżko na dole, stoi tam także sedes pokojowy.

Praktycznie całe życie pani Peat upływa w tym jednym smutnym pokoiku. Nie narzekam, bo nie chcę się czuć winna, przecież mogę zostać na krótką pogawędkę.

Zbieram się w sobie i mam nadzieję, że mój krzyż wytrzyma, kiedy pani Peat wreszcie udało się wstać i ciężko oparła się o mnie.

– Ostatnio jesteś bardzo zajęta, ciągle przyjeżdżasz i wyjeżdżasz – wyjękuje z trudem, kiedy w ślimaczym tempie suniemy przez pokój.

Pani Peat, może stara i chora, ale widzi wiele.

– Tak, trochę jeżdżę do szpitala – mówię, kiedy łapię oddech. – Odwiedzam przyjaciela, Liama.

– A, przyjaciela. – Uśmiecha się ciepło. – Kochana, wygląda na to, że sprawy dobrze ci się układają.

– To po prostu przyjaciel. I tyle – mówię oschle. Nie chcę, żeby pani Peat wyrobiła sobie mylne przekonanie.

Kiedy już usadowiłam ją w łóżku, robię jej herbatę i opowiadam o wypadku, o tym, jak siedziałam przy Liamie na jezdni, dopóki nie nadjechało pogotowie.

– Jesteś aniołem, Anno – mówi pani Peat. – Zawsze myślisz o innych. Jego babcia musi być ci wdzięczna, że tam byłaś, żeby mu pomóc.

Puszczam to mimo uszu. Nadal nie jestem do końca pewna, co Ivy o mnie sądzi.

– Nadal cię widzę, jak siedzisz tam, w fotelu z Arthurem, recytujesz wierszyki dla dzieci albo coś rysujesz. Byłaś taką bystrą dziewczynką.

Pod pretekstem, że idę do kuchni, żeby umyć ręce, wychodzę i czekam, aż przestanie mówić o przeszłości.

Kiedy już jestem pewna, że pani Peat znów czuje się dobrze, odjeżdżam do szpitala.

Po drodze wpadam do serwisu Master Key, żeby dorobić kopię klucza do domu Liama, tylko na wypadek, gdyby nie było nikogo, kto nakarmiłby kota.

I wtedy przypominam sobie: wczoraj nie wypuściłam z kuchni Borisa.

Tak wstrząsnęła mną toksyczna wiadomość od Amandy Danson, że zupełnie zapomniałam biedaka nakarmić.

Jakimś cudem znajduję miejsce parkingowe niedaleko wejścia do szpitala i ledwie wykupuję bilet, a już ustawia się za mną długa kolejka.

Trochę się spóźniam na początek odwiedzin, ale sądząc z tego, co widzę, inni też się spóźnili.

Nie wchodzę do sklepu i nie czekam na windę. Biorę po dwa stopnie naraz, a potem tego żałuję, bo muszę stać przed oddziałem minutę, żeby złapać oddech.

Słyszę brzęczyk, wpuszczają mnie, szybko przechodzę obok recepcji, do

nikogo się nie odzywając.

Jeśli stanie się tuż przed częściowo oszklonymi drzwiami, można zajrzeć do prywatnej salki Liama z korytarza oddziału. Natychmiast spostrzegam, że ktoś już tam siedzi: jakaś kobieta, plecami do drzwi.

Widzę blond kucyk, różowy płaszcz i dociera do mnie z zawrotną szybkością, że to ona. Amanda Danson, czy jak tam teraz się nazywa.

Twarz i szyję jakbym miała w ogniu.

Postanawiam zwracać się do niej, używając tego fikcyjnego nazwiska, przynajmniej na razie. Jeszcze nie chcę wygadać się przed Liamem albo przed Ivy, co ona zrobiła. Muszę zachować jasność myśli i racjonalnie myśleć o tym, co powinnam zdziałać.

Amanda zajęta jest rozmową, z ożywieniem gestykułuje.

Tka swoją opowieść, buduje nowe prawdy ze starych kłamstw.

To jasne, że Liam jest zasłuchany. Kiwa głową i uśmiecha się.

Patrzę, jak ona odrzuca głowę do tyłu i śmieje się z czegoś rehotliwie. Śmieje się! Kiedy człowiek, którego mało nie zabiła, leży przed nią, przykuty jest do szpitalnego łóżka, nie jest w stanie niczego sobie przypomnieć nie jest w stanie się ruszać.

Coś we mnie kurczy się, ściska, muszę się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

– Kochana, dobrze się czujesz? – Przechodząca pielęgniarka zwalnia.

Zanim zdołałam jej odpowiedzieć, Liam podnosi wzrok i zauważa mnie.

– Anna! – krzyczy. – Wejdz!

Odchodzę od drzwi, w głowie mi wiruje. Tego miało nie być, nie chcę, żeby Amanda Danson mnie zobaczyła. Potrzebuję więcej czasu na zaplanowanie, na przemyślenie kolejnego posunięcia.

Dobija mnie, że zostawiam Liama na pastwę jej kłamstw, ale jeszcze nie mogę zrezygnować z zasłony.

Ale wtedy drzwi się otwierają i oto ona uśmiecha mi się w twarz.

Ściskam pięści w kieszeniach kurtki, żeby powstrzymać się przed złapaniem jej za żyłastą szyję.

– Cześć – mówi. – Jestem Amanda.

Nie mam wyboru, muszę stać spokojnie w drzwiach i patrzeć prosto na nią.

Czekam, aż zobaczę jej zszokowaną minę. Czekam, aż jej przebiegły mózg położy most nad trzynastoletnią przepaścią i zrozumie, kim jestem.

Ona spogląda w tył, na Liama, potem znowu na mnie. Mija parę sekund i nie widać ani krzty rozpoznania.

– Pani jest krewną Liama? – pyta.

– Przyjacielem – kraczę i przełykam przez zaciśnięte gardło, żeby się nie zadławić.

Nie potrafię zmusić się do rozmowy z nią, ale nie mogę też oderwać oczu od

jej twarzy.

Chyba nie ma pojęcia, kim jestem, ale ja czekam, przekonana, że w każdej chwili coś może zaskoczyć.

Twarz ma bardziej pociągłą, cieńszą, niż pamiętam, ale rysy są identyczne. Rzymski nos, migdałowe oczy, raczej przebiegłe niż atrakcyjne. Pamiętam, że miała pieprzyk na podbródku, ale wygląda na to, że kazała go usunąć. Przynajmniej nie dziwi mnie jej próżność.

W końcu odsuwa się, a ja wchodzę, jak w transie, do pokoju.

Amanda przyciąga drugie krzesło, jakbym to ja była gościem, a ona dobrym przyjacielem Liama.

– Proszę – mówi radośnie i siada na własnym krześle.

Czekam na spojrzenie mówiące: „poczekaj, czy ja cię nie znam?”, które powinno się pojawić na jej twarzy w każdej chwili.

Tyle że się nie pojawia.

Siada, opiera się, wygląda na zrelaksowaną.

Jej nieskrępowany niczym tupet odbiera mi oddech. Dlaczego do diabła pielęgniarki pozwoliły jej wejść? Nie potrafię sobie wyobrazić, co sobie myślały.

Pierwszy wiersz jej wiadomości napakowany był kłamstwami.

Po prostu musiałam ci przesłać tę wiadomość, żeby powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Sekunda i droga była wolna, sekunda i ty na niej byłeś.

Jechała za szybko. I wcale nie widzę po niej, że jest jej przykro.

– Usiądź Anno – popędza mnie Liam, a ja zdaję sobie sprawę, że nadal stoję przy drzwiach jak skamieniała.

Jeśli jakimś cudem mnie nie rozpoznała, ostatnia rzecz, której bym chciała, to ostrzeżenie jej, że jest jakiś problem, więc siadam. Jednak nie mogę przestać się na nią gapić. Nie potrafię.

Bez makijażu i z włosami ściągniętymi w prosty kucyk, wygląda, jakby też cierpiała, chociaż to nieprawda. Oczywiście tylko udaje.

Musi być jakieś dziesięć lat starsza ode mnie, ale chyba wygląda młodziej, jest w lepszej formie. Liam na pewno nas porównuje i ja wypadam gorzej.

Liam kaszle.

– Anno, to jest Amanda, pani, która...

– Wiem, kim jest – odpowiadam cierpko.

Na jej twarzy natychmiast pojawiają się rumieńce. Mocno pociera kościste nadgarstki wystające z mankietów, jakby była zdziwiona, że należą do niej.

Liam otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale znów je zamyka.

Co tam było w jej wiadomości dla Liama?

Spóźniłam się z hamowaniem tylko o sekundę, ale ty jechałeś dalej. Tej sekundy będę żałować przez całe życie.

– Rozpoznaję panią – mówię, a ona podnosi wzrok.

Sprzed trzynastu lat, chcę dodać.

– Z wypadku. Widzi pani, ja tam byłam, wszystko widziałam. Pomagałam Liamowi, kiedy leżał ranny na drodze.

Milczenie. Liam odchrząkuje.

– Przyszłam tutaj dzisiaj, żeby powiedzieć Liamowi, jak mi przykro – szepcze ona.

Robi niezły show, ale ja widziałam to wszystko już wcześniej. Chociaż to niepokojące, że Liam patrzy na nią niemal z litością.

Jej wiadomość została ewidentnie tak skonstruowana, żeby zyskać jego zaufanie i współczucie.

Już nigdy nie usiądę za kierownicą. Mogłam cię zabić i teraz muszę z tym żyć.

Nie wie, że to nie poszło zgodnie z jej planem, dzięki Bogu nie widział jej wiadomości.

– Przyszła pani, żeby powiedzieć, że pani jest przykro? – powtarzam z płonną nadzieją, że usłyszy, jak komicznie, jak nieodpowiednio to brzmi.

– Tak. – Wstaje, otrzepuje džinsy, jakby to mogło strzepnąć problem. – Wiem, że przepraszam to naprawdę za mało, chciałam tylko...

Patrzy na Liama, zaciska wargi w wąską, prostą linię, w oczach błyszczą jej łzy.

Co za przedstawienie.

– W porządku, Amando – mówi łaskawie Liam. – Dziękuję, że przyszedłeś, do tego trzeba odwagi. Nic nie pamiętam z wypadku, ale kiedy mnie wypiszą, mogłabyś wpaść do mnie do domu, na herbatę, tak jak mówiłaś.

Dokładnie tak jak zaplanowała:

Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Bezbronny, tańczy tak, jak ona mu zagra.

– Liam, nie sądzę, żeby to było takie proste, że wpadnie się z wizytą i będziemy mogli zapomnieć o tym wszystkim – wyrzucam z siebie, niewiele myśląc. – Teraz w sprawę zaangażowała się policja i nie jestem pewna, czy wy dwoje będziecie mogli się porozumiewać.

– Właściwie, to policja jeszcze się ze mną nie skontaktowała – mówi Amanda tonem oznaczającym, że to nie moja sprawa. Zaraz się na tym łapie i łagodzi ton. – Niech pani zrozumie, daję mi czas, żebym doszła do siebie. Po tym szoku trochę nie byłam sobą.

Zaledwie parę minut wcześniej ryczała ze śmiechu.

Nie wiem, jak mi się to udało, ale zacisnęłam usta i odwróciłam wzrok, kiedy szła do drzwi. Boję się tego, co mogłoby się stać, gdybym wyrzuciła z siebie to, co wrzało mi w piersi jak kwas.

Kiwa do mnie głową na pożegnanie, a ja, oczywiście, całkowicie to ignoruję.

– Najwyraźniej nie po raz pierwszy zdarza się jej coś takiego – mówię do Liama, kiedy zamknęła za sobą drzwi. – Zrzuciła też dziecko z rowerka.

Już kiedy te słowa wytaczają się ze mnie, nie wiem, po co to mówię. Tego rodzaju sprawy można potwierdzić, ale ktoś musi przemówić Liamowi do rozsądku, zanim ona wpije w niego swoje szpony.

Liam marszczy brwi.

– Ale ona mówiła, że wtedy dopiero co zdała na prawo jazdy.

– Kobieta w jej wieku? Szczerze wątpię – szydę. – Poza tym, przecież tak, czy tak, skrzywdziła to dziecko. Nie powinnam tego wiedzieć, więc zachowaj to dla siebie, ale myślę, że powinienes wiedzieć, że gra kogoś innego, niż jest naprawdę.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi Liam zapatrzony w okno. – Nie mogę uwierzyć, że skrzywdziła dziecko i nie wspomniała o tym, po tym jak powiedziała, że uwielbia swoją pracę.

Czuję ciarki na karku.

– Swoją pracę?

Liam patrzy na mnie.

– Pracuje w prywatnym przedszkolu, Pszczółki, czy coś takiego, w West Bridgford, tak powiedziała. Powiedziała, że naprawdę kocha dzieci.

I właśnie wtedy mój plan zaczyna się układać jak doskonale dopasowane puzzle.

Tuż po kwadrans po trzeciej następnego popołudnia parkuję samochód po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko przedszkola Pracowite Pszczółki na Melton Road w West Bridgford.

Nie wiem dokładnie, o której ona kończy, ale wiem na pewno, że większość prywatnych przedszkoli jest otwarta do późna, bo adresują swoją ofertę do rodziców, którzy koniecznie chcą mieć dzieci, a potem pracują cały boży dzień i płacą komuś innemu, żeby opiekował się ich pociechami.

Gdybym miała chłopca, albo dziewczynkę, bardzo ceniłabym sobie każdą chwilę z nimi. Nigdy nie wiadomo, ile ma się czasu dla ludzi, których się kocha. Na to przecież nie ma gwarancji.

Na ulicy prawie nie ma ludzi, ale na jej końcu parkuje sporo samochodów. Domyślam się, że to czas odbierania dzieci z przedszkola, a w ruchu pieszym, sporym we wcześniejszych godzinach, teraz nastąpiła przerwa.

Przyjeżdżając wcześniej, przynajmniej mam największe szanse, że zobaczę ją, kiedy w końcu wyjdzie z pracy.

Niebo jest w różowe i niebieskie prążki, nie licząc szarego, przydymionego pasma z przelatującego samolotu, który przerzyna się prosto przez pastele, niszcząc ich efekt.

Myślam skaczę po całej okolicy. To chore, że komuś, kto niesie rany i śmierć, powierza się opiekę nad dziećmi niczego niepodejrzewających ludzi.

Poruszenie przy głównych drzwiach. Dwoje pracowników, w takich samych, głupich, żółtych kaftanikach bez rękawów z naszytymi przesadnie wielkimi pszczołami, wychodzi, zapala papierosy, rozmawia, śmieje się.

Trudno o mniej atrakcyjną reklamę instytucji opieki nad dziećmi, ale tak się składa, że jej wśród nich nie ma.

Przechodzi mała dziewczynka, około pięciu lat, i wisząc u ręki mamy, patrzy na mój samochód. Kobieta jest zajęta rozmową telefoniczną i nawet nie zauważa, że tu siedzę i obserwuję.

To robi wrażenie, że dzieci potrafią być tak bystre, a większość dorosłych, zajęta codziennością, tak mało dostrzega.

Ja zawsze byłam spostrzegawcza, muszę taka być, to wynika z pracy.

Dla przeciętnego zjadacza chleba parę kwatek mleka stojących pod drzwiami pod koniec dnia nie ma żadnego znaczenia. Dla mnie to samo może znaczyć, że niemłodzi lokatorzy zemdleli w domu.

Na szczęście nic takiego jeszcze nie zdarzyło się podczas mojego obchodu, ale i tak staram się zachować czujność.

Widziałam zbyt wiele informacji w wiadomościach, kiedy policja,

poinformowana przez kuriera albo kogoś takiego, znajduje w stanie rozkładu ciało, które kiedyś kimś było.

Kogoś, za kim nikt nie będzie tęsknił.

O czwartej nadal nie ma śladu Amandy Danson.

Przychodzi mi do głowy, że mogę przeczekać tutaj jeszcze wiele godzin tylko po to, żeby dowiedzieć się, że dzisiaj wyszła wcześniej albo że ma wolne. Wtedy doznaję olśnienia.

Wstukuję w telefon numer na szyldzie Pracowitych Pszczółek. Kiedy odbiera recepcjonistka, proszę Amandę Danson.

– Dzwonię z zakładu naprawczego – mówię.

Chcę dowiedzieć się, czy w ogóle jest w budynku, ale moja mała sztuczka daje niespodziewane dywidendy.

– Amanda dzisiaj nie pracuje – mówi mi recepcjonistka. – Ale może pani zadzwonić do niej na komórkę.

– Przepraszam, ale notatnik mam w strzępach i brakuje połowy numerów na komórki. Dlatego dzwonię do niej do pracy. – Wzdycham, a tętno mi przyspiesza.

– Nie sądzę, żeby mogła dać mi go pani ponownie? Chodzi o to, że pewnie będę miała kłopoty, jeśli nie uda mi się z nią skontaktować, bo mam ważne informacje o jej samochodzie.

Chwila wahania.

– W takich okolicznościach to chyba będzie w porządku – mówi. – Wiem, że Amanda martwiła się o swój samochód i jeśli to jest ważne...

– Bardzo dziękuję. – Trudno mi uwierzyć w moje szczęście. Nachylam się i grzebię w schowku, szukając długopisu i kawałka papieru.

Typowe: Amanda martwi się o samochód, a nie o ludzkie koszty nonszalanckiej jazdy.

Słyszę, jak kobieta po tamtej stronie stuka w klawisze. Potem po prostu odczytuje numer.

I nagle mój dzień nie jest już taki nieudany.

W domu pierwsze, co mnie uderza, kiedy wchodzę przez drzwi, to smród. Mściwie wrócił.

Patrzę na Alberta radośnie ocierającego się o róg szafki kuchennej. Zdaje się na to nie reagować, a jest bardzo wrażliwy na zapachy.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie wrzucił gdzieś w domu, w niedostępne miejsce trupka małego gryzonia albo ptaszka. Mam nadzieję, że nie będę musiała sprzątać po raz kolejny nieprzyjemnego bałaganu po nim. Małe ptaszki mają zaskakująco dużo wnętrzości upakowanych pod pierzastą małą piersią.

Znów przechodzę z pokoju do pokoju, próbuję zorientować się, skąd dochodzi ten smród. To mieszanka słodkiej zgnilizny, z którą nie potrafię dać sobie rady.

Kiedyś oglądałam film ze sceną, w której pierzaste chmury much pojawiają się w niewytłumaczalny sposób po wewnętrznej stronie okien w zamkniętym pokoju. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy zgnilizna tego domu i jego żałosna przeszłość ulotniły się ze ścian.

Wnętrze było wtedy w takim stanie, że pomyślałam, że trzeba by zburzyć cały dom. Służby socjalne pomogły mi go odnowić. Zamówili ludzi, żeby przyszli i wymienili różne rzeczy, pozakrywali to, co stare i zniszczone.

Mimo to często myślę, że ślad wszystkiego, co tu się zdarzyło, nadal jest pod spodem. Wiem, że to nigdy nie zniknie.

Głaszczę palcami gładki tynk długiej ściany w środkowym pokoju. Kiedy dom stał się mój, kazałam odnowić całą resztę.

Oczywiście wiem, że to tylko cienka powłoka, powierzchniowa licówka, próbująca ukryć dźwięki i wspomnienia, które na zawsze będą uwięzione w tych ścianach.

Mrugam parę razy, żeby przywrócić myśli na właściwe tory. Takie rozpamiętywanie spraw nie pomoże mi znaleźć źródła zapachu.

Smród, tak jak wcześniej, nie robi się mocniejszy ani słabszy bez względu na miejsce, w którym stoję. Wszędzie śmierdzi tak samo.

Jeszcze raz przechodzę przez cały dom z butelką antyseptycznego sprayu i szmatką.

Zaglądam za meble i w zakurzone kąty. Nie wchodzę tylko do składziku.

Nie chcę tam zaglądać.

Później, kiedy przyjeżdżam do szpitala, Ivy siedzi obok łóżka Liama.

– Więc wróciłaś – mówię. – Już lepiej się czujesz?

Kiwa głową i rozpromienia się do Liama, najwyraźniej w pełni wróciła do sił po zapaści.

– Pozwolili mu jutro wrócić do domu – mówi.

Ma na sobie spłowiałą sukienkę w kwiatki i brązowy, rozpinany sweterek z guzikami wokół mankietów. Zauważam, że jeszcze nie zdjęła plastikowej szpitalnej bransoletki identyfikacyjnej, którą dostała, kiedy ją na krótko przyjęli po omdleniu. Niektórzy ludzie uwielbiają zwracać na siebie uwagę.

Nie wygląda na to, żeby Liam był równie podniecony perspektywą wypisania jak Ivy. Nie dziwi mnie to. Zamelinowanie się gdzieś ze starą kobietą, której się nie pamięta, dla nikogo nie byłoby powodem do radości.

– To dobra wiadomość – mówię do Liama, siadając po drugiej stronie jego łóżka. – O której powinni cię wypisać? Postaram się być gdzieś tutaj.

– Jeszcze nie znamy szczegółów – odpowiada Ivy za niego. – Wkrótce ktoś przyjdzie, żeby z nami o tym porozmawiać.

Wygląda na to, że „z nami” dotyczy tylko jej i Liama.

Parę minut później wchodzi wysoka, pulchna kobieta z jasnoniebieskimi

cieniami na powiekach i mocną trwałą. W rękę trzyma podkładkę na dokumenty. Ubrana jest zwyczajnie, ale na szyi dynda jej smycz z identyfikatorem, a ona rozbija się, jakby jej praca była najważniejsza dla szpitala.

– Jestem Maureen, wasza koordynatorka do spraw opieki nad pacjentem – informuje jednym tchem Liama. – Moim zadaniem jest upewnić się, że po opuszczeniu szpitala w domu będzie pan miał odpowiednie warunki.

Zadaje pytania i zapisuje odpowiedzi na wydrukowanym formularzu.

Czy Liam ma transport do domu i czy będzie potrzebował zwolnienia lekarskiego na początek nieobecności w pracy?

– Nie idę do pracy – odpowiada cicho Liam.

– Pan na pewno to pamięta? – Maureen przestaje pisać i podnosi wzrok.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy – mówi do niej Ivy. – Zanim pani weszła.

Zerkam na Ivy, ale ona wpatruje się łzawiącymi oczami w Maureen.

– Nie mogę pójść do pracy, bo...

– Bo właśnie ją zmienia – przerywa Ivy. – Studiuję fotografię w college'u.

Maureen przerywa, parę razy mruga, jakby próbowała znów skupić się na kwestionariuszu. Na koniec pyta, czy Ivy potrzebna jest jakaś pomoc w domu, kiedy Liam będzie dochodził do zdrowia.

Ivy zaczyna bełkotać o wynajęciu taksówki i o sąsiadach, których poprosi o pomoc na kilka dni, kiedy Liam będzie dochodził do zdrowia.

– Ivy, jutro zabiorę was oboje do domu – oznajmiam stanowczo. – Mogę też pomóc ci opiekować się Liamem, kiedy wróci.

– Bzdura, Anno zrobiłaś już wystarczająco dużo – mówi szybko Ivy.

Patrzę na Maureen i lekko się do niej uśmiecham.

– Sama dopiero co doszła do siebie po omdleniu – mówię. – Mogę spokojnie im pomóc.

– Rozumiem. Cóż jutro przez prawie cały dzień będą robili ostatnie testy i przygotowywali lekarstwa, więc pewnie dość późno będzie gotowy do wyjazdu – mówi Maureen, zapisując coś.

– Jeśli tak będzie wygodnie, możemy zabrać go na początku czasu odwiedzin, jutro wieczorem – odpowiadam. – Wszystko załatwię, nie musisz się niczym martwić, Ivy.

– Ja się nie martwię. Tylko że...

– Myślę, że powinna pani przyjąć uprzejmą propozycję pani przyjaciółki – mówi łagodnie Maureen. – To ciężka praca opieka nad inwalidą, proszę pani, szczególnie że pani sama nie jest w najlepszej kondycji.

– Ale z nami będzie w porządku, Anna właściwie nie jest przyjaciółką, my dopiero co...

Kręcę lekko głową pod adresem Maureen, żeby przerwać protesty Ivy.

– Niech się pani nie martwi, zawiozę ich do domu – mówię. – Nie pozwolę,

żeby się męczyli bez mojej pomocy.

Później, po drodze do domu, zajeżdżam do wielkiego supermarketu Tesco w Carlton i biorę tani telefon na kartę razem z nową kartą SIM i dziesięciofuntowym kredytem.

Gdzieś czytałam, że jeśli się nie zarejestruje zestawu u dostawcy usług, telefony są nie do namierzenia. Zawsze dobrze wiedzieć takie rzeczy.

Kiedy dojeżdżam do domu, dzwonię z nowego telefonu na numer komórki Amandy Danson.

Od razu przekierowuje mnie na pocztę głosową. Słucham jej spersonalizowanego, nagranego przywitania, a na ramionach mam gęsią skórę, gdy jej głos gładko przynudza.

Jest taki uprzejmy i rozsądny. Jakby to była osoba, której można zaufać.

Dzwonię i słucham go osiem razy, aż uczę się na pamięć jej słów, a w głowie zostaje mi dokładny ton jej głosu.

Clifton, Nottingham

Colin Freckleton siedział w nieoznakowanym srebrnym fordzie fokusie. Czekał.

Był piękny poranek, dochodziła siódma. Idealna pogoda na jego zadanie, ładnie, bezchmurno, ale nie za ciepło. Colin opuścił troszeczkę szybę, żeby cieszyć się śpiewem ptaka dochodzącym z pobliskiego żywopłotu. Pewnie pliszka, jeśli się nie mylił.

Zamknął oczy i zaledwie przez chwilę nic nie robił, żeby rozkoszować się przewidywanym sukcesem. Zawsze tak miał na początku nowego zadania.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widział całą Patching Hill, czyli sporą część trasy, którą teraz przemierzał.

Jak zwykle poprzedniego wieczoru, wykorzystując wolny czas, zrobił niewielki rekonesans, żeby znaleźć najlepszą pozycję do prowadzenia obserwacji. Colin zwykł myśleć, że jest to jedna z rzeczy, która wyróżnia go od reszty zespołu.

Na fotelu pasażera ułożył w doskonałym porządku swój normalny zestaw. Nie przeszkadzała mu myśl, że jest niewolnikiem własnych przyzwyczajzeń.

Silna miniaturowa lornetka, aparat cyfrowy razem z obiektywem o zmiennej ogniskowej, tablet, telefon i oczywiście niezawodny ołówek 12 HB wraz z notatnikiem oprawnym w moleskin. Baterii nie potrzebował.

Colin szczyił się dbałością o szczegóły i udokumentowaną historią wiarygodnej, precyzyjnej inwigilacji. Jego wyniki mówiły same za siebie i dlatego w niecałe pięć lat awansował o cztery pełne stopnie od administratora biura do wyższego funkcjonariusza Wydziału Śledczego Poczty Brytyjskiej.

Otworzył notatnik i ponownie przejrzał spisane przez siebie punkty.

Anna Clarke, pracownik poczty od pięciu lat.

Znajoma sprawa. Dobry charakter, żadnych jak dotąd niedyskrecji, a potem, trach, niespodziewanie, kilka skarg od klientów związanych z niedostarczeniem poczty.

Kierownik panny Clarke podobno z nią porozmawiał i otrzymał całkowite zaprzeczenie, jakie wydział śledczy ciągle napotykał w tego rodzaju sprawach.

Ale przez ostatnich kilka dni otrzymano kolejne poważne zażalenia z miejscowego szpitala. Kilku pacjentów mieszkających w tym rejonie pocztowym nie otrzymało ważnych zawiadomień o wizytach u lekarza, bo poczta konsekwentnie do nich nie dochodziła.

Z doświadczenia Colina wynikało, prawie nigdy nie był to przypadek, jeśli z

ustaleń wynikało, że błędy pojawiały się tylko w jednym rewirze pocztowym. Szczególnie jeśli to był pracownik, z którym już rozmawiano o problemach z doręczaniem przesyłek.

Kierując się tym, dyrekcja poczty zażądała zaangażowania się wydziału śledczego i powiadomiono zespół Colina.

Pierwszy etap oficjalnego postępowania został ukończony, kiedy wydział śledczy wysłał kilka listów atrap.

Colin zapisywał to w notatniku i obliczył, że na dziesięć przesyłek współczynnik niedostarczonych listów wyniósł sześćdziesiąt procent. Tak niskich wyników nie można było zaakceptować.

Teraz zadaniem Colina było zebranie konkretnych dowodów wymaganych do wszczęcia procedury zawieszenia, dymisji i prawdopodobnie oskarżenia pracownika.

Jeśli dowody będą wystarczające, wydział śledczy będzie upoważniony do wkroczenia do domu pracownika, żeby odzyskać skradzioną lub niedoręczoną pocztę: zgodnie z prawem była to własność Jej Królewskiej Mości.

Według doświadczenia Colina pracownicy poczty w większości sądzą, że ujdzie im to na sucho. Jakby wierzyli, że nadrobią zaniedbania i w końcu dostarczą pocztę. A w najgorszych przypadkach zniszczą ją.

Zauważył ruch u podnóża pagórka. Odłożył notatnik i sięgnął po okulary.

Znajome fluoroscencyjne kolory liternictwa poczty brytyjskiej na odblaskowej kamizelce rowerzystki ukazały się w soczewkach lornetki. Kiedy odwróciła głowę w stronę jezdni, Colin chwycił aparat, nastawił ostrość i zrobił kilka fotek do teczki, żeby dowieść właściwego rozpoznania.

Czy to będzie niszczytelka, czy ciułaczką?

Zawsze była to jedna z tych dwóch kategorii i zadaniem Colina było ustalić, do której kategorii należała Anna Clarke.

Anna

Następnego ranka pogoda jest ładna, bez deszczu i z niewielkim wiatrem. Udaje mi się doręczyć dobre dwie trzecie poczty.

Resztę wrzucam do bagażnika, żeby ją „przetworzyć”, bo tak postanowiłam to teraz nazywać.

W domu zaglądam do pani Peat, karmię Alberta, trochę odpoczywam, a kwadrans po trzeciej znów staję przed przedszkolem Pracowita Pszczółka. O wpół do czwartej poruszenie, bo rodzice odbierają dzieci, a potem znów spokój.

O czwartej przyciąga mój wzrok ruch przy bocznych drzwiach. Tym razem to Amanda, ale nie jest sama. Wychodzi za nią mężczyzna. Przez chwilę stoją i rozmawiają.

Ubrany jest w kombinezon marynarki wojennej i brązowe okute stalą buciory. Trzyma krótką, drewnianą deskę i zardzewiałe pudło na narzędzia. Ciemne włosy ma zakurzone i rozczochrane.

Pochyla się do przodu, mówi coś do niej, a ona uśmiecha się i kiwa głową, potem on wraca i zamyka za sobą drzwi.

Amanda rozgląda się krótko po ulicy, szukając czegoś w torebce, a potem idzie powoli w stronę mojego samochodu stojącego po przeciwnej stronie. Dzisiaj ma porządniej związane włosy, idzie z lekko pochyloną głową, naciskając klawisze komórki. Nosi płaskie czółenka, nogi ma gołe, opalone, mimo że na dworze jest dość chłodno.

Tak się zdenerwowałam, kiedy wpadłam na nią w szpitalu, że nie byłam w stanie dokładniej, dłużej się jej przyjrzeć, ale dzisiaj nie muszę się spieszyć. Tak jak podejrzewałam, nie ma na sobie nawet zadrapania: w ogóle żadnego znaku, że przeszła przez ciężką próbę. Żadnych kul, żadnych siniaków, nic.

Dla tej kobiety życie ponownie toczy się normalnie.

Można się domyślić, że dużo myśli o sobie. Widać to po sposobie, w jaki ułożyła włosy, są gładkie i polakierowane. Wsuwki do włosów diamanté mocno trzymają fryzurę, a maleńkie, pokolorowane kamyki lśnią w jej uszach i na szyi.

Jasne, że wygląda lepiej niż wychudzony, podobno prześladowany przez poczucie winy wrak, który parę dni temu w szpitalu błagał Liama o przebaczenie.

Myślę o impertynenckich słowach w przesłanej Liamowi wiadomości online. Nie wygląda dla mnie na kobietę złamaną wyrzutami sumienia i smutkiem. Nie jest aż tak oplątana winą, żeby nie mogła się odpicować i pogadać sobie na koniec pracy.

Nie ma pojęcia, że tutaj jestem i obserwuję ją.

Ale pewnego dnia znów dowie się ze szczegółami, kim jestem.

Czuję ściskanie w piersi, kiedy patrzę, jak idzie po drugiej stronie ulicy, tuż obok mojego wozu.

Zastanawiam się, czy wysiąść z samochodu i pójść za nią pieszo, ale wtedy ona zwalnia, wciska telefon z powrotem do torebki i staje na przystanku autobusowym przy końcu ulicy.

Jakaż to niewygodna, bez samochodu.

Nie zauważyłam, jak bardzo jej wóz ucierpiał w czasie wypadku, ale po moim wczorajszym telefonie do niej, do pracy, spokojnie mogę założyć, że oddała go do naprawy i bardzo szybko zacznie jeździć, znów narażając ludzkie życie na niebezpieczeństwo.

Próbuję przewidzieć, dokąd ona się wybiera. Nie chcę jej śledzić, żeby nie utknąć na całe godziny pod centrum handlowym, ale jeśli jedzie prosto do domu, to może być doskonała szansa, żeby zobaczyć, gdzie mieszka.

Koniecznym muszę się tego dowiedzieć, a przy żółtym tempie pracy policji, lepiej, żebym zdała się na własne siły.

Udaje mi się utrzymać taką odległość za autobusem, że między nim a moim wozem jest kilka samochodów. Jadę powoli, więc kiedy staje, widzę doskonale, kto wysiada.

Ona wysiada tuż za rogiem Rowland Street.

Widzę, jak skręca, przejeżdżam obok niej i zatrzymuję się w połowie ulicy, skąd mam dobry widok na wszystkie domy.

Wydaję nowy telefon i naciskam guzik, który zaprogramowałam na numer jej komórki. Przełączam się na głośne mówienie i trzymam go na kolanach, żeby nikt nie zauważył.

– Halo. – Samochód wypełnia się jej zwodniczym głosem. – Halo?

Zamykam oczy, nie odzywam się.

– Halo? – Jej głos jest już bardziej niecierpliwy, ale ja nie mówię ani słowa, chcę tylko sprawdzić, czy mam właściwy numer. Czy wszystko jest w porządku.

Kończę połączenie, jestem spokojna, że mój plan idzie w dobrym kierunku.

Przede mną i za mną stoi mnóstwo samochodów. Ona przechodzi obok mnie. Wrzuciła telefon z powrotem do torebki, nawet pobieżnie na mnie nie patrząc.

Jeszcze sto metrów i skręca na podjazd z małą przyczepą kempingową. Mieszka w standardowym bliźniaku schowanym u końca ślepej uliczki Rowland Street.

Czekam parę minut i powoli przejeżdżam, żeby zanotować numer domu.

Przypadkiem wiem, że ten adres należy do rewiru Johna Burtree, który teraz jest na chorobowym, bo ma podagrę. Jest on jednym z tych, którzy co jakiś czas biorą wolne i wtedy zawsze chodzi o stopę albo o nogę, żeby nikt nie powiedział,

że jednak mógł przyjść do pracy.

Pewnie wzięli pracownika z agencji, żeby obsłużył ten obszar.

Dom wygląda dość ładnie. Stoi na terenie dla ludzi w średnim wieku, jeśli coś takiego istnieje. Firanki i sfatygowane krzesło z kutego żelaza pod oknem salonu.

Dom wygląda na zbyt wielki i za dobry jak na nią. Może mieszka z partnerem, chociaż na jej dłoni nie zauważyłam obrączki.

Udało mi się już zdemaskować jedno z kłamstw w jej wiadomości dla Liama:

Przestałam wychodzić, po prostu nie jestem w stanie spojrzeć w oczy ludziom, nawet przyjaciółom.

Jak widać, nie przestała wychodzić. Właśnie przyjechałam za nią z pracy do domu. Zabrakło jej nawet przyzwoitości, żeby wziąć parę tygodni wolnego.

Jednocześnie starczyło jej pewności siebie, żeby bez zapowiedzi pójść do szpitala i zdenerwować Liama wylizującego się z ran, które mu zadała.

Ze względu na okoliczności, w których się znalazł, musiał przyjąć na wiarę wszystko, co mówiła, ale na szczęście miał mnie, swoje oczy i uszy, a mnie nie da się ani trochę oszukać.

Drzę na myśl, co mogłoby się zdarzyć, gdybym nie weszła do salki Liama, kiedy tam była. Już zdążył głupio zaprosić ją do siebie, do domu, co samo w sobie pokazuje, że nie jest w pełni władz umysłowych.

Liam mógł myśleć, że nie potrzebuje pomocy, ale ja wiem lepiej.

Zastanawiam się, jaki jest jej motyw nadrzędny? Musi jakiś mieć, bo nie robiłaby sobie problemu z odwiedzinami w szpitalu i nie budowałaby siatki kłamstw w wiadomościach przesyłanych online.

Na pewno ma to coś wspólnego z próbą uniknięcia płacenia za szkody. A może chce skaptować Liama na swoją stronę, żeby uchylić się przed problemami z policją.

Nie mogę być całkowicie pewna, co ona ma w głowie. Wiem tylko, że pozbawiona okazji przebywania z Liamem sam na sam, będzie miała problem, żeby nim manipulować.

Zatrzymałam się po drodze do domu, żeby kupić prowiant i ledwie przełknęłam sardynki na toście, już musiałam jechać do szpitala.

Zanim wyszłam, runda po domu zajęła mi kolejne dwadzieścia minut. Podstawowe sprawdzanie chyba trwało dłużej, ale wreszcie skończyłam i jednak udało mi się przyjechać do szpitala na czas.

Wchodzę na oddział i przy recepcji wpadam na Maureen.

– Dziękuję za wsparcie dla Liama i jego babci. – Natychmiast mnie rozpoznała. – Nie sądzę, żeby pani Bradbury w pełni zdawała sobie sprawę, jakie konsekwencje będzie miała rana głowy Liama podczas opieki poszpitalnej, chociaż

lekarz parę razy próbował jej wytłumaczyć, na czym polegają problemy.

Ivy nawet mi o tym nie napomknęła. Gdyby lekarz miał trochę rozsądku, mnie też włączyłby w rozmowę.

– Jakie problemy? – pytam.

– Mogą być zmiany nastroju i utraty pamięci. Rodzina z trudem sobie z tym radzi. Liam chyba przestał brać lekarstwa, które wcześniej dostawał, więc lekarz powiedział, że to konieczne, żeby znów zaczął przyjmować te tabletki.

Mrugam do niej.

– Zresztą, nie powinnam z panią o tym mówić, ale lepiej, żeby pani wiedziała, na czym problem polega. – Uśmiecha się do mnie lekko i odchodzi bez słowa.

Zastanawiam się, o jakich lekarstwach mówiła. Może o środkach przeciwbólowych?

Próby niesienia pomocy Liamowi i Ivy są jak poruszanie się w ciemnym pokoju.

Pielęgniarki spakowały wszystko, co Liam zabiera do domu, a ja zrobiłam razem trzy wyprawy z jego salki szpitalnej do samochodu.

Ivy, mimo że wcześniej protestowała wobec Maureen, teraz jest chyba bardzo zadowolona, że na mnie spada noszenie wszystkiego.

Żałuję jednak, że na parę minut się nie przymknie. Co jakiś czas próbuję zagadać do Liama, a Ivy mi przerywa.

Widzę błyski irytacji w oczach Liama, więc wiem, że czuje to samo.

Choćby Ivy nie wiem jak upierała się, że da sobie radę w domu, będę pod ręką, ze względu na Liama.

Kiedy wszystko już jest zapakowane do bagażnika i kiedy już zrealizowałam w szpitalnej aptece jego pokaźną receptę, wszyscy troje udajemy się do samochodu.

Liamu poinstruowano, żeby jeździł na wózku wypożyczonym ze szpitala, dopóki doktor Khan nie sprawdzi za tydzień jego nogi. Ivy jest za słaba, żeby pchać Liama na taką odległość, nie jest w stanie przejść więcej niż kilka kroków bez zadyszki.

Więc popycham zaspanego Liama w górę i w dół po niekończących się szpitalnych korytarzach, aż dojeżdżamy do windy. Zajmuje nam to dwa razy więcej czasu, bo muszę ciągle zwalniać, żeby zaczekać na Ivy.

– Przywiozę go z powrotem na badania kontrolne – mówię, kiedy czekamy na przepracowaną windę. – Nie ma sensu, żeby drugi raz wlec cię przez to wszystko.

– To palpacje – dyszy Ivy, opierając się o bladozieloną, lśniącą ścianę. – Jak miną, dojdę do siebie.

Ivy sama jest teraz pod szpitalną obserwacją. Okazuje się, że ma słabe serce,

a stres może to pogorszyć.

Dla wszystkich jest boleśnie oczywiste, że w takim stanie niewiele dobrego zdołała dla Liama. Ale jest irytująco uparta, że i tak da sobie radę.

Kiedy docieramy do samochodu, Liam budzi się i nalega, że wstanie z wózka i sam wsiądzie do wozu.

– Jakie lekarstwo przestałeś zażywać? – pytam, kiedy z trudem sadowi się w samochodzie.

– Co? – Ivy chwyta za podglówek swojego fotela z tyłu i nachyla się, żeby posłuchać.

– Maureen powiedziała, że przestałeś brać lekarstwa, Liam – zwracam się znów do niego, ignorując starą. – Pewnie to nie są środki przeciwbólowe?

– Ja nie...

– Ach, o to chodzi. – Ivy znów sabotuje naszą rozmowę. – Tak, jedna z tabletek, którą mu dawali, wywoływała u niego nudności, ale teraz ją na coś zamienili.

– Ivy, wszystkie te lekarstwa możemy przejrzeć w domu – mówię, kiedy wreszcie instaluję się w fotelu kierowcy. – Ważne, żebyś wiedziała, co i kiedy ma brać.

– Anno, wszystko jest już w porządku – mówi Ivy. – Sami doskonale dajemy sobie radę, ale i tak dziękuję.

Kiedy docieramy do domu, Boris chodzi w tę i z powrotem po ścieżce.

– Biedny kot – wzdycha Ivy. – Myśli, że go porzuciliśmy.

– Zajrzałam tu, kiedy byłeś w szpitalu – mówię, starannie dobierając słowa.

– Szukałam go wokół domu, ale nie chciałam zostawiać jedzenia na dworze, żeby nie przyciągnęło gryzoni.

– To ładnie z twojej strony, ale zadzwoniłam do sąsiadki Beryl i ona nakarmiła go za mnie.

Mam nadzieję, że Beryl nie zauważyła światła, kiedy byłam w środku i na próżno szukałam wizytówki służbowej policjanta.

Jeśli Ivy jest dozgonnie wdzięczna Beryl za to, że nakarmiła kota, można by sądzić, że wpadnie w zachwyty, skoro pomogłam Liamowi wrócić do domu i chcę pomóc przy kolejnej wizycie.

Ale oczywiście nic na to nie wskazuje.

Zero wdzięczności z jej strony, a do tego, nie wiadomo dlaczego, przez cały czas odrzuca wszystkie moje oferty pomocy.

Trzydzieści lat wcześniej

Danielowi Clarke'owi pocily się ręce, czuł się tak zmęczony, że mógłby po prostu położyć się i przespać resztę dnia.

Żałował, że nie może uciec do sąsiadki, do pani Peat, tak jak to robiła Anna, kiedy tylko wracała ze szkoły. Ale matka nie lubiła spuszczać Daniela z oczu, nie ufała mu, myślała, że może zrobić coś złego.

Już od ponad pół godziny siedział i cicho czekał w swojej sypialni, kiedy matka go zawołała.

Wreszcie przybył ojciec MacCarrick, był z nim także John Peters, seminarzysta, którego Daniel znał z kościoła. Schodząc powoli, Daniel słyszał ich stłumione głosy.

Pod szkolną koszulą, na górnej części ramion miał parę znaków i naprawdę bolało go gardło, ale nie wolno mu było nikomu o tym powiedzieć.

Matka zastawiła stół porcelanowymi filiżankami i pasującymi do nich talerzami. W piekarni za rogiem kupiła sześć francuskich ciastek i ułożyła je starannie na białym, porcelanowym talerzu ze spłowiałym złotym szlaczkiem wzdłuż brzegu.

Był porządny imbryk z sitkiem, a mleko nie było z kartonu. Matka naląła je do białego dzbanuszka z maleńkim odpryskiem na uszku.

Honorowe miejsce pośrodku stołu zajmował ich najcięższy, wypolerowany pszczelim woskiem mahoniowy krzyż, z imponującym, szczególnie oddanym cierpiącym Jezusem.

– Daniel od tygodnia emocjonował się wizytą ojca – powiedziała matka do księdza. – Jest zdenerwowany, ale bardzo mu zależy, żeby zrobić na księdzu dobre wrażenie.

Mówiła wyższym niż zazwyczaj głosem i nie opuszczała liter na końcu słów.

Daniel stał w drzwiach i przyglądał się własnym stopom. Czuł na sobie wzrok Johna Petersa.

– A tutaj jesteś – powiedziała dziwnym głosem matka.

– Cześć, Danielu – powiedział ksiądz.

– Cześć, ojciec.

– Cześć, Danielu – powiedział seminarzysta.

– Cześć, John.

– Cóż, nie kryj się teraz w cieniu, chłopcze – zbeształ go ojciec MacCarrick miękkim irlandzkim akcentem. – Chodź, usiądź z nami. Popatrz na tę wspaniałą

strawę, jaką twoja mama przygotowała, żeby nas ugościć.

Matka zachichotała jak młoda dziewczyna i ponownie złożyła serwetkę przy swoim talerzu. Kiedy naląła herbaty, zaczęła opowiadać ojcu MacCarrickowi o wycieczce na Wschodnie Wybrzeże, która miała się odbyć w Wielki Tydzień.

John Peters wepchnął sobie do ust całe francuskie ciastko i kiedy ojciec MacCarrick i matka Daniela zatopieni byli w rozmowie, sprytnie pokazał Danielowi przeżute nadzienie na języku.

Daniel dostał herbatę w zwyczajnym, wyszczerbionym kubku.

– No, to może zjesz ciastko, Danielu? – Ojciec MacCarrick podał mu talerz, na którym zostało tylko jedno. Danielowi powiedziano, że ma odmówić, gdy będzie częstowany.

– Nie, dziękuję ojcie – powiedział i wdychając cukier, wyobraził sobie, jak słodkie nadzienie rozpuszcza mu się na języku.

– Nie odmówiłbym jeszcze jednego, jeśli coś zostało – powiedział John, porywając ciastko z talerza.

– Godna uwagi wstrzeźliwość Danielu – powiedział z uznaniem ojciec MacCarrick. – Pozytywna cecha, prawda, pani Clarke?

– Ojcie, w tym domu robimy, co w naszej mocy, żeby odpędzić zachłanność – zgodziła się matka.

– Godne podziwu – mruknął ksiądz. – A według młodego Daniela, jakie inne zalety powinien mieć dobry ministrant?

Statyczny zgiełk wypełnił głowę Daniela. Znał wszystkie prawidłowe odpowiedzi, ale zgubiły się mu we mgle ogarniającej jego mózg.

– No, chłopcze, nie gryziemy. – Ojciec MacCarrick mrugnął do matki, a ona uśmiechnęła się, ale Daniel widział, że ma bladą i napiętą twarz.

Milczenie.

John Peters zrobił do Daniela minę nad ramieniem księdza.

W końcu ojciec MacCarrick znów się odezwał.

– John, mógłbyś pomóc naszemu Danielowi? Chcielibyśmy poznać cechy ministranta.

– Nie potykaj się, nie zasypiaj, nie ziewaj przy pracy i pracuj w zespole – wytrajkotał John. – Przez cały czas bądź bystry i prawy, ojcie.

– Doskonale, dziękuję Johnie. – Ojciec MacCarrick uśmiechnął się. – Domyślam się, Danielu, że znasz wszystkie te cechy. Zgadza się?

– Tak, ojcie. – Daniel kiwnął głową, omijając chłodne, przenikliwe spojrzenie matki.

– W takim razie ciekawe, czy mógłbyś pouczyć nas o obowiązkach ministranta księgi? Widzisz, Danielu, to jeden z najbardziej zaszczytnych obowiązków naszego nowego ministranta u św. Marii Magdaleny.

Matka mówiła, jakim honorem byłoby występować w kościele jako

ministrant księgi przy ojcu MacCarricku. Dokładnie mu przedstawiła, jakie obowiązki wobec księdza ma taki ministrant, i przepytowała go kilka razy. Ale teraz Daniel głowę miał pustą jak wylizana miska z płatkami zbożowymi.

– Danielu? – Ojciec MacCarrick stukał długimi szczupłymi palcami w stół.

Daniel patrzył na palce księdza i zaczął czuć zawroty głowy. Gorący strumyk potu spłynął mu po plecach. Daniel przesunął się na krześle.

– Noszenie księgi – wyszeptał Daniel.

– Istotnie, noszenie księgi. – Ojciec MacCarrick roześmiał się cicho, ale w śmiechu była ironia. – Ale tam jest trochę więcej niż tylko „noszenie księgi”, prawda?

– Tak, ojciec – powiedział Daniel.

– On naprawdę zna wszystkie odpowiedzi – jęknęła matka Daniela. – Sprawdzałam, zna je wszystkie, ojciec.

– John? – zwrócił ksiądz się do seminarzysty.

– Ministrant księgi trzyma modlitewnik przed księdzem na początku i na końcu mszy – wyrecytował John. – Musi zapewnić, żeby modlitewnik był otwarty na właściwej stronie, i trzymać go pod takim kątem, żeby księdzu było łatwo czytać, ojciec.

– Właśnie. – Ojciec MacCarrick pokiwał poważnie głową. – Dziękuję, Johnie.

Ksiądz wstał, obszedł stół i stanął za Danielem, kładąc dłonie na ramionach chłopca. Nachylił się i wyszeptał do ucha Daniela.

– Jesteś bystrym chłopcem, wiemy o tym wszyscy, więc spróbujemy jeszcze raz. Czy w ogóle wiesz, jakie są obowiązki akolity?

Daniel czuł ciepłe dłonie księdza na swoich ramionach, lekko kwaśny zapach oddechu na policzku.

Dłonie zaczęły mu się trząść, nie mógł tego powstrzymać, nawet gdy wcisnął palce w uda.

– Danielu – odezwała się Monica Clarke – natychmiast przedstaw ojcu obowiązki akolity.

Daniel jasno i wyraźnie usłyszał groźbę wyłaniającą się z jej umiarkowanego tonu.

– Ś...świece – wyjąkał.

Chciał, żeby ksiądz zabrał ręce, ale kiedy poruszył ramionami, ojciec MacCarrick mocniej wbił palce.

– Nosić po dwie świece na początek i na koniec mszy, a także podczas czytania Ewangelii – podpowiedział John.

Ale w miarę mówienia jego monotony głos oddalał się coraz bardziej, a Daniel patrzył, jak twarz jego matki wykrzywia się, usta szeroko się otwierają, ale sensu słów nie rozumiał.

John uśmiechnął się do niego ironicznie, Daniel poczuł koniuszki palców ojca MacCarricka wbite w obojczyk i ciepło ciała księdza stojącego za nim. Nagle było tego za wiele.

Zwymiotował na stół.

Teraz

Anna

Zaczęłam budzić się regularnie o bardzo wczesnej porze. W istocie jest to łatwiejsze niż zwyczajne budzenie się.

Nie ma w tym niczego stopniowego, żadnego wrażenia, że dochodzi się do siebie. Po prostu głęboko śpię i nagle otwieram oczy, jakby obudził mnie głośny hałas. Gdy tak się dzieje, za każdym razem zamieram i nasłuchuję, ale wokół jest tylko cisza. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebym tak nagle się budziła z łomoczącym sercem i boleśnie suchym gardłem. Jakby jakaś część mnie stawiała się znów przerażoną młodą dziewczyną. Odmieniona, poddana terapii Anna ostatnio zdaje się tracić panowanie nad sobą.

Nie chcę zostawić miejsca na myślenie o przeszłości, a nawet o tym, co może jeszcze nadejść.

Dziś rano stało się to o wpół do czwartej, a ja boję się poruszyć.

Czego się boję? Nie mam pojęcia, i to pogarsza sprawę. Może to cisza, cienie.

Nie jestem w stanie poruszać mięśniami, ledwie oddycham. Leżę przerażona, całkowicie pewna, że zdarzy się coś strasznego, ale nie mam pojęcia co.

Chyba tak człowiek się czuje, kiedy powoli wpada w obłąd.

Przeżyłam w tym domu całe życie, na tyle długo, żeby poznać wszystkie jego hałasy... wszystkie te niewytłumaczalne skrzypnięcia i kapania, które słyszy się w środku nocy, kiedy leży się cicho i nasłuchuje. Ale to nie te sprawy podsycają mój strach.

Chodzi raczej o straszliwą pewność, że świat spadnie mi na głowę w jakiś nieuchwytny sposób. Nie wiem jak ani kiedy to się stanie, ale wiem, że na pewno tak będzie i że ni cholery na to nie poradzę.

Przez te wszystkie minione lata z dnia na dzień robiłam się silniejsza, budując sobie ustabilizowane życie. Musiałam najpierw poukładać sobie w głowie i zajęło mi to cały rok w wyciszonej, wykładanej dywanami klinice z przystrzyżonymi trawnikami i ogrodem ze starannie utrzymanymi grządkami.

Bardzo powoli wracało mi zdrowie.

W końcu, w ciągu paru lat, zaczęłam życie, które trzymało się kupy.

Zyskałam poczucie czasu głównie poprzez wykonywanie pewnych

czynności o ustalonych porach. Nic niespodziewanego, nic niezwykłego. Tylko miłe, niezawodne, proste czynności naprawdę pomagały. Moja pracownica społeczna miała kontakty w poczcie brytyjskiej i pomogła mi znaleźć tam pracę.

To była rzecz, której można było się trzymać: jedna z nielicznych rzeczy, w których byłam dobra i mogłam to uważać za powód do dumy.

Teraz coraz bardziej wydaje mi się, że nie stoję na stabilnym gruncie, że nie mogę utrzymać równowagi.

Kiedy światło dnia zalewa pokój, jestem już zupełnie rozbudzona, i to uczucie powoli zanika. Trochę później rano wraca normalny rytm serca i już się nie boję, jestem tylko trochę posiniaczona wewnątrz. Jednak po pracy jadę do Ośrodka Zdrowia w Sneinton, żeby stanąć w na pozór niekończącej się kolejce dla nieumówionych pacjentów.

Przez czterdzieści siedem minut siedzę między zwyczajną zbieraniną kichających, kaszlących i skrzeczących dzieci, wreszcie nadchodzi moja kolej.

Niełatwo otworzyć się przed obcym, ale udaje mi się przekazać zatrudnionemu w kilku miejscach lekarzowi wzór mojego zakłóconego snu. Próbuję opisać, że często odczuwam strach bez powodu.

– Niepokój – mówi po prostu i wypisuje mi receptę.

Mówi, że mam spróbować środków uspokajających, które pomogą mi spać, a jeśli nie będzie poprawy, przepisze mi coś innego, dostosowanego do stanu zdrowia. Słyszałam, że nazywa się to pigułkami szczęścia.

Po wizycie u lekarza jadę do domu.

Nie idę na spotkanie z Liamem i nie wyjmuję z bagażnika porannej torby z niedostarczoną pocztą.

Biorę pigułkę i idę do łóżka.

Śpię aż do następnego dnia rano i budzę się nagle tuż po trzeciej nad ranem.

Leżę bez ruchu i patrzę, jak czerwone cyfry prowadzą mnie prawie do czwartej. W końcu zdobywam się na odwagę i siadam na łóżku.

Dolną część pleców mam mokrą od potu, a kiedy rozprostowuję palce, dłonie mam lepkie, owinięte moimi własnymi włosami.

Cienkie zasłony przepuszczają światło latarń, które oświetla pokój upiornym pomarańczowym blaskiem potęgującym mój strach. Widzę ciemny, zwinięty kształt Alberta, leżący w nogach łóżka. Kotu nie przeszkadzają moje ruchy.

Siadam, a tępy ból wpełza mi powoli w tył głowy.

Jeśli teraz nie wezmę jakichś tabletek na migrenę, to wiem, że to rozwinie się w pełnoobjawowy ból głowy, który przejdzie dopiero po paru dniach. Ale coś nie pozwala mi się ruszyć. Jestem zaczerwieniona, źle się czuję, chociaż ogrzewanie nie jest włączone.

Odrzucam kołdrę i siadam, nogi podciągam do piersi i obejmuję je rękami. Opieram czoło o kolana i lekko się kołyszę. Może Liam też nie śpi. Lekarz dał mu

środki uspokajające, ale powiedział, że czasem ból może być tak duży, że i tak będzie go budził. Ivy też bierze te środki na noc, żeby się zrelaksować i uspokoić serce. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby Liam potrzebował pomocy, a Ivy odurzona lekarami nie byłaby w stanie nikogo wezwać. Gdyby nie upór starej kobiety, zostałabym z nimi i nie byłoby problemu.

Na wypadek gdyby miał się zrealizować najgorszy ze scenariuszy. O to mi chodzi.

Szpital mógł nastawać na odpowiednie warunki w domu. Mogli doradzić Ivy, żeby pozwoliła mi tam zostać przynajmniej na kilka dni i pomóc uporządkować sprawę.

Uczciwie mówiąc, Ivy wydaje się okazywać więcej wdzięczności teraz, kiedy pomagam przy codziennych sprawach, ale nadal nie rozumie, że muszę w pełni zaangażować się w ich życie.

Zmęczyła mnie rola kobiety, która trzymała Liama za rękę na jezdni. Chcę mu pokazać, że jestem prawdziwym przyjacielem. To znaczy kimś, komu może zaufać i na kim może polegać. Nie mogę nawet mieć nadziei, że mężczyzna taki jak Liam kiedykolwiek zainteresuje się romantycznie kimś takim jak ja.

Spoglądam na neonowe cyfry na stoliku nocnym. Właśnie minęła czwarta.

Dociera do mnie ból w szczęce i zdaję sobie sprawę, że zgrzytam tylnymi zębami. To przypomina mi długie tygodnie, które zmieniły się w długie miesiące po śmierci Danny'ego.

Ruszam lekko dolną szczęką, żeby ją rozluźnić, ale nie czuję się ani trochę lepiej.

Myślę, że jestem naprawdę ostrożna z nadgodzinami w pracy i nikomu nie daję powodu, żeby mieszał się w sprawy mojego obchodu, ale przez ostatnie parę dni dostarczyłam chyba nawet mniej poczty niż zazwyczaj.

To bardzo ważne, bo nie mogę przyciągać do siebie uwagi, żeby nie dawać im powodów do wnikliwszego przyglądania się mojej pracy. Powrót Liama ze szpitala do domu zakłóca moje sprawy, ale on jest ode mnie uzależniony i muszę z nim być. Mam zamiar pójść tam dziś po południu, kiedy skończę zmianę.

Później, kiedy jadę do pracy, postanawiam zastosować nowy, bardziej efektywny plan działań.

Zamiast dostarczać codziennie nową pocztę, napelnę worki starszą pocztą, którą ułożyłam w stos na górze. Potem dostarczę właśnie tę pocztę.

W ten sposób będę opóźniona tylko o kilka dni w każdym punkcie, a poczta na piętrze nie będzie się starzała z dnia na dzień.

Na poczcie idę prosto do mojego kawałka lady z listami.

– Dzień dobry Anno – wyśpiewuje Roisin, kiedy przechodzę obok niej.

– Dzień dobry – mówię, zwalnając nieco kroku. – Jak się masz?

– Och, wiesz, znudzona. Zmęczona. Jak zwykle.

Kiwam głową.

– Nie najlepiej śpiam – mówię i szybko zamykam usta, zanim ujawnię więcej, niż zamierzałam.

– Znam to uczucie, za dużo herbaty – zgadza się Roisin. – Wstaję, idę do łazienki, a potem godzinami leżę rozbudzona i próbuję znowu zasnąć.

– Nie zapomnij o tej kawie – mówi, kiedy odchodzę. – Daj mi znać, kiedy będziesz chciała się spotkać.

Kiwam głową, uśmiecham się i odchodzę jak najszybciej, ale tak, żeby nie okazać się nieuprzejma. Jakaż by to była ulga, mieć kogoś, z kim można by porozmawiać o problemach w pracy. Kogoś, kto mógłby pomóc.

Szybko pakuję pocztę do worków, nie zwracając sobie głowy sortowaniem listów według ulic. Te szczegóły przestają się liczyć, skoro przesyłki przeznaczone są wprost na piętro, do składziku.

Już prawie jestem przy wyjściu, kiedy na mojej drodze wyrasta Jim Crowe.

– Dzień dobry, Anno.

Mocno przełykam, a pierścień gorąca zaczyna podchodzić w górę od podstawy karku.

Jim patrzy na torby, które niosę.

– Jak ci idzie? – Prostuje się na całą swoją okazałą wysokość. – Z obchodami?

– Świetnie – odpowiadam szybko. – Żadnych problemów, Jim.

– Jesteś pewna? – Ścisza głos i uśmiecha się do mnie. – Wystarczy, że powiesz i możemy dla ciebie podzielić obchód na dwie części.

Nie chcę mniejszej liczby godzin ani jakiejś wielkiej zmiany. Nie chcę zawieść ludzi z osiedla.

Co prawda od dłuższego czasu nie widziałam większości moich klientów ze względu na okoliczności, ale to się zmieni, jak tylko wdrożę nowy system doręczeń.

Wzruszam ramionami i opuszczam je.

– Wszystko jest w porządku.

Uśmiecha się, błyska do mnie zębami, klepie po ramieniu i przechodzi obok mnie do głównej sortowni.

– To właśnie chciałem usłyszeć – rozpromienia się. – Szczęśliwa załoga.

Truchtam za drzwiami, pocąc się pod ciężarem bocznych sakw na rower. Wlokę je do szopy z rowerami, kiedy niknę z pola widzenia, rzucam je i opieram się o ścianę szopy.

Drobny deszczyk i wilgotne powietrze nie pomagają mi na mętlik w głowie i walenie w piersi. Potem gruby węzeł paniki przepycha się w górę od brzucha.

Głębokie oddechy. Zrób parę głębokich oddechów.

Stoję przez chwilę, patrzę na wypchane torby z pocztą leżące u moich stóp i

myślę o wolnym pokoju w domu.

Ściana, o którą się opieram, jest pod moja dłoń miękką i sprężystą.

Scena wypadku przelatuje mi przez głowę krótkimi, postrzępionymi błyskami. Twarz Liama, odłamki szkła na ulicy, rubinowa kałuża wypływająca z jego strzaskanej głowy.

Stoję przez chwilę, póki ściany szopy nie robią się znowu twarde.

Ale wymiotne uczucie nie chce ustąpić.

Kiedy wracam do domu, rzucam torby z pocztą tuż za drzwiami wejściowymi i padam na jedno z krzeseł w środkowym pokoju. Jestem zbyt wyczerpana, żeby wyjść z zaległymi listami.

Obiecuję sobie, że nadrobię to jutro. Będę pracowała naprawdę ciężko i dostarczę podwójną ilość poczty.

Jutro będzie nowy początek.

Późniejszym popołudniem, kiedy już odpoczęłam, jadę na spotkanie z Liamem.

Stukam do tylnych drzwi, wchodzę i zastaję Ivy czyszczącą piecyk. Chyba nigdy nie siedzi spokojnie i nie odpręża się, mimo że najwyraźniej jest to dla niej dolegliwe. I jak widać, w ogóle nie zwraca uwagi na to, co powiedzieli jej lekarze, żeby odpoczęła po ostatnim omdleniu przy łóżku Liama.

– Cześć, Anno – jęczy, nachylając się, żeby pokryć płynem do czyszczenia zachlapaną szybę drzwiczek do piecyka. – Za minutkę zrobię dla nas herbaty.

Rozglądam się po zagraconym blacie kuchennym.

– Czy znalazłaś tę wizytówkę służbową – pytam. – Tę, którą zostawił ci policjant?

– Co? Och nie, ale musi tu gdzieś być – mówi wymijająco, prostuje się i krzywiąc się, przyciska rękę do krzyża. – Mówiłaś, że możesz zrobić dla mnie parę rzeczy, więc gdybyś mogła zanieść na górę te ręczniki, a potem...

Odpływam myślami, kiedy przedstawia resztę raczej przydługiej listy „paru rzeczy”, które zostawiła dla mnie. Czekam, aż nabierze oddechu, i odzywam się:

– Ivy, w bagażniku mam walizkę – mówię od niechcienia. – Parę ubrań i niezbędnych rzeczy. Wystarczy mi na przetrwanie paru dni.

– Och, gdzieś wyjeżdżasz? – Nie odwraca wzroku od czyszczonej szyby.

Robi niezłe przedstawienie, udaje spokój, ale wiem, że w środku panikuje na myśl, że mnie nie będzie pod ręką.

– Nie martw się, nigdzie nie wyjeżdżam. Wręcz przeciwnie. Mam zamiar zostać u ciebie na jakiś czas i pomóc ci przy opiece nad Liamem.

Szybko podnosi głowę znad drzwiczek piecyka, oczy i usta ma szeroko otwarte.

– Och nie, nie możesz tego zrobić. – Głośno nabiera powietrza. – To znaczy, masz swoje życie, masz kota... no i pracę, kochana. Nawet nie śnię, żeby ci się tak narzucać. Razem z Liamem świetnie damy sobie radę, ale dziękuję ci za propozycję, Anno. Jestem wzruszona.

– Ivy, nie przyjmę „nie” za odpowiedź. – Mówię spokojnym tonem. – Razem z Liamem martwiliśmy się o twoje zdrowie i że tyle na siebie bierzesz. Kiedy będę musiała, mogę wpaść do siebie, do domu, a do pracy będę jeździć stąd, to nie problem, ja...

– Odpowiedź brzmi nie, Anno. To po prostu śmieszne, parę dni temu jeszcze się nie znałyśmy. – Te słowa bołą, a ona to widzi, ale nie wycofuje się ani nie przeprasza. – To naprawdę jest niepotrzebne, poza tym nie mamy dla ciebie dodatkowego łóżka.

Nie ruszam się.

Byłam dobra, żeby uratować życie Liama na ulicy, ale nie dość dobra, żeby przyjęli mnie u siebie w domu jako zaufanego przyjaciela. Niewiarygodne.

Ivy wraca do czyszczenia, a we mnie, od podbrzusza po pierś, wznosi się fala gorąca. Dość płaszczenia się przed Ivy Bradbury, ale mój związek z Liamem jest konieczny, żeby mieć oko na Amandę Danson. Będę musiała znaleźć inny sposób.

Wychodzę z kuchni do salonu, nie mówiąc do niej ani słowa więcej.

Liamowi nie powiem o tej rozmowie z Ivy ani o moich problemach w pracy. Pewnie nie będzie chciał słyszeć o moich kłopotach, skoro własnych ma dosyć.

Ma pochyloną do przodu głowę, przygląda się dokładnie czemuś na swoim kolanie, robi to z takim natężeniem, że z początku nawet nie zauważa mojej obecności.

– Coś interesującego?

Liam podskakuje i przyciska rękę do piersi. Dziwnie się czuję, widząc go w T-shircie i dresach zamiast w szpitalnym szlafroku.

– Anno, wystraszyłaś mnie na śmierć.

– Jak się czujesz? – uśmiecham się.

– Dzisiaj trochę lepiej – mówi i wstaje, żeby to udowodnić. – Patrz.

– Chyba jeszcze nie powinieneś obciążać tej nogi – besztam go. – Masz jej nie przeciążać, tak jak ci powiedzieli.

– Wszyscy robią za dużo zamieszania – narzeka Liam. Znów rozsiada się i odsuwa grzywkę z oczu, tak samo jak robił to Danny. Przydałby mu się fryzjer. Powinien zacząć wyglądać bardziej na mężczyznę niż na chłopca. – Za tydzień, dwa nogę będę miał jak nową. Do szaleństwa doprowadza mnie ten ciągły ból głowy.

– Bierzesz lekarstwa? – pytam.

– Co?

Zaczyna wpijać palce w poduszkę na wózku.

– W szpitalu powiedzieli, że przestałeś je brać i że musisz zacząć to robić – mówię. – Tak tylko pomyślałam, kiedy powiedziałaś, że miałaś bóle...

– Biorę lekarstwa. – Liam znowu wstał. – Dlaczego wszyscy przez cały czas się mnie czepiają? Chciałem powiedzieć, dlaczego, kurwa, nie zostawisz mnie w spokoju?

Nastrój opada mi jak kamień, gapię się na niego szeroko otwartymi oczami. Jeszcze nie słyszałam, jak przeklina.

Zaczyna kuleć przez pokój, potrząsa ramionami, jakby próbował pozbyć się czegoś paskudnego, co go oblaźło.

– Liam, nie chciałam cię zdenerwować. – Podchodzę do niego, ale on odwraca się do mnie i kuśtyka w inną stronę.

- Gadu-gadu. Ple, ple, ple.
- Liam, poważnie mówię, powinieneś usiąść...
- Cicho! – ryczy i obraca się, żeby stanąć ze mną twarzą w twarz.

Czuję chłód w całym ciele. On stoi nieruchomo, patrzy i robi kilka kroków wstecz.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – W drzwiach pojawia się Ivy, trzyma szklanek mleka. Patrzy na nas po kolei, jakby próbowała się domyśleć, co między nami zaszło. – Usiądź, Liam. Daj spokój, wszystko jest w porządku, nie ma czym się przejmować.

Ivy chwiejnym krokiem wchodzi do pokoju, staje przed Liamem, pokazuje na jego wózek inwalidzki. Z Liama jakby uszło powietrze, potulnie kuśtyka z powrotem.

Ivy stawia szklanek mleka na stoliku, trochę kręci się wokół Liama, potem zwraca się do mnie.

– To tylko huśtawka nastrojów, ostrzegali mnie, że to może się zdarzyć. – Mruży oczy, próbuje zaczerpnąć tchu. – Anno, nie powinnaś go denerwować.

Otwieram usta, żeby się bronić, ale w końcu nie robię tego. Nie chcę się usprawiedliwiać przed Ivy.

Liam odwraca kartkę, którą trzyma na kolanie. To ręcznie pisany list, podnosi go w moją stronę. Marszczę brwi, widząc podpis.

– To od Amandy, napisała list z przeprosinami – mówi Liam, jakby wróciło jego normalne ja. – Przesłała mi wiadomość na Facebooka, ale jej nie dostałem.

Wtedy dostrzegam za jego wózkiem komputer.

– Wspaniały, prawda? – uśmiecha się. – Syn Beryl zainstalował mi go tutaj.

Dzięki ciekawskiemu synowi Beryl Liam może teraz przez cały dzień, kiedy tylko zechce, swobodnie odpowiadać na posty Amandy Danson.

Wpatruję się w bladą twarz Liama, patrzę na jego słabe ramiona. Mimo że parę minut temu był taki zdenerwowany, teraz uśmiecha się i z zadowoleniem patrzy na kartkę, którą trzyma w ręku.

– Liam, jak doszedł do ciebie ten list? – mówię spokojnym tonem.

– Amanda przyniosła go dziś rano – wcina się Ivy. – Nie chciała wejść. Pamiętała, że Liam musi odpocząć, ale jutro znowu wpadnie.

Liam nie chce spojrzeć mi w oczy.

Staram się przetrwać głupotę Ivy.

Amanda Danson próbuje wykręcić się z odpowiedzialności za spowodowanie wypadku, a ta słaba, głupia stara kobieta bardzo jej to ułatwia.

– Skąd miała wasz adres?

– Dałem jej. – Liam, mówiąc to, nie podnosi wzroku.

– Pamiętałeś, gdzie mieszkasz? – pytam.

– Nie. – Przez chwilę milczy, nie spiesząc się, wyciąga szyję w jedną, potem

w drugą stronę. – Znalazłem go na moim egzemplarzu listu od internisty w dniu, kiedy Amanda przyszła do szpitala.

Patrzę wprost na Ivy, język mi się supła, tyle rzeczy chcę powiedzieć. Ale mówię, zanim o nich pomyślę, starannie dobierając słowa.

– Jak on ma z tego wyjść, jeśli ona co pięć minut zawraca mu głowę?

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka podejrzliwa wobec Amandy. – Ivy odwraca się, żeby uporządkować stertę czasopism, ale tak się jej trzęsą ręce, że prawie nie jest w stanie tego zrobić. – Anno, to naprawdę nie twoja sprawa, kto nas odwiedza.

Podtekst jest łatwy do odczytania: Zajmuj się swoimi sprawami.

– Parę dni temu nawet się nie znałyście. – Nie mogę się powstrzymać, żeby nie rzucić jej z powrotem jej nieuprzejmych słów.

– To był straszny wypadek dla wszystkich, którzy brali w nim udział, ale tylko tyle, właśnie wypadek. Anno, ona też cierpi.

– Ale nie tak jak Liam, prawda? – Słyszę, jak mój głos unosi się o oktawę, ale nie potrafię się uspokoić. – Dlaczego tylko ja potrafię przejrzeć jej kłamstwa?

Z trudem łapię oddech.

Liam i Ivy spoglądają na siebie, ale mi jest wszystko jedno. Jak Ivy może być tak naiwna?

Wyrywam list z rąk Liama i jednocześnie zahaczam szklankę mleka i zrzucam ją. Rozbija się o brzeg stolika.

Teraz list jest porwany, szklanka stłuczona, a mleko wszędzie się rozlało.

Ivy krzyczy, a ja bezmyślnie łapię za ostry odłamek szkła i ostry ból przeszywa mi rękę. Rozprostowuję palce i puszczam szkło na podłogę.

– Co ty sobie, do diabła, myślisz? – Ivy kręci głową. – Przyniosę ci bandaż.

– Dobrze się czuję – mamroczę, sięgając do kieszeni po chusteczkę, żeby zetrzeć krew z dłoni. – Po prostu wpadłam do was, żeby zobaczyć, jak miewa się Liam, ale teraz muszę wracać. Mam coś do zrobienia.

Wypadam przez kuchenne drzwi i biegnę do samochodu, mocno ściskając pulsującą dłoń.

Godzinę później siedzę w samochodzie z notatnikiem i aparatem fotograficznym, obserwuję dom Amandy Danson. Czas skupić się na tym, co naprawdę się liczy.

Policja powiedziała Ivy, że przesłuchają Liama za jakiś czas, kiedy lepiej się poczuje. To bardzo prawdopodobne, że oskarżą Amandę Danson o niebezpieczną jazdę, a zeznanie Liama będzie kluczowe.

Ivy chyba nie bardzo się spieszy, żeby się dowiedzieć, na jakim etapie jest śledztwo i zdaje się zgubiła wizytówkę służbową policjanta.

To znowu się dzieje, ale nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Nikt poza mną.

Nie mogę tylko stać i patrzeć, jak niszczy Liama, a jednak pojawia się

straszne prawdopodobieństwo, że jeśli zaczniesz regularnie go odwiedzać, wkrótce pozna go lepiej niż ja. I wtedy jest ryzyko, że zupełnie wypchnie mnie z życia Liama i zniweczy moje plany.

Amanda jest pewna siebie, co skłania ludzi, żeby się przed nią otwierali. Myślę, że to szkolenie z poprzedniego zawodu.

Ktoś mógłby powiedzieć, że jest atrakcyjna, chociaż ja nie widzę w niej niczego ładnego, kiedy na nią patrzę. Mam nadzieję, że Liam ma w sobie coś, co nie pozwoli mu dać się nabrać czemuś tak powierzchownemu jak wygląd, ale kobiety takie jak ona wiedzą, jak można owinąć sobie mężczyznę wokół palca. Wiedzą, co ich pociąga.

To nierozważne i głupie ze strony Ivy, że sprzyja ich przyjaźni i na pewno tego pożałuje. Mogę sobie wyobrazić dzień, kiedy przyjdzie do mnie z płaczem, gdy wszystko pójdzie źle, oczekując, że ją pocieszę, ale będzie już za późno i niczego już nie będę mogła z tym zrobić.

Ten nonsens trzeba natychmiast zatrzymać.

Ktoś musi uderzyć Amandę Danson tam, gdzie boli, ale najważniejsze, żebym zachowała przeszłość dla siebie. Na razie.

Jest prawie piąta: dokładny czas, kiedy Amanda wysiadła z autobusu i poszła do domu, kiedy po raz pierwszy śledziłam ją w drodze z pracy. Dzisiaj nie ma po niej ani śladu.

Na pewno zabawia się z przyjaciółmi albo kupuje sobie ubrania i robi makijaż.

Właśnie myślę, czy posiedzieć tutaj dłużej, czy pojechać do domu, kiedy otwierają się drzwi jej domu. Pojawia się kobieta przed siedemdziesiątką: drobna, z włosami pofarbowanymi na zbyt ciemny kolor do jej bladej cery. Ale podobieństwo do Amandy jest uderzające.

Patrzę, jak starsza kobieta idzie krótkim podjazdem. Zmierza do małego, czerwonego clio zaparkowanego przy ulicy, a kiedy odwraca się, żeby zamknąć furtkę, jej płaszcz otwiera się.

Ostatnio spędziłam dość czasu w szpitalu, żeby rozpoznać ten strój. Musi być pielęgniarką w ośrodku zdrowia.

Szukam w pamięci twarzy pielęgniarek, które widziałam na oddziale Liama, i z zadowoleniem stwierdzam, że nie jest jedną z nich, ale staje się jasne, dlaczego jej córka była w stanie wmaszerować na prywatną salkę Liama i nikt jej nie zatrzymał.

Czerwone clio odjeżdża od krawężnika, a ja uruchamiam mój samochód. Daję jej kilka chwil, żeby między nami odległość była większa, i ruszam za nią.

Dziesięć minut później clio zajezdza na miejsce parkingowe na wielkim szpitalnym parkingu przeznaczonym zarówno dla personelu, jak i dla ogółu. Parkuję dwa rzędy za nią i patrzę, jak zatyka przepustkę za szybę i idzie do

głównych drzwi.

Jeśli pójdę po bilet parkingowy z parkomatu, zaryzykuję, że ją zgubię, więc wkładam wczorajszy bilet z nadzieją, że mi to ujdzie.

Trzymam się spory kawałek drogi za nią i kiedy dochodzi do automatycznych drzwi recepcji, między nami pojawia się starsza para, która też zmierza do głównego wejścia. Ona nie skręca w lewo, na oddział główny, jak się spodziewałam, ale ostro skręca w prawo i niknie za drzwiami z napisem „Ostry dyżur”.

Kiedy widzę napis, w głowie zaczyna mi dudnić od wspomnień, ale nie zwalniam. Idę za nią przez pełną bieganiny recepcję oddziału.

Robię, co mogę, żeby zignorować kwaśną grudkę, która mocno utkwiała mi w gardle. Rozpalona głowa znów próbuje przywołać wspomnienia.

Nie teraz. Proszę, nie pozwól mi teraz zemdleć.

Na końcu korytarza znów widzę tę kobietę, to ponownie wyostrza moje zmysły. Zdjęła płaszcz, teraz niesie podkładkę ze stertą kart pacjenta. Przechodzi kawałek i znika w drzwiach po lewej.

Podchodzę do drzwi obok szeregu odrażających osobników z rozwalonymi nosami, obandażowanymi rękami, siniakami pod oczami.

Napis na drzwiach głosi, „Pielęgniarka, segregacja medyczna”. Pod napisem jest plakietka: „Pielęgniarka Emma Danson”. Tak jak podejrzewałam, to matka Amandy.

Wpadam na pomysł, bo to jest zbyt dobra okazja, żeby jej nie wykorzystać.

Joan Peat

Joan miała wyraźne przeczucie, że z sąsiadką Anną coś jest nie tak.

Tylko małe wskazówki, sprawy, które niezupełnie trzymają się kupy. Hałasy o wczesnej porze, Anna, która długo krąży po domu, zanim przychodzi czas na wyjazd do pracy.

Potem, innego dnia, wyjechała do pracy jak zwykle, tuż przed piątą rano. Joan uraczyła się pierwszą filiżanką herbaty i poszła do kuchni, żeby posmarować masłem kawałek grzanki, kiedy usłyszała, że samochód Anny znowu zatrzymuje się przed domem.

Joan na złamanie karku potruchtała z powrotem do salonu, zdumiewając się, że potrafi tak szybko się poruszać, kiedy musi.

Ale Anna nie zapukała do okna ani nie wpadła. Po prostu poszła wprost do swojego domu i na resztę poranka zapanowała u niej cisza. To było męczące, bo Joan niewiele mogła zrobić przed wpół do pierwszej, kiedy przychodziła Linda, jej opiekunka społeczna. Nie mogła zaryzykować, żeby Anna usłyszała, jak chodzi po domu.

Próbowała domyślić się, dlaczego Anna tak szybko wróciła. Może źle się poczuła, kiedy dotarła do pracy.

Ale tego rodzaju dźwięki wcześniej rano wywoływały niepokojące myśli. Joan już to widziała, kiedy Annę po raz pierwszy wypisano ze szpitala.

Jej sąsiadka zamieniła się w niewolnika własnych przyzwyczajień, ale przecież nie zawsze tak było.

Młoda Anna uwielbiała próbować nowych rzeczy. Arthur często przynosił jej zabawkę odrzuconą z którejś z fabrycznych linii produkcyjnych.

Tuż przed początkiem szkoły próbował wprowadzić ją w eksperymentowanie z nowymi rzeczami. Zawsze mówił, że dostał to w pracy, ale raz, dwa razy Joan znajdowała rachunki, kiedy przynosił coś, co według niego Annie szczególnie się spodoba. Nie spodobałoby mu się, gdyby Joan pomyślała, że jest taki miękki.

Ale prawdziwa rewelacja zdarzyła się, kiedy wrócił z wielkim szkicownikiem i długą puszką wąskich pasteli.

Anna miała oczy wielkie jak spodki i po chwili zanurzyła w puszcze krótkie grube paluszki, chwytając śliczne kolory.

– Teraz ostrożnie – powiedział Arthur, odbierając jej puszkę. – Należy dbać o ładne rzeczy.

Kiedy znowu podstawił jej puszkę, Anna starannie wybrała jedną kredkę i zaczęła się rozglądać za czymś do szkicowania.

– Zobaczmy, czy potrafisz narysować panią Peat. – Arthur mrugnął do Joan. – Jak myślisz, uda ci się narysować wielki nochal i dwoje odstających uszu?

Joan wzięła się pod boki, udając złość, i oboje się roześmieli.

Kiedy Anna zaczęła rysować, Arthur wrócił do swojej gazety, a Joan do szydełkowania.

Co rusz spoglądała na Annę, uśmiechała się i bardzo podobało się jej, że dziewczynka nie spuszcza z oka jej twarzy, nie licząc chwil, kiedy patrzy na biały ziarnisty papier.

Anna dobierała nowe kolory, zawsze starannie odkładając poprzednie, tak jak pokazał jej Arthur.

– No to popatrzmy – powiedział wreszcie Arthur, składając gazetę. – Zobaczmy, czy narysowałaś uszy pani Peat, żeby były wielkie jak trzeba.

Anna zachichotała i podała mu podkładkę.

Arthur otworzył usta, a Joan podbiegła, żeby zobaczyć.

To był jej portret, i to dobry, szczegółowy i świetny.

Wtedy zdali sobie sprawę, że Anna potrafi rysować.

Teraz

Anna

Wychodzę z ostrego dyżuru z powrotem na korytarz.

Po kilku minutach docieram do szpitalnej kawiarni. Płacę za latte i siadam w odległym kącie, z którego widzę wszystkich klientów. Nie jest zbyt tłoczno, co wspomaga mój cel.

Za oknem ludzie zbierają się w grupkę i palą, jest wśród nich paru portierów. Mógłby kto pomyśleć, że będą mieli więcej rozumu, skoro pracują w takim miejscu i widzą tyle chorób i nieszczęścia. Ale wszyscy oni są tutaj i jeden za drugim żarliwie puszczają dym z rakotwórczych pałeczek.

Czasem wydaje się, że na świecie nie ma sprawiedliwości. Oto ludzie, którzy zupełnie nie dbają o swoje zdrowie, sprawni, dający sobie radę z życiem, kiedy Liam utknął w domu i z trudem brnie przez swoją gehennę. A wszystko nie z jego winy.

W jelitach czuję dojmujący żar, jakby rozgrzane do czerwoności węgle próbowały znaleźć dla siebie więcej miejsca w zbyt małej dla nich przestrzeni. Muszę się uspokoić, pomyśleć o czymś innym. Ostatnie, czego chcę, to zwrócić na siebie uwagę.

Znudzona kelnerka podchodzi z tacą, zbiera zużyte naczynia. Powierzchniowo wyciera stolik, nie patrząc mi w oczy. Przyglądam się, jak chodzi wokół innych stolików, a potem idzie do długiej lady obok toalet.

Wypijam ostatni łyk kawy i podchodzę do toalet. Nikt specjalnie mi się nie przygląda. Przypomina mi się, że jestem w szpitalu, w otoczeniu ludzi, którzy albo z troską o czymś rozmawiają, albo patrzą w przestrzeń, niezupełnie obecni duchem.

Jedyne oczy, które na mnie patrzą, to piękne, uczciwe jeziorka stopionej czekolady należące do psa przewodnika, który posłusznie siedzi obok swojej niewidomej pani.

Dochodzę do drzwi łazienki, przechodząc po drodze obok lady, na której stoją brudne naczynia, biorę szklaneczkę. Wkładam ją do torebki i idę dalej.

W toalecie wyławiam z dna torebki nożyczki do paznokci i odcinam pasek białego, chłonnego materiału z maszyny z ręcznikami.

Nasłuchuję przez kilka sekund i kiedy stwierdzam, że nikt nie wejdzie, rzucam szklankę na twardą podłogę z takiej wysokości, żeby rozbiła się na kilka

odłamków, ale nie zbiła się na małe kawałeczki.

Podnoszę odłamek szkła, który wygląda na najostrzejszy, a resztę zmiotam nogą w kąt, na wypadek gdyby kobieta z kawiarni wprowadziła tu swojego psa. Albert wrócił kiedyś do domu z paskudną raną w łapie, a weterynarz powiedział, że to na pewno od wyrzuconych odłamków butelki. Samolubstwo niektórych ludzi jest oszałamiające.

Zamykam drzwi kabiny i oglądam dłoń. Wcześniejsze nacięcie, po wypadku ze szklanką w domu Liama, jest bardzo płytkie, niewiele głębsze niż zwyczajne zadrapanie, chociaż wtedy moja ręka wyglądała źle, bo było na niej dużo krwi.

Przejeżdżam po gojących się już liniach czubkiem szkła, szukając najsłabszego miejsca, potem zaciskam zęby, wbijam odłamek i przeciągam nim po wcześniejszym zranieniu, najsilniej jak potrafię.

Jestem przygotowana, ale ból i tak mnie zaskakuje. Szkło jest jak rozgrzany do czerwoności drut przebijający się przez dłoń.

Chcę ryczeć jak zranione zwierzę, ale zaciskam usta w prostą linię i gryzę się w język, zamykając dłoń wokół ostrego jak brzytwa kawałka szkła. Chwytam dłoń drugą ręką i tnące ostrze wbijam głębiej w ciało.

Wreszcie puszczam rękę, biorę kilka głębokich wdechów i oglądam ranę. Mam lekkie zawroty głowy, kiedy widzę wynik.

Krew spływa mi po rękę, w miejscach najgłębszego cięcia już zaczynają robić się skrzepy, jak bryłki czerwonego mięsnego sosu. Martwię się, że posunęłam się za daleko.

Z kawiarni dobiega zapach jakby gotowanej kielbasy, wsącza się przez zewnętrzne drzwi do toalety. Zwalczam nieprzyjemny skurcz, który obejmuje mi gardło, i mocno obwiązuję dłoń kawałkiem materiału.

Oddzieram kawałek papieru toaletowego i zdrową ręką wycieram sedes i podłogę. Wychodzę z łazienki, jestem trochę oszołomiona, ale mimo to triumfuję. Zabandażowaną dłoń ukrywam za torebką.

Pięć minut później znowu wchodzę w drzwi ostrego dyżuru.

Krew przesiąka przez biały materiał na zranionej ręce. Widzę, jak jedna, dwie osoby przyglądają się z zaciekawionym niepokojem.

Kiedy dochodzę do rejestracji, pulchna kobieta w średnim wieku, za mocno umalowana, przesuwa po blacie formularz i długopis.

– Proszę to wypełnić – mówi energicznie, nie patrząc na mnie.

Na szczęście uszkodzoną mam lewą dłoń, więc bez szczególnych problemów udaje mi się wpisać dane osobiste. Jednak zauważyła.

– Będzie pani musiała najpierw pójść do pielęgniarki od segregacji medycznej. – Pokazuje drzwi, za którymi wcześniej zniknęła mama Amandy. – Proszę tam usiąść.

Siadam na najbliższym wolnym plastikowym krześle w kolejce przed

segregacją medyczną. Przede mną są cztery osoby.

Teraz ręka mocno mi pulsuje. Zaczynam na serio bać się, że przecięłam ją za głęboko.

– Paskudnie wygląda – mówi ostro woniejący wąsacz wbity w krzesło obok mnie. Krzesła stoją dość daleko od siebie, ale i tak dotyka mnie ramieniem.

Niektórym ludziom wydaje się, że jeśli znajdują się w podobnej sytuacji, to mają prawo do natychmiastowego zawierania znajomości. Rzucam mu miazdzące spojrzenie i celowo skupiam się na plakacie o szczepieniach wiszącym naprzeciwko. On więcej nic nie mówi.

Otwierają się drzwi i Emma Danson wystawia głowę. Patrzy na formularz trzymany w ręce i mówi.

– Tristan Peters?

Młody człowiek z pierwszego krzesła przesadnie chwytą się za łokieć i idzie za nią. Wszyscy przesiadają się o krzesło, ale ja się nie ruszam. Wąsacz patrzy na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienia zdanie i przygląda się swojej nabrzmiałej stopie wbitej w brudny prążkowany kapeć.

Nadchodzi ból głowy, który kończy wszystko. Ręka mi pulsuje od bolesnego rwania, a na białym materiale, którym owinięte są moje rany, rozszerza się jaskrawy, czerwony kwiat.

Rękawy kurtki jakby przyległy do moich ramion. Ciągnę za mankiety, żeby zwalczyć drętwotę, ale to na nic. To wielka niewiadoma, że zalewają takie miejsca nieustannym, niemal tropikalnym upałem, kiedy państwowej służbie zdrowia ewidentnie brakuje funduszy.

Mija pełne dwadzieścia pięć minut i człowiek obok mnie kuśtyka do gabinetu, a za mną w kolejce siada czworo ludzi.

Kropelki potu występują mi na górną wargę. Nieznośny ból głowy i ręki jakby się połączyły, aż cała lewa strona ciała płonie i cierpi.

Próbuję przełknąć, ale suche gardło nie pozwala, więc charczę, kaszlę i jęczę. Torebka wyslizguje mi się, chwytam ją zranioną ręką i kłujący, przezywający ból obejmuje całe moje ramię.

Skowyczę z bólu. Ludzie siedzący obok mnie nachylają się do przodu, żeby obejrzeć spektakl, a mnie chce się na nich krzyczeć, żeby zajęli się swoimi sprawami.

Dlaczego ja tu w ogóle jestem? Czasem zdarzają się mi najgłupsze pomysły, ale wiem, że nie mogę zmarnować okazji, żeby spędzić trochę czasu z matką Amandy i dowiedzieć się wszystkiego, co mogłoby mi pomóc, co mogłoby pomóc Liamowi, żeby ją oskarżył.

Zaczynam myśleć o swojej ręce. Co by się stało, gdyby rany były tak głębokie, że nie dadzą się zszyć. Modlę się, obym nie przecięła ścięgna, bo wtedy palce nie nadawałyby się do użytku, a kto słyszał o listonoszu, którego zatrudniono,

mimo że może używać tylko jednej ręki?

Myśl o pracy wywołuje obrazy zapasowego pokoju i nagromadzonych przesylek. Zaczyna się nowa fala gorąca i odruchu wymiotnego. Wachluję się zdrową ręką i ze złością odpowiadam na spojrzenie kobiety siedzącej obok mnie, która bezwstydnie przygląda się zakrwawionemu materiałowi.

Mija wieczność, drzwi otwierają się, wychodzi z nich mężczyzna, który kulejąc, oddala się korytarzem.

– Anna Clarke?

Podnoszę się z twardego plastikowego krzesła, krzywiąc się, bo znów zahaczam ręką o torebkę.

Nie rozumiem, dlaczego w takich miejscach muszą głośno wywoływać, posługując się pełnym nazwiskiem. Nigdy nie wiadomo, kto słucha i wściubia nos w nie swoje sprawy. Kiedyś wystarczyłoby „panna Clarke”, ale obecnie urzędowa uprzejmość jest w zaniku.

– Wejź, Anno – mówi Emma Danson protekcyjnym, śpiewnym głosem. Zauważyłam, że niektóre pielęgniarki mają zwyczaj tak zwracać się do pacjentów.

Gabinet jest mały, ale wydajnie zorganizowany, z pokrytą nieskazitelnie białym prześcieradłem leżanką i różnymi przyrządami lekarskimi na stojącym obok stole.

Emma siada za biurkiem, a ja, na ten znak, siadam z boku, na krześle dla pacjenta.

– Wygląda na to, że nieźle się załatwiłaś. – Kiwa głową w stronę mojej ręki i odwraca się do ekranu komputera.

Jest małą jak wróbelek kobietą o takich samych rozbieganych czarnych oczach jak córka. Odnoszę wrażenie, że jest z tych, którzy uprzejmie rozmawiają, ale w istocie nie są zainteresowani tym, co ludzie do nich mówią.

– Skaleczyłam się – mówię słabym głosem, patrząc na rękę.

– Bardzo nieostrożnie – łaja mnie wesołym głosem. – No to przypatrzmy się temu.

Przysuwa bliżej krzesło i odkleja prowizoryczny bandaż. Skowyczę, kiedy łagodnie pociąga za kawałek, który mocno przywarł do krzepnącej krwi.

Z bliska widzę głębokie zmarszczki rozchodzące się od kącików jej oczu i ust. Pod oczami ma cienie, które usiłowała pokryć grubą warstwą korektora, a sądząc po szarych kosmykach pokrywających plamkami jej skronie, przesadziła z farbowaniem włosów.

Coraz trudniej jest mi poruszać palcami. Ból robi się coraz większy, kiedy naciska różne części mojej dłoni. Jej perfumy są odrażająco słodkie.

– Chyba będę wymiotować – skrzeczę.

Ze skraju biurka chwytą nerkę z kartonu, a ja do niej wymiotuję.

Sięgam po chusteczkę do torebki.

– Przepraszam – mamroczę, czując, jak przebiega przeze mnie kolejna fala gorąca.

Chyba po raz pierwszy skupia na mnie uwagę i przygląda się mi dokładnie.

– Zdejmijmy tę kurtkę. – Ciągnie mnie za rękaw. – Przegrzewasz się.

Składa kurtkę i kładzie ją za nami, na lekarskiej kozetce. Potem napelnia plastikową szklaneczkę wodą z małego zlewu.

– Twoja ręka wygląda okropnie, ale naprawdę to nie jest tak źle – mówi.

Wzdycham z ulgą i upijam łyk wody. Więc w końcu nie ma przeciętych ścięgien.

Czas wrócić do celu mojej wizyty.

Pielęgniarka wstaje i podchodzi do stołu.

– Anno, wyglądasz na bardzo zaniepokojoną. Więc mówisz, że jak się skaleczyłaś w dłoń?

– Sprzątałam jakieś szkło w kuchni – odpowiadam. – Podniosłam je bezmyślnie rękami. Miałam mnóstwo spraw w głowie.

Emma wraca z papierowymi chusteczkami i bandażami. Siada naprzeciwko mnie.

– Cóż, tak zazwyczaj do tego dochodzi.

– Mój chłopak miał bardzo poważny wypadek na drodze – mówię. – Mało nie stracił życia.

Aż się dziwię, jak łatwo słowo „chłopak” wychodzi mi z ust.

Emma przestaje bawić się paczką chusteczek i podnosi na mnie wzrok.

– Przykro mi to słyszeć. Czy twój chłopak jest tutaj, w ośrodku zdrowia?

Kręcę głową.

– Jest teraz w domu, ale jest bardzo chory. A kierowca, który w niego uderzył, nie ma nawet zadrapania.

Emma zaczyna niezbyt delikatnie dłubać przy mojej dłoni, aż sapnęłam.

– Przepraszam – mówi, ale dalej robi to tak samo.

– To nie jest w porządku – kontynuuję. – On tak mocno dostał, a tamten kierowca żyje sobie dalej, jakby nic się nie stało.

Pielęgniarka zaciska usta i gwałtownie mruga. Kiedy podnosi wzrok znad dłoni, wydaje mi się, że widzę łzawy błysk.

– Ludzie chyba zapominają, że to ma wpływ także na tego drugiego kierowcę.

Jak na twoją córkę-oszustkę? Udającą poczucie winy w liście online do Liama?

Serce mi wali, ręka strasznie mnie szczypie, ale ciągnę sprawę. Tyle

przecierpiałam, niech z tego będzie jakaś korzyść.

– Mówisz, jakbyś tam była – zauważam.

Emma wzdycha i odkłada chusteczki. Składa ręce na kolanach i patrzy prosto na mnie.

– Mam zasadę, żeby nie rozmawiać z pacjentami o moim życiu osobistym – mówi. – Ale, jeśli to coś da, moja córka trochę ponad tydzień temu uczestniczyła w wypadku. Więc domyślasz się, że dobrze to rozumiem.

Uczestniczyła w wypadku? To kurestwo było z jej winy!

– Bardzo ucierpiała?

Emma znów bierze chusteczki i kręci głową, głęboko wzdychając.

– Fizycznie nie, psychicznie tak. Obawiam się, że już nigdy nie usiądzie za kierownicą. Widzisz, ona uważa, że to była jej wina. Spotkała się z mężczyzną, na którego wpadła, i mówi, że to taki miły gość, ale ona nie potrafi sobie wybaczyć.

Nie wiem, co powiedzieć, nie ryzykując, że się wydam, więc cicho siedzę.

– Nie sypia – wzdycha pielęgniarka. – To nie jest takie łatwe. Wypadek wpływa na wszystkich na różne sposoby, a ludzie nie zawsze o tym myślą.

Ma na myśli ludzi takich jak ja.

Emma leje trochę płynu na kawałek waty, rozchodzi się ostry zapach alkoholu.

Ostro wsysam powietrze między zębami, kiedy przykładam wacik do mojej dłoni. Klucie jest takie, jakby znowu rozcinała mi dłoń.

– Prawie skończone – mówi, muskając moje rany.

– Czy twoja córka ma problem z policją w kwestii tego wypadku? – pytam.

Twarz Emmy ciemnieje.

– Modlimy się, żeby nie, ale po prostu jeszcze nie wiemy. Nadal prowadzą śledztwo.

Jej ton zmienił się na bardziej formalny. Wiem, że więcej na ten temat nie powie.

– Oskarżenie czy nie, myślę, że twoja córka będzie musiała żyć z tym, co zrobiła do końca swoich dni – mówię.

Podnosi na mnie wzrok.

– Jakieś to dziwne, jakby wypadek zbliżył ich do siebie – mówi. – Ją i człowieka, którego potrąciła. Jest niewiarygodnie wyrozumiała.

– Naprawdę? – Mój głos robi się piskliwy i cienki.

Emma kiwa głową i uśmiecha się, rozwijając bandaż.

– Teraz, kiedy wrócił do domu, odwiedza go regularnie. Zaczynają się poznawać. Kto mógł pomyśleć, że z tego wszystkiego wyniknie jakaś pozytywna rzecz?

Wstając, przewracam butelkę z antyseptykiem.

– Poczekaj! Jeszcze nie skończyłam.

– To nie ma znaczenia – mówię wymijająco, chwytam kurtkę i idę do drzwi.

– Twoja ręka...

Nie słyszę dalszego ciągu. Jak burza wypadam z gabinetu na korytarz.

Dostałam to, po co przyszłam: potwierdzenie, czego chce Amanda. Wrabia Liama we współzucie dla siebie, bo wtedy Liam poprosi policję, żeby nie wysuwała wobec niej oskarżenia. To takie oczywiste, a jednak ani Ivy, ani Liam tego nie rozumieją.

Co ona ukrywała? Jeśli wypadek był po prostu wypadkiem, to przecież nie ma czego maskować.

W samochodzie połykam dwa ibuprofeny, popijam wodą z butelki i przez parę minut wykonuję ćwiczenia oddechowe.

Potem wyszukuję w Google parę rzeczy i dzwonię. Kiedy jest po wszystkim, czuję się znacznie lepiej.

Teraz mogę się cieszyć resztą dnia.

Następnego dnia rano zgłaszam się w pracy na ochotnika, żeby rozdzielić między wszystkich pracowników śmieciową pocztę, ulotki reklamowe, za których dostarczenie z ogólną pocztą płaci nam biznes.

Podchodzę zakolami do blatu, wyjmuję plik ulotek i rozglądam się. Nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, więc z łatwością przeszukuję kratkę z pocztą na Rowland Street.

Zabiera mi to więcej czasu, bo staram się używać tylko zdrowej ręki, ale nikt tego nie zauważa. Dopóki obok nie przechodzi Roisin.

– Anno! Co się stało z twoją ręką?

Wyciągam dłoń z kratki i odwracam się na pięcie.

– Stłukłam szklankę – mówię. – W kuchni.

Ciekawe, czy zauważyła, że przeglądam czyjaś jeszcze niedoreczoną pocztę.

– Kochana, dobrze się czujesz? – Nie spuszcza mnie z oka. Dochodzi do mnie, że oczy mam trochę za szeroko otwarte, a ramię zamarło mi w połowie ruchu. Mrugam, potrząsam ramieniem i opuszczam je.

– Już lepiej, mam trochę skurczów – mówię. – Spotkamy się później, Roisin.

– Masz ochotę na kawę po robocie? – pyta mnie ponownie.

Nabieram tchu i słyszę swoje słowa.

– Tak, no dobrze. Gdzie chcesz się spotkać?

Twarz się jej rozjaśnia, a ja marnie się czuję, że tyle czasu zajęło mi przyjęcie jej propozycji spotkania. Ustalamy czas i miejsce, a ja nie mogę się powstrzymać uśmiechu, kiedy Roisin odchodzi. To dla mnie spory zwrot w życiu.

Czuję jej wzrok na plecach. Wiem, że myśli, że jestem trochę dziwna.

Wyciągam dwie urzędowo wyglądające koperty dla numeru 42, które udało mi się włożyć między ulotki, zanim pojawiła się Roisin. Pobieżnie sprawdzam, czy nadal mnie obserwuje, i przechodzę do tej części blatu, gdzie segregowana jest

poczta Liama i Ivy.

Nic interesującego, tylko rachunek za prąd i czasopismo poświęcone motocyklom, które natychmiast wyrzucam do kosza. Starczy już tych śmieci w sypialni Liama.

Kiedy wracam do swojej części blatu, składam przeschumowane listy i wsuwam je do kieszeni spodni. Nastrój mi się poprawia, nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła je przeczytać.

Poranek był całkiem niezły, jeśli wziąć pod uwagę wyzwania, jakie stawia mój nowy plan doręczeń. Ładuję torby z pocztą, jadę do domu na rowerze, wyrzucam zawartość toreb na piętrze i ponownie napełniam torby najstarszą pocztą, jaką mogę znaleźć w ciągle przyrastającej górze w zapasowej sypialni.

Wracam rowerem i udaje mi się dostarczyć ponad trzy czwarte poczty, przy czym przedłużam czas pracy tylko o godzinę.

Towarzyszy mi dziwne uczucie, że ktoś mnie obserwuje, ale kiedy przyglądam się ulicy, nikogo nie widzę. To na pewno dlatego, że wcześniej przypatrywała mi się Roisin.

Zraniona ręka jest obolała i pulsuje, ale już nie mam odruchu wymiotnego ani nie jest mi gorąco, więc jakoś daję sobie radę z pracą, chociaż robię to trochę wolniej.

Pogoda, dla odmiany, jest piękna. Słońce co rusz próbuje się przebić przez chmury, a przyjemny wietrzyk wspiera moje wysiłki. Jestem pewna, że zadziała mój plan wyrównania opóźnień w doręczaniu przesyłek. Dzisiaj udowodniłam, że to jest możliwe.

Do kawiarni dojeżdżam kilka minut wcześniej, Roisin już tam jest. Uśmiecha się i macha do mnie.

– Zamówiłam ci karmelowe cappuccino – rozpromienia się. – Mam nadzieję, że to okej?

Nie lubię wymyślnych napoi. Zawsze wolałam zwyczajne latte albo normalną kawę, która smakuje tak jak domowe nescafe.

– Dziękuję – mówię. – Ile jestem ci winna?

Opędza się machnięciem od mojego pytania i wypija długi łyk swojego karmelowego drinka.

Robię to samo. Przyglądam się jej, próbuję naśladować to, co ona robi, żeby ta sprawa, to spotkanie przyjaciółek na kawie, wypadła jak trzeba.

– No to – mówi – jak tam u ciebie?

– Świetnie – odpowiadam. Patrzy na mnie, jakby spodziewała się większej liczby słów. – Lepiej się czuję, kiedy skończyłam pracę.

– Tak, ja też. Tam można zwariować, prawda?

– Tak.

– Tak, zwariowane miejsce, a oni zmieniają godziny pracy i grafiki. Nie

wiem, co z tego będzie. Mam nadzieję, że nie zredukują nam godzin. – Trzyma uszko długiej szklanki i chwije ją trochę, tak że kawa wiruje i zostawia na brzegu krąg piany.

Chciałabym porozmawiać o moich problemach z doręcznikami, ale jest za wcześnie. Roisin wygląda na miłą osobę, ale za słabo ją jeszcze znam, żebym miała się odsłonić.

Patrzy na mnie i przechyla głowę na bok.

– Anno, jaki masz rozmiar sukienki? Domyślam się, że około czternastki.

Kiwam głową, zastanawiam się, do czego to zmierza.

– Mam śliczny top, kupiłam go kilka tygodni temu. Ładny łososioworóżowy kolor. Źle wygląda przy moich włosach, ale tobie będzie w tym do twarzy. Jestem pewna. Przyniosę, żebyś przymierzyła.

– Dziękuję – mówię. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam coś nowego do noszenia.

Roisin wygląda na zadowoloną.

– Mieszkasz gdzieś w pobliżu? – pytam, wchodząc w rytm.

– Niezupełnie tutaj, w city, bo za drogo, ale niedaleko stąd, w Lenton. Mieszkam z inną dziewczyną. A ty?

– W Sneinton – odpowiadam. – Na Park Hall Road.

– Ach, dobrze znam tę okolicę. – Twarz się jej rozjaśnia. – Moja siostra tam pracuje.

– Jest pocziarzem?

– Kto?

– Twoja siostra.

– Och nie. – Roisin śmieje się. – Linda jest pielęgniarką środowiskową. Odwiedza starych ludzi, którzy potrzebują pomocy w domu. Właściwie, to chyba ma klienta na tej ulicy.

Nie wiem, czy to mężczyzna, który właśnie przeszedł obok naszego stolika, trącił mnie w ramię, czy po prostu podniosłam szklankę za szybko do ust, ale kawa wylała się na cały stół.

Wróciłam do domu, nakarmiłam Alberta i szybko zrobiłam rozpoznanie, żeby sprawdzić, czy ujawniło się źródło smrodu. Na szczęście zapach nie jest taki mocny jak wczoraj. Ale i tak na tyle nieprzyjemny, że chcę jak najszybciej wyjść na dwór.

Biorę ciastko waniliowe, jedno z tych, które wcześniej kupiłam, i wpadam do pani Peat, drugie ciastko niosę w plastikowym pojemniku.

– Jak miło – mówi pani Peat, kiedy podaję ciastko do herbaty. – Ale Anno, co ci się stało w rękę?

– Nic takiego – bełkoczę, opuszczając rękę. – Wygląda, gorzej niż jest. Skaleczyłam się dziś rano, kiedy zmywałam szklanki.

Pani Peat cmoka z dezaprobatą i zatapia zęby w ciastku. Myśl o kremie i przeżutym cieście, które przyklejają się do jej sztucznej szczęki, sprawia, że zbiera mi się na wymioty.

– Czy Linda, ta twoja opiekunka, ma siostrę? – pytam, odwracając wzrok.

– Nie jestem pewna, kochana. Nie pamiętam, czy w ogóle wspominała o siostrze. Dlaczego pytasz?

– Ktoś w pracy powiedział, że ma siostrę, która jest pielęgniarzką społeczną. Ma klienta na tej ulicy.

– Cóż, Park Hall Road jest dość długa. To prawda, że ostatnimi czasy jest nas kilkoro, którzy potrzebują trochę więcej pomocy.

Pani Peat ma rację. Mnóstwo ludzi mieszka w tej okolicy przez całe życie. To może być po prostu zbieg okoliczności. Czuję, jak szyja i ramiona trochę mi się odprężają.

A jednak to dobra okazja, żeby porozmawiać z nią o prywatności.

– Nie mówisz o mnie Lindzie, prawda? – Pani Peat przestaje przeżuwać i podnosi wzrok. – Chodzi o to, że nie chcę, żeby ktoś znał moje sprawy.

– Za bardzo się przejmujesz, Anno. Napij się herbaty, kochana.

– Przepraszam, że przez parę dni nie przychodziłam – mówię. – Byłam zajęta w pracy i chodziłam do szpitala.

– Nie przepraszaj – mówi stanowczo pani Peat. – Zawsze z wdzięcznością przyjmuję twoje wizyty, ale wiem, że masz swoje życie.

Przynajmniej to mam. Naprawdę mam swoje życie. Gdzieś po drodze zmieniła się moja codzienna samotność. Teraz, po raz pierwszy od dawna, są też inni ludzie.

Przymierzam tę nową świadomość, sprawdzam, czy pasuje. To jest trochę tak, jakby nosić nowy, modny kapelusz i stwierdzić, że podszewka drapie. Nie spodziewałam się tego i nie jestem całkiem pewna, czy tego chcę.

Dopiero kiedy wychodzę od pani Peat i wracam do domu, dociera do mnie, że nie zapewniła mnie, że nie plotkuje na mój temat z Lindą.

Jeśli pomyśleć o tym wszystkim, to w ogóle nie odpowiedziała na moje pytania.

Trzydzieści lat wcześniej

Carla Bevin siedziała naprzeciwko Daniela Clarke'a i naląła z dzbanka wodę do dwóch szklanek.

Jeśli podliczyć spotkanie, na które Daniel się nie stawił, to była ich czwarta sesja. Carla musiała przyznać, że do niczego nie doszła.

Daniel wydawał się słuchać wszystkiego, co miała mu do powiedzenia. Od czasu do czasu nawet wzruszał ramieniem. Poza tym, od pierwszej sesji, nie wypowiedział ani słowa.

Jeszcze jedna wizyta i będzie miał, jak to nazywano, pakiet pięciu sesji, a to znaczyło, że kierownictwo szkoły przyjrzy się jego postępom, zanim wyda zgodę na kolejne spotkania.

Nie trzeba być geniuszem, żeby odgadnąć, jaka mogła być ich decyzja, chyba że coś by się wkrótce zmieniło. Carla wiedziała, że nie może winić kierownictwa szkoły.

Dosłownie nie wie teraz o Danielu więcej, niż kiedy cztery tygodnie temu wszedł do jej gabinetu.

Pod koniec spotkania wspomniał wtedy, że ktoś go obserwuje, ale kiedy pytała, kto to taki, znów się wycofał w siebie.

Więc dzisiaj, kiedy chłopiec przyjął szklankę wody i powiedział dziękuję, Carla przez parę sekund była zaskoczona. Czy podczas tej sesji wreszcie się otworzy i opowie o swoich problemach?

– Dziękuję Danielu, że przyszedłeś – zaczęła, uważając, żeby nie wypadło to zbyt gorliwie. – Czy jest coś szczególnego, o czym chciałbyś dzisiaj porozmawiać?

– Nie. – Wzruszył ramionami. – W ogóle nie.

Zdecydowanie zaszła w nim jakaś zmiana, ale Carla nie była w stanie stwierdzić, co to takiego.

Jego wygląd nie zmienił się: nadal wychudzony i blady z widocznymi na pierwszy rzut oka problemami nerwowymi. Zauważyła też, że krzywi się za każdym razem, kiedy choć trochę się poruszała.

Nie chciała go wystraszyć zbyt dużym zainteresowaniem czy wymaganiami, więc po cichu policzyła do pięciu, zanim znów się odezwała.

– Rada pedagogiczna jest tobą bardzo zaniepokojona, Danielu. Uważają, że masz jakieś problemy, które powodują, że się martwisz, a może nawet boisz. – Przerwała, żeby dać mu czas na odpowiedź. Po chwili ciszy mówiła dalej. – Zastanawiam się, czy dzisiaj będziesz chciał porozmawiać ze mną o czymś, o

czymkolwiek, co może sprawia ci problem?

Żadnej reakcji.

– Pod koniec naszej ostatniej sesji mówiłeś o jakimś człowieku. Powiedziałeś, że on wie wszystko. Kto to jest?

Lekka zapowiedź uśmiechu.

– On nie jest człowiekiem – powiedział Daniel.

Stłumiła westchnienie. Bawił się z nią, więc może nadszedł czas, żeby zmienić taktykę, przynajmniej na teraz.

Przez chwilę przyglądała się chłopcu. Jeszcze nie widziała ucznia, który siedziałby w takim bezruchu.

– Wyglądasz na bardzo spiętego – zauważyła. – Boli cię coś?

Patrzyła, jak Daniel luźno zwija dłonie i wciska je w poduszkę krzesła po swoich obu stronach. Na coś trafiła.

– Danielu, jeśli ktoś cię krzywdzi, powinieneś o tym komuś powiedzieć. Możemy o tym porozmawiać i razem wypracować plan. Tylko ty i ja...

– Czy muszę jeszcze przychodzić na te sesje? – Jego szorstka, niedwuznaczna wypowiedź wciąła się w jej słowa.

Carla zamknęła usta i zamrugowała.

– Słucham? – wydusiła z siebie.

Siedział bez ruchu i patrzył na nią. Patrzył nieomal przez nią.

– Czy muszę przychodzić na te sesje, czy mogę przestać?

Jego oliwkowe oczy były znudzone, pozbawione światła, jakby za nimi niczego nie było.

– Nie doradzałabym ci tego, Danielu. Te sesje są po to, żeby ci pomóc, ale jeśli będziesz tylko...

– Ale czy to przepis, że muszę tu przychodzić? – naciskał. – Tak jak musimy za karę zostawać po lekcjach?

Więc tak widział wizyty w jej gabinecie. Jako karę.

– Danielu, chcę ci coś wyjaśnić. Nasze wspólne sesje to przywilej, którego pozbawiona jest większość uczniów.

– Mają szczęście.

Był na skraju rzucenia jej wyzwania, a ona zrozumiała, że zmiana, którą w nim wyczuli, kiedy wszedł do gabinetu, to była nowa postawa, którą przybrał. Jeżyła się na nim, jak powłoka z kolców.

– Te sesje kosztują szkołę mnóstwo pieniędzy, Danielu. Wszyscy chcemy ci pomóc. Jesteś zdolnym chłopcem, czeka cię wspaniała przyszłość, a my chcemy, żebyś mógł z tego w pełni skorzystać. Rozumiesz moje słowa?

– Tak. – Zaszurał nogami i skrzywił się. – Ale to nic nie da.

– A dlaczego?

– Bo po prostu nie i dlatego to jest strata czasu, że tu przychodzę.

Zerwał kontakt wzrokowy, patrzył na swoje ręce.

Czas zmienić taktykę.

– O ile wiem, twoja starsza siostra, Anna, chodzi do szkoły ogólnokształcącej w Cumber Meadows?

Daniel ostro na nią spojrział i zaczął przygryzać dolną wargę.

– Jesteś w bliskich stosunkach z siostrą?

Carla patrzyła, jak Daniel coraz mocniej przygryza dolną wargę, dostrzegła błysk jaskrawoczerwonej bańki w kąciku jego ust.

Ten dzieciak naprawdę ją zdenerwował. A to grał na jej emocjach, a to wściekał ją tym beznamiętnym, pustym spojrzeniem.

Bardziej niż czegokolwiek chciała go rozgryźć.

Wiedziała, że powinna skończyć z pytaniami, kiedy przygryzł wargę do krwi. I skończy, za chwilę. Jeszcze jedno, dwa pytania.

Dla efektu Carla przejrzała notatki, ale i tak zdążyła już nieźle poznać jego podłoże rodzinne.

– Mieszkasz z mamą i siostrą, prawda, Danielu?

Kiwnął głową.

– Jakieś zwierzaki?

Zacisnął szczękę. Naciskała mocniej.

– Kot? Pies? Żłota rybka?

– Mieliśmy kotkę – odparł cicho. – Ale ona... zginęła.

– To smutne. – Carla zacisnęła usta. – Ja też miałam kota, którego uwielbiałam.

– Co się z nim stało?

– Był stary, umarł.

– Śmierć nie jest najgorszą rzeczą, która może się zdarzyć – powiedział Daniel.

Carla czekała.

– Czasem śmierć nie wydaje się wcale taka zła – dodał cicho.

Ten chłopiec miał osiem lat. Chciała sięgnąć ręką, żeby go pocieszyć, ale to byłoby najgorsze, co mogłaby zrobić w tych okolicznościach. Zerwałaby się cienka nić kontaktu, który w takim trudzie nawiązała.

Musi naciskać dla jego dobra.

– To prawda, że dobrym ludziom czasem zdarzają się złe rzeczy, ale wszystko może się poprawić. Ludzie potrafią znaleźć drogę przez trudne chwile.

– Chcesz powiedzieć, że to daje im Bóg? – Popatrzył na nią. Jego oliwkowe oczy pełne były czegoś, co wyglądało jak nadzieja albo lęk, nie była w stanie rozpoznać, co to takiego.

– Może – odparła. – Albo po prostu rozmowa z innymi, którzy nie są obojętni i mogą pomóc.

– Złe rzeczy zdarzają się, ale to nie znaczy, że to wina Boga – powiedział ostro Daniel.

Carla patrzyła na niego, widziała, jak z twarzy znika mu wszelki wyraz.

– To prawda, czasem ludzie winią Boga za zło, które ich dotyka – powiedziała szybko, próbując znów go zainteresować.

– „Głupota człowieka niszczy mu drogę, a serce na Pana się gniewa”. Księga Przysłów 19:3 – wyrecytował Daniel.

Taka perfekcja w cytowaniu wymagała sporej praktyki.

– „Każdy bowiem poniesie własny ciężar”, List do Galatów 6:5.

– No, no, widać, że znasz swój...

– „Tak więc każdy z nas o sobie samym zda sprawę Bogu”. List do Rzymian 14:12.

– Regularnie chodzisz do kościoła – wcięła się w jego automatyczne cytowanie. – Może z mamą i siostrą?

Wstał, skrzywił się, próbując poluzować szkolny mundurek.

– Wiem, że nie muszę tutaj przychodzić – powiedział, patrząc w ścianę naprzeciwko.

– Danielu, próbuję ci pomóc. – Carla przełknęła z trudem. – To byłby błąd, tak po prostu...

– Nie chcę już przychodzić na spotkania z tobą, nie muszę. Szkoła nie może mnie do tego zmusić.

Patrzył w przestrzeń obok jej głowy. Carla wiedziała, że przestał słuchać jej słów.

Wtedy zrozumiała, dlaczego chłopiec wydał się jej taki inny. Ktoś się do niego dobrał.

Ktoś powiedział Danielowi Clarke’owi, co dokładnie ma mówić.

Teraz

Anna

Wracam do domu, po wizycie u pani Peat, robię sobie kanapkę z sałatką z tuńczyka i siadam nad listami, które przemyślałam z sortowni. Oba są zaadresowane do panny A. Danson.

Rozdzieram kopertę i widzę, że to prośba ze strony policji, żeby skontaktowała się z nimi w sprawie wypadku. Cieszy mnie to nieskończenie, bo widać, że się do niej dobierają. Tym razem nie uda się jej tak łatwo uciec przed konsekwencjami.

Postanawiam zniszczyć list, zamiast zanosić z powrotem do pracy, żeby go doręczono. Zignorowanie listu z policji tym bardziej rzuci na nią cień winy.

Drugi list jest z kierownictwa Pracowitej Pszczółki i dotyczy szczegółów pracy, co do której wyraziła zainteresowanie. Wyższa rangą pozycja.

Już mam podrzeć ten list, kiedy moją uwagę zwraca adres wydziału zasobów ludzkich, umieszczony w górnym lewym rogu.

Odnoszę talerz i kubek i siadam przy stole z laptopem.

Obok mnie leży notatnik z wszystkimi dotyczącymi jej szczegółami, które do tej pory znalazłam. A teraz mam list ze szczegółami dotyczącymi jej pracodawcy.

Wczoraj ruszyłam sprawę. Dzisiaj muszę utrzymać rozpęd.

Późnym popołudniem przeprowadzam mój regularny przegląd piecyka, mikrofalówki i czajnika. Odciągam lodówko-zamrażarkę od ściany. Potem naklejam z powrotem nalepki ze śmiejącymi się twarzyczkami.

W salonie poduszki są wyrównane jak trzeba. Telewizor wyłączony, lampy pogaszone. Nalepki nalepione.

Zadowolona, że spokojnie mogę wyjść, idę do samochodu.

Kiedy dojeżdżam do domu Liama, idę prosto do tylnych drzwi. Zaskakuje mnie, że są zamknięte.

Pukam i potrząsam klamką, żeby przyciągnąć uwagę Ivy, odczekuję kilka sekund. Nic. Więc znowu pukam, tym razem głośniej.

– Wyszli – mówi głos za moimi plecami.

Odwracam się i widzę przysadzistą kobietę, pewnie sąsiadkę Beryl, która opiera się o furtkę oddzielającą dwie posiadłości.

Twarz ma nabrzmiałą i bladą, nawet tutaj, na świeżym powietrzu,

wyczuwam na jej ubraniu stęchły zapach dymu tytoniowego.

– Ivy prosiła, żeby pani powiedzieć, że późno wróca, więc nie ma sensu czekać.

– Wie pani, dokąd pojechali?

Kręci głową, a jej podbródki trzęsą się.

– Wiem tylko, że odjechali taksówką dziesięć minut temu. – Podnosi płócienną torbę na zakupy. – Sama wychodzę na miasto. Pewnie nie będzie pani tędy wracała?

Kręcę głową, zaskakuje mnie jej czelność. Istotnie, w drodze do domu przejeżdżam obok centrum, ale nie mam ochoty jej podwozić. Bo niby dlaczego miałabym się narażać na dziesięć minut bezsensownej paplaniny?

Wracam do samochodu, gorąco zalewa mi ciało.

Co z tą Ivy, że zabiera Liama taksówką? On nie będzie miał czasu, żeby wyjść z ciężkiego stanu, jeśli co dwie minuty będzie go wyciągać z domu.

Siedzę w samochodzie, gapię się przed siebie. Zgrzytam zębami, a co mi tam, to pomaga mi w myśleniu. Podrywa mnie stukanie w okno.

Opuszczam szybę o parę centymetrów.

– Ivy powiedziała, że nie ma sensu czekać – powtarza Beryl.

– Słyszałam za pierwszym razem – rzucam i zamykam okno, zanim zdążyła odpowiedzieć. Patrzy na mnie wściekle, mamrocze coś i kołyszac się, odchodzi ulicą z tymi swoimi wielkimi torbami na zakupy.

Przychodzi mi do głowy, że Liam, odkąd wrócił ze szpitala, powinien mieć włączoną komórkę. Jeśli potrzebna mu pomoc albo chce się ze mną z jakichś powodów skontaktować, może się to okazać bardzo przydatne. Na przykład mogłabym zadzwonić do niego w tej chwili, żeby dowiedzieć się, gdzie jest. Jakież to głupie ze strony Ivy narażać się na koszty taksówki, kiedy ja mogłabym zabrać ich, dokąd tylko by chcieli. Ivy podejmuje bardzo złe dla zdrowia Liama decyzje, próbując dać mu więcej swobody.

Uznałam, że wszelkie próby przekonania jej do mojej pomocy będą bezowocne, szkoda marnować na to słów, ale nie mogę pozbyć się myśli, że powinnam z nią usiąść i poważnie porozmawiać, niechby zaczęła sensownie myśleć.

Dociera do mnie, że boli mnie skóra na głowie i zdaję sobie sprawę, że znów ciągnę się za włosy. W zdrowej dłoni ściskam wiotką kulkę. Opuszczam szybę i puszczam włosy, patrzę, jak wiatr niesie je w stronę Beryl, sąsiadki Ivy. Wyobrażam sobie, że kłęb włosów wiatr znosi w dół ulicy, prosto w jej wielkie, rozdziawione usta, a ona się dławi.

Chichocząc pod nosem, biorę kluczyk, żeby przekręcić go w stacyjce i wtedy objawienie: przypominam sobie o zapasowym kluczu. Tym, który kazałam skopiować, zanim oddałam Ivy oryginalny pęk ze szpitala.

Patrzę na drzwi frontowe i wyobrażam sobie, jakby to było, gdybym przez nie weszła i znów miała dom dla siebie.

Gdzieś tam jest wizytówka służbowa z policji. Ostatnim razem nie było po niej ani śladu, ale ona gdzieś tam jest. Musiała wrzucić ją niedbale między rupiecie.

Ivy była skryta, jeśli chodzi o informacje ze szpitala na temat postępów Liama, więc kto wie, może miała dalsze informacje z policji, ale nie powiedziała o tym ani mnie, ani Liamowi?

Patrzę na ulicę, zastanawiam się, o której wrócą taksówką.

Sąsiadka, ta stara jędza, mówiła, że długo ich nie będzie. Sama też wyszła, gdzieś do miasta. Zastanawiam się, czy mogłabym zaryzykować dziesięć minut w ich domu?

Pobieżne przeszukanie domu może posunąć sprawę o krok, jeśli uda mi się znaleźć wizytówkę służbową albo jakąś inną ważną wiadomość z policji, którą Ivy zatrzymała dla siebie. W ten sposób mogłabym pójść prosto do funkcjonariusza prowadzącego śledztwo i przyspieszyć sprawę.

Włączyłam silnik i pojechałam sto metrów w górę ulicy, zaparkowałam po drugiej stronie jezdni, z boku, za wielką białą furgonetką.

Torebkę zamykam w bagażniku, żeby niczego nie zostawić, gdyby wróciła Ivy z Liamem. Gdybym musiała, wyslizgnęłabym się niezauważona tylnymi drzwiami.

Pewnym siebie krokiem przeszłam przez ulicę i podeszłam do furtki. Najważniejsze, to nie wahać się w takich sytuacjach. Ludzie mają oko na nerwowe, niezwykle zachowania, stają się one pożywką dla podejrzeń i ściągają zainteresowanie. Ale ktoś, kto wygląda, jakby był stąd, jakby właśnie odwiedzał przyjaciela? Nikt nie zwróci na niego uwagi.

Kiedy dochodzę do drzwi, ręka mi się trzęsie, ale i tak wkładam klucz i drzwi otwierają się szeroko. Zamykam je za sobą i stoję bez ruchu przez minutę.

– Liam?! – wołam w cichym, spokojnym wnętrzu. – Hej?

Nie mam pojęcia, jaką wymyśliłabym wymówkę, gdyby okazało się, że w domu jednak ktoś jest, ale nie muszę się denerwować.

Dom jest pusty.

Joan Peat

Usłyszała, jak rusza samochód Anny, i pokuśtykała do okna od ulicy, żeby popatrzeć, jak tył srebrnej astry znika w oddali.

Westchnęła i usiadła na krześle obok okna. Firanka była zaciągnięta, ale tak, żeby mogła obserwować ulicę, nie będąc widzianą.

Teraz nie padało, ale gruba powłoka chmur wyglądała, jakby zaraz znowu mógł spaść deszcz. Gdyby tak się stało, nie byłoby czego oglądać z okna, wszyscy zostaliby w domu.

Joan miała dość oglądania nudnych programów w telewizji, zmęczyło ją czytanie starych czasopism dla kobiet od Lindy, przede wszystkim męczyła ją cisza.

W tej chwili na zewnątrz nie było żywej duszy. Joan słyszała cichy, nieustający szum lodówki i sporadyczne pstrykanie bojlera.

To było to. To było jej życie.

Przed laty, nawet po śmierci Arthura, ciągle był hałas, a raczej coś, co Joan uważała za poprawiające humor dźwięki. Szczególnie po sąsiedzku, kiedy urodził się Daniel. Chociaż, z jakiegoś powodu, nie spędzał tyle czasu w domu Joan, tak jak Anna.

Ale kiedy we dwoje bawili się przed domem, zawsze wpadali, żeby pokazać jej to i owo.

Joan czuła, że ją akceptują, że jest ważna w ich życiu.

Kiedy Monica w końcu ich wołała – zawsze za późno, kiedy było już za ciemno i zdaniem Joan niebezpiecznie – słyszała, jak biegli po schodach na górę i śpiewali, albo piszczeeli w salonie.

Hałas jej nie przeszkadzał, przeciwnie, lubiła go.

Takie towarzystwo łagodziło ostry ból niezgłębionej czarnej przestrzeni po śmierci Arthura.

Niestety, bardzo wyraźnie słyszała też, Monicę krzyczącą na dzieci. Czasem były klapsy i krzyki, szczególnie dotyczyło to Daniela.

Wtedy odsuwała szklankę od ściany.

Joan próbowała nie myśleć, co powiedziałby Arthur, ale to nie działało. Tak wyraźnie słyszała jego głos w głowie, jakby przed nią stał.

„Ta kobieta prosi się, żeby ją zgłosić, Joan. Musisz to zrobić ze względu na dzieciaki”.

Ale Joan wiedziała, że jak wdadzą się w to urzędnicy, odbiorą matce Annę i

Daniela. Pewnie już nigdy by ich nie zobaczyła.

Więc Joan sprytnie nauczyła się blokować takie myśli, zajmując się czymś innym. Na przykład kładła płytę Neila Diamonda na stary adapter Arthura albo włączała telewizję.

Wszystko jedno co, byle zagłuszyć hałasy z sąsiedztwa. A kiedy płacz ustawał, surowy głos Arthura znów znikał.

Joan przejechała dłonią po parapecie i starła warstwę kurzu.

Zwykła skrupulatnie podchodzić do sprzątanía. Arthur mawiał, że gdyby musieli, mogliby jeść obiad z kuchennej podłogi, była tak czysta.

Przed laty nie tolerowałaby cienkiej warstwy szarego kurzu, która teraz wszystko pokrywała. W niektóre dni wydawało się jej, że osadza się na jej ciele, jak cienki całun.

Czasem zastanawiała się, czy nie skończy jak postać z Dickensa, panna Havisham z *Wielkich nadziei*, blada, zakurzona, pokryta pajęczynami.

Mogłoby się to stać, gdyby straciła gości, jej linę ratunkową.

Istotnie, wyglądało na to, że wkrótce straci Annę. Coraz bardziej była przekonana, że Anna ma przed nią tajemnice, że są sprawy, o których nie chce jej mówić. Czuła przez to ostrą gorycz w gardle, bo Anna zawsze wszystko jej mówiła i zawsze ceniła jej rady.

Nawet jako dziecko Anna zwierzała się Joan. Mówiła o strasznych rzeczach, które zdarzają się jej bratu w tamtym domu.

Najpierw, zamiast osądzać Monicę Clarke, Joan próbowała lepiej ją poznać.

Mimo tego, co słyszała i co widziała, próbowała po chrześcijańsku wyciągnąć rękę do bliźniej.

Dla Joan było jasne, że Monica to kobieta, która samotnie przedziera się przez życie.

Niewiele o sobie mówiła i Joan nie znała jej przeszłości, ale nie musiała. Widziała.

Ten brak zaufania w oczach młodszej kobiety. To, że jeżyła się, kiedy Joan z rzadka do niej zachodziła z talerzem lasagne. Dla Joan było oczywiste, jak nos na przesadnie umalowanej twarzy sąsiadki, że musiała przeżyć tysiąc rozczarowań, zapewne spowodowanych przez innych. W rezultacie wystrzegą się wszelkich propozycji pomocy.

W końcu, po narodzinach Daniela, obie kobiety doszły do milczącego porozumienia, które odpowiadało im obu.

Joan często trzymała Annę u siebie. Praktycznie, kiedy przyszedł na świat Daniel, Anna całkowicie przeprowadziła się do niej i Arthura.

Miała na piętrze własną sypialnię, zaś Arthur pozwolił jej wybrać tapetę.

– Pamiętaj, to nasza tajemnica – szeptała jej do ucha Joan, kiedy Anna wracała do matki. Obie wiedziały, że Monice się to nie spodoba, a Joan nie chciała

za bardzo na nią naciskać.

Monica Clarke była jedną z tych kobiet, które nie rozumiały, dlaczego jej dzieci miałyby mieć lepsze życie niż to, które im było dane.

Joan nadal myślała o wolnym pokoju na górze jako o sypialni Anny. Tapeta została, chociaż łóżka już nie było i pokój wykorzystywany był głównie jako składzik na pudła wypełnione ubraniami Arthura i jego rzeczami, których nadal nie była w stanie oddać do sklepu z rzeczami używanymi.

Chętnie porozmawiałaby znowu o tamtych dniach z Anną, ale obawiała się, że ją zasmuci. Poza tym ostatnio tak często przyjeżdżała i wyjeżdżała, że trzeba by szczęścia, żeby złapać ją na dłuższą pogawędkę.

Joan patrzyła przez okno. Pomyślała, że Anna powiedziała jej o przyjacielu, który już wyszedł ze szpitala, więc teraz nie powinna codziennie jeździć do niego z wizytą.

Joan była ciekawa, kim właściwie jest ten przyjaciel. Przez wszystkie te lata nie widziała, żeby Anna z kimkolwiek nawiązała bliższe stosunki.

Sprawy zaczęły się zmieniać, odkąd Anna została świadkiem wypadku. Jasne, były w tym także plusy, Anna wyrwała się wreszcie ze swojej sztywnej rutyny życiowej, ale działały się te inne sprawy, które Joan uważała za bardzo niepokojące.

Anna chodziła rano po domu, chociaż ostatnio trochę z tym było lepiej. Ale potem Joan słyszała, jak coś tam jest ciągnięte, jak uderza o schody, a kiedy Anna wpadła do niej dzisiaj, miała zabandażowaną rękę i nie potrafiła zadowolająco tego wyjaśnić.

Byłoby miło stać się na jakiś czas muchą na ścianie mieszkania Anny. Joan mogłaby zrozumieć, co tam się dzieje. Zatrzepotało dawno zapomniane wspomnienie, a potem osiadło na poczesnym miejscu w głowie.

Joan zupełnie wypadło z pamięci, że miała dom na oku, kiedy Annę hospitalizowano na wiele miesięcy.

Wstała i czekała, aż czucie wróci jej w nogach, potem powoli poszła do kuchni.

Ludzie nie powinni jej nie doceniać, bo jest stara. Mogliby się zdziwić... Były rzeczy, które potrafiłaby zrobić, gdyby chciała.

Joan wysunęła szeroką szufladę obok zlewu i podniosła tackę z brzęczącymi sztućcami.

Był. Zapasowy klucz do domu Anny, o którym przez wszystkie te lata Joan zupełnie zapomniała.

Anna

Drzwi frontowe zamknęły się za mną ze stuknięciem, weszłam do salonu.

Dom Liama i Ivy zwrócony jest na północ, więc pokój jest chłodny i cichy, mimo że wychodzi na ulicę. Czuć w nim zapach wilgoci, woń wieku i mebli, które dawno już powinny być wymienione.

Ivy utrzymuje dom we względnej czystości i porządku, tylko że tyle tutaj rupieci.

Ładnie poukładane, a jednak nieporządne sterty dokumentów zalegają w każdym pokoju. Wiele razy słyszałam, jak Ivy mamrocze, „później dokładnie to przeczytam”, kiedy dokłada kolejny list albo ulotkę do stosu poczty.

To oczywiste, jeśli popatrzeć na stosy nieczytanych dokumentów, że nie wraca już do nich myślą.

Jeśli policja ostatnio coś przesłała, to pewnie będzie „odłożone” bliżej szczytu któregoś z jej stosów, więc przerzucam dwie, trzy sterty w salonie. Natychmiast zaczyna mnie boleć zraniona ręka, ale nie przestaję.

Wkrótce staje się oczywiste, że nie ma tu dla mnie niczego interesującego, ale zatrzymuję się jeszcze na minutę, sama w domu, a o mojej obecności nikt nie wie.

Jasne, to wstyd, że muszę stosować takie metody, ale zmuszam się, żeby zrobić to, co trzeba, dla dobra Liama i Ivy.

Podchodzę do drzwi, postanawiam zostawić kuchnię na koniec, i wchodzę po schodach. Nie mogę sobie pozwolić na zwłokę, bo nie wiem dokładnie, kiedy wrócą.

U szczytu schodów skręcam na lewo i wchodzę do sypialni Ivy.

Łóżko jest zasłane, zasłony rozsunięte i przez lamowane firanki dociera powiew wiatru, który daje chociaż trochę wytchnienia od stęchlizny przenikającej piętro.

Staram się działać szybko, ale spowalnia mnie zraniona dłoń, a ta zdrowa jest niezdarza, grają w niej nerwy.

Wysuwam szufladę obok łóżka. Nic w niej nie ma, nie licząc chusteczek, słoika z maścią na piersi i powieścią Barbary Cartland z pozaginanymi rogami.

W szufladach pod łóżkiem leży stara pościel i ręczniki. Toaletka pod oknem szczyci się przestarzałymi kosmetykami Ivy i cienką pokrywą kurzu, ale kiedy zwracam uwagę na wolno stojącą szafę z ciemnego dębu ze zdobionymi fasetami, zauważam staromodny długi klucz z brązu nadal tkwiący w zamku.

Szafa jest ciemna i głęboka, ubrania Ivy wiszą razem ładnie uporządkowane. Niemal spodziewam się, że znajdę futra, szczyptę śniegu, a dalej może Narnię. Ale są tam tylko sukienki według mody sprzed wielu lat.

Pstra sukienka z ramiączkiem na szyję w stylu lat pięćdziesiątych, różowa w kolorze fuksji, spódnica z frywolnymi falbankami.

Trochę mięknię mimo sposobu, w jaki Ivy mnie traktuje, ale to głupie z jej strony, żeby trzymać tak bezużyteczne ubrania ze względu na wspomnienia. Gdzieś czytałam, że większość nosi tylko dwadzieścia procent zawartości swoich szaf, osiemdziesiąt procent to starzyzna. Myślę, że w przypadku Ivy to jest zaledwie pięć procent, dziewięćdziesiąt pięć procent to starzyzna.

Buty stoją w rzędzie na dnie szafy, większość z nich już nie do użytku ze względu na wiek i styl życia Ivy, ale robią na mnie wrażenie jej umiejętności organizatorskie. Na pierwszy rzut oka jej sypialnia robi wrażenie równie zagraconej, jak wszystkie inne pomieszczenia, ale gdy się lepiej przypatrzeć, widać, że jest schludna i efektywnie urządzona.

Co jakiś czas przerywam, skradam się do schodów i nasłuchuję. W domu panuje śmiertelna cisza, więc mogę metodycznie przeszukać sypialnię, ale nie widzę niczego, co mogłoby pomóc w przyspieszeniu policyjnego śledztwa.

Staję na czworakach i zaglądam w ciemną przestrzeń za rzędami staromodnych butów.

Chociaż mało prawdopodobne, żeby ktoś trzymał w takim miejscu wizytówkę służbową, napominam się, że dokładności niczym się nie zastąpi.

Upchnięte z tyłu, z prawej, stoją jedne na drugich trzy pudełka na buty, prawie całkowicie schowane za parą starych zamszowych wysokich butów. Czuję łaskotanie w gardle, kiedy wyciągam górne pudełko i siadam z nim na łóżku.

Jest do połowy wypełnione starymi listami, w większości pożółkłymi i zniszczonymi od wielokrotnego czytania. Są od ukochanego Ivy – zapewne jej męża – wtedy żołnierza w służbie czynnej.

Drugie pudełko jest bardziej interesujące. Dokumenty wyglądają na bardziej oficjalne.

Z założenia szukam czegoś, co mogłoby mi dać przewagę w kwestii śledztwa policyjnego, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby znaleźć jakieś inne interesujące informacje.

Kartkuję porządnie ułożoną zawartość pudełka. Sterta starych świadectw szkolnych Liama, które chciałabym dokładnie przeczytać, ale to byłoby zbyt wielkie ryzyko. Przedawnione certyfikaty ubezpieczeń, stare pełnomocnictwa, paragony.

Pracuję jedną ręką, najszybciej jak mogę, przetrząsam wszystko i znajduję na dnie wyściełaną kopertę. Kiedy widzę imię Liama napisane na niej czarnym markerem, zastanawiam się, czy znajdę w niej informacje, których Liam może nie

pamiętać.

Przez chwilę siedzę bez ruchu i nasłuchuję.

Cisza.

Wyjmuję z koperty jej zawartość i rozkładam ją na posłaniu łóżka.

Garść zdjęć i gruby plik złożonych papierów. Otwieram je i znajduję korespondencję sądową uznającą Ivy za prawną opiekunkę Liama.

Przebiegam oczami skomplikowaną terminologię. Jest w tym coś dziwnego, ale przez kilka sekund nie jestem pewna co, póki nie zauważam, że znajome są tylko imiona.

Jeszcze raz dokładniej to czytam. Nazwiska dotyczą w obu przypadkach Wiltonów, a nie Bradburych.

Może Ivy przeprowadziła prawną zmianę nazwiska dla nich obojga, bo chciała zapomnieć o urazie po wypadku ojca Liama. W końcu był jej jedynym synem. Większość chciałaby zachować nazwisko ze względu na wspomnienia, ale Ivy nie należała do większości. Zrobiłaby wszystko, żeby zachować Liama wyłącznie dla siebie.

Razem jest pięć fotografii. Wszystkie pokazują Liama jako małego chłopca. Z tyłu każdej z nich ktoś napisał jego imię i wiek. Na każdym zdjęciu Liam jest sam. W wózek, w słońcu na trawie, na dwóch jest na placu zabaw, a na jednym stoi na krześle przy zlewie w kuchni i bawi się mydlinami po zmywaniu.

Odkładam zdjęcia na bok i wyciągam arkusz z brązowej koperty adresowanej do Ivy z napisem „Poufne”.

Jaka szkoda, że Ivy doprowadziła mnie do zbierania w taki sposób okruchów informacji. Gdyby bardziej się otworzyła, mogłabym uniknąć tej nieprzyjemnej historii.

Rozkładam zadrukowaną kartę. Czcionka staromodnej maszyny do pisania jest słaba i nierówna, a krawędzie kartki pożółkłe, ale tytuł napisany koślawymi dużymi literami jest pogrubiony i czytelny.

Raport psychologiczny

Przeładam krótkie akapity, zapamiętuję zaskakujące słowa i zdania.

Cierpi na urojenia... stanowi niebezpieczeństwo dla siebie i dla innych... skłonności psychopatyczne...

Łykam powietrze, czytając ostatni wiersz.

Zalecane: Kolejne trzy miesiące detencji.

Mój wzrok przeskakuje na dwa podpisy u dołu strony.

Psychiatra: dr A. Meakin i Pacjent: Ivy Wilton.

Już mam wrócić do początku raportu i dokładniej go przeczytać, kiedy na dole rozlega się krótkie, mocne stukanie.

Przeżrana nabieram powietrza, rozrzucam papiery, podskakując z łóżka. Na ramionach robi mi się gęsia skórka, kiedy zrywam się do przodu i ostry ból przenika moją zranioną dłoń. Stoję skamieniała.

Wrócili.

Sekunda, dwie i dociera do mnie, że nie mogę czekać, aż wejdą.

Pospiesznie wpycham połowę papierów do koperty, a resztę wkładam do pudełka na buty. Potem wpycham wszystko z powrotem do szafy,

Kiedy zamykam na klucz drzwi szafy, dociera do mnie, że znowu jest cicho, potem znów grają mi nerwy, bo słyszę trzaskanie i drapanie. W ustach natychmiast robi mi się sucho, zwalczam nasilające się łaskotanie w gardle, żeby uniknąć pełnoobjawowego ataku kaszlu.

Podkradam się do schodów, gotowa na spotkanie twarzą w twarz z Ivy i Liamem. Próbuję znaleźć przekonującą wymówkę, dlaczego wtargnęłam do ich domu, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Szukam kontaktu z policją, żeby Amanda Danson otrzymała zasłużoną karę. Obawiam się, że to mi nie pomoże. Oni nawet nie wiedzą, że mam klucz.

Cisza, potem znów głośne walenie. Przygotowuję się, że tylne drzwi otworzą się z trzaskiem i zostaną zdemaskowana.

Liam będzie zdumiony i zły. Trudno mi będzie wyjaśnić mu, że przyszedłam tylko dla jego dobra. Ludzie tak często po prostu nie rozumieją, co jest dla nich najlepsze.

Ale tylne drzwi nie otwierają się z trzaskiem. Na dole panuje cisza.

Podkradam się do okna sypialni i ukryta za firanką patrzę na ulicę.

Dwoje funkcjonariuszy, mężczyzna i kobieta, odchodzą od domu, idą z powrotem w dół ulicy.

Oszołomiona, zdezorientowana siadam znowu na skraju łóżka, żeby uspokoić łomotanie w piersi. Policja przyszła na pewno dlatego, żeby zastać Liama i porozmawiać z nim o wypadku.

Tak niewiele brakowało, a zostałabym zdemaskowana. Skóra mi cierpnie na myśl, co mogłoby się stać. Czoło mam naprawdę gorące, ale kiedy dotykam go grzbietem dłoni jest chłodne i lepkie.

Znowu podchodzę do okna i oddycham z ulgą, kiedy czarne mundury skręcają za róg i znikają.

Znów otwieram szafę, żeby odpowiednio ustawić pudełka, tak jak je znalazłam.

Ale nie mogę się oprzeć. Muszę wyjąć trzecie pudło.

Oczywiście nie mam czasu, żeby dobrze je przejrzeć, ale krótki rzut oka i tak ujawnia, że pełno w nim wycinków ze starych gazet. Na pewno narodziny i śmierć – starzy ludzie mają chyba obsesję na tym tle.

Ponownie ustawiam buty z przodu, żeby pudła były za nimi częściowo schowane, tak jak wcześniej. Potem wsuwam grubą kopertę wypchaną interesującymi papierami do mojej kurtki z polaru i zapinam zamek błyskawiczny.

Na dole, na macie, leży biała koperta, najwyraźniej powód wizyty policji. Napisane jest na niej nazwisko Liama.

Chwytam ją i dołączam do głębin mojego polaru.

Po namyśle idę do kuchni i szybko przeglądam kilka szuflad. Nic.

Kiedy wychodzę, spostrzegam stos poczty na lodówkozamrażarce. Podnoszę kilka kartek leżących na górze, a tu pod nimi leży luzem wizytówka służbowa policji z Nottinghamshire.

Numer wewnętrzny zapisany jest na odwrocie niebieskim atramentem. Domyślam się, że wizytówkę zostawili policjanci, kiedy przyszli, żeby poinformować Ivy, że Liam odniósł rany.

Ivy rzuciła wizytówkę na stertę, jakby to była śmieciowa poczta.

Podnoszę wizytówkę i wsuwam ją do kieszeni dzinsów. Teraz na pewno się nie zmarnuje.

Przed wyjściem rozglądam się po ulicy z bezpiecznego miejsca za firanką. Kiedy widzę, że nikogo nie ma, wymykam się frontowymi drzwiami i zatrząskuję je za sobą.

Idę szybkim, ale pewnym krokiem do samochodu. Dopiero po zamknięciu drzwi kierowcy pozwalam sobie na długie westchnienie ulgi.

Czuję się tak, jakbym miała w sobie ogień, więc opuszczam troszeczkę szybę i rozpinam polar. Wypadają obie koperty. Trzymam je przez dłuższą chwilę i wkładam do schowka.

Siedzę jeszcze jakiś czas, zamykam oczy i robię parę wdechów, żeby usunąć zamęt z głowy. Przy wszystkich zastrzeżeniach, że wkroczyłam w prywatność Ivy i Liama, muszę przyznać, że moje poświęcenie opłaciło się.

Już włączyłam silnik i zapięłam pas, kiedy zauważyłam czarną taksówkę jadącą ulicą. Znowu wyłączyłam silnik i oparłam się w fotelu, żeby się przyjrzeć.

Taksówka zatrzymuje się przed domem Liama, otwierają się drzwi od strony kierowcy.

Taksówkarz wysiada, wyjmując kilka toreb z bagażnika i stawia je przed drzwiami wejściowymi. Kiedy wraca do wozu, Ivy zdążyła już postawić stopy na jezdni i dźwiga się za pomocą laski.

To bolesna oczywistość, że nie poprawia się jej, że z każdym dniem coraz trudniej jej chodzić. Fakt, że najwyraźniej nie przyjmuje do wiadomości stanu

swojego zdrowia, teraz zaczyna mieć dla mnie trochę więcej sensu.

„Cierpi na urojenia”, takie słowa znalazły się w raporcie.

Taksówkarz wyjmuje z bagażnika wózek Liama i rozkłada go przy tylnych drzwiach, ale Liam kręci głową i samodzielnie kuśtyka ścieżką, lekceważąc poradę doktora Khana, żeby nie forsować nogi.

Chociaż zdumiewa mnie zakres ruchów, jakie potrafi wykonać Liam, nadal widzę w tej scenie uderzającą śmieszność. Dwoje ludzi ma z sobą problemy, ale upór sprawia, że nie chcą poprosić mnie o pomoc.

Rzeczywistość jeszcze ich nie dopadła. Ludzie ich odwiedzają, pytają, czy mogliby jeszcze jakoś pomóc. Zobaczymy, jaką zabawę będą mieli za pół roku, kiedy może się okazać się, że Liam ma problem z trwałymi konsekwencjami wypadku, włączając utratę pamięci i wahania nastroju.

Ivy znajdzie się w kropce i będzie musiała zmagać się z fizycznymi problemami opieki nad inwalidą, kiedy sama już ledwie daje sobie radę zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Odpinam pas i wysiadam z samochodu. Idąc przez ulicę, przypominam sobie, że byłam aniołem stróżem Liama, kiedy umierający leżał na drodze i krwawił.

Przenośnie rzecz ujmując, nadal trzymam go za rękę. Nikt mnie przed tym nie powstrzyma.

Pukam do drzwi, ale jak można było się spodziewać, nikt nie odpowiada. Idę od tyłu i łapię Ivy, która wraca po wyrzuceniu śmieci. Patrzy na mnie zaskoczona.

– Cześć, Ivy – mówię. – Szczęśliwie się składa, że zobaczyłam taksówkę. Już miałam jechać do domu.

– Nie dotarła do ciebie wiadomość, którą zostawiłam Beryl, naszej sąsiadce?

Marszczy brew i z pewnym trudem drepcze z powrotem do domu. Idzie nawet wolniej niż zazwyczaj.

– Byliście w szpitalu? – pytam.

– Nie – mówi. – Liam chciał się wybrać na zakupy, więc wzięliśmy taksówkę do miasta.

Odwraca się i przytrzymuje framugi, żeby złapać oddech, potem wchodzi do domu.

– Na zakupy? – Milknę, żeby przetrwać głupotę tej kobiety. – W jego stanie zdrowia? Doktor Khan jasno powiedział...

– Wiem, co powiedział – parska Ivy. – Ale ci lekarze nie żyją w realnym świecie, prawda?

Ty też i wszystko na to wskazuje.

– Oczekiwać po młodym człowieku, że będzie tkwił w domu dzień za dniem to przecież śmieszne. A w ogóle już całkiem nieźle chodzi, chociaż powoli. Napijesz się herbaty?

– Ivy, Liam ma ponad trzydziestkę – mówię, zaciskając zęby, potem idę na całość i pytam, dlaczego traktuje go jak dziecko. – Trudno go nazwać młodym człowiekiem.

Nie odpowiada, drepcze do kuchni.

Idę za nią, powstrzymuję się przed pocieraniem obolałej ręki, bo wiem, że bolałaby jeszcze bardziej.

– Lekarz powiedział też, że Liam powinien odpocząć, żeby doszedł do zdrowia psychicznego – argumentuję. – Pamięć może mu nigdy nie wrócić, jeśli będzie ciągle atakowana wyprawami na zakupy.

– Może tak byłoby najlepiej. – Ivy wzrusza ramionami i wyjmuje kubki z kredensu. – Może jedyne, czego potrzebuje, to nowy początek.

Liam potrzebuje nowego początku, ale z dala od niej.

Zaproponowała mi herbatę, ale jestem prawie pewna, że tak naprawdę nie chce, żebym została. Czuję, jak się najeżyła.

Wchodzę do salonu. On tam jest, wyjmuje rzeczy z trzech małych toreb na zakupy. Cieszy się, że mnie widzi, ale w jednej chwili przekreśla to zrzęczenie starej. To mi w samą porę przypomina, dlaczego ciągle tu wracam.

– DVD. – Macha dwiema plastikowymi kasetkami. – Uwielbiałem te filmy, ale za cholerę nie mogę sobie ich przypomnieć.

Uśmiecham się i siadam obok niego na skraju kanapy. Przyciska moją dłoń ręką, jeszcze zimną od przebywania na dworze.

– Tak sobie myślę, czy nie moglibyśmy wymienić się numerami komórek – mówię nieśmiało. – Żebyś mogła do ciebie zadzwonić, gdybym cię potrzebowała, i na odwrót.

– Jasne – uśmiecha się. Zapisuje mój numer w telefonie na liście kontaktów. Jestem zakłopotana, bo sam musi znaleźć go w moim telefonie. Nie za bardzo mi idzie z nowymi technologiami. – Proszę, przesłałem ci esemesa i teraz masz mój numer.

Otwieram tekst. Napisał „Liam xx”, a ja czuję, że się czerwienię.

Proponuje, że zachowa swój numer w moim telefonie jako nowy kontakt.

– Cieszę się, Anno, że tutaj jesteś. – Podnosi na mnie wzrok, a mnie serce mięknie jak wosk.

Nie wiem, co powiedzieć. Chociaż z Liamem tylko się przyjaźnimy, to kiedy na mnie patrzy, przepełnia mnie takie ciepłe uczucie, że mózg zamienia mi się w wosk.

To po prostu głupie, nie wolno mi zapomnieć, o kogo naprawdę chodzi.

– Skąd wiesz, że lubiłeś te płyty, jeśli ich nie pamiętasz? – Zmieniam temat i odsuwam rękę, mimo że mi się to podoba. Nic na to nie poradzę.

– Babcia przyniosła mi ten notatnik, leżał obok mojego łóżka. Zacząłem go pisać jako dziecko – mówi, oddając mi telefon. Podnosi spiralnie zszyty zeszyt. –

Chyba musiałem mieć na tym tle jakąś manię, spisywałem filmy, które obejrzałem, i co o nich myślałem.

Zdumiewa mnie, że Ivy nie kupuje mu nadal książeczek z nalepkami o piłce nożnej i roczników *Beano*. Liam musiał w skrytości cierpieć, musiał wyjść i odetchnąć.

– Jak tam wózek? – pytam.

Robi minę i wzrusza ramionami.

– Chciałem wziąć tylko kule, ale babcia nalegała, żebyśmy go zabrali. Nie znoszę go.

– Wkrótce będziesz mógł chodzić bez pomocy, jeśli nie przesadzisz – mówię. – Kupiłeś coś ładnego?

Wręcza mi kasetki z płytami i wyjmuje kolejne dwie z torby na zakupy. Typowe, klasyczne filmy akcji dla facetów, *Mission: Impossible*, *Tożsamość Bourne'a*.

Sama nie jestem wielką fanką filmów. Trudno mi usiedzieć półtorej godziny i oglądać, kiedy zawsze znajdują się inne ważne rzeczy, które należałoby zrobić.

– To niezłe – mówię, oddając mu je. – Więc to wybrałeś na kolejne parę dni.

– Miejmy nadzieję, że spodobają się twojej przyjaciółce – mówi z drzwi Ivy.

– Mam nadzieję, że wkrótce pojawią się tu inni ludzie, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

– Przyjaciółce? – pytam łagodnie.

– Mówi o Amandzie. – Liam czerwieni się, nagle zainteresowały go własne ręce.

– Przychodzi później, żeby się z nim spotkać – mówi Ivy. – Cóż, mogę nastawić czajnik i zrobić ci herbaty, Anno?

Gryzę się mocno w język i w ustach czuję metaliczny smak.

Herbata, herbata, pieprzona herbata. Według Ivy to odpowiedź na problemy świata. Ivy drepcze z powrotem do kuchni, najwyraźniej zadowolona z tego, że wprowadziła zamieszanie.

– Niech dobrze zrozumieć, ta kobieta, która prawie cię zabiła, przychodzi pooglądać filmy? – Oczy mnie szczypią, pewnie zaraz się rozplacę, ale jest mi wszystko jedno. Musiałam to powiedzieć.

– Też mogłabyś przyjść. Chcesz? – Liam pochyla się do przodu, ponagla mnie, żebym się zgodziła.

Mocniej wbijam kciuk w dłoń, żeby nie rozplakać się na całego.

– Ciekawe, co pomyśli jej chłopak, że ona spędza z tobą wieczory – zauważam.

– Chłopak?

– Spotyka się z opiekunem z przedszkola, w którym pracuje. Nie mówiła ci? Ramiona mu opadają, patrzy w podłogę. Przez sekundę wyobrażam sobie, że

daję mu w twarz.

– Pewnego dnia widziałam ich razem, kiedy przejeżdżałam obok.

– Ale jak to... To znaczy, dlaczego do tej pory o tym nie wspomniałaś – mówi Liam.

– Niby dlaczego? – Wzruszam ramionami. – Nie sądziłam, że cię to zainteresuje.

– Nie – zgadza się. – Wcale nie, po prostu jestem zdziwiony.

Trochę łagodniej, rozumiem go. Liamowi na niej nie zależy, dziwi go tylko jej zakłamanie.

– Hm, jak mówiłem, możesz przyjść, jeśli chcesz obejrzeć z nami film.

– Liamie, jestem pewna, że Anna ma na głowie inne sprawy, zamiast tutaj przychodzić. – Ivy ponownie pojawia się w drzwiach.

– Właściwie to nie mam – odpowiadam cierpko, znów patrząc na Liama. – Ale chyba nie chciałabym przebywać w towarzystwie kogoś takiego jak Amanda Danson.

– Anno, ona nie jest taka podła, jak myślisz. Amanda jest załamana. Chyba ktoś ją chce skrzywdzić.

Liam patrzy na Ivy.

– Hę? – Nastawiam uszu.

– Tak, wróciła do domu i zastała mnóstwo nawozu wrzuconego na podwórko od ulicy. A spółka, która to zrobiła bez jej zgody, teraz domaga się zapłaty. Dasz wiarę?

Z trudem udało mi się powstrzymać uśmiech.

Ignoruję Ivy i zwracam się do Liama.

– Myślę, że policja i jej towarzystwo ubezpieczeniowe będą zaniepokojeni, kiedy usłyszą, że się z tobą kontaktuje.

– Wszyscy są tutaj mile widziani – zauważa swobodnym tonem Ivy.

– Nawet ktoś, kto o mały włos nie zabił twojego wnuka? – Słowa wylewają się za głośno, zanim jestem w stanie je zatrzymać. Ivy wygląda na zaniepokojoną.

– Gdyby to był ktoś, kto napadł go na ulicy, też byś go zaprosiła?

Przez cały czas obdarzam Ivy dobrodziejstwem wątpliwości, jakbym nie wiedziała o jej podskórnym obłędzie. Kiedy będę w domu, przeczytam cały raport, ale teraz już tyle widziałam, żeby stwierdzić, że jest najwyraźniej zaburzona.

– To przecież nie to samo – parska Ivy. – To był wypadek, Amanda nie chciała zrobić mu nic złego.

Nie, Amanda nigdy nie chce zrobić nic złego. Zawsze jest wytłumaczenie. Zapalczywość, nieprzemyślane konsekwencje działań.

Czuję, że coś się we mnie burzy. Zaciskam usta, zanim wydostaną się z nich ostre słowa. Nie mam już nic do powiedzenia Ivy.

Trzydzieści lat wcześniej

Po szkole Daniel szedł do domu najwolniej jak mógł. Ale kiedy tam dotarł, matka już czekała.

– Idź do swojego pokoju – powiedziała chłodno. – Żadnego picia i jedzenia. Wygnamy z ciebie zło w ten czy inny sposób.

Przecierpiał zbyt wiele bólu, żeby normalnie przespać poprzednią noc, i czuł się bardzo źle podczas popołudniowej sesji z Carlą, której się bał.

Terapeutka nie odrywała od niego wzroku. Wyglądała tak, jakby naprawdę jej na nim zależało i raz, dwa razy kusilo go, żeby jej odpowiedzieć. Potem sobie przypomniał i nie otworzył ust. Dzisiaj było gorzej, podczas sesji musiał zmobilizować całą energię, żeby nie krzyknąć, gdyby się tylko ruszyła.

Teraz leżał na boku, na materacu, na podłodze. Zasnął. Obudził się z drżeniem na odgłos otwieranych drzwi.

Zaczął się trząść, kwilić, przesuwać się pod ścianę.

– Danny, jest w porządku, to tylko ja.

Odetchnął, kiedy dotarło do niego, że to Anna.

Zakradła się do pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Mama skoczyła do mlecznego – wyszeptala. – Więc przyniosłam ci to.

Wziął kromkę chleba z serem i łączywie ją zjadł. Anna podała mu szklankę wody, wypił ją jednym haustem.

– Danny, chcę, żebyś mi zaufał, dasz radę?

Kiwnął głową. Siostra była jedyną osobą na świecie, której z pewnością mógł zaufać.

– Chcę, żebyś mi to pokazał. Muszę zobaczyć, czy to jest w bardzo złym stanie.

Zacisnął powieki i pokręcił głową.

– Nie będę cię zmuszać – powiedziała. – Ale Danny, proszę, pozwól mi to zobaczyć. Myślę, że tym razem to może naprawdę źle wyglądać, ale znajdę sposób, żeby ci pomóc, przecież wiesz.

Spojrzał siostrze w oczy i zobaczył, że odbijają jego ból. Czuł, że Anna mu pomoże.

Słabo kiwnął głową i zaczął się rozbierać.

Anna pomogła mu ściągnąć szkolną bluzę, robiła to tak delikatnie, jak tylko mogła, ale poczuła, że po lewej stronie materiał przywarł do zakrzepłej krwi, więc nie ruszyła tego i koszula zwisała z Daniela.

Odwróciła go do światła i usłyszała, jak w jej gardle rodzi się skowyt.

Daniel przekręcił głowę, żeby obejrzeć się w lustrze. Próbowła zasłonić mu widok, ale było za późno.

Ślady po uderzeniach na plecach wyglądały jak pasy surowej wątroby przyklepione do jego skóry. Niektóre krwawiły.

Zamknął oczy, ale chyba wtedy zaczęło go boleć jeszcze bardziej.

– Danny, musimy zawieźć cię do szpitala – wyszeptała Anna, a on patrzył, jak słone strugi spływają jej po twarzy. Wyciągnęła do niego rękę.

– Nie chcę – zakwilił i wyrwał rękę. – Anno, proszę, ojciec Kilbride powiedział, że...

– Możemy pójść do ojca Kilbride, Danny. On ci pomoże.

– Nie, Anno. – Czuł, jak żołądek mu się przewraca od chleba z serem, którego porządnie nie przeżuł.

– On też cię skrzywdził?

Nie mógł zaczerpnąć tchu. Myślał, że tak to pewnie wygląda, jak się tonie. Otworzył usta, próbował łykać powietrze.

– Cicho, już dobrze. Uspokój się.

Danny oparł głowę na jej ramieniu.

– Boisz się księdza? – zapytała.

Coś obrzydliwego i śliskiego przez chwilę wiło mu się w kiszkaach.

– Danny, czy ojciec Kilbride skrzywdził cię kiedyś?

Czekała, nieruchoma, przepełniona strachem, ale brat nie odpowiadał.

Łagodnie odsunęła jego głowę i spojrzała na niego.

Daniel unikał jej wzroku, ale kiedy sięgnęła po jego ciepłą rączkę, nie wyrwał jej.

Teraz

Anna

Kiedy dotarłam do domu, rozłożyłam na stole w salonie zawartość dużej, zabezpieczonej koperty z szafy Ivy.

W dłoni ciągle czuję tępy ból, więc próbuję posługiwać się tylko tą zdrową, a to znaczy, że wszystko trwa dwa razy dłużej. Stawiam czajnik na ogień, karmię Alberta i jako urozmaicenie, kładę dwa herbatniki czekoladowe na moim ulubionym szklanym talerzu, który kupiłam dwa lata temu na wyprzedaży u Johna Lewisa.

Co jakiś czas dociera do mnie powiew słodkiego smrodu gnicia, ale dzisiaj właściwie tego nie czuję. Pewnie poskutkowało energiczne sprzątnięcie.

Biorę herbatę i herbatniki do salonu i siadam przy stole. Przyciskam plecy do twardego krzesła i przez parę sekund rozglądam się po pokoju. Czuję, jak napięcie zaczyna ze mnie wyciekać, kiedy przeprowadzam w głowie inwentaryzację.

Jest stara komoda, ale ozdobnych porcelanowych talerzy matki już nie ma. Nadal jest ten sam dywan, przez który skakaliśmy z Dannym, a matka wiele razy odkurzała, a nawet skrobała na czworakach. Wytarty leżał przed drzwiami na klatkę schodową, sięgał aż do kuchni.

A na krzesle, na którym teraz siedzę, siedział ksiądz.

Tak daleko sięgam myślą.

Na każdym kawałku gołej ściany w tym pokoju wisiał krucyfiks. Nie to, że zwyczajny, drewniany krzyż. Coś wymyślnego, a na każdym cierpiący Jezus.

Pamiętam, że stałam przed nimi i wyobrażałam sobie, jak strasznie wyglądałyby rany Jezusa w realnym życiu. Przyciskałam coś ostrego do dłoni i próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy przybiją człowieka za ręce i nogi.

Krucyfiksów już dawno nie ma.

Chyba w końcu spełniło się moje życzenie. Wreszcie dowiedziałam się, jak straszne jest cierpienie.

Schówek pod schodami też jest ten sam: miejsce wypełnione rupieciami, tak jak powinno być. Już nie jest miejscem strachu i ciemności.

Nie o to chodzi, że nie mam pieniędzy, żeby wymienić rzeczy sprzed lat. Gdybym chciała, mogłabym wyposażyć dom, prawie nie tykając konta kasy oszczędnościowo-kredytowej. Ale dlaczego mam to robić, skoro tylko ja to

zobaczę?

To może się zmienić. Przychodzi mi na myśl, że pewnego dnia Liam może wpaść z wizytą. Mogłabym zaprosić go na herbatę i żeby poznał Alberta.

Na piętrze ściany mają kolor stron starej, ulubionej książki. Przeszła mi przez głowę myśl, żeby zrobić tam malowanie, ale narobiłoby to tylko bałaganu, a ja na pewno nie chciałabym obcych w domu.

W tamtych latach do moich obowiązków należało wynoszenie rano zimnego popiołu. Latem nie było z tym tak źle, ale zimą mróz kasał mnie w ręce, kiedy wynosiłam kurzący się popiół do cynowej puszkki na śmieci.

Wracałam, żeby omieść patykowate, żelazne pręty paleniska na węgiel, od dawna czekające na wymianę. Matka zwijała gazety, które służyły za podpałkę i gdybym nie uporządkowała rusztu, węgiel i papier przeleciałyby między prętami i ogień by się nie rozpałił. Miałabym za to.

Odkąd wydarzyły się tutaj te złe rzeczy, nie rozpałam kominka. Kiedy wreszcie zapanował ład, dom stał się moją własnością.

Teraz mogę robić, co chcę, ja tu rządę.

Furtki zamknięte. Drzwi zamknięte. Zasłony zaciągnięte.

Delektuję się ciepłym uczuciem, które rozchodzi się po dolnej części brzucha, jak gęsta smaczna zupa. Już nikt nie może wsadzać nosa w moje sprawy.

Nikt nie zobaczy listów, które leżą przede mną.

Gdyby ludzie wiedzieli, że zabrałam to z szafy Ivy, powiedzieliby, że źle zrobiłam, ale ludzie nie wiedzą, jaka jest stawka. Pewnie by nie zrozumieli.

Zawsze podejrzewałam, że między Liamem a Ivy coś jest nie tak, że coś nie bardzo pasuje, a ten raport udowodnił, że mam rację.

Kiedy Liam stracił pamięć, musiał oprzeć się na starej kobiecie, którą lekarze określili jako niestabilną. Starej kobiecie, która nie robi niczego, żeby rzecz zahamować, ona nawet popiera rozwijającą się przyjaźń z kobietą, która niemal zabiła jej wnuka. Ponadto nie przypilnowała pracy policji.

Z winy Ivy istnieje realne ryzyko, że Amandzie Danson znów uda się ujść przed wymiarem sprawiedliwości. Nie jestem w stanie spokojnie o tym myśleć.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego wszystkiego Liamowi, żeby zrozumiał moje nalegania. Chyba chciałby lepiej mnie poznać, ale to zrozumiałe, że się wstrzymuje, zwłaszcza ze względu na moją nerwowość.

Tej komplikacji nie uwzględniłam w planach.

Po tym wszystkim nie mogę stracić z oczu tego, co najważniejsze. Nie zrobię tego.

Podnoszę list dostarczony osobiście przez policjanta, kiedy byłam w domu Liama, i wkładam nóż pod zaklejoną kopertę. Jednym gładkim ruchem rozcinam list. Przez dłonie przebiega mi dreszcz.

Rozkładałam kartkę białego papieru i szybko czytam te kilka wierszy.

Policja wreszcie chce rozmawiać z Liamem o wypadku.

Dają mu wybór, albo przyjdzie do komisariatu, albo zadzwoni i umówi się z funkcjonariuszem u siebie w domu.

Z powrotem składam list i odkładam go na bok, żeby później włożyć go do nowej koperty. Rano, w sortowni, list znajdzie drogę do właściwej przegródki, żeby trafić do domu Liama.

Teraz sięgam po kopertę wyściełaną. Odkładam w rzędzie zdjęcia, najpierw te z niemowlakiem.

Liam niczego nie będzie pamiętał z dzieciństwa, ale czym w końcu są wspomnienia? Trochę fikcji, trochę rzeczywistości w naszych głowach.

Dawne czasy odeszły na dobre. Żyją i istnieją jako obrazy w naszej pamięci. Są tacy, którzy chcą je zapamiętać, i tacy, którzy wolą je odrzucić. Czasem ludzie robią obie te rzeczy naraz.

Szybko przerzucam papiery, szukając raportu psychologicznego Ivy.

Wkrótce papiery latają na wszystkie strony, a do mnie dociera, w wybuchu złości, że raportu nie ma. W panice musiałam wepchnąć go z powrotem do pudełka na buty zamiast do koperty. Wałę ręką w stół. Jak mogłam być taka głupia?

35

Z ciężkim sercem zbieram papiery i zdjęcia i ładuję je z powrotem do wyściełanej koperty.

Wpycham ją głęboko do kredensu, żeby przechować, aż nadarzy się okazja. Zwrócę ją do sypialni Ivy i znowu wygrzebię jej raport psychologiczny.

Na razie muszę wyrzucić to z pamięci. Nic na to nie poradzę, na mój błąd wynikający z niezdarności.

Jest jedna rzecz, którą mogę zrobić, żeby sprawa inaczej wyglądała.

Wyławiam wizytówkę służbową policjanta i wstukuję numer w nową komórkę. Kiedy zaczyna odpowiadać automatyczna sekretarka, odczekuję chwilę i wstukuję numer wewnętrzny posterunkowego Brixhama, który zapisał swoje dane na wizytówce.

Odbiera telefon, podaje swoje nazwisko.

– Tu Ivy Bradbury – mówię powoli, dodając lekkie drżenie do głosu. – Mój wnuk brał ostatnio udział w wypadku na Green Road i chciałabym wiedzieć, co mógłby mi pan powiedzieć o śledztwie.

– A, tak, proszę pani. Osobiście zajmuję się tą sprawą. Czekamy na rozmowę z tym drugim kierowcą, a wkrótce ktoś wpadnie do pani, żeby porozmawiać z pani wnukiem – mówi posterunkowy Brixham. – O ile wiem, listy dotyczące tej sprawy zostały ostatnio wysłane pod oba adresy.

– Dlaczego to tak długo trwa? – Dodałam kapkę zmartwienia. – Nie chcę,

żeby tamtej uszło na sucho. Prawie zabiła mojego wnuka.

– Proszę pani, zapewniam panią, że wszystko odbędzie się według procedur. Niestety w tym rejonie była lawina wypadków drogowych i robimy co w naszej mocy, żeby ogarnąć wszystko przy ograniczonej liczbie funkcjonariuszy.

Trzeba nimi potrząsnąć. Ktoś musi ruszyć sprawę.

– Ona nas nachodzi, rozumie pan – mówię cicho. – Przyszła do szpitala i podstępnie poszła odwiedzić mojego syna bez pozwolenia.

– Pani Danson to zrobiła?

Nie, cholerna Wróżka Zębuszka.

– Tak, próbowała namówić go, żeby podpisał oświadczenie, że nie chce wysuwać roszczeń. – Uśmiecham się miło odgrywając rolę, ale staram się, żeby mój ton był trochę niepewny, trochę wrażliwy. – Mój wnuk bardzo to przeżywa. Ona ciągle dzwoni do nas, nalega, żebyśmy z nią porozmawiali. Proszę pana, pan na pewno rozumie, jak to nam działa na nerwy.

– Jak najbardziej. Dobrze pani zrobiła, że zawiadomiła nas pani o tym. – Posterunkowy Brixham mówi teraz znacznie bardziej zainteresowanym tonem. – Wyślemy do pani kogoś jak najszybciej. Przy odrobinie szczęścia już jutro.

Właśnie tego chciałam. Mam plany na resztę popołudnia.

Później, kiedy czuję większą śmiałość, postanawiam przed snem wysłać Liamowi esemesa.

Jest dopiero wpół do dziewiątej, ale wstawanie o czwartej rano daje się we znaki, tym bardziej że nie sypiam dobrze.

„Nie idź jeszcze spać. Miłego wieczoru”, piszę. „Wpadnę jutro”.

Jego odpowiedź przychodzi natychmiast.

„Dzięki. Amanda odłożyła spotkanie, więc oboje mamy spokojny wieczór,
X”

To nie jest dla mnie zaskoczenie po tym, co zrobiłam dziś po południu, ale i tak miło przeczytać jego słowa i zdać sobie sprawę, że wczesny etap mojego planu jest skuteczny... i dostać całusa, ale w końcu postanawiam to zignorować.

Skup się.

Jeśli wziąć wszystko pod uwagę, to był bardzo udany dzień.

Trzydzieści lat wcześniej

Carla wreszcie skończyła ostatnie spotkanie i powoli szła przez parking, przygięta pod ciężarem wielkiego pudła z teczkami uczniów.

Wychudzona dziewczynka, czternastoletnia albo piętnastoletnia, pojawiła się jakby znikąd i stanęła na wprost niej. Zaskoczona Carla mało nie upuściła pudła.

Już miała ją złapać, kiedy zobaczyła jej oczy, błyszczące i dzikie. Dziewczynka miała na sobie mundurek ogólniaka. Jej szkolna bluza wysmarowana była podejrzanymi czerwonawobrazowymi plamami, włosy miała rozczochrane, jakby przed czymś uciekła.

– Proszę pani, proszę – wydyszała bez tchu. – Chodzi o mojego brata. Pani musi mu pomóc.

Carla postawiła pudło na ziemi.

– W porządku, uspokój się. – Odsunęła się o krok, żeby dobrze przyjrzeć się dziewczynce. – Masz jakieś problemy?

Dziewczynka energicznie pokiwała głową.

– Cóż, wejdźmy do mnie, opowiesz mi dokładnie, co jest nie tak.

– Nie, nie mogę. Chodzi o to, że pani musi pomóc już teraz, zanim będzie za późno. Oni go krzywdzą.

– Zaczniemy od początku – powiedziała łagodnie Carla, a serce zaczęło jej walić. – Jak się nazywasz?

– Anna Clarke.

Carla nabrała powietrza. Rozpoznała to nazwisko ze szkolnych akt.

– Jesteś siostrą Daniela Clarke’a?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Proszę pani, on naprawdę ma wielkie kłopoty. Oni go zabijają, jeśli pani nie... O Boże, proszę mu pomóc.

Nauczyciele już wyszli z budynku. Jeśli byłoby to potrzebne, Carla sama musiałaby zadzwonić na policję.

– Kto to są „oni”? Chłopcy ze szkoły?

– Nie. Muszę wracać, on został sam, ale obiecałam, że pani mu pomoże. Pomoże mu pani? Dziś wieczór, proszę pani?

Carla pokręciła głową i zmusiła serce, żeby zwolniło rytm. To pozwoli jej myśleć logicznie.

– Anno, są procedury, przez które należy przejść. Poproś Daniela, żeby przyszedł do mnie ra...

Przerwała w połowie słowa, bo dziewczynka odwróciła się na pięcie i

uciekła.

– Anno! Wracaj! – zawołała Carla.

Ale siostra Daniela już zniknęła za rogiem.

Kiedy Carla dotarła wreszcie do domu, nałała sobie duży kieliszek białego wina, usiadła przy stole śniadaniowym i popatrzyła na szkło.

Chwyciła nóżkę kciukiem i palcem wskazującym, patrzyła, jak bladożółty płyn przelewa się zgrabnie, a jego powierzchnia nadal jest gładka i niezmacona.

W domu panowała cisza, jeszcze nie było słyhać sąsiadów po powrocie z pracy, a to rzadkość.

Carla była przekonana, że gdyby jej serce waliło trochę mocniej, słyszałaby je równie dobrze, jak czuła jego uderzenia o klatkę piersiową. Nie wiedziała, co począć z dziewczynką z parkingu. Powinna zrobić coś teraz czy poczekać do rana? Wiedziała, że uczniowie bywają nieprzewidywalni i dramatyzują w całkiem banalnych sprawach, ale w panice Anny Clarke było coś rozpaczliwego, coś, co brzmiało wiarygodnie.

Wiedziała, że poprawne proceduralnie byłoby spisanie pełnego raportu i zainteresowanie odpowiednich agencji za pośrednictwem szkolnego pełnomocnika do spraw ochrony dzieci. Wszystko to może zrobić rano.

Oczywiście, jeśli uznać, że życie dziecka jest zagrożone, to należy natychmiast zadzwonić na policję. Ale uznała, że ma za mało informacji, i takie postępowanie wydawało się jej jakoś niewłaściwe na tym etapie.

Przyszło jej do głowy, że kłopoty, w których znalazł się Daniel, może potwierdzić tylko słowami Anny. Oczywiście wiedziała, że chłopiec ma problemy i że prawdopodobnie ktoś się nad nim znęca, ale chociaż musiało to być bardzo nieprzyjemne dla Daniela, to mało prawdopodobne, żeby zagrażało jego życiu.

Głupio by wyglądała, gdyby wezwała policję w nieistotnej sprawie. Ponadto kierownictwo szkoły wpadłoby we wściekłość, gdyby szkoła została wplątana w coś, co można by bez trudu załatwić z zachowaniem minimum dyskrecji.

Na domiar wszystkiego, po dzisiejszym spotkaniu z kadrą kierowniczą, przy braku wyników w sprawie Daniela Clarke'a, chciała wykazać się mimo wszystko czymś pozytywnym.

Jeśli panika Anny była usprawiedliwiona, zdolności Clary okazałyby się niezbędne do rozwiązania głośnego przypadku. Zdziałałoby to cuda przy wsparciu wniosku o przyjęcie na etat w szkole średniej.

Odsunęła nienaruszony kieliszek z winem i trochę bladożółtego płynu wylało się jej na palce. To może poczekać, aż załatwi sprawę.

Teraz

Anna

Ostatnio odnoszę wrażenie, że wszystkie moje ustalone porządki ześlizgują się jak lawina błotna, ale głosik w głowie przypomina mi, że to da się zatrzymać.

Skupiam się, myślę, że jeszcze mogę to przyhamować.

Tym razem dobrze śpię i budzę się z nowym, mile widzianym uczuciem samozaparcia. Na szczęście dziś rano czuję się spokojniejsza, bardziej opanowana. To może być moja szansa, żeby skorzystać z chwili i uporządkować tyle spraw, ile się da.

Na początek pójdzie na pewno góra poczty w zapasowym pokoju.

Zabrzmi to dziwnie, ale ona naprawdę rzuca cień na cały dom i wszystko, co w nim jest, a za nią czai się milcząca groźba.

Może na początek byłoby łatwiej przyznać się kierownictwu do porażki. Powiedzieć Jimowi, gdyby zapytał, że z trudem daję sobie radę. Przełknąć dumę i przyjąć zredukowane godziny w najtrudniejszej dzielnicy.

Ale sprawy zaszły za daleko, żeby tak zrobić. Za daleko, żeby wrócić.

Aż do dzisiaj czułam się za słaba, żeby uporać się z tym, co leży na piętrze, ale dzisiaj wreszcie postanowiłam zrobić to, na co tak długo czekałam.

Mówię sobie, że w końcu to tylko stos papierów. Ja mam nad nim kontrolę, a nie on nade mną.

Wchodzę po schodach. Papier, koperty, po prostu kolejny problem, z którym trzeba się uporać.

Po prostu papier i koperty.

Kładę doń na zimnej kłamce z brązu i naciskam.

Zaciągnęłam tu zasłony, więc w pokoju jest półmrok. Ogromna zaspą pośrodku nie utraciła swojego cienia, próbuję zignorować trzepotanie w brzuchu.

Zanim zacznę się wahać, zapalam światło i, żeby usiąść, przełażę na drugą stronę pomieszczenia.

Dziwnie się czuję, kiedy pozwalam sobie podejść tak blisko strasznej prawdy. Zawsze lepiej ignorować, ale teraz jestem tutaj, stoję twarzą w twarz, bez osłony z tym, do czego doszłam przez swoje zachowanie. Strącam z nóg kaptcie i zanurzam gołe palce u stóp w leżącej wokół moich nóg chłodnej masie kopert wszelkich kształtów i rozmiarów.

Widzę rozmaite charaktery pisma, atramenty, nazwiska i adresy. Każdy list to mała, opakowana tajemnica, jego zawartość przeznaczona jest dla czyichś oczu.

Teraz listy są moje.

Cały ten papier ma swój zapach, nie spodziewałam się tego. Mieszanka tektury i coś jakby z podwórza, jakaś ostra woń.

Właściwie nie jest to takie nieprzyjemne, ale z pewnością to kolejny niechciany zapach w domu.

Trzepotanie w brzuchu zaczyna wreszcie ustępować. To wielka sterta papieru, a papier jeszcze nikomu nie wyrządził krzywdy.

Jeśli zechcę, mogę otworzyć każdy list. Nikt się nie dowie, nikt mnie nie powstrzyma.

Sięgam po urzędową brązową kopertę przylegającą mi do kolana. Zanim zmienię zdanie, rozdzieram ją i rozkładam list, który był w środku. Wezwanie do sądu za niezapłacony mandat za parkowanie.

– O kurczę, Stephenie Trimble, będziesz miał kłopoty, żeś to zignorował. – Chichoczę, czuję lekkie zawroty głowy.

Mała biała koperta i śliczny, jaskrawoniebieski, prawie fioletowy atrament. Dziecko napisało do babci, że dziękuje za prezent na ostatnie urodziny.

To nie jest dobry początek.

Rozdzieram jeszcze kilka kopert. Większość to nieistotna korespondencja, której nikt nie będzie żałował, nic interesującego ani ważnego.

Zaczynam się zastanawiać, dlaczego przywiązywałam do tego taką wagę i tak się tego bałam.

Choćby po tym, co tu jest, widać, jak bezwartościowa jest większość poczty. Ludzie z reguły przesyłają sobie byle co, niepotrzebne słowa, których wcale nie żal.

Przez otwarte drzwi przemyka Albert i podejrzliwie obwąchuje skraj góry listów. Patrzę, jak ją omija i podchodzi do mnie, ostrożny i niezadowolony.

– Nie martw się Albercie, pozbędziemy się tego wszystkiego – szepczę. – Wyrzucę to i zaczniemy od nowa.

Albert mruczy i ociera się futrzanym bokiem o moje wyciągnięte nogi. Tam, gdzie to możliwe, zręcznie omija łapkami listy.

Albertowi najwyraźniej podoba się ten nowy plan, ja też uważam, że jest w porządku. Muszę zaprowadzić tu z powrotem jakąś normalność, żebym znowu była w stanie jasno myśleć.

Patrzę na problem w nowym, ostrym świetle. Już za późno, żeby się przyznać, a poczty jest za dużo, żebym zdołała ją doręczyć. Jest tego zbyt wiele, żeby przesłać i wybrać wcześniejsze daty do retrospektywnego doręczenia, jak z początku planowałam. Poza tym cała ta poczta jest stara. Najsensowniejsze co można zrobić, wydaje się oczywiste: opróżnić ten pokój. Muszę mieć czysty

rejestr, więc nie mam wyboru, pozbędę się tego i zacznę od nowa.

Zanim podpełzną wątpliwości, sięgam po garść listów i zaczynam drzeć je na kawałeczki. Torby na śmieci z podartym papierem wyrzucę na wysypisko komunalne. Szybko, prosto, anonimowo.

Przedwcześnie. Odkrywam, że listy często są za grube, żeby podrzeć je na więcej niż kilka kawałków, do tego prawie natychmiast nasila się ból w ręce. Listy trzeba podrzeć na maleńkie kawałki, żeby na pewno nie dało się odczytać adresów. Żeby nie zostały ślady.

Muszę używać obu rąk i po dziesięciu minutach zraniona dłoń zaczyna pulsować razem z nadgarstkiem, a ja wgrzyłam się zaledwie o dwa, trzy centymetry w górę papieru.

Odsuwam się i opieram o chłodną ścianę, nogi mam wyciągnięte.

Przed laty to była sypialnia Danny'ego.

Jego łóżko stało tam, w rogu. Tory kolejki leżały na stałe pośrodku pokoju, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz leży poczta.

Chowaliśmy się w kredensie tuż za mną, kiedy matka szukała kogoś, żeby odkuć się za rozczarowanie Bogiem. Tym kimś zawsze był Danny.

Czasem stawiałam przed nim, żeby wybrała mnie. Ale zawsze wołała jego.

To on napelniał ją wstrętem, ale też na nim skupiały się wszystkie jej nadzieje. Ja nie byłam jej potrzebna.

Serce mi trzepocze, jakby ciągle traciło rytm.

Teraz w szafie jest pełno starych ubrań Danny'ego, zdjęć i zabawek porządnie spakowanych w pudłach i torbach zaklejonych taśmą.

Tam już nie ma miejsca. Wyparłam stamtąd wszelką niegodziwość i to miejsce znów należy do Danny'ego. Nikt nigdy już go tam nie skrzywdzi.

Obiecuję sobie, że pewnego dnia przejrzę to wszystko. Ale trzynastcie lat po tamtym strasznym dniu nadal nie czuję się na silach.

To ważne, żeby skupić się na tym, co jest tu i teraz, więc przewijam w przyspieszonym tempie bolesne wspomnienia i myśli. Otwieram nagle oczy, zanim czarna chmura zdoła się na mnie opuścić.

Muszę być silna i zdecydowana ze względu na Liama. Potrzebny jest mu ktoś zdrowy i zrównoważony, kto zadba o jego sprawy.

Mój plan podarcia wszystkiego, żeby się tego pozbyć, najwyraźniej nie wypalił. Trwałoby to za długo ze zranioną ręką, a ja nie mam ani czasu, ani ochoty, żeby to robić. Są znacznie pilniejsze sprawy.

W końcu przychodzi mi do głowy doskonałe i proste rozwiązanie. Dziwię się, że wcześniej o tym nie pomyślałam.

To oczywiście, że najlepszym sposobem na pozbycie się papieru jest spalenie go.

Nic tak jak poczucie władzy nie poprawia nastroju.

A najlepiej, jeśli ludzie nie ma pojęcia, co kombinujesz. Nie mają pojęcia, że miłe słowa i taktowne postępowanie do przykrywka dla pułapki.

Kiedy wszystko jest jak trzeba, kiedy ci zaufali, już jest za późno, żeby się cofnąć.

A najlepiej, jeśli zaczną sami siebie obwiniać o złe decyzje, bo nie zorientowali się, że sprawy idą w złym kierunku.

Czasem nawet przyjdą do ciebie po pomoc, po radę.

Wszystko sprowadza się do zaufania. Musisz je mieć, pracować na nie ciężko, ale nie narzucać się.

Łagodnie. Co jakiś czas zwiększać nacisk, aż się poczuje, że ustępują.

Wtedy ma się to, o co chodziło, i zaczyna się zabawa.

Anna

Następnego dnia rano okazuje się, że w pracy nie jest jednak tak źle.

Pogoda jest ładna, a ja, zmobilizowana nowym planem, jak uporać się z górą poczty, dobrze sobie radzę z objazdem rewiru. Udało mi się dostarczyć prawie wszystkie przesyłki, została tylko jedna torba, którą zamykam w skrzynce pocztowej, żeby później zabrać ją do samochodu.

W pracy rzucam puste torby na listy i kiedy właśnie wracam do samochodu, pojawia się Roisin, wymachując w moją stronę torbą na zakupy.

– Top, o którym ci mówiłam – uśmiecha się. – Przymierz i powiedz, jak ci się podoba.

– O, dziękuję. Tak, przymierzę. – Odwzajemniam jej uśmiech. – Dziękuję, Roisin.

– W piątek wieczorem wszyscy wybieramy się na drinka. Miałabyś ochotę?

– W piątek? Nie mogę, przepraszam. Mam coś do zrobienia – mamrocze.

– Nie ma sprawy – odpowiada i już ma odchodzić, ale coś sobie przypomniała i znów odwraca się do mnie. – Przy okazji, to twoja sąsiadka. Co za przypadek, prawda?

– Słucham?

– Moja siostra, Linda. Zapytałam ją, jest pielęgniarzką społeczną Joan, twojej sąsiadki.

Po drodze z pracy do domu zatrzymuję się, żeby wziąć nadprogramową pocztę i wrzucić ją do bagażnika razem ze spalarnią ogrodową, paliwem do zapalniczek i zapałkami. To wszystko kupiłam w B&Q

Będę musiała mocniej przedstawić sprawę mojej prywatności pani Peat. Aż robi mi się słabo, kiedy pomyślę, że wszystkie moje sprawy osobiste trafiają do Roisin za pośrednictwem Lindy.

Jem kanapkę, karmię Alberta, potem biorę torbę pełną listów na chybił trafił wybranych z zapasowego pokoju i wynoszę ją na podwórze. Ustawiam spalarnię na dwóch połówkach cegieł, które znalazłam w przybudówce, i wrzucam do środka pierwszą partię poczty.

Jest dość wietrznie, ale spalarnia ma wokół podstawy otwory na powietrze, więc wsad powinien dobrze się palić, nie uszkadzając pokrywy. Na dokładkę polewam listy paliwem do zapalniczek i pocieram zapałkę. Kiedy poczta zajmuje się ogniem, mocno przyciskam wieko i odsuwam się. Patrzę, jak otwory wypełniają się jasnym, migoczącym światłem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna czuję w sobie światło, jakby coś we mnie zaiskrzyło i powiedziało mi, że wszystko będzie dobrze.

Wkrótce w zapasowym pokoju nie będzie poczty. Mogę już nie martwić się o pracę, porachuję się z Amandą Danson i zadbam o Liama. Na tym się skupię.

Kiedy światło w otworach przygasa, wracam do spalarni i zdejmuję wieko.

Większa część poczty zamieniła się w popiół. Grzebię w nim długą gałązką i widzę, że tylko na samym dole zostało kilka upartych kawałków papieru.

Obliczam sobie, że mogę palić znacznie większe ilości niż przy pierwszym wsadzie, co umożliwi mi znacznie szybsze zlikwidowanie zaległości.

Napełniam na górze dwa worki na śmieci i jedną ręką wywlekam je z osobna na podest. Oczywiście, jako listonoszka wiem, ile waży poczta, ale przeciętny człowiek byłby z pewnością zaskoczony, jaki to ciężar.

Poczta sama w sobie jest istotna. Polega to na tym, że ludzie ją cenią i nadają jej wysoki status. Jaka szkoda, że nie byłam w stanie dostarczyć tych listów prawowitym właścicielom.

Oglądam się przez ramię na zapasowy pokój i cieszę się, że widzę kawałek dywanu tam, gdzie do tej pory leżały tylko zwały listów. Prawda, to tylko mała polanka, ale przynajmniej znak, że nareszcie czynię jakieś postępy. To dobrze.

Niezręcznie wlokę worki po schodach, do kuchni, jeden zostawiam przy tylnych drzwiach, drugi ciągnę do spalarni i sypię świeżą pocztę na jeszcze rozżarzony popiół. Kiedy spalarnia jest do połowy napełniona, opryskuję papier płynem do zapalniczki, żeby mieć pewność, że płomienie ogarną całość.

Jeszcze raz, na dokładkę, tryskam płynem z góry, pocieram zapałkę i podpalam papier przez otwory na dole. Natychmiast zakładam wieko i odsuwam się. Zaledwie po paru sekundach z otworów w podstawie tryskają iskry i sprawa załatwiona. Kiedy w spalarni widać coraz mocniejsze światło, słychać trzaski i charczenie, a płomienie ogarniają wszystko, we mnie też rozpala się ciepła poświata.

Wzmaga się wiatr, nawet trochę popaduje, ale spalarnia to solidna maszyna i płomienie bez trudu robią swoje, a siły natury im nie przeszkadzają.

Po paru minutach biorę długi pogrzebacz z nieużywanego ozdobnego zestawu przy kamiennym kominku i wynoszę go na dwór. Sądząc po tym, że nie widać blasku i ze środka spalarni nie dochodzą dźwięki, płomienie chyba znowu zgasły.

Podnoszę wieko ręką w rękawicy i stwierdzam z ulgą, że bryła listów zamieniła się w grubą warstwę popiołu. Dźgam go pogrzebaczem i cieszę się, że nie widać większych kawałków niespalonego papieru.

Powtarzam proces. Napełniam spalarnię do połowy, cofam się i czekam. Potem przeszukuję popiół.

Wszystko gra.

Ściągam na dół kolejne trzy worki pełne listów, robię sobie herbatę i stoję na dworze z gorącym płynem w dłoni. Moje zmartwienia ulatują z każdym ładunkiem obciążającego mnie papieru, który spala się do zera.

Kończę herbatę wraz z trzecim wsadem. Obliczam, że zdążę spalić jeszcze jedną porcję, potem spalarnia całkowicie się ostudzi, a ja wyrzucę popiół do kosza.

Zawartością drugiego worka na śmieci ponownie napełniam zbiornik do połowy, upycham mocno papier, co jakiś czas spryskując go paliwem do zapalniczek, żeby płomienie łatwiej się rozeszły.

Spalarnia jest pełna, ale wieko łatwo się zamyka. Wrzucam trzy zapałki, żeby na pewno się rozpałiło.

Odsuwam się, czekam na miłe trzaskanie i blask i zastanawiam się, dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej, kiedy sprawa z listami nie była tak napięta.

Prawda, to zabiera trochę więcej czasu, niż z początku myślałam, ale jeśli uda mi się spalać osiem do dziesięciu wsadów dziennie, to do końca tygodnia uporam się z zaległościami.

Gęste kosmyki dymu wylatują kłębami spod wieka i wypływają z otworów na dole. Trzaski i prychnanie robią się coraz głośniejsze, ale jak dotąd żaden z sąsiadów nie wyszedł z domu i nie licząc szumu z ulicy i od czasu do czasu szczekania psów, wokół panuje cisza.

Przy następnym wsadzie nie będę tak napychać spalarni.

Dociera do mnie odgłos samochodu, który zwalnia przed domem. Serce zaczyna mi walić, ale robię głęboki oddech i mówię sobie, że to pewnie tylko Linda, opiekunka pani Peat.

Przyjemny z początku zapach spalenizny robi się kwaśnym osadem w gardle. Otwierają się i zatrząskują drzwi samochodu.

W głowie słyszę wrzask, żeby wracać do domu, ale nogi stoją jak wryte.

Trzaski i prychnanie wydobywające się ze spalarni są głośniejsze niż wcześniej, a dym bucha górą i dołem.

Paznokcie wbijają mi się w mięsiste wzniesienia na obu dłoniach.

– Proszę, niech nikt nie przychodzi. Proszę – mamrocze na głos, jakby to mogło dodać słowom siły.

Rzadko kto do mnie przychodzi, a jedynymi niezapowiedzianymi gośćmi są zawsze akwizytorzy ignorujący napis „Nie dzwonić” w oknie od ulicy.

Serce łomocze mi w szalonym rytmie, pod który umysł natychmiast podkłada słowa.

Jak przyjdą... zobaczą pocztę.

Jak przyjdą... zobaczą pocztę.

Jak przyjdą... zobaczą pocztę.

To zdanie tańczy mi o głowie i zapętla się, aż przestaję jasno myśleć. I wtedy ich słyszę.

Głosy.

Grzechocze klamka przy furtce, a ja wyglądam zza węgła domu w chwili, gdy dwie postacie w mundurach pojawiają się na końcu podjazdu. Zapomniałam zamknąć za sobą bramę, tak śpieszyło mi się do spalenia poczty. Jak mogłam być taka głupia?

Głowę mam lekką i pustą, a rysy dwojga policjantów zamazują się, aż ich twarze zaczynają dziwnie wyglądać.

Patrzę dzikim wzrokiem na przelewający się worek na śmieci oparty o tylne drzwi. Rzucam się przed siebie, obok prychającej spalarni, w stronę worków z pocztą. Muszę je schować.

Wiek spalarni luzuje się i całkowicie spada, ze strasznym brzękiem, który odbija się echem, ląduje na nagim betonie podwórza.

Wiatr unosi płonąca zawartość urządzenia i całe podwórze wypełnia się nagle wirem szarego popiołu.

Joan Peat

Przygotowania na przyjęcie Anny, kiedy po raz pierwszy wypisywano ją ze szpitala albo „kliniki”, jak wolą ją nazywać wścibska pracownica socjalna, były już ukończone, mimo że nadal ją leczono.

Postanowiono, że opiekować się nią będzie Joan – swego rodzaju nieformalna umowa o wychowaniu w rodzinie zastępczej – dokąd Anna nie ukończy osiemnastu lat, czyli zaledwie przez rok.

Wtedy takie rzeczy uchodziły. Joan zmarszczyła brwi i sięgnęła po druty. Można było przedrzeć się przez biurokrację i podjąć decyzję, opierając się na tym, co było najlepsze dla dziecka.

Joan nie wahała się, kiedy zwróciły się do niej służby socjalne. To było oczywiste, że ona najlepiej nadawała się do sprawowania tymczasowej opieki nad Anną. W końcu dziewczyna była dla niej jak córka. Aż do tamtego strasznego dnia więcej czasu spędzała u Joan niż we własnym domu.

Ale władze nie przestrzegły jej, że osoba, która wróci z kliniki, będzie zupełnie inna niż dziewczyna, którą Joan znała.

Kiedy nadszedł właściwy czas, wyjaśnienie Annie co się stało, miało być bardzo trudne dla Joan... ujawnienie potworności, o której Anna jeszcze nie wiedziała.

Joan wróciła do szalika, który robiła na loterię kościelną, przepuściła kilka ważnych ściegów i zaczęła stukać drutami.

Zawsze trochę się denerwowała, kiedy myślała o ślicznej, beztroskiej Annie, takiej, jaką była przed tragedią.

Po tej potworności czekał ją jeszcze ten koszmar.

Teraz

Anna

Pędzę przez gęstą chmurę dymu i chwytam wszystkie trzy torby stojące w drzwiach.

Ciągnę je na sam koniec małej kuchni i zakrywam paroma ścierkami do naczyń, żeby przykryć krwotok listów wylewający się z dziur w workach.

Kaszłąc i dławiąc się, stoję w drzwiach w chwili, gdy pojawiają się mundurowi.

– Cześć, pani Anna Clarke? – Policjantka wyciąga rękę, opędzając się drugą od dymu. – Posterunkowa Cullen, a to mój kolega, posterunkowy Storer.

Wyglądają na źle dobranych. On jest dość niski, raczej grubawy, zaś ona wyższa i chuda jak kij.

– Mam nadzieję, że nie przyszliśmy w niewłaściwej chwili – mówi policjant zza rzadkiej zasłony dymu i palonych kawałków papieru. – Wygląda na to, że pani jest bardzo zajęta.

Delikatnie określił ten pieprzony rok.

– Robię generalne porządki.

Stoję w nadal opadającym popiele ze spalarni, mówię powoli i cicho.

Rozglądają się po podwórku, potem patrzą na siebie.

– Moglibyśmy wejść na minutkę, dwie? – Posterunkowa Cullen przerywa ciszę. – Chodzi o wypadek, który pani widziała parę dni temu na Green Road.

Mój oddech uspokaja się.

Nikt nie złożył na mnie zawiadomienia, że palę niedostarczoną pocztę. Oni nie wiedzą o górze listów w zapasowym pokoju na piętrze. Przyszli w sprawie wypadku, prawdopodobnie po moim telefonie do posterunkowego Brixhama.

– Może weszlibyście państwo – mówię oschle.

Alberta zamknęłam już w pokoju od ulicy, kiedy paliłam na dworze pocztę, więc siadamy przy stole w środkowym pokoju.

– Pani mieszka tutaj sama? – Posterunkowa Cullen rozgląda się po pokoju, jakbym schowała męża albo lokatora gdzieś za meblami.

– Tak – mówię. – To chyba nie przestępstwo?

Posterunkowa wygląda na osobę, która w poniedziałki, po pracy, grywa w squasha, kiedy wszyscy inni garbią się przed telewizorami z kieliszkiem wina i

paczką chrupek.

Uśmiecha się.

– Oczywiście, że nie. Pytam z ciekawości.

– Sama próbuję znaleźć źródło tego zapachu – mówię. – Jeśli o to wam chodzi.

Oboje pociągają nosami, posterunkowy Storer wzrusza ramieniem.

– Niczego nie czuję poza spalenizną – mówi, a jego koleżanka kręci głową.

Storer sięga pod pofałdowany mundur do kieszeni i wyjmuje mały notatnik z długopisem.

– Anno, chcielibyśmy tylko zapytać o kilka szczegółów związanych z wypadkiem, można?

Spoglądam za okno i widzę, że dym zaczyna w końcu opadać.

– Mogłabyś nam dokładnie powiedzieć, co się stało tamtego dnia? – zaczyna.

– Widziałas sam wypadek?

Nabieram powietrza, przypominam sobie, żeby się nie spieszyć i nie powiedzieć czegoś, czego później bym żałowała. Właściwie to nie chcę kłamać, ale jeśli powiem prawdę, Amandzie Danson znacznie łatwiej będzie wywinąć się od odpowiedzialności.

Jestem absolutnie pewna, że tamtego dnia skosiła Liama, bo za szybko jechała i nie uważała na drodze. Ale policja nie chce zajmować się przeczuciami i intuicją. Na wszystko muszą być żelazne dowody, bez względu na to, czy taki zwyrodnialec jak ona miałby ująć sprawiedliwości.

Wiem, jak bardzo czuje się winna, że nie uważała na jezdni, ale nie mogę powiedzieć, że węszyłam i na Facebooku przeczytałam jej wiadomość do Liama.

– Samochód jechał za szybko i zrzucił go z motocykla – mówię.

Kiedy wypowiadam te słowa, widzę to oczami duszy.

Posterunkowy podnosi czujny wzrok znad notesu.

– Widziałas moment zderzenia?

Kiwam głową.

– Anno, mogłabyś opowiedzieć nam, co dokładnie widziałas? – pyta policjantka. Oczami jak paciorki przestała krytycznie oglądać pokój.

– Widziałam, jak samochód nadjeżdżał. Jechała znacznie za szybko i... cóż, kierująca jakby trochę się nachyliła i wtedy to się stało.

– Trochę się nachyliła?

– Jakby po coś sięgała – mówię. – Przynajmniej w moich oczach tak to wyglądało.

Spoglądają na siebie, a posterunkowy Storer zaczyna jak szalony coś zapisywać w notatniku.

To pewnie od miesięcy najbardziej ekscytująca sprawa, w której prowadził śledztwo. Tutaj zdarzają się kradzieże sklepowe dokonywane przez dzieci,

zgłaszane przez ludzi antyspołeczne zachowania i to wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że nie patrzyła na drogę? – pyta policjantka. – Jesteś pewna, że to widziałaś?

Wzruszam ramionami i uważam, udaję powściągliwą, że niby nie pokazuję winnej palcem, ale chcę być na tyle przekonująca, żeby narobić Amandzie Danson ogromnych problemów.

– Byłam niedaleko. – Teraz wchodzę w rytm. – Wiem tylko tyle, że najpierw widziałam jej twarz, potem nie widziałam. Głowę trzymała niżej, blisko przedniej szyby, jakby się schyliła, żeby po coś sięgnąć. Pewnie po telefon.

Policjantka robi wielkie oczy do kolegi, jakby chciała powiedzieć: „a nie mówiłam?”. Mimo wszystko zaczynam czuć do niej sympatię.

W końcu posterunkowy przestaje robić notatki i zadaje mi różne nudne, fachowe pytania, na przykład, w jakiej dokładnie byłam odległości? Ile sekund dokładnie minęło od chwili, kiedy zobaczyłam samochód do wypadku?

Pocieram podrażnioną skórę twarzy, jakbym rękę miała z flaneli. Naprawdę muszę wyciągnąć z tego nauczkę. Przecież miałam mnóstwo czasu, żeby ponownie odwiedzić miejsce wypadku i jasno ułożyć historię w głowie, a jednak zaniedbałam to.

Wracałam tam parę razy, ale nie po to, żeby zmierzyć ślady opon na tej cholernej jezdni.

Z całą pewnością wiem, co się stało tamtego dnia. I co z tego, że właściwie nie widziałam tego, co mówiłam o telefonie?

Mam inne dowody nie do odparcia i chodzi nie tylko o przeszłość, ale o to, co jest tu i teraz. Pełna poczucia winy wiadomość od Amandy na Facebooku, żalсна, płaczliwa wizyta w szpitalu i fakt, że chodzi do pracy i zachowuje się, jakby nic się nie stało.

To są prawdziwe dowody, których nikt inny nie widzi.

– Trudno powiedzieć, jaka to była odległość. Wszystko, co pamiętam, to ten biedny motocyklista, który wyleciał w powietrze i upadł na ziemię, jak kupka nieszczęścia. Widzicie, to tak szybko się działo.

– Anno, my to rozumiemy – mówi poważnym tonem policjantka. – Ale jesteś naszym jedynym świadkiem samego wypadku, więc jest naprawdę ważne, żeby wszystko się zgadzało. Co było potem, po pierwszym zderzeniu?

Mam pewną satysfakcję, bo z tego, co powiedziała, wynika, że kierowca mercedesa jadącego za mną nie widział samego wypadku.

Przez chwilę odtwarzam sobie scenę w głowie.

– Hm, kierująca wysiadła z samochodu, stała i patrzyła na Liama, który leżał na jezdni. Wyglądała na zszokowaną, żalu nie było po niej widać.

– Trzymajmy się faktów – mówi posterunkowy Storer. – Wysiadła z samochodu i co dalej?

– Dla mnie wyglądało to tak, jakby chciała z powrotem wsiąść i odjechać – odpowiadam. – Potem ludzie zaczęli wychodzić z domów i już nie miała wyboru. Musiała zostać i zmierzyć się z tym, co zrobiła.

– Skąd to wrażenie? – przerywa mi policjantka. – Czy zaczęła wracać do samochodu?

Wzruszam ramionami.

– Właściwie to nie, ale...

– Panno Clarke, musimy spisać, co dokładnie się tam działo – wtrąca się znowu jej kolega. – Nie co mogło się stać.

Ni z tego, ni z owego zaczynam myśleć o tym, co jest na piętrze, dokładnie nad naszymi głowami. Ściągną szyi napinają mi się i unieruchamiają mi ramiona.

Jeśli cała niedostarczona poczta spadłaby teraz przez sufit, straciłabym pracę i pewnie by mnie oskarżyli. Tych dwoje policjantów mogłoby mnie nawet aresztować i zamknąć w izbie zatrzymań.

Serce uderza mi o żebra, a w głowie słyszę głos terapeutki, która stara się mi pomóc.

„Uspokój się. Poczta nie spadnie przez sufit, a za parę dni już jej nie będzie”.

A jednak czuję rozpaczliwą potrzebę jak najszybszego pozbycia się ich z domu.

– Panno Clarke, dobrze się pani czuje?

Posterunkowa Cullen znów patrzy na mnie tymi swoimi złośliwymi oczkami jak guziki.

Potem dodaje.

– Mam zrobić pani herbaty?

– Nie! – Prawie podskakuję na krześle, ale w ostatniej chwili udaje mi się opanować.

Jeśli zobaczy w kuchni te wielkie worki na śmieci, przeszukają dom. Za późno dociera do mnie, że podniosłam głos.

Uśmiecham się i kaszlę.

– Przepraszam, mało śpiam od czasu tego wypadku. Czasem trudno mi się skupić na rozmowie.

– Rzeczywiście, wygląda pani, jakby była na skraju załamania – mruczy posterunkowy Storer, stuka długopisem o notatnik i uważnie przygląda się mojej twarzy.

– To dlatego, że każecie mi wszystko sobie przypomnieć. – Znowu czuję irytację. – To było ciężkie przeżycie. Chyba normalne, że jestem na skraju załamania, prawda?

Szybko kiwa głową i znów spogląda w notatnik.

Mój oddech robi się coraz krótszy i szybszy. Muszę z tym skończyć.

– Wszyscy robili szum wokół kierującej tamtym samochodem – mówię

szybko. – Liam leżał na drodze, nie ruszyłam go, nic z tych rzeczy. Tylko trzymałam go za rękę, pocieszałam go.

– Czekala pani z nim do przyjazdu karetki pogotowia – mówi posterunkowy Storer.

Kiwam głową.

– Powiedział coś pani? – Milknie, długopis wisi niecierpliwie nad papierem.

Kręcę głową. Nie ma mowy, żebym dzieliła się chwilą, kiedy Liam prosił mnie o pomoc. Jego słowa nie są przeznaczone dla jakiegoś brudnego policyjnego notatnika.

– Z tego, co widziałam, to było całkowicie z jej winy – mówię stanowczo. – Liam nie zrobił niczego złego, to była jej wina. Była rozproszona, nie powinna znaleźć się na jezdni.

Powietrze w pokoju zrobiło się gęste i nieruchome. Moje słowa zawisły w nim, zupełnie bez potrzeby.

– Proszę się nie spieszyć i jeszcze raz przemyśleć, co stało się potem – mówi powoli posterunkowa Cullen, przesuwając po stole wizytówkę. – A gdyby pani przypomniała sobie coś jeszcze, coś bardziej szczegółowego, proszę do nas zadzwonić.

Kiwam głową i pocieram mały ślad po przypaleniu na blacie stolika. Będą siedzieli i gapili się na mnie przez cały dzień, jeśli im pozwolę.

– Skoro to wszystko – mówię, wstając – to was odprowadzę do drzwi.

Oboje wstają, a posterunkowy Storer podchodzi do okna.

– Trochę za mocno wieje, żeby dzisiaj palić śmieci – mówi, pochyla się i przeciąga. – Jeśli pani nie będzie uważała, sąsiedzi bardzo się pogniewają o swoje pranie.

Kątem oka widzę, jak posterunkowa Cullen idzie w stronę drzwi na klatkę schodową.

– Anno, pozwolisz, że skorzystam z toalety, zanim pójdziemy? – Pokazuje ręką w górę.

Żeby skorzystać z łazienki będzie musiała przejść obok zapasowego pokoju. Zostawiłam otwarte drzwi, kiedy ciągnęłam worki z pocztą na dół, żeby je spalić. Nawet nie będzie musiała węszyć, żeby zobaczyć górę poczty w całej jej chwale.

Natychmiast zalewa mnie adrenalina, biegnę na drugą stronę pokoju i staję między posterunkową Cullen a drzwiami na schody.

– Nie! – warczę. – Nie pozwolę.

Wyciągam ramiona i stojąc twarzą do niej, przyciskam płasko obie dłonie do framugi. Po jej minie widzę, że uważa mnie za wariatkę. Ale nie mogę się powstrzymać.

Posterunkowa robi krok w tył, uśmiech jej blednie.

Posterunkowy Storer, słysząc zamieszanie, szybko odwraca się od okna i idzie w naszą stronę.

– Anno, wszystko w porządku? – pyta łagodnym głosem, jakbym była naładowaną bronią, która w każdej chwili może wystrzelić.

Mrugam parę razy, próbuję zebrać myśli.

– Przepraszam – mówię z nerwowym śmiechem. – Chodzi o to, że toaleta jest nieczynna. Zepsuła się, rozumiecie. – Skórę na twarzy mam naprężoną i napiętą, jakby miała popękać od trudu utrzymania tajemnicy. – Nie trzymam tam zwłok ani niczego w tym stylu.

Chichoczę, próbuję rozładować sytuację, ale przyglądają mi się podejrzliwie.

– Rozumiem. – Posterunkowa patrzy na kolegę. – Anno, nie chcieliśmy cię niepokoić, nie miałam ukrytych powodów, żeby pójść na górę.

– Wiem – mówię szybko i zdaję sobie sprawę, jak śmiesznie to musi wyglądać. Opuszczam wilgotne ręce z drzwi i odprężam się jak mogę. – To jest tylko trochę... hm, wstydlive, nic więcej. Teraz tam śmierdzi.

Posterunkowy Storer kiwa powoli głową.

– Wezwałaś hydraulika?

– Tak – mówię. – To znaczy nie, jeszcze po niego nie dzwoniłam. Właśnie miałam to zrobić, kiedy przyszliście.

Ramiona trochę mi się odprężają, kiedy posterunkowa Cullen odwraca się od drzwi na schody i idzie w stronę kuchni.

– Więc zostawiamy cię z tym problemem – mówi, otrzepując mundur.

Mam ochotę przebiec obok niej i stanąć przed torbami na śmieci leżącymi na podłodze w kuchni, ale udaje mi się jakoś zapanować nad sobą.

– Przepraszam – mówię, idąc za nimi do drzwi. – To znaczy, za ubikację.

– Nic takiego. – Posterunkowa Cullen wzrusza ramionami. – I tak wracamy teraz do komisariatu, nic mi się nie stanie, jak się trochę powstrzymam.

Kiedy są na dworze, posterunkowy Storer zagląda do spalarni. Zatrzymuje się przy niej tylko na chwilę.

– Lepiej by ci poszło z niszczarką do papieru – mówi, kiwając głową w stronę popiołu. – Z nią jest mniej problemów niż z paleniem.

– No jasne – najeżam się.

Zajmij się, kurwa, swoimi sprawami.

Patrzę, jak odjeżdżają, zamykam furtkę od góry i od dołu i wracam do domu.
Zamykam za sobą na klucz drzwi do kuchni i ciężko się o nie opieram.
Plecy mam mokre, serce mi wali.
Milcząco odmawiam modlitwę dziękczynną, że wreszcie poszli.

Posterunkowa Cullen

Gill Cullen wśliznęła się na fotel dla pasażera w wozie policyjnym zaparkowanym przed domem Anny Clarke i odezwała się do kolegi.

– Co o niej sądzisz?

Jay Storer popatrzył w lusterko, zanim ruszył.

– Niezła z niej dziwaczka. Myślałem, że odgryzie ci głowę, kiedy zapytałaś, czy możesz skorzystać z kibelka.

– Mogę przysiąc, że kłamała, a przynajmniej mijala się z prawdą, ale dlaczego? O ile rozumiem, była tylko przypadkowym świadkiem wypadku, nie znała ludzi, którzy brali w nim udział.

– Powiedzmy szczerze, niektórzy ludzie są po prostu walnięci i w tym nie ma logiki. – Wzruszył ramionami. – Pewnie chce po prostu skupić na sobie uwagę. Spotykaliśmy takich, prawda?

Parę lat wcześniej zaginęło dziecko i miejscowi ochotnicy zorganizowali dokładne przeszukanie okolicy.

Jeden z organizatorów przyciągnął uwagę policji. Wydawało się, że jest wszędzie, wchodził policji w drogę, utrudniał działanie. Sam zaczął nawet wypytywać ludzi i przekazywać funkcjonariuszom, co powiedzieli.

Na szczęście dziewczynka odnalazła się w domu przyjaciółki i dopiero wtedy ten człowiek stracił zainteresowanie i przestał się narzucać.

To wystarczyło Gill, żeby zrozumiała, jak dziwnie mogą się zachowywać ludzie. Najwyraźniej tylko po to, żeby znaleźć się w świetle reflektorów dochodzenia.

Gill patrzyła posępnie przez okno, kiedy samochód przejeżdżał obok rzędów ceglanych, pokrytych sadzą szeregówek i sklepów z zabitymi deskami wystawami.

Nie mogła pozbyć się przecucia, że z Anną Clarke coś jest nie tak, coś, czego nie widziało się na pierwszy rzut oka.

Ekscentryzm to zapewne łagodniejsze określenie wariactwa. Jednak ta kobieta wykonywała odpowiedzialną pracę, mieszkała sama i jakoś sobie z tym radziła.

Na jej korzyść świadczyło też, że została z ofiarą wypadku, póki nie przyjechało pogotowie.

Ale jasne było, że wystraszyła się, kiedy Gill przyjechała z kolegą do niej do domu i bez oczywistych powodów zachowywała się jak podręcznikowy przykład winnego.

Gill niedawno sprawdzała, że palenie śmieci na własnym podwórku nie jest zakazane. Jej tato robił to przez cały czas, regularnie doprowadzając do szału sąsiadów, którzy dopiero co rozwiesili na sznurach wilgotne pranie.

Mimo wszystko Gill nadal miała obiekcje do ludzi zamieszanych w incydent na Green Road. Prawdę mówiąc ten szlampowy wypadek zostawił jej niesmak w ustach.

Jeszcze nie mieli okazji porozmawiać z Liamem Bradburym, bo stracił pamięć i przeżył wstrząs, a spotkanie z kierującą samochodem Amandą Danson okazało się trudniejsze niż powinno.

Wysyłane listy były zignorowane, więc Gill z kolegą osobiście odwiedzili oba domy, żeby wręczyć listy z prośbą o osobiste stawiennictwo pana Bradbury'ego i panny Danson w komisariacie w celu złożenia zeznań.

O ile Gill wiedziała, pełnomocnik pana Bradbury'ego, który najwyraźniej najwięcej ucierpiał w wypadku, do tej pory się nie pojawił, więc nie było realnego powodu, żeby naciskać na Amandę Danson.

Ziewnęła i odkręciła troszeczkę szybę.

Nie licząc tego dziwnego wypadku komunikacyjnego i kłopotów z sąsiadami, jej praca polegała przede wszystkim na pierdołach związanych z kontaktami ze społecznością. Nie po to została policjantką, ale teraz tego wymagano od niej w pracy.

Jej wuj George przez ponad trzydzieści lat był detektywem i jego logiczna rada brzmiała, że należy ufać swoim przeczuciom.

„Gilly, musisz tak pracować, żeby cię w tym zawodzie zauważyli, albo na całe życie zostaniesz gliną z patrolu”, ostrzegał.

Powiedział, że przez całe lata obserwował, jak ludzie, którzy zaczynali pracę z poczuciem misji, podświadomie, z dnia na dzień, to poczucie tracili. Prowadziło do tego zajmowanie się podrzędnymi ćpunami i zagubionymi zwierzątkami domowymi.

„Zanim zdążysz się zorientować, upłyną lata”, powiedział. „Ambitni gliniarze z patroli przyjmują z rezygnacją fakt, że już jest za późno, żeby coś z tym robić, i po prostu akceptują swój los”.

Takie żalosne godzenie się z losem nie leżało w naturze Gill, ale wiedziała, że George miał rację. Jedyнным sposobem, żeby samemu czegoś takiego uniknąć, było wzniesienie się ponad drobnicę i pokierowanie się przeczuciem.

Musiała znaleźć sposób, żeby znaleźć uznanie w oczach szefostwa za inteligencję i wykazywanie inicjatywy.

– Nie wydaje ci się, że w tym wypadku jest coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka? – Popatrzyła na Jaya.

– Nie – odmruknął, podnosząc przyjacielsko rękę na widok młodych ludzi w bluzach z kapturami, którzy przechodzili na światłach przed samochodem. Jeden z

chłopaków pokazał mu środkowy palec.

– Bezczelny gówniarz – zachichotał.

Gill osobiście lubiła Jaya, ale wściekała ją jego ospałość i godzenie się z takimi sprawami podczas pracy. Jeśli ktoś tutaj był urodzonym gliniarzem z patrolu, to właśnie on. Ona nie da się wrzucić do tego samego worka.

Czas nacisnąć na ludzi zamieszanych w wypadek na Green Road, żeby złożyli zeznania. Może poświęci trochę własnego czasu i trochę w tym pogmera.

Anna

Radiowóz odjechał, opadam na posadzkę kuchni i długo siedzę, zakrywając twarz rękami. Udało mi się ich oszukać, ale teraz mam wrażenie, że głowa mi puchnie i zaraz wybuchnie od rozmiarów spraw, które sprawiają mi kłopot.

Mój plan zniszczenia przesylek teraz okazał się bardzo marny, ale tylko to mam w zanadru. Tylko w ten sposób mogę szybko uporządkować sprawy.

Patrzę na zegar ścienny i zdumiewam się, że jest prawie czwarta. Wiem, że Liam będzie się zastanawiał, gdzie jestem, będzie czekał, żeby napić się herbaty i porozmawiać ze mną, bo tak długo musiał siedzieć zamknięty w domu z Ivy.

Powoli wstaję, czuję się zamoczona, jakbym za dużo wypiła.

Trzy czarne torby na śmieci, pełne milczącej groźby, przykucnęły w kącie kuchni. Jakoś wydają się większe, jakby poczta w nich zawarta ukradkiem się rozrosła.

Chociaż bardzo chciałabym spotkać się z Liamem, wiem, że muszę uprzątnąć ten bałagan. Nie mogą pozostać żadne ślady, żadne wskazówki. Już się nie spodziewam kolejnych niechcianych gości, ale rozsądek nakazuje przygotować się na to, co niespodziewane.

Umysł natychmiast przedstawia mi scenariusze, które pozostają poza moją kontrolą. Ktoś mógłby się włamać, kiedy mnie nie będzie. Gdybym zapomniała wyłączyć elektryczność i wybuchłby pożar, straż pożarna musiałaby wejść siłą. Wszystko by się wydało i nikt by nie uwierzył, że mam tylko przejściowe problemy w pracy i że to nie moja wina.

Biorę się w garść, wstaję i znów wychodzę na dwór. Mrużąc oczy przed wiatrem, zacynam wygarniać łopatą popiół ze spalarni.

Jeszcze nie ostygł na tyle, żeby wysypać go do pojemnika na kółkach, więc usypuję go na stosik w kącie nieużywanej komórki na węgiel na końcu podwórka.

W popiele jest kilka większych niespalonych kawałków papieru, które jakoś zauważył sokolooki posterunkowy Storer.

Zdejmuję wieko spalarni i te kawałki też odkładam do komórki na węgiel. Potem biorę dużą szczotkę i zmiatom mniejsze strzępy papieru, które rozleciały się po kątach podwórka.

Na zewnątrz już posprzątałam, więc wracam do środka i zamykam za sobą drzwi na klucz. Kiedy furtka i drzwi są zamknięte, czuję się znacznie bezpieczniej. Nie lubię wizyt z zaskoczenia.

Chwytam wszystkie trzy torby na śmieci i ciągnę je przez kuchnię do

środkowego pokoju. Gardło mam zatkane, jakby była w nim bawełna, i muszę przerwać na kilka sekund, żeby złapać oddech.

Torby są ciężkie, ale jeśli dam radę, przeniosę je na górę za jednym zamachem.

Zrobiłam zaledwie kilka kroków w środkowym pokoju i coś sprawiło, że stanęłam jak wryta. Puściłam torby, podniosłam głowę, głęboko wdychałam powietrze, najpierw z lewej, potem z prawej.

Ten zapach, myślałam, że wyszorowałam go i wymyłam zaledwie dwa dni temu, ale on wrócił z nadstatkiem. Ten zgniły, wstrętny smród.

Jest w nim coś znajomego, ale nie wiem co. Coś kołacze mi się na skraju pamięci, ale nie jestem w stanie tego uchwycić.

Chyba czułam to już wcześniej, nie w ubiegłym tygodniu, czy jakoś tak, ale przed laty. W gardle rośnie mi chropowata gruda, więc robię kilka głębokich oddechów, żeby powstrzymać na chwilę wstrętne uczucie szybko unoszące się z żołądka.

Stoję przy kuchennym oknie i szybko chwytam się lady, żeby nie upaść.

Wyglądam, prawie spodziewam się, że zza rogu znów wyłoni się dwoje policjantów z ich fałszywie przyjacielskim machaniem ręką i uśmiechami. Oczywiście musieliby zapukać do frontowych drzwi, gdyby chcieli ze mną znowu porozmawiać. Ale tym razem nie będę taka głupia, żeby im otworzyć.

Wypijam kilka łyków wody ze szklanki i sięgam do szafki pod zlewem po butelkę płynu czyszczącego i szmatę. Wracam do środkowego pokoju i pociągam nosem. Tak, to jest tutaj, wróciło do normalnego poziomu. Nie można wytrzymać.

Idę wokół stołu. Czy to moja wyobraźnia, czy może zapach jest silniejszy z tej strony, gdzie siedzieli policjanci?

Opryskuję blat stołu i wycieram go. Potem to samo robię z krzesłami, włączając ramy, nogi, a nawet poduszki w kwiatki. Kiedy kończę, są przesiąknięte cytrynowym płynem czyszczącym.

Słyszę, jak Albert miauczy w pokoju od frontu. Zupełnie zapomniałam, że tam jest. Kiedy otwieram drzwi, przechodzi obok mnie z podniesionym ogonem. Nie chce na mnie spojrzeć.

Albert też nie znosi gości.

Najkrótszą drogą podchodzi do stołu i zaczyna obwąchiwać nogi krzesel. Nie mruczy, nie ociera się dla przyjemności, próbuje pozbyć się zapachu szalibierzy.

Oboje próbujemy.

Wkrótce nozdrza wypełnia mi ostre pieczenie cytrynowego płynu do czyszczenia i trochę uśmierza smród. Albert nie jest zbyt zadowolony i wkrótce zaczyna kichać i sucho pokasływać. Ociera się o mnie z prawie nieukrywaną pogardą, więc otwieram drzwi kuchni, żeby wypuścić go na dwór.

– Nie odchodź za daleko Albercie! – wołam przed zamknięciem drzwi na

klucz.

Później wróci i przebaczy mi, kiedy skuszę go jego ulubionymi kąskami.

Znow chwytam torby i ciągnę je, niosę na górę. Kiedy stawiam je na piętrze, są już mocno podarte i po całych schodach ciągną się za nimi listy.

Siadam na najwyższym stopniu, żeby uspokoić trzęsące się nogi, i patrzę na śmietnisko z białych i brązowych kopert i wielokolorowych ulotek.

Trochę mnie korci, żeby podpalić dom i załatwić sprawę za jednym zamachem. Wtedy mogłabym zacząć od zera. Ale przy moim szczęściu i to by się nie udało.

Strażacy na pewno zgasiliby pożar, zanim strawiłby listy, albo rozerwałby się zbiornik na wodę i zalał płomienie.

Ostry ból przenika mi skórę na głowie. Opuszczam ręce i strącam z nich pasma włosów oplątujące mi palce. Sploty spadają w dół, na rozrzuconą pocztę.

Nie mogę sobie pozwolić na takie roztargnienie, bo nie zdołam wybrać się do Liama, a to niezmiernie uradowałoby Ivy i Amandę.

Na razie macham ręką na bałagan na schodach, wstaję i ciągnę torby korytarzem do zapasowej sypialni. Niech do jutra postoją przy szafce pod grzejnikiem. Wtedy dokończę sprawę ze spalarnią.

W łazience pozwalam sobie na uśmieszek. Wymyśloną na poczekaniu wymówką o zepsutej toalecie udało mi się przechytryć tę niby-cwaną posterunkową Cullen.

Spuszczam wodę i myję ręce. Kiedy spoglądam w lustro, z ust wydobywa mi się ostry krzyk.

Włosy, które już miałam rzadkie, teraz wyraźnie cofnęły się na skroniach. Dwie wielkie, nierówne łysiny są zaognione i krwawią.

Nie wiem, dlaczego tak to się pogorszyło.

Teraz

Anna

Spoglądam na zegarek, została tylko godzina do wizyty kontrolnej Liama w szpitalu. Miałam go tam zawieźć.

Kiedy docieram do ich domu, Ivy jest w zadziornym nastroju, czepia się Liama.

– Nie musisz tam jechać – mówię do niej jak najuprzejmiej. – Przecież sama masz problemy ze zdrowiem. Zaraz wrócimy i powiemy ci, jak poszło, prawda Liam?

– Bzdury. – Ivy z trudem dźwiga się z kanapy. – Śmierć jeszcze nie puka do drzwi. Wiesz przecież.

– Babciu – mówi łagodnie Liam. – Anna ma rację. To głupie, żebyś bez potrzeby wlokła się z nami do szpitala i z powrotem.

Widać wyraźnie, że Liam nie może się doczekać, kiedy na krótko wyrwie się z jej szponów, żeby pobyc trochę ze mną. Nie wspomniał, że wczoraj nie przyszedł, ale jest uprzejmym człowiekiem i nie chce mnie zasmucać. Mam nadzieję, że nie czekał i nie wypatrywał mnie godzinami.

Jeśli dziś rano uda nam się trochę odetchnąć od Ivy, to później będziemy mogli napić się kawy w szpitalnej kawiarni i trochę pogadać, a może nawet załapać się na lunch.

– Czuję się doskonale – mówi Ivy, zaciskając zęby. Głos ma jak ze stali, mimo że tak krucho wygląda. – Zresztą całe popołudnie był poza domem, miło byłoby trochę z nim pobyc.

– Wyszedłeś? – pytam słabym głosem.

Ignoruje moje pytanie i wstaje. Jestem zaskoczona, że już tak łatwo się porusza.

– Nie, babciu, zostaniesz tutaj i odpoczniesz. Tym razem pojedę z Anną. Koniec dyskusji.

Ivy wzdycha, ramiona jej opadają jak balonik, z którego wypuszczono powietrze. Wiadomo, że zaburzone umysły reagują na stanowcze polecenia, a te słowa były niedwuznaczne.

Przynoszę Liamowi kurtkę i kule i rzucam spojrzenie Ivy, kiedy obok niej przechodzę.

– Chcielibyśmy się tobą zaopiekować, tylko tyle, Ivy – mówię. – Chcę ci pomóc, jak tylko mogę, żeby trochę ułatwić ci życie.

– Tylko że ja czuję się... taka niepotrzebna. – Ociera oczy grzbietem dłoni z plamami wątrobowymi.

Im szybciej Ivy zrozumie, że jestem stałym elementem ich życia, tym lepiej dla nas wszystkich. Zmaganie się z tymi nonsensami za każdym razem, kiedy tu przychodzę, naprawdę działa mi na nerwy.

Na pewno łatwiej będzie jej przyjąć moją pomoc, kiedy się wprowadzę. Gdyby stan jej zdrowia się pogorszył i odrzuciłaby naszą pomoc, Liam musiałby chyba poszukać dla niej odpowiedniego domu opieki. Mogę się tylko modlić, żeby do tego nie doszło.

Kiedy już jedziemy, zauważam, że trochę łatwiej mi się oddycha. Chyba dlatego, że Liam odzywa się do mnie.

– Utknąłem w tym domu, to doprowadza mnie do szału. Widzę wokół siebie rzeczy, których zupełnie nie pamiętam – mówi.

– To musi być bardzo przygnębiające – zgadzam się. – Miejmy nadzieję, że wkrótce coś zacznie ci się przypominać.

Wzrusza ramionami, ale nic nie mówi.

– Wcale nie wyszedłem na całe popołudnie – dodaje. – Babcia chyba traci poczucie czasu. Po prostu przeszedłem się do parku i z powrotem, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Wygląda na to, że Ivy ma problem z bieżącymi sprawami. Wcale mnie to nie dziwi po tym, jak widziałam raport medyczny, który na razie schowany jest w jej szafie.

– Liam, martwię się o twoją babcię – mówię. – Za dużo bierze na siebie. Słyszałam, jak jedna pielęgniarka mówiła o niej, że to doskonała kandydatka do zawału.

W istocie nie słyszałam takich słów, ale jestem pewna, że po omdleniu Ivy ktoś mógł coś takiego powiedzieć.

– To twarda sztuka. – Liam wzrusza ramionami. – Problem w tym, że nie wie, kiedy trzeba odpocząć.

Albo trzymać język za zębami.

Jazda do szpitala nie zabiera wiele czasu. Teraz staram się rozmawiać o błahych sprawach. Nie chcę wywierać na niego presji przed spotkaniem z lekarzem.

Mogę poczekać.

Kiedy Liam idzie do lekarza, ja czekam przed gabinetem. Mało brakowało, a zaproponowałabym, że z nim wejdę, ale w końcu zmieniłam zdanie.

Liam spotyka się dzisiaj z lekarzem, który nie ma pojęcia o historii medycznej chłopaka ani o jego ciężkich przejściach. Nie wiem, dlaczego za

każdym razem, kiedy się tu przyjeżdża, w gabinecie przyjmuje ktoś inny, ale to musi być ogromna strata czasu, bo przecież wszyscy lekarze muszą być na bieżąco.

Jednak po kwadransie Liam wychodzi. Trzyma kule, ale się na nich nie opiera.

Jest znacznie wyższy ode mnie i lubię obok niego stać. Dzięki temu czuję się bezpieczniejsza.

– Lekarz powiedział, że wszystko ładnie się zrasta. – Liam uśmiecha się. – Następną wizyta za dwa tygodnie. Wkrótce zacznę fizjoterapię.

– Niewiele czasu im trzeba, żeby stracili zainteresowanie – gderam na tyle głośno, żeby usłyszała mnie recepcjonistka. – Takie czasy, że nie mogą się doczekać, żeby się pozbyć się człowieka i zwolnić łóżko.

Liam mówi, że obędzie się kawą, więc idziemy do kawiarni. Usadam go za stołem, a sama stoję w kolejce.

Dziwne, że byłam tu sama zaledwie kilka dni temu, kiedy skaleczyłam się w dłoń. Rana świetnie się goi, mimo że wybiegłam od pielęgniarki. Czuję ją jednak, a jeśli przypadkiem zahaczę o coś ręką, bardzo boli.

Przynoszę kawę na tacy do naszego stołu.

– Myślałam o czymś – mówię, chociaż ta myśl dopiero co przyszła mi do głowy. – Mogłabym przeprowadzić się do ciebie na kilka dni, jeśli chcesz. To znaczy, żeby pomóc wam obojgu.

Patrzy na mnie, ale nic nie mówi.

W głowie mi pulsuje, czuję gorąco na twarzy.

– Chodzi mi tylko o ciebie i Ivy. – Próbuję mu ułatwić tę sprawę. – Ledwie daje sobie radę z opieką nad tobą, a ja każde popołudnie spędzam w domu i niewiele mam do roboty. Rozwiązanie wydaje się oczywiste.

Zdaję sobie sprawę, że pewnie ogarnęły go emocje i trudno mu znaleźć odpowiednie słowa, żeby mi podziękować. Czekam.

Wtedy przy naszym stole zatrzymuje się kobieta z jasnoczerwonymi włosami i pasującą do tego szminką. Uśmiecha się promiennie do Liama. Mieszam latte i staram się zignorować wściekle swędzenie na karku.

– Siema, jestem Linda, pielęgniarka. Pamiętasz?

Liam uśmiecha się, ale to oczywiste, że nie ma pojęcia, kim ona jest.

– Byłam na twoim oddziale przez parę dni, kiedy cię tutaj przywieźli. Jak tam z tobą?

Liam siedzi, ma przy sobie kule, jest bardzo blady i wychudzony. Co ona myśli, że jak z nim?

Ubrana jest zwyczajnie, najwyraźniej skończyła pracę, ale do Liama, którego uważa za pacjenta, nadal odnosi się zbyt poufale, niepokojąco poufale.

Popijam kawę i rozglądam się po kawiarni. Parę razy widzę, że Linda na mnie spogląda, próbuje wciągnąć mnie w rozmowę, ale oczywiście całkowicie

ignoruję jej starania.

Przez chwilę prowadzą wymuszoną rozmowę, wreszcie ona odchodzi i macha do Liama jak stary przyjaciel.

Wścieka mnie, że ta chwila, która zdarzyła się przed jej nadejściem, jest stracona, a Liam zaczyna coś gadać o filmach przyrodniczych, które oglądał w telewizji.

Nie mam wątpliwości, że jest zbyt speszony, żeby podjąć sprawę mojej propozycji, jeśli nawet to jest to, czego by chciał.

Kiedy dopiliśmy kawę, muszę go dosłownie zmuszać, żeby skorzystał z wózka dla gości. Dzięki temu możemy szybko przejechać szpitalnymi korytarzami i dostać się do samochodu.

– Głupio się czuję, kiedy tak siedzę. Jakbym był starym inwalidą – gdera, trzymając kule na kolanach. – Bardzo boli mnie głowa, ale mogę chodzić.

– To już niedługo – strofuję go, ale po cichu pragnę, żeby był przykuty do wózka przez cały czas. Wtedy wiedziałabym gdzie jest, i przez cały mogłabym mu pomagać.

Kiedy już siedzimy w samochodzie, znów podnoszę ten temat.

– Liam, jak ci już mówiłam byłabym bardziej niż zadowolona, gdybym mogła zostać u was na krótko, póki nie staniesz na nogi.

Wygląda przez okno i nic nie mówi. Jeśli mielibyśmy zostać przyjaciółmi, musi się nauczyć otwartości wobec mnie.

– Jeśli twoja babcia dostanie zawału albo, co gorsza, umrze, pomyśl, jakie będziesz miał poczucie winy. Szczególnie że tego wszystkiego można by uniknąć, zawierając prostą umowę.

– Anno, mogę być z tobą szczerzy?

Serce mi wali, ale bardzo się staram, żeby skoncentrować się na drodze. Mówi ciepłym tonem, jakby chciał mi się zwierzyć.

– Z jakichś powodów babcia ma te głupie wątpliwości, że za bardzo na tobie polegamy. Wiesz, jak ceni sobie niezależność. Ale zgadzam się, że pomoc by się jej przydała. – Przerywa. – Po prostu myślę, że nie spodoba się jej pomysł, żebyś się do nas wprowadziła, nawet na krótko. Zrozum, przyznałaby wtedy, że nie daje sobie rady. Zawsze taka była.

Gwałtownie odwracam głowę w jego stronę, potem znów skupiam się na drodze.

– Pamiętasz, jaka była?

– Nie za bardzo. – Wzrusza ramionami i kręci głową. – Chodzi mi o to, że taka jest od czasu wypadku.

Ogarnia mnie przemożne uczucie, że to jest właśnie decydująca chwila w naszych stosunkach. To jasne, co chce powiedzieć Liam: jest ze mnie bardzo zadowolony i przyjąłby moją propozycję.

Gdyby Ivy nie robiła trudności. Podejmuję więc natychmiastową decyzję.
– Co ty robisz?! – krzyczy Liam, kiedy nagle skręcam w zatoczkę.

45

Kiedy już zaparkowaliśmy, wyłączam silnik.

Jeszcze nie wpadłam na pomysł, jak to najlepiej sformułować, a słowa już wypływają mi z ust.

– Liam, wiesz, ile na ciebie spadło przez ostatni tydzień – zaczynam. – Ale muszę ci powiedzieć, i to ze szczegółami, dlaczego Ivy tak się boi, że zbliżę się do was obojga.

Odwracam się twarzą do niego, ale Liam nie chce spojrzeć mi w oczy. Oddycham coraz szybciej, myślę o tym, żeby wziąć go za rękę. Ale jednak nie jestem w stanie tego zrobić.

– Musisz przyrzec, że na razie to zostanie między nami.

Liam niezręcznie przesuwają się na fotelu, uporczywie patrzy przez okno.

Nie mam wyboru. Czuję, jak słowa zbierają mi się w gardle, słowa, które muszę wypowiedzieć.

– Nie chcę ci powiedzieć, że węszyłam, bo nie o to chodzi – zaczynam. – Ale kiedy wzięłam ręczniki i pościel z piętrowej, nie mogłam nie zobaczyć dokumentów, które Ivy zostawiła na łóżku.

Gwałtownie odwraca głowę, przygląda się mojej twarzy, jakby chciał przewidzieć, co mu powiem.

– To były listy. Papiery i różne rzeczy. – Głos mi słabnie. – Oczywiście niczego nie otwierałam, ale jeden, dwa... cóż, i tak były otwarte. I kiedy to porządkowałam, nie mogłam się powstrzymać i wpadła mi w oko istota sprawy.

Patrzę zafascynowana, jak na jego policzkach pojawiają się dwie ciemnoróżowe plamy.

– Co zobaczyłaś? – Kropelki potu wyskakują na jego górnej wardze. – Anno?

– Jest coś, o czym zapomniałeś po wypadku i...

– No powiedz!

Napinają mu się mięśnie szczęki, jego naprężone, szerokie ramiona odwracają się w moją stronę.

Nie boję się Liama, oczywiście, że się nie boję. To byłoby głupie.

Ale zaczynam się zastanawiać, czy wybrałam dobry moment.

– Na piętrowej, na łóżku Ivy, znalazłam stary raport – mówię, patrząc obok niego przez okno samochodu. – Raport psychologiczny.

– Nie miałaś prawa węszyć. – Łapie mnie za nadgarstek zranionej ręki, wrzeszczę.

– Liam, proszę!

Puszcza mnie, rozcieram nadgarstek, ale to nie rozprasza dźgnięć ostrego bólu.

– Przepraszam – mówi, przejeżdża ręką po niesfornych włosach. – Nie chciałem ci zrobić krzywdy, Anno.

– W porządku – mówię, ale coraz bardziej korci mnie, żeby po prostu odwieźć go do domu.

Niespokojnie bębni palcami o kolano.

– Mówiłaś... o papierach?

Nie mam wyboru, muszę mówić dalej.

– To był raport na temat Ivy. Wiedziałeś, że miała problemy psychiczne?

– Nie sądzę – śmieje się. – Trudno mi powiedzieć, bo nic nie pamiętam, ale szczerze w to wątpię. Owszem, to stara jędza, ale nie wariatka.

– Sama to podpisała – mówię ostrożnie. – To znaczy ten raport. Więc to, co w nim jest, musi odpowiadać prawdzie. Oficjalna opinia lekarska.

Liam wzrusza ramionami.

– Czy to ma coś do rzeczy?

Jest zdezorientowany, pewnie ta rana głowy nie pozwala mu logicznie myśleć.

– Pozwalasz jej podejmować wszystkie ważne decyzje. W tym rzecz.

Cień uśmiechu pojawia mu się na ustach, ale Liam nic nie mówi.

Spogląda na zegarek i robi długi wydech. Niemal czuję, jak przechodzą go ciarki irytacji, ale jeszcze nie mogę tego zostawić.

– Liam, Ivy nie zawsze wie, co jest dla ciebie najlepsze – mówię spokojnie.

– Niby jak mam na to odpowiedzieć?

Dociera do mnie, że nie zauważyłam srebrnych plamek w jego ciemnoniebieskich oczach. To pewnie kwestia kąta, pod jakim pada światło, ale plamki przesuwają się, migoczą, aż wreszcie nie wiem, jaki kolor przeważa.

Serce zamiera mi co parę uderzeń, a kiedy patrzę na mroczny wyraz twarzy Liama, odnoszę wrażenie, że wielkie zdemaskowanie Ivy wcale nie było takim dobrym pomysłem.

– Wiem, że trudno to zaakceptować i że to nie moja sprawa, ale myślę, że masz prawo o tym wiedzieć – znów próbuję.

W okolicach klatki piersiowej czuję nabrzmienie, jakby smutek.

Łagodnie kładę rękę na jego ramieniu, on spogląda na nią. Z twarzy zszedł mu purpurowy kolor i jakby trochę złagodniał.

– Dziękuję, Anno – mówi, chyba znów jest sobą. – Kumpel z ciebie.

Trochę mi przykro, ale przecież zawsze wiedziałam, że tak mnie widzi. Byłabym idiotką, gdybym miała nadzieję na cokolwiek więcej. Wtedy Liam znów się odzywa.

– Nie tak, jesteś kimś więcej niż kumplem.

W żarze jego słów czuję się, jakbym unosiła twarz ku słońcu.

– Jesteś dla mnie kimś szczególnym.

– Ona chyba się boi, że zostanie sama – zaczynam paplać. Czuję gorąco na policzkach. – Kiedy twój tato i siostra zginęli w wypadku, byłeś wszystkim, co jej zostało, i chyba boi się, że ty i ja...

Kręci głową, robi to dziwnie, jakby kurczowo. Na twarz wraca mu szkarłat.

– Ona lubi Amandę – mówi nie na temat, ręka mu opada.

– Nie rozumiesz? – Czuję w brzuchu szczypanie. – Amanda jest przerażona, że policja ją oskarży, więc chce się z tobą zaprzyjaźnić, do tego dąży. A Ivy z tymi problemami psychicznymi nie jest najlepszym pośrednikiem między tobą a organami ścigania.

– Przy okazji, musiałaś się pomylić – mówi Liam, ignorując wszystko, co powiedziałam. – Pytałem lekarzy, nie było u nich żadnego dziecka.

– Hę?

– Mówiłaś, że Amanda przewróciła dziecko na rowerze. Nie przewróciła.

– Och, pielęgniarka, która mi o tym powiedziała, musiała się pomylić – mówię i z trudem przełykam. – Nie wolno ufać Amandzie. To tylko przeczucie, ale intuicja w takich sprawach mnie nie myli.

Robi wesołą minę, udaje, że nie bardzo się tym przejmuje.

– Amanda myśli, że jeśli cię zdominuje, powiesz coś na jej obronę i policja zrezygnuje z dochodzenia. – Tym razem postanowiłam go nacisnąć. – Z Amandą Danson jest coś nie tak. Nie jest tą osobą, za którą się podaje.

– Więc kim jest? – Liam uśmiecha się, a jego usta wyglądają na obolałe, jakby skóra za bardzo się rozciągnęła.

– Kimś, od kogo lepiej, żebyś trzymał się z daleka. Zaufaj mi.

Liam nic nie mówi, siedzimy w milczeniu, ale nie jest to kłopotliwe milczenie.

Wreszcie Liam zwraca się do mnie.

– Porozmawiam z babcią. Chciałbym, żebyś na jakiś czas została u nas, w domu.

Serce mało nie wyskoczy mi z piersi, mocno ściskam go za rękę.

Trzynaście lat wcześniej

Carla Bevin lekko rozchyliła zasłony i patrzyła, jak przed domem zbierają się reporterzy i kamery telewizyjne.

Mężczyźni i kobiety, niektórzy z komórkami trzymanymi między ramieniem a uchem, pisali coś w notatnikach. Inni rozglądali się po ulicy, strzelali oczami, wysilali mózgownice, szukając jakiegoś sposobu, żeby sąsiedzi chcieli z nimi porozmawiać.

Znów zaciągnęła zasłony, walcząc z grudką, która uwięzła jej w gardle.

Dwa dni wcześniej, powodowana najgłupszym z kaprysów, złożyła niezapowiedzianą, niespodziewaną wizytę w domu rodziny Clarke'ów.

Zapukała do drzwi, czekając, skubnęła parę kawałków łuszczącej się farby, całkowicie przygotowana, że ją zaraz spławią.

– Tak?

Nie spodziewała się matki Daniela, filigranowej kobiety w kraciastych spodniach capri i białej jedwabnej bluzce. W zagłębieniu jej szyi gnieździł się ładny złoty krzyżyk.

Miała zadarty nos i pełne usta. Makijaż był trochę za mocny, ale niezły.

– Pani Clarke? Jestem Carla Bevin ze szkoły Cumber Meadows. – Wyciągnęła rękę, a Monica Clarke uściśnęła ją. – Normalnie nie przyszłabym ot tak, ale muszę z panią porozmawiać o pani synu, Danielu.

– Proszę wejść. – Monica wprowadziła Carlę do kuchni. – Przygotuję dla nas herbatę, potem możemy porozmawiać.

Carla szybko zrozumiała, że jest mile widziana i szanowana.

Monica zabrała ją do salonu, który w odróżnieniu od białej kuchni był mroczny i ponury. Wokół ścian stało mnóstwo mebli z ciemnego drewna, a na ścianach wisiało mnóstwo religijnych artefaktów.

Przy herbatce i herbatnikach Carla zaczęła łagodnie rozmawiać z Monicą o jej dzieciach.

– Więc Anna podeszła do pani na szkolnym parkingu? – zapytała Monica.

Carla skinęła głową. Pomyślała, że pani Clarke wygląda na zatroskaną i trochę zdenerwowaną.

– Porozmawiam z nią. Młode dziewczyny i ich hormony, ostatnio ponosi ją wyobraźnia. Wie pani, że to trudne?

Carla oczywiście wiedziała. Pamiętała, jak z siostrą rzucały się sobie do gardeł, kiedy miały tyle lat, ile Anna teraz.

– Proszę pani, więc Danielowi nic nie grozi?

Monica odstawiła filiżankę z podstawką i lekko się roześmiała.

– Przepraszam, nie zamierzałam lekceważyć sprawy, ale Daniel w niebezpieczeństwie? Panno Bevin, on za długo siedzi przy tych swoich grach komputerowych, żeby mieć czas na niebezpieczeństwa realnego świata.

– Proszę mi mówić Carla.

Monica znów podniosła filiżankę i spojrzała sponad niej na Carlę.

– W szkole próbowałam nakłonić Daniela, żeby powiedział o swoich problemach, o wszelkich problemach. – Carla obserwowała reakcje matki chłopca. Monica Clarke jakby nie miała żadnych zastrzeżeń do syna. Może coś ukrywał przed matką. – Zastanawiam się, czy po rozmowie z panią Anna też mogłaby skorzystać z sesji terapeutycznych.

Zauważyła krótki przeblysł szoku na twarzy pani Clarke i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że matka nie wiedziała o sesjach Daniela.

Co więcej, Carla musiała stawić czoło faktowi, że problemy Daniela nie ograniczają się do szkoły, jak zakładała. Teraz wcale nie była pewna, jak z tym jest.

Pani Clarke przeprosiła i na krótko poszła na górę, żeby porozmawiać z Danielem.

Carla rozejrzała się po pokoju. Wszędzie krzyże. Całe mnóstwo krzyży. Rozwieszane po ścianach, stojące na półkach, na kredensie z ciemnego dębu, a nawet na parapecie.

Przeszedł ją dreszcz, trochę ciasniej otuliła się swetrem.

Kilka minut później Monica znów pojawiła się w drzwiach nad schodami.

– Obawiam się, że Daniel jest bardzo zaspany. Nie chce zejść.

– Dzieci. – Carla zająknęła się. – Może chciałaby pani kiedyś przyjść do szkoły, wziąć udział we wspólnej terapii rodzica i dziecka.

– Doskonała sprawa. – Monica skinęła głową. – Proszę mi tylko powiedzieć gdzie i kiedy.

To uspokoiło Carlę. Kierownictwo bez wątpienia byłoby uszczęśliwione, gdyby wreszcie udało się jej namówić Monicę Clarke do wzięcia udziału w życiu szkoły.

Podziękowała pani Clarke i poszła do domu, z powrotem do kieliszka wina, żeby uczcić ten niespodziewany i pożądaný wynik.

Teraz

Anna

Rano Jim Crowe napomyka mi o improwizowanym zebraniu roboczym. Zgadzam się wrócić wczesnym popołudniem do działu listów, żeby wziąć w nim udział.

Nie uściśla, o co chodzi, ale jeśli dotyczy to rozmieszczenia nowych rewirów, to muszę w tym uczestniczyć, żeby powalczyć o swoje.

Zgodziłam się i obliczyłam, że mam mnóstwo czasu, żeby zawieźć Liama do szpitala, zjeść lunch i odwieźć go i dopiero na drugą wrócić do pracy. Ale czas upływa bardzo szybko: muszę odstawić Liama do domu i natychmiast wracać.

Na pocztę jedzie się kwadrans i mimo dokuczliwych myśli na temat moich problemów w pracy jestem w euforii, że tak dobrze poszła mi rozmowa z Liamem.

Na drodze są jakieś kłopoty. Ruch spowalnia, a potem zupełnie się zatrzymuje. Nie denerwuję się, tylko zaciągam hamulec ręczny i rozsiadam się wygodnie, żeby poczekać, aż samochody przede mną znów ruszą.

Spycham problemy w pracy na dalsze miejsce i zaczynam planować przeprowadzkę do domu Liama. Zastanawia mnie, czy już porozmawiał z Ivy. Jeśli tak, może się spodziewać, że dziś wieczorem przeniosę swoje rzeczy.

Pławię się w ogarniającym mnie ciepłym uczuciu. Ledwie pamiętam, jak to jest, kiedy ma się swoje miejsce, ale chyba to właśnie coś takiego.

Jest nadzieja, że Ivy wreszcie pozwoli mi sobie pomóc. Wszyscy możemy sobie pomagać.

Wtedy Amanda Danson poczuje różnicę, kiedy przyjdzie jej ochota, żeby wpaść z wizytą bez zaproszenia. A wkrótce zobaczy, że sprawiedliwość zbliża się do niej znacznie szybszym krokiem.

Kierowca za mną naciska klakson, który wyje długo i bez przerwy. Nagle otwieram oczy i rzucam się w fotelu do przodu, zahaczając boleśnie ramieniem o drzwi.

Widzę, że samochody przede mną już odjechały, kiedy byłam zamyślona.

Zerkam w lusterko, widzę, jak usta kierowcy za mną układają się w przesadne słowa. Najwyraźniej chce, żebym zobaczyła, jak bez ogródek przeklina.

Ciepłe, miłe uczucie zostało błyskawicznie zastąpione lodowato zimnym sztychem przebijającym się przez całe moje ciało. Brzydzą mnie i męczą ludzie,

którzy robią sobie ze mnie jaja. Kierownictwo w pracy, Amanda, a teraz ten dureń za mną. W tym momencie reprezentuje wszystkich, co do jednego, którzy kiedykolwiek mną pomiatali.

Otwieram drzwi samochodu i wysiadam na środku ruchliwej jezdni, w szumie i zapachu gorącego metalu.

Wdycham smog z rur wydechowych i wszystko robi się wyostrzone. Żwir pod moimi stopami, długa kolejka kierowców za mną. Gapią się na mnie, na twarzach mają zdziwienie, zastanawiają się, co jest nie tak.

Kierowca za mną nie może się ruszyć. Jego wóz zablokowany jest między moim samochodem a samochodem z tyłu.

Ogarnia mnie brawura, krew szybko krąży, ponagla mnie.

Kierowca przestaje poruszać ustami. W kilku samochodach obniżają się szyby, inni kierowcy wystawiają głowy przez okna.

Teraz nie mogę stracić twarzy i nie chcę dawać sobie szansy na wycofanie się, więc zacznam się drzeć.

– Co z tobą nie tak?! – krzyczę, zaskakując siebie siłą mojej reakcji. – Dlaczego ludzie tacy jak ty zawsze sądzą, że to w porządku, kiedy się traktuje innych jak brud na podeszwie własnego buta?

Ciało mam sztywne z wściekłości i krążącego po nim napięcia.

Odkręca troszeczkę szybę.

– Nie musiałbym, gdybyś ruszyła. – Mówi łagodnym i wydaje mi się zadowolonym z siebie głosem. – Samochody przed tobą odjechały pięć minut temu.

To śmieszna przesada.

– Ruszyło się jakieś dziesięć sekund temu – syczę.

Odpowiada mi równie wściekłym spojrzeniem, ale wyczuwam, że nie jest nazbyt pewny, do czego mogę być zdolna. Stuka palcami o kierownicę, a usta drgają mu z jednej strony.

– Garnitur, krawat i myślisz, że możesz mówić całemu pieprzonemu światu, co ma robić. – Dociera do mnie, że nie muszę się go bać i że mnie nie zastraszy.

– Muszę dojechać na ważne spotkanie – mówi już bardziej racjonalnym tonem. – Niech pani już rusza, proszę.

– A ja jadę do szpitala. – Znów podnoszę głos. Krzyczę tak głośno, że kolejnych trzech kierowców za nami usłyszy to, jeśli będą mieli opuszczone szyby. – Mój chłopak jest na intensywnej opiece medycznej, mało nie zginął w wypadku.

Niesprawiedliwość tego wszystkiego wraca jak fala. Oczy mnie szczypią. Ledwie uświadamiam sobie, że wymachuję rękami i wrzeszczę histerycznie.

– Mało nie zginął, a ty martwisz się, żeby dojechać do pracy. Mało nie zginął, draniu!

Trochę zszokowana, trochę rozbawiona, że publicznie używam tak

wulgarnego języka, odwracam się i wściekle patrzę na innych kierowców. Potem wracam do samochodu. Ruch płynie bez przeszkód przeciwległym pasmem, więc nikt, kto utknął za mną, nie może objechać mojego samochodu.

Dopinguje mnie to uczucie, że wystarczy mi siły, żeby przeszkodzić im, narobić im kłopotów w ich małych, doskonałych żywocikach. To wszystko ma w sobie cudowny dramatyzm, czuję się, jakbym była kierownikiem planu filmowego.

– Możecie do cholery poczekać! – krzyczę triumfalnie.

Wskakuję do samochodu i włączam światła awaryjne.

Odzywa się za mną kakofonia klaksonów, a ja włączam radio na cały regulator.

Wkrótce ustaje ruch z przeciwnej strony i samochody zaczynają wymijać mnie, czyli przeszkodę. Niektórzy zwalniają obok mnie i wściekle patrzą, ale patrzę przed siebie z uśmiechem mówiącym, że gównu mnie obchodzi, co myślą, i w rytm muzyki stukam palcami o kierownicę.

Patrzę przez lusterko wsteczne, jak idiota za mną cofa się trochę, a potem nagle skręca jak kierowca wyścigowy. Odwracam się, żeby rzucić mu gniewne spojrzenie, ale on rozczarowuje mnie, bo nawet nie patrzy w moją stronę.

Dalsza podróż do pracy przebiega bez przygód, tylko przez głowę przebiegają mi myśli, że całe życie spędziłam przygarbiona, przyjmując poglądy i działania innych, nawet kiedy byłam zła albo upokorzona.

Dzisiaj moje zachowanie i słowa oddały moje prawdziwe wnętrze. Aż trudno mi uwierzyć, taka to ulga, taka moc wypływająca ze mnie. Cóż za odświeżająca zmiana, patrzeć, jak inni patrzą niepewnie, są wstrząśnięci i muszą słuchać, kiedy wyrażam swoje zdanie.

Mam zamiar częściej tak postępować.

Anna

Parking przy poczcie jest pustawy. Nie sądziłam, że tak będzie, i zaczynam się zastanawiać, ilu jeszcze pracowników Jim poprosił o przybycie.

Tak dużo myślałam o kłótni z tamtym kierowcą, że prawie nie zastanawiałam się, w jakiej sprawie jest to zebranie. Myślę, że to zależy także od obecności innych.

Dociera do mnie, że byłam trochę naiwna, godząc się na spotkanie poza godzinami pracy, nie pytając o szczegóły.

Przełykam z trudem, zamykam samochód i powoli idę przez podwórko, żeby dać sobie czas na przemyślenie możliwości.

Przychodzi mi do głowy, że z powodzeniem może chodzić o rozmowę na temat kolejnych skarg w sprawie niedostarczonych przesyłek. Jeśli tak, nie będę panikować. Po prostu wyprę się wszystkiego, tak jak poprzednim razem. W końcu udało mi się dostarczyć trochę więcej niż normalnie to robię podczas obchodu, a wkrótce usunę wszystkie zapóźnienia i zacznę się mój od dawna wyczekiwany nowy początek.

Najlepiej, gdyby Jim zaczął mówić o swoich wnukach albo o nudnych do bólu wyprawach wędkarskich. Wtedy łatwo się zdekoncentruje i najprawdopodobniej machnie ręką na wszelkie skargi, tak jak to zrobił ostatnim razem.

Ale przecież spotkanie może być na temat nieuchronnych zmian i dotyczyć wszystkich. Jim już rozmawiał z każdym z nas z osobna o tym, jak sobie dajemy radę z naszymi rewirami i zasygnalizował, że możliwe są zmiany w grafikach.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że gdybym miała dostać mniejszy rewir, nie byłabym temu przeciwna. Teraz w moim życiu pojawiły się inne sprawy i praca nie jest dla mnie wszystkim, tak jak było przez ostatnich parę lat. Istotnie, myśl o mniejszym rewirze zaczyna być kusząca.

Miałabym więcej czasu dla Liama, pogłębiłabym naszą przyjaźń i pomogła mu w powrocie do zdrowia. Zarazem upewniłabym się, że Amanda Danson odpowie za swoją nikczemność.

Wstukuję kod na klawiaturze i wchodzę do wielkiego, rozległego pomieszczenia. W porównaniu do zabieganego poranka, teraz panuje tu upiorna cisza. Widzę, że jestem tutaj sama.

Ręce i nogi zaczynają mi drżeć.

– Cześć, Anno. – Jim macha do mnie z drugiej części sali. Zaczynam do

niego iść, ale on podnosi dłoń, żeby mnie zatrzymać.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby cię poprosić! – woła. – Mogłabyś tutaj poczekać jakieś parę minut?

– Ale o co tu chodzi, Jim? – Patrzę obok niego, nad jego ramieniem. Chociaż w jego gabinecie żaluzje są opuszczone i tak widzę ruch za listewkami.

– Weź sobie kawy z maszyny, Anno! – woła znów. – Czekamy, aż dojedzie Mike Harvey.

Odwraca się i wchodzi do gabinetu.

Na ślepo idę do automatu sprzedającego. Słyszę, jak Jim zamyka za sobą drzwi. Fala mdłości podnosi mi się od żołądka, ale przełykam ją i robię kilka głębokich wdechów.

„Czekamy”, powiedział. Jim i jeszcze kto, zastanawiam się.

I kto to jest Mike Harvey? Nazwisko brzmi znajomo, ale nie potrafię go umiejscowić.

Spotkanie zaczyna wyglądać strasznie oficjalnie.

Jim mówił, żebym kogoś z sobą przyprowadziła, i teraz żałuję, że nie zrobiłam tego. Chociaż nie wiem, kto miałby to być. Nie było nikogo, kogo mogłabym poprosić.

Tak się ustawiam obok automatu sprzedającego, żeby dobrze widzieć drzwi do gabinetu Jima.

Rozglądam się. Wszystkie stanowiska robocze są puste, a na podłodze leży mnóstwo płóciennych toreb z pocztą. Przez ostatnie pięć lat w tej sali spędziłam większość roboczych poranków, a jednak dzisiaj, kiedy nie słyszę gwaru kolegów, to miejsce wydaje mi się zarówno dziwne, jak i obce.

Światłówka pod sufitem mruga i brzęczy, mam ochotę wybiec z powrotem na świeże powietrze, na słońce. Zamykam oczy, próbuję uspokoić myśli.

Jeśli nawet były kolejne skargi, co naprawdę mogą mi zrobić? Mogą zadawać mi pytania o obchód mojego rewiru. Nie mają twardych dowodów, tylko podejrzenia.

W dzisiejszych czasach nikogo nie można wylać z pracy na podstawie podejrzeń. Trzeba mieć coś konkretnego, bo pracownik przed sądem puści szefa w skarpetkach.

Milcząco przeklinam dwoje policjantów, którzy niechcący przerwali mi palenie listów, kiedy bez zapowiedzi wpadli z wizytą. Gdyby mi nie przerwano, mogłabym zniszczyć znacznie więcej zaległości.

Do tego, gdyby cała poczta zniknęła z pokoju na piętrze, skargi by ustały, bo znowu dostarczałabym wszystko na czas.

Jestem pewna, że obronię się na kolejnym spotkaniu z Jimem, a potem wyjdę na swoje.

Dochodzę do wniosku, że w najgorszym wypadku będą chcieli zredukować

etaty. Nie chcę w ogóle zaprzestać pracy, chociaż mam spore oszczędności i nie muszę spłacać hipotek. Ale muszę na powrót uporządkować swoje życie i praca bardzo w tym pomaga.

Jestem jednak przygotowana na rozmowę o obcięciu moich godzin pracy. Może to ich udobrucha.

Sekundy zamieniają się w minuty. Długie minuty.

Nie chcę kawy z cholernej maszyny, chcę tylko, żeby było już po tym spotkaniu, posprzątane i załatwione, ale nadal nie ma żadnej reakcji z gabinetu Jima.

Nie potrafię się domyślić, co oni tam robią.

Może na biurku Jima leży moja teczka, otwarta, z rozsypaną poufną zawartością. W każdej chwili może przyjechać jakiś wścibiński urzędnik, będzie przeglądał wpisy i notował, jak długo tutaj pracuję albo ile pieniędzy mogłoby zaoszczędzić, obcinając moje godziny praktycznie do zera.

Czuję w bebechach ostre dźgnięcia zdenerwowania.

Przypominam sobie, jaka odważna byłam, kiedy tu jechałam, jak nie pozwoliłam, żeby tamten kierowca mnie zastraszył.

Uważam, że tamto nie było bez przyczyny. Przygotowało mnie na to spotkanie. Takie napomnienie, żeby bronić swoich racji i domagać się sprawiedliwego traktowania jako lojalny pracownik.

Przekrzywiam głowę na lewe ramię, potem na prawe, próbuję rozciągnąć i rozluźnić kark. Wstaję, prostuję się i daję łopatki do tyłu. Chcę wyglądać, jak ktoś, kto nie podda się ich chuligańskiej taktyce.

Jim otwiera drzwi i wychodzi. Słyszę, jak otwierają się zewnętrzne drzwi i z trzaskiem znów się zamykają. Oboje patrzymy w ich stronę.

Jim podchodzi, żeby otworzyć zabezpieczone drzwi wewnętrzne i znika za nimi. Słyszę dyskretne głosy w strefie dla gości, a kiedy Jim znów się pojawia, ktoś z nim jest. Jakiś mężczyzna.

Wyciągam szyję, żeby zobaczyć coś więcej, ale nie widzę, kto to, bo Jim jest bliżej i blokuje mi pole widzenia. Znikają w gabinecie Jima, a drzwi znów się zamykają.

To śmieszne. Najwyraźniej zachciało im się gierk psychologicznych, że każą mi czekać jak niegrzecznej uczennicy.

Cóż, nie dopuszczę do tego, żeby myśleli, że wytrącili mnie z równowagi. Postanowiłam, że będę wyglądać na pewną siebie.

Wreszcie Jim otwiera drzwi.

– Anno, już możesz wejść.

Przyjmuję najbardziej zgryźliwą minę, na jaką mnie stać, chwytam torebkę i idę – powoli, spokojnie, we własnym tempie – do jego gabinetu.

Moje płaskie buty stukają po podłodze. Co krok po cichu powtarzam mantrę:

„Tylko spokojnie, tylko spokojnie”.

Zanim doszłam do drzwi, słyszę rozmowę: poufne mamrotanie na mój temat, coś czego mam nie usłyszeć.

Otwieram drzwi bez pukania. Rozglądam się i czuję falę gorąca.

Włączając Jima, w środku jest ich czworo. Nie podnoszą głów, uważnie czytają notatki i przekładają jakieś ważne papiery.

Biurko Jima zostało przesunięte do przodu, żeby zrobić więcej miejsca, i wszyscy usiedli za nim, jak jakaś urzędowa komisja.

W głowie pojawia mi się na krótko myśl, że może coś mi zaproponują, że może nawet będzie jakaś okazja. Przecież już słyszałam o przypadkach, kiedy podczas reorganizacji placówki proponowano promocję wybranym, cenionym pracownikom, którzy udowodnili, że są lojalni i oddani sprawie.

– Anno, proszę, wejdz – mówi Jim, wstaje i wskazuje wolne krzesło stojące przodem do obecnych. – Dziękuję, że wróciłaś, chociaż powiadomiłem cię w ostatniej chwili.

Jego formalny ton natychmiast miazdzy wszelkie nadzieje, że zebranie ma jakiś pozytywny powód.

Siadam, ale ignorując twarze naprzeciwko mnie, zajmuję się zamykaniem torebki na zamek błyskawiczny. Jeśli sądzą, że będę na nich patrzyła z czcią albo ze strachem, to srodze się rozczarują.

– Anno, pozwól, że przedstawię wszystkich, a potem ci powiem, dlaczego poprosiliśmy cię, żebyś przyszła.

Spokojnym wzrokiem spoglądam na Jima, ignorując innych.

– To Colin Freckleton. – Wskazuje na osobę ze swojej lewej. – Z Wydziału Śledczego. Po mojej prawej siedzi...

Głos Jima przygasa, te dwa słowa rozbrzmiewają coraz wyraźniej, odbijają się echem mojej głowie.

Wydział Śledczy?

Przez sekundę mam wrażenie, że spadnę z krzesła.

– Anno?

Podnoszę głowę i patrzę na Colina Freckletona z Wydziału Śledczego Poczty Brytyjskiej.

– To jest Mike Harvey z dyrekcji, z wydziału zasobów ludzkich.

Spoglądam na mężczyznę, który się spóźnił. Siedzi na końcu rzędu, a ja przez sekundę, dwie mam wrażenie, że majaczą. Spotykamy się wzrokiem, oboje nie spuszczaemy oczu. Jego twarz nie zmienia wyrazu, nawet nie drgnie.

Przełykam, otwieram usta, znów je zamykam. Kręcę głową, żeby rozproszyć ryk, który wypełnia mi uszy.

– Anno? – Słowa Jima docierają do mnie jakby z daleka.

Na liście Najgorszych. Z możliwych. Rzeczy. Które. Mogą. Się. Zdarzyć. To

jest na pierwszym, o kurwa, miejscu, na tablicy.

Mike Harvey to kierowca, który stał za mną w korku.

Trzydzieści lat wcześniej

Następnego dnia rano Carla zajęła na szkolny parking tuż przed ósmą. Krzyknęła, gdy zaniedbana postać pojawiła się, jakby znikąd, przy oknie samochodu.

Carla wyłączyła silnik i otworzyła drzwi. To była Anna Clarke.

– Proszę pani, pani musi mi pomóc, proszę.

Włosy dziewczyny były splątane, twarz brudna. Carla zauważyła, że dziecko drżało niepowstrzymanie, jakby chłodne, wilgotne powietrze przenikało ją do kości.

– Czy twoja matka wie, że tutaj jesteś? – zapytała Carla.

Anna spojrzała na nią, wzrok miała dziki, dolna warga jej drżała.

– Danny’emu stanie się coś złego, wiem o tym. Pani musi mu pomóc, proszę.

Carla chwyciła torebkę i zamknęła wóz. Dziewczyna była na skraju hysterii. Najpierw uspokoi Annę, potem wróci po teczkę.

– No chodź, wejdziemy, doprowadzimy cię do porządku, a wtedy mi o tym powiesz.

W gabinecie Carla podała Annie kubek mocnej kawy. W przeciwieństwie do brata, dziewczyna nie mogła się doczekać, żeby wyładować swoje problemy.

Tak jak Carla podejrzewała, kiedy na nią popatrzyła, Anna źle spała ostatniej nocy.

– Jak tylko pani wyszła, ona wyrzuciła mnie za drzwi. W nocy dwa razy waliłam do drzwi, ale nie wpuściła mnie.

– Miałaś dokąd pójść?

– Do sąsiadki, do pani Peat. – Anna wzruszyła ramionami. – Ale nie mogłam się uspokoić, nie mogłam zasnąć. Jej też nie dałam spać przez całą noc.

Carlę ogarnęło przygnębienie. Dlaczego złamała zasady i z taką ochotą poszła do tego domu? Ostatnie, czego by chciała, to utrudnić życie Danielowi i Annie.

Od tej chwili za najważniejsze uznała naprawienie swoich błędów.

– Anno, o wpół do dziewiątej w szkole zaczyna się praca, mam zamiar zainteresować sprawą resztę grona pedagogicznego – powiedziała cichym głosem.

– Nie! Proszę pani, tak nie wolno, ja...

– Anno, muszę. Wczoraj wieczorem nie powinnam tak sobie wpaść do twojego domu. Wychodzi na to, że pogorszyłam sprawę. – Carla spojrzała na

zegarek. Miały dwadzieścia minut do otwarcia szkolnych biur. – Jeszcze mamy trochę czasu dla siebie. Mogę cię o coś zapytać?

Dziewczyna kiwnęła głową. To było trudne, Carla znów naginała etykę zawodową, ale i tak zadała to pytanie.

– Podczas pierwszej sesji Danny powiedział, że jakiś człowiek obserwuje go przez cały czas. Powiedział, że ten człowiek wszystko o nim wie, wie o wszystkim, co Danny zrobił. Wiesz, kim jest ta osoba?

Anna zamyśliła się na chwilę, potem smutno uśmiechnęła się do Carli.

– Proszę pani, to nie osoba. To Bóg. Wie o wszystkim, co robimy. Obserwuje nas przez cały czas. Ojciec MacCarrick ciągle to mówi dzieciom w kościele.

Teraz

Anna

Jim patrzy najpierw na mnie, potem znów na Mike'a Harveya.

– Wszystko w porządku? – Mruga i odchrząkuje.

Zapada dziwna cisza, pozostali uczestnicy zebrania spoglądają po sobie, dochodzi do nich, że coś jest nie tak.

– Myślałem, że jeszcze nie spotkałem się z Anną, ale myliłem się. – Mike Harvey patrzy chłodno na mnie teraz, kiedy to on ma przewagę. – Spotkaliśmy się po drodze do urzędu.

– Trąbił na mnie bez powodu, kiedy stał za mną w korku – wybucham bez opamiętania. – Więc wysiadłam i powiedziałam, co o nim myślę.

– Rozumiem. – Jim spogląda na pozostałych. – Więc to nie ma nic wspólnego z dzisiejszym spotkaniem. Proponuję, żebyśmy kontynuowali.

– Jestem zdziwiony, że cię tu widzę, Anno. – Harvey zaciska zęby. – Mówiłaś, że jedziesz do szpitala, żeby spotkać się ze swoim chłopakiem na oddziale intensywnej terapii.

– Chłopakiem? – Jim unosi brwi.

W głowie mi szumi, może z tego być matka wszystkich bólów głowy.

– Tak, cóż, jechałam do szpitala i wtedy... Na litość boską, jakie to ma teraz znaczenie? Przypomnę, że rozsiedliście się tutaj, żeby mnie ocenić.

– Właśnie, muszę to podkreślić. Obawiam się Anno, że doszło do nas więcej skarg – kontynuuje Jim. Twarz ma bladą, pomarszczoną. – Poważnych skarg, które trzeba formalnie zbadać.

Colin Freckleton pokasłuje i czyta jak robot z kartki nosowym głosem.

– Przeprowadziliśmy dwie krótkie, tajne operacje, a nasze śledztwo nadal jest w toku.

– Co to ma znaczyć? – pytam, ale on unika mojego wzroku.

Gwałtownie narastające we mnie poczucie niesprawiedliwości odsuwa na bok szok i zawstydzenie, że spotkałam się z Mikiem Harveyem po naszej kłótni na ulicy. Zmówili się przeciwko mnie, jakby wracały czasy szkolnego placu zabaw.

– Gdzie są dowody – zaczynam. Nie udaje mi się powstrzymać wznoszącego się głosu, który wypełnia mały gabinet. Jakbym słuchała kogoś innego, kogoś pewnego siebie, nieustraszonego. – Najpierw dowód, potem można rzucać

oskarżenia na pracownika.

Jim przesuwa po biurku kopertę formatu A4.

– Anno, tu jest raport Wydziału Śledczego i wynikające z niego ustalenia – mówi tonem pełnym ubolewania. – W przyszłym tygodniu zwołujemy formalne zebranie dyscyplinarne, a ja dobrze ci radzę, żebyś znalazła kogoś, z kim byś przyszła, żeby dał ci wsparcie. Najlepiej, żeby to był przedstawiciel twojego związku zawodowego.

Jim dobrze wie, że nie należę do tego bezużytecznego związku. Składki są wysokie i minęły już dni, kiedy związek miał coś do powiedzenia.

– Wezwaliśmy cię dzisiaj, żeby powiadomić cię, że zostałeś oficjalnie zawieszona w wykonywaniu obowiązków, a reszta zależy od dalszego śledztwa w sprawie podejrzeń o poważne wykroczenia pracownicze.

Wstaję, gorąco przenika mi ciało.

– Jak śmiecie?! – krzyczę, przesuвам ręką po biurku, strącam papiery i plastikowe kubki z wodą.

Kobieta piszczy, odskakuje, woda wylewa się na jej drogie ubranie.

– Przy całej mojej lojalnej służbie i oddaniu zawodowi próbujecie potraktować mnie jak pospolitego przestępcę? – Chwytam torebkę i wybiegam z gabinetu jak burza. Trzaskam drzwiami tak mocno, że huk rozlega się w całym budynku.

Idąc przez pocztę, wyciągam torby i śmieciową pocztę z przegródek, zrzucam poduszeczki do tuszu i koperty na podłogę.

Wreszcie, kiedy dochodzę do wyjścia, zbijam szkło na przycisku alarmu przeciwpożarowego i ogłuszające zawodzenie ogłasza moje odejście.

Trzydzieści lat wcześniej

Carla zachwiała się, kiedy dotarło do niej wyjaśnienie Anny. Przez cały czas zakładała, że Danny mówił o człowieku, a on mówił o Bogu.

W głowie połączyła liniami kropki.

– Anno, to ważne. Czy wiesz, że ksiądz krzywdził Danny’ego? – pytała łagodnym głosem.

Dziewczyna odwróciła wzrok, szczęka jej opadła. Niebieskie oczy błyszczały jej od emocji, na bladych policzkach pojawiały się dwie gorące, czerwone plamy.

– Czy to znaczy, że tak?

Anna pokręciła głową.

– Ojciec MacCarrick nie krzywdzi Danny’ego, proszę pani. Spędza z nim mnóstwo czasu w kościele, żeby Danny powiedział mu o matce, ale Danny nie chce. Nikomu nie powie ani słowa.

– Czy ksiądz wie, że twoja matka znęca się nad Danielem?

– Wie, że w domu coś idzie źle, ale nie ma pojęcia jak bardzo źle. Danny powiedział mu, że był u szkolnej terapeutki, a ojciec MacCarrick powiedział, żeby tam już nie chodził, że raczej powinien porozmawiać z Bogiem. Nawet uczył Danny’ego obowiązków ministranta, żeby uniknął problemów z matką, ale Danny ciągle wszystko mieszał. – Wielkie łzy spłynęły jej na rękę. – Tylko ja wiem, co ona z nim wyprawia. Chłoczce go do krwi, żeby przegnać z niego zło, proszę pani, ale boję się powiedzieć o tym księdzu, bo mogłby spróbować porozmawiać z nią o tym.

Carla zadrżała. Siedziała bez ruchu.

Widziała, że Anna nie była pieszczona jako dziecko, ale przynajmniej unikała brutalnego traktowania, które Monica zarezerwowała dla swojego syna.

– Dlaczego Anno? Dlaczego Danny, a nie ty?

– Ona go nie chciała. Zaszła w przypadkową ciążę i dlatego tato odszedł z domu. Za każdym razem, kiedy mama patrzy na Danny’ego, przypomina sobie, jak źle ułożyło się jej życie i jego o to obwinia.

Anna spojrzała w dół, na wykręcone ręce.

– Myśli, że Danny stoi między nią a Bogiem i że to musi zostać oczyszczone.

Anna nagle wstała.

– Muszę iść, muszę sprawdzić, czy z Danny’em wszystko w porządku.

– Jeszcze parę minut Anno, potem poszukamy pomocy. Usiądźmy i...
Anna wybiegła, szarpnęła drzwi gabinetu i zniknęła w korytarzu.
Zanim Carla doszła do drzwi, Anny już nie było widać.

Teraz

Anna

Jadę prosto do Colwick Park.

Jest nijaki, pochmurny dzień i na wysypanym żwirem parkingu stoi niewiele samochodów. Manewruję samochodem tak, żeby stanąć w odległym rogu nad wodą, z daleka od ścieżki.

Rzeka Trent płynie z hukiem, szara i wzburzona. Jakby ściągała sobie na spotkanie ciemne, ponure chmury, odzwierciedlające moje nieszczęście. Siedzę zahipnotyzowana potęgą prądu niosącego w dal pofalowane wody.

Wyłączam silnik i coś – brawura, wściekłość – nagle rozpada się na kawałki. Całe ciało wypełnia mi płynna panika, która wydaje się tak silna, że może mi rozpuścić wnętrze.

Kwas z żołądka podchodzi do gardła i jest tego coraz więcej, potem bucha ze mnie na zewnątrz. Udaje mi się otworzyć drzwi i zwymiotować na żwir parkingu, ale ostatnie męty skapują do samochodu i na moje dzinsy.

Łzy spływają mi po twarzy, trochę dlatego, że dostałam nagłych nudności, a trochę dlatego, że otworzyła się we mnie czarna, pusta przestrzeń.

Gmeram w torebce leżącej na siedzeniu i znajduję pakiecik zakurzonych chusteczek. Ścieram ile się da grudkowatych rozbryzgów, ale nic nie mogę zrobić z zapachem.

Obok przechodzi dwoje ludzi, a ich głupi terier podbiega w podskokach do samochodu.

– Zjeżdżaj! – krzyczę.

Mężczyzna chmurzy się i przywołuje psa, a czarna przestrzeń we mnie robi się trochę większa.

Zamykam drzwi samochodu, obniżam szybkość i robię kilka wdechów. Muszę dojechać do domu. Tylko tam nikt nie będzie mi przeszkadzał, wtedy będę mogła porządnie pomyśleć. Ale jeszcze nie byłam w stanie odjechać.

Ledwie docierał do mnie upływ czasu. Światło za oknem zmienia się, przygasa. Wchodzę w nastrój dziwnego spokoju, potem z niego wychodzę, jakbym patrzyła na to z oddali.

Jak oni śmieli oskarżyć mnie o – jak to Freckleton powiedział... „poważne wykroczenia pracownicze”?

Przyznaję, ostatnio miałam pewne trudności z dostarczaniem listów, ale jestem całkowicie pewna, że w tych pocztowych zapóźnieniach nie ma niczego, co można by uznać za coś niezwykle ważnego.

Większość tego, co spaliłam, to była bezużyteczna poczta śmieciowa, której ludzie woleliby nie dostawać. Niczemu nie służy, tylko zapycha ich kosze na śmieci i szkodzi środowisku.

Adresaci pewnie podziękowaliby mi, gdyby wiedzieli, że oszczędziłam im góry gówna, za której codzienne wciskanie przez otwór na listy płaci mi pracodawca. Kierownictwo chyba tego nie rozumie, że w realnym świecie to bezużyteczne gówno zazwyczaj w ciągu kilku minut od wrzucenia przez drzwi ląduje w koszach na śmieci większości odbiorców.

Przypomniałam sobie także, jak Colin Freckleton powiedział, że śledztwo jest w toku.

Jeszcze nie dość mnie upokorzyli. Mają więcej kłamstw, żeby obsmarować moją pracę i to, że bez względu na pogodę bez słowa skargi objeżdżam swój rewir.

Mimo uczucia wyobcowania instynktownie wiem, że muszę wrócić do domu i jak najszybciej spalić zaległą pocztę.

Włączam silnik i po cichu modlę się, żeby od kogoś, skądś dostać pomoc. Od kogokolwiek, skądokolwiek.

Ale nie ma nikogo. Nikogo, komu mogę zaufać, podzielić się kłopotami, strachem ani strasznym poczuciem niesprawiedliwości.

Wtedy dociera do mnie, wreszcie wiem, że nie jestem sama.

Mam Liama. Liam mi pomoże.

Trzydzieści lat wcześniej

Anna jeszcze nigdy nie biegła tak szybko. Wytoczyła się zza rogu ulicy i kiedy skręciła na podjazd, zderzyła się z panią Peat.

– Widziała pani Danny’ego? – wysapała, wciągając powietrze. – Boję się, chyba...

– Anno. – Głos pani Peat był łagodny, ale twarz miała ściągniętą i bardziej pobrużdżoną niż zwykle. – Przyjdź do mnie, po sąsiedzku, musimy porozmawiać.

– Nie... muszę sprawdzić, co z Dannym.

– Anno, proszę. – Pani Peat chwyciła ją za ramię, kiedy próbowała przejść. – Kochana, drzwi są zamknięte. Pukałam, ale nikt nie odpowiedział.

– Niech mi pani pozwoli spróbować.

Anna wyrwała się i pobiegła do tylnych drzwi. Waliła tak mocno, aż szyba grzechotała.

– Danny! – krzyknęła Anna, patrząc w górę, w stronę sypialni brata. – Danny, podejdź do okna.

– Anno...

– Skrzynka na listy! – Anna popędziła na przód domu. – Danny! Danny!
Ale odpowiedzi nie było.

Teraz

Anna

Miałam zamiar pojechać prosto do domu, ale skręciłam w prawo zamiast w lewo i zjechałam z głównej arterii prowadzącej do miasta.

Kiedy dojeżdżam do domu Liama, jest już prawie piąta. Siedziałam w samochodzie, w parku, ponad półtorej godziny, wpadałam w dziwne odrętwienie i wychodziłam z niego. Ciągle myślałam o tej strasznej prawdzie, o tym, co zdarzyło się w pracy.

Wiem, że Liam nie będzie miał nic przeciwko temu, że wpadnę z wizytą. Jestem nawet pewna, że Liam chce, żebym zwróciła się do niego, gdy jestem w potrzebie, tak jak on zwrócił się do mnie, kiedy zdarzył mu się wypadek.

Idę wzdłuż domu, stukam do tylnych drzwi i wchodzę. Światło w kuchni jest włączone, słyszę wybuchy sztucznego śmiechu z telewizora w drugim pokoju.

Przechodzę przez kuchnię do korytarza. Widzę, że Liam stoi w półmroku i zdejmuje skórzaną kurtkę motocyklową. Jakby gdzieś wychodził.

– Anna! – Dostrzega mnie, zamiera z zaskoczenia, jedno ramię nadal ma w rękawie kurtki.

– Przepraszam, że tak przyszłam, ale... – Próbuję dokończyć, ale łzy spływają mi po policzkach.

– Coś jest nie tak? Wejdz. – Zdejmuje kurtkę i rzuca ją na schody, potem obejmuje mnie ręką za ramiona.

– Byłeś na dworze? – wydobywam z siebie.

– Mniejsza o to. Strasznie wyglądasz. Co się stało?

Opieram głowę o jego ramię. Wszystkie mroczne odłamki z mojego wnętrza wreszcie wypływają wilgotnymi, rozbrykanymi falami. Nie mogę się powstrzymać.

Jestem taka wdzięczna, że Liam tylko obejmuje mnie i w ogóle nic nie mówi. Cóż to za ulga, wyrzucić z siebie wszystko i nie musieć od razu wyjaśniać, co się stało.

Otwierają się drzwi salonu i pojawia się Ivy. Wygląda na zmęczoną i obolałą.

– Cześć, Anno. W jej oczach widać zmartwienie. – Co się stało?

– Nie martw się babciu – mówi Liam znad mojej głowy. – Wracaj oglądać program, zajmę się nią.

– Czy Amanda poszła? – Ivy rozgląda się.
– Amanda? – mówię słabym głosem.
– Miała wcześniej przyjść. – Liam wzrusza ramionami. – Tylko na herbatę i żeby pogadać, ale w końcu nie mogła.

– Nie powinieneś jej wpuszczać. – Z wściekłością patrzę na Ivy. Znów z trudem oddycham. Trudno mi zaczerpnąć tyle powietrza, ile mi potrzeba.

– Uspokój się, Anno. – Liam trzyma mnie za ramiona i patrzy na mnie. – Wyjaśnijmy, co z tobą.

Zamykam oczy i zaczynam liczyć.

Słyszę, że Ivy odchodzi, szurając nogami, mrużąc coś o moim sceptycyzmie. Zamyka za sobą drzwi do salonu.

– A może pojedziemy do ciebie? – Słyszę łagodne słowa Liama. – Możemy się tam napić herbatki, a ty wszystko mi opowiesz.

Otwieram oczy.

Kwadrans później Liam otwiera bramę, a ja parkuję na podjeździe.

Podczas jazdy Liam był cichy i zamyślony.

– Skup się na prowadzeniu – powiedział, kiedy ruszyliśmy. – Porozmawiamy, jak będziemy na miejscu.

Jestem mu za to wdzięczna i czuję się trochę spokojniejsza, kiedy dojeżdżamy.

To bardzo dziwne uczucie zaprosić Liama do siebie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak komuś zaufałam, żeby go wpuścić do domu.

Kiedy byliśmy dziećmi, goście do nas nie przychodzili. Po prostu czułabym się skrępowana, gdyby w moim domu byli ludzie i zaglądali w moje sprawy.

Oczy mam podpuchnięte, widzę nieostro i co jakiś czas wyrzywa mi się szloch. Liam milczy. Kątem oka widzę, że ma tiki nerwowe, jakby ktoś aplikował mu wstrząsy elektryczne. Nic na ten temat nie mówię.

Otwieram kluczem tylne drzwi i włączam światło w kuchni. Natychmiast rzuca się na mnie smród. Czekam, aż Liam coś na ten temat powie, ale on milczy.

– Idź dalej, do salonu – mówię. – Postawię czajnik na gazie.

Otwieram kredens, wydaję dwa porcelanowe kubki, które trzymam na lepsze okazje, i robię herbatę.

Mimo tego, co zdarzyło się dziś po południu, obecność Liama uspokaja mnie. Nie mogę się powstrzymać i wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby Liam ze mną zamieszkał.

Pewnie razem oglądalibyśmy telewizję, a ja co wieczór, do herbaty, przyrządzałabym mu jego ulubione potrawy. Pewnie nie byłoby w tym niczego świąńskiego, ale z czasem coraz bardziej byśmy się do siebie zbliżali.

Niosę herbatę. Liam siedzi na sofie i przegląda lokalną gazetę, a Albert obwąchuje podejrzliwie skraj jego dzinsów.

– Zazwyczaj nie lubi gości – mówię. – Ale widzę, że przyzwyczajają się do ciebie.

– Pewnie czuje ode mnie Borisa.

Podaję Liamowi kubek i siadam na krześle.

– Czujesz coś? – pytam. Tutaj smród wydaje się szczególnie silny.

Liam wciąga powietrze i kręci głową.

– Niby co?

– Trudno powiedzieć: jakby słodki, zgniły odór. Często to czuję w domu, ale on raz jest, raz go nie ma.

– Nic. Niczego nie czuję.

Piję herbatę i zastanawiam się, czy można wyobrazić sobie nieistniejące zapachy. Nie chcę o tym myśleć.

– No, to teraz powiedz, dlaczego jesteś taka smutna – odzywa się wreszcie Liam. Już nie widać po nim nerwów.

Czy powinnam machnąć ręką na tamten incydent, skoro poczułam się trochę lepiej, czy skorzystać z okazji, wyznać wszystko Liamowi i podzielić się z nim moim brzemieniem?

Czuję przypływ strachu i znów zaczynam płakać.

– Anno?

Podnoszę wzrok znad rąk.

– Powiedz, proszę, co się stało?

Mam wrażenie, że głowa mi wybuchnie od krzyków, które się w niej kumulują. Słyszę niskie jęki. Pewnie to ja.

– Anno!

Mimo całej rozpaczki słyszę panikę w głosie Liama.

– Moje tabletki – dyszę. – Na blacie w kuchni.

Liam błyskawicznie wstaje, a ja łykam powietrze i rozpaczliwie próbuję powstrzymać narastającą panikę.

Wraca biegiem, trzyma brązową buteleczkę ze środkami uspokajającymi na receptę. Mają szybkie działanie, a ja, na Boga, potrzebuję ich teraz.

Wysypuję trzy tabletki na rękę i zamiast wrzucić z powrotem jedną do buteleczki, łykam wszystkie, popijając herbatą.

Liam siada niezdarnie na poręczu mojego fotela, trzyma mnie za rękę; trwa to chyba wieczność. Powoli zaczynam się uspokajać.

– Nie denerwuj się, Anno – uspokaja. – Cokolwiek by to było, razem damy sobie radę.

Dociera do mnie, że nie ma co się wstydzić przed Liamem moich porażek. Robię głęboki wdech.

– Wczoraj zawieszono mnie w pracy.

No, wreszcie to powiedziałam.

Słowa już padły, ale nie mogę powiedzieć, żebym poczuła natychmiastową ulgę, której się spodziewałam.

Liam mruga.

– Straciłaś pracę?

– Niezupełnie – mówię. – Muszą mieć dowody, żeby kogoś wyrzucić, a jeszcze ich nie mają.

– Dowody na co?

– Że nie pracowałam – wyjaśniam. – A ja... znaczy się, pracowałam. Przynajmniej przez większą część godzin roboczych.

Liam wzdycha, przejeżdża ręką po włosach.

– Zacznij od początku – mówi. – Wiem tyle, że pracowałaś jak zwykle w swoim rewirze pocztowym.

– Pracowałam. To straszny szok.

– Ale musieli dać ci najpierw jakieś ostrzeżenie? Nie zawiesza się ludzi tak sobie, bez powodu.

– Powiedzieli, że były skargi. – Głos mi się łamie, zastanawiam, jakich słów mam użyć. – Od miejscowych szpitali i podobnych placówek. Jedna, dwie przesyłki nie dotarły.

– Ależ to jest śmieszne – mówi Liam. Patrzy na mnie. – Dostarczałaś pocztę, zgadza się?

– Tak – mówię, stukając palcami o palce. – Nie skłamię, jak powiem, że przez ostatnie parę tygodni nie było problemów. Przyznaję, kiedyś miałam małe opóźnienie, ale zaczęłam je nadganiać. Jest tylko ta niedostarczona poczta, ja...

Czuję, jak środki uspokajające rozprowadzają opanowanie w moim ciele i umyśle.

– Anno?

Otwieram oczy.

– Co robiłaś z pocztą, której nie mogłaś dostarczyć? – pyta.

– Jest na górze – słyszę swój szept. – W zapasowym pokoju.

Trzydzieści lat wcześniej

Na prośbę Carli szkoła skontaktowała się z różnymi służbami, z ochroną dzieci, z opieką społeczną.

O tak wczesnej porze w dzień roboczy nie było z kim porozmawiać. Pozostawiono informacje dla odpowiednich do sprawy pracowników, żeby jak najszybciej skontaktowali się z Carlą.

Sama Carla zadzwoniła na policję i funkcjonariusze pojechali prosto do domu Danny'ego. Po tym, co zobaczyli, przyjechali prosto do szkoły.

Dyrektor Turner wezwał Carlę do gabinetu.

Wprowadziła ją sekretarka, a Carla stanęła jak skamieniała w drzwiach.

Bill Turner miał białą jak papier twarz. Nie wstał. Nie poruszył się.

– Co się stało? – wyszeptała.

– Carlo, usiądź i zamknij drzwi – powiedział wreszcie.

Jakby ktoś oblał jej skórę wrzątkiem, nawet powietrze ją parzyło. Zamknęła drzwi i usiadła na jednym z wygodnych foteli naprzeciwko jego biurka, ale rozejrzała się, szukając czegoś, do czego mogłaby zwymiotować, gdyby nie przeszły jej nudności.

– Carlo, z ogromną przykrością muszę cię poinformować, że Daniela Clarke'a i jego matkę Monicę dziś rano policja znalazła powieszonych w ich domu.

Krew napłynęła jej do głowy, chwyciła się poręczy fotela, żeby nie ześliznąć się na ziemię.

– Ale wczoraj wieczorem powiedziała, że przyjdzie do szkoły, żeby porozmawiać.

Próbowała wciągnąć powietrze, ale miała wrażenie, że głowę owinięto jej plastikiem.

Turner nacisnął brzęczyk, żeby przyniesiono szklanekę wody.

– Wczoraj wieczorem?

– Ja... poszłam wczoraj wieczorem do niej, do domu – umilkła. – Żeby trochę porozmawiać.

– Carlo, znasz zasady. Nie powinnaś pod żadnym pozorem...

– Wiem – przelknęła. – Myślałam... po prostu chciałam uniknąć dramatu.

Bill, zrobiłam to dla szkoły. Chciałam dobrze.

Pomyślała o Annie.

– Czy Anna o tym wie? Dziś rano zatrzymała mnie na parkingu, bała się, że jej bratu może się stać coś złego. Carla zacisnęła powieki i zasłoniła usta dłonią. –

Kazałam jej poczekać. Mogliśmy go uratować... Chciałam jej pomóc.

Ale już w chwili, gdy te niepotrzebne słowa wyszły jej z ust, wiedziała, że nie pomogła Annie Clarke.

Przeciwnie, zrobiła, co mogła, żeby pogorszyć sprawę.

Teraz

Anna

Budzę się i widzę, że Liam wszedł do pokoju. Wygląda na zmęczonego i jakby zadyszanego.

– Która godzina? – kraczę i próbuję usiąść.

Światło za oknem wygląda inaczej, w pokoju jest chłodniej.

– Spałaś kilka godzin – mówi, stawia szklankę z wodą na podłodze obok mnie i siada na fotelu naprzeciwko.

Dzinsy ma modnie podarte na kolanie, a jego przeplatane złotem włosy jak zwykle opadają w nieładzie na jedno oko, ale wygląda inaczej... jakby był silniejszy. Palcami wystukuje rytm na podłokietniku fotela.

– Przepraszam Liam, zajęłam ci wieczór – mówię. – Już mi minęło. Musiałeś zanudzić się na śmierć, kiedy usnęłam.

– Ależ, miałem co robić. – Pokazuje mi telefon.

Pewnie rozmawiał z Amandą Danson, ale odrzucam tę myśl, ledwie się pojawiła. Dzisiaj był tutaj dla mnie, i to się liczy.

– Anno, martwi mnie, jak sobie dasz radę. – Zaciska usta w wąską linię.

– Jak sobie dam radę?

– Jeśli wyrzucą cię z pracy – mówi. – Jak sobie dasz radę finansowo?

Robi szeroki ruch ręką, pokazując wewnątrz domu.

– A, rozumiem, o co ci chodzi. – Wypijam łyk wody. – Cóż, dom nie jest obciążony hipoteką, i to już coś.

– To twoja własność?

Kiwam głową.

– Przemieszkalam tu całe życie. Kiedy moja rodzina... hm, powiedzmy, że po prostu dom należy do mnie. Został spleacony dawno temu.

– W takiej sytuacji to musi być ulga – mówi.

– Mam szczęście. Nigdy dużo nie wydawałam, a kiedy... – Waham się, ale wiem, że muszę podjąć decyzję. Czy mam otworzyć się przed Liamem, zaufać mu?

– Kiedy mama i brat zginęli, była polisa ubezpieczeniowa.

Liam patrzy na mnie.

Czy palce u nóg zaginają mi się i serce śpiewa, dlatego że tak na mnie patrzy? Nie wiem. Wiem tylko, że jest pierwszym człowiekiem, który tak na mnie

spojrzał, i od tego zaszumiało mi w głowie.

– Anno, zdumiewasz mnie. Martwiłem się, jak sobie dasz radę, jeśli stracisz zarobki, ale wygląda na to, że jesteś urządzona.

Policzki aż mnie pieką. Jednak nie mogę powiedzieć, żeby wycena, której dokonał Liam, rozdrażniła mnie.

– Daleko mi do tego, żeby kogoś zdumiewać – mamroczę.

– Ale problem pozostaje – mówi Liam, wcinając się w moje myśli. – Łatwo wpaść w kłopoty finansowe. I to zanim człowiek się zorientuje.

Patrzę na niego, ale on odwraca oczy. Chcę wiedzieć, o co dokładnie mu chodzi, ale docierają od niego fluidy, które zmuszają mnie do milczenia. To brzmi tak, jakby mówił z doświadczenia, ale przecież nie może, bo nic nie pamięta.

Aż podskakuję, kiedy słyszę ostry dzwonek. Oboje patrzymy na telefon Liama, leżący na poduszce obok niego. Na ekranie wyświetla się „Amanda”.

Podnosi telefon, a ja miałabym ochotę wyrwać go i roztrzaskać o ścianę. Jej ciągle udaje się włączyć w nie swoje sprawy, nawet kiedy nie jest fizycznie obecna.

Ale węzeł w gardle ustępuje, kiedy Liam naciska guzik z boku komórki i przerywa połączenie. Znowu kładzie telefon obok siebie.

Albert wskakuje mi na kolana i pozwala się głaskać, jednocześnie spokojnie oceniając Liama.

– Ma na ciebie oko – śmieję się, ale Liam ignoruje mój żarcik. A po mnie rozchodzi się ciepło, że po prostu odrzucił połączenie z Amandą.

– Anno, rzecz w tym, że mogą cię pozwać. To zależy od wyniku sprawy dyscyplinarnej.

– Kto?

– Ludzie, którzy nie dostali swoich przesyłek. Głupio to brzmi, ale mogą wymyślić różne historyjki, twierdzić, że utracili zarobki albo podupadli na zdrowiu, bo nie dostali ważnych listów. Żyjemy w społeczeństwie kultury obwiniania.

Zastanawiam się nad tym.

– Ale będą musieli przedstawić dowód – mówię. – Trudno będzie udowodnić coś takiego.

Liam kiwa głową.

– Zgadza się, ale jednak. – Siedzi obok mnie na kanapie, kładzie dłoń na mojej. – Nie chciałbym widzieć, jak tracisz wszystko, na co tak ciężko pracowałaś.

Drugą ręką łaskocze Alberta za uchem, ale kot odsuwa się i zeskakuje na podłogę.

Pisk sygnalizuje kolejnego esemesa. Liam sięga po telefon, ale tekst wyświetla się już na ekranie.

„Zadzwoń, kiedy będziesz mógł. Muszę porozmawiać. A”.

Ona nigdy nie rezygnuje.

– Pomyśl o tym – mówi Liam i wkłada komórkę do kieszeni dzinsów, nie

odpowiadając na esemesa. – O takich sprawach ciągle czyta się w gazetach. Pozywają zwyczajnych ludzi za to, że po prostu wykonują swoją pracę.

– Nie chcę o tym myśleć. – Przebiegają przeze mnie chłodne dreszcze, mimo że na chwilę ogarnęła mnie radość, kiedy Liam nie chciał rozmawiać z Amandą. – Nic na to nie poradzę, jeśli ludzie będą tacy mściwi.

Liam uśmiecha się, marszcząc nos i mrużąc oczy. Tak samo robił Danny.

– I tutaj się mylisz – mówi. – Bez trudu możesz zabezpieczyć wszystko, co do ciebie należy.

Patrzę na niego.

– Widzisz, jeśli przepiszesz swoje aktywa na krewnego, nikt nie będzie mógł tego tknąć. Wszystko, na co pracowałeś, będzie bezpieczne.

– Aktywa?

– No wiesz, dom, pieniądze z ubezpieczenia. Wszystko to, na czym ktoś bez skrupułów chciałby położyć łapę.

– To brzmi niejasno. – Wzruszam ramionami. – Ponadto nie mam nikogo takiego. Nie mam krewnych.

Kiedy wypowiadam te słowa, czuję ciężar na piersi.

– Więc jakiś naprawdę dobry przyjaciel – podpowiada Liam. – Ktoś, komu mogłabyś zaufać bez zastrzeżeń.

– Nie. Nie ma nikogo takiego.

Powiedziałam, że jestem totalnie odizolowana, i aż chciałam pobiec na górę i przykryć się kołdrą aż po głowę. Chcę, żeby przestał, uruchomił mi w głowie dzwonek alarmowy. Czy możliwe, żeby w pracy poszło aż tak źle, że będą próbowali odebrać mi dom i oszczędności?

– Anno, musi być ktoś taki. Myśl.

Wtedy, jakby znikąd, pojawia mi się w myśli twarz.

– Pani Peat, sąsiadka. – Rozjaśniam się. – Zna mnie od dziecka. Zawsze chciała dla mnie tego, co najlepsze.

– Ale musiałabyś jej powiedzieć o co chodzi. – Liam marszczy brwi. – No i jest stara, Anno. To straszna myśl, ale może już niewiele czasu jej zostało.

Ma rację, ale nie chcę o tym myśleć. Mogę tylko od czasu do czasu wpaść po sąsiedzku na parę minut, żeby pogawędzić z panią Peat. Taka to nasza znajomość.

– Cóż, nikogo więcej nie ma – mówię, przyglądając się własnym dłoniom. – Wszyscy inni, z którymi regularnie się widuję, to koledzy z pracy, i na tym koniec. Nie licząc...

Szeroko otwieram oczy.

– Anno, co jest nie tak? – Bezinteresownie wpatruje się w moją twarz, sprawdza, jak można mi pomóc.

– Ciebie! – Zastanawiam się, dlaczego tak długo nie przychodziło mi to do głowy. – Tobie ufam, Liam.

– Och nie, nie mógłbym. – Pociera czoło. – To nie byłoby w porządku.

– A dlaczego? – Zakochałam się w tym pomysle. – Jesteś moim przyjacielem, wiem, że zyczysz mi jak najlepiej.

– Oczywiście, że tak, ale co ludzie powiedzą? – Ciągnie się za ucho. – Wybacz, Anno. To po prostu nie zadziała.

– Zadziała, i to doskonale. Nikt nie musi się dowiedzieć. To może po prostu zostać między nami. Nasza tajemnica.

Zanim zdałam sobie sprawę, sięgnęłam po jego rękę. W porównaniu z moimi, jego palce są ciepłe i suche. Nie odsuwa ich.

– Liam, powiedz, że to zrobisz – mówię, czując, jak serce wali mi bez przerwy w piersi.

– Muszę o tym pomyśleć – mówi słabnącym głosem, ściskając moje palce.

– Nie ma o czym myśleć – odpowiadam. – Przez całe życie nie byłam niczego aż tak pewna.

– Cóż, jeśli jesteś pewna...

– Jestem – mówię stanowczo. Czuję, że jest mi lżej na duszy, jakbyśmy się w jakiś sposób zbliżyli. – Po prostu muszę wiedzieć, co mam dalej zrobić.

– Myślę, że najlepiej zacząć już teraz. – Liam odsuwa rękę i podaje mi swoją komórkę. – O tej porze w kancelarii adwokackiej nikogo nie będzie, ale zostaw wiadomość i poproś o spotkanie jutro po południu. I załatwimy sprawę tak, żeby nikt już niczego ci nie mógł zabrać.

Trzydzieści lat wcześniej

Prasa jakoś, jak to oni, dowiedziała się, że Carla złożyła wizytę domową w domu Clarke'ów, mimo że przeczyło to wszelkim zasadom etycznym.

Teraz wszyscy ją obwiniali. Wszyscy.

Kierownictwo szkoły zawiesiło ją w obowiązkach i poproszono, żeby wycofała podanie o przyjęcie na stanowisko w szkole średniej. To był niemal koniec jej kariery zawodowej.

Nie była w stanie dowiedzieć się o szczegółach tragedii, bo nikt nie chciał z nią rozmawiać.

Gdzie była Anna? Co stało się z Anną?

Gdyby miała numer telefonu do swojej matki albo siostry, natychmiast zadzwoniłaby do którejś z nich.

Wszystkie te lata głupich waśni teraz nie miały żadnego znaczenia. Żałowała, że nie próbowała zbliżyć się do nich, poczekać, aż jej wybaczą to, co zrobiła. Nie należało zrywać tego szczególnego związku z nimi.

Ale ta sama bezsensowna duma, która powstrzymała ją przed podaniem gałązki oliwnej, wyparowała teraz wraz z wszelką nadzieją, że uporządkuje życie Daniela Clarke'a i jego siostry.

Carla otworzyła pakiet bardzo mocnych środków przeciwbólowych, które lekarz przepisał jej półtora roku wcześniej po drobnej operacji nogi. Zażyje ich parę, żeby zmniejszyć ból i wyłączyć się.

Może znów zapadnie w spokojny sen, a kiedy się obudzi, spróbuje jeszcze raz. Wyjedzie stąd i zacznie od zera.

Stanie się kimś zupełnie innym.

Teraz

Anna

Kiedy Liam odjechał – jak to on, kierując się moim dobrem, wziął taksówkę, żeby oszczędzić mi odwożenia go – idę do kuchni i wyjmuję z kredensu dwa eleganckie kieliszki do sherry.

Marny ze mnie pijak, ledwie pokosztuję. Ale dziś jest szczególna okazja. Tak szczególnego dnia jeszcze nie było w moim życiu i chcę go jakoś zaznaczyć.

Gmeram w kredensie i wreszcie znajduję to, czego szukałam. Butelka porto, nieotwierana, wygrana w loterii w pracy na Boże Narodzenie.

Dwie minuty później stukam w okno i wchodzę do pani Peat.

– Co za niespodzianka – rozpromienia się sąsiadka. – Dzisiaj rano właśnie o tobie myślałam, zastanawiałam się, jak się miewasz, Anno.

Czuję ciężar w piersi, bo dociera do mnie, że dawno jej nie odwiedzałam.

– Z nikim tak jak z panią nie będę mogła świętować. – Dzwonię stawianymi na stole kieliszkami. – Mam pani mnóstwo do powiedzenia o Liamie, moim przyjacielu. Wszystko układa się wprost doskonale.

– Dobrze się czujesz, Anno? – pyta powoli, patrząc na mnie.

– Doskonale, po prostu doskonale – uśmiecham się. Słowa wylatują mi z ust, zanim dobrze je przemyślę. – Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej. Próbują wywalić mnie z pracy, ale wszystko będzie dobrze. Liam wprowadzi się do mnie, a jutro jedziemy do adwokata. Potem nikt nie będzie mógł mi zabrać tego, co do mnie należy.

– Masz uraz głowy – zauważa łagodnie pani Peat.

Dotykam skroni.

– To nie uraz – mówię. – Nic z tych rzeczy.

– Anno, kochanie, pamiętasz, jak byłaś mała? Ja i pan Peat mówiliśmy ci, żebyś na siebie zawsze uważała. I że możesz przychodzić do nas w dzień i w nocy, gdybyś potrzebowała pomocy.

Siedzę cicho, bo nie chcę rozmawiać o przeszłości. Nie teraz. Ale ona mówi dalej.

– To jest ważne do dzisiaj, Anno. Są ludzie, którzy będą chcieli cię wykorzystać, którzy spróbują położyć rękę na tym, co do ciebie należy.

Pani Peat w ogóle niczego nie zrozumiała.

Podaję jej kieliszek sherry.

– Za szczęśliwsze czasy – mówię. – Dla nas wszystkich.

Stukamy się kieliszkami, wypijam łyk.

– Za krótko znasz tego człowieka, nie wiesz, na co go stać, Anno. Za wcześnie...

– Wiem, że ona coś zamierza – mówię oschle.

– Kto, kochana?

– Amanda Danson. Kobieta, która zrzuciła Liama z motocykla.

– Jeszcze o niej nie mówiłaś. – Pani Peat marszczy brwi.

– Nie mówiłam?

Jestem pewna, że mówiłam, biedna starowinka pewnie ma kłopoty z głową. Zaczynam chichotać i dzieje się coś cudacznego, nie mogę się powstrzymać.

– Anno, znamy się już tak długo, boję się, że znowu z tobą jest niedobrze.

– Świetnie się czuję. – Nie rozumiem, dlaczego ona rozgrzebuje przeszłość.

– Jeśli znów jest z tobą źle, jak kiedyś, musisz pójść do lekarza. Kochana, nie ma co się wstydzić.

Stukam paznokciem w kieliszek.

– Przeszłaś przez straszne rzeczy. – Pani Peat jest teraz na fali. – Nie rozumiem, jak...

– Niech pani nie mówi Lindzie o tym, co było kiedyś. Pracuję z jej siostrą.

– Z Roisin?

Patrzę na panią Peat.

– Jeszcze wczoraj była tu z Lindą. – Pani Peat rozpromienia się. – Wpadła, żeby zrobić ci niespodziankę, ale gdzieś wyszłaś. Całe wieki jej tu nie było. Mówi, że jesteście dobrymi przyjaciółkami.

W ustach natychmiast robi mi się sucho.

– To po prostu koleżanka – mówię słabym głosem. – Nie chcę, żeby do mnie przychodziła. Nie chcę, żeby czegoś się o mnie dowiedziała.

Pani Peats marszczy brew, jakbym zachowywała się nieracjonalnie.

– Muszę iść. – Nagle wstaję. – Wpadnę jutro albo pojutrze.

Słyszę, jak za mną woła, kiedy zamykam za sobą drzwi, ale nie wracam.

Lubię panią Peat, ale wygląda na to, że chce założyć tłumik na moje nowo odnalezione szczęście.

W domu moją uwagę przykuwa coś białego pod stołem w salonie.

Nachylam się, żeby to podnieść i widzę, że to list zaadresowany do pani Dodds z osiedla Clifton.

Wydawało mi się, że byłam bardzo ostrożna, ale list musiał wypaść z worków na śmieci, kiedy ciągnęłam je na górę po wizycie policji. Śmieszne, że wcześniej tego nie zauważyłam.

Kto by pomyślał, że taka radość i pozytywne uczucia ogarną mnie, kiedy

mam takie problemy w pracy.

Z pewnej perspektywy na pewno popatrzę na katastrofę w pracy jako na nowy rozdział mojej przyszłości z Liamem.

Mam szczęście, zastaję miejscowego adwokata, akurat pracuje do późna w swojej kancelarii. Mówi, że może przygotować procedury przeniesienia moich aktywów na nazwisko Liama.

Umawiam się z nim na jutrzejsze popołudnie i piszę esemesa do Liama. Nalega, że pójdzie ze mną, żeby udzielić mi moralnego wsparcia.

Po raz pierwszy pozwalam sobie na myśl, że nie jestem już sama.

Po raz pierwszy w życiu mam kogoś, komu na mnie zależy. Czuję w sobie blask. Już nigdy nie cofnę się na pozycję, gdzie byłabym znów odizolowana od ludzi.

Ignoruję znajomy już smród i podnoszę kieliszek sherry, który z sobą przyniosłam. Ciemny bursztynowy płyn lśni w świetle lampy.

Albert spogląda na mnie z ciekawością od drzwi, kiedy upijam łyk porto.

Moją uwagę przyciągają szuflady w komodzie. Obie są troszeczkę wyciągnięte, a ja zawsze je domykam. To jedna z tych rzeczy, których nie znoszę. Dziwne.

Podchodzę i wysuwam jedną z szuflad. Marszczę brwi, widząc pomieszaną zawartość.

Trzymam tutaj ważne papiery: akta prawne domu, rachunki bankowe i temu podobne. Leżą uporządkowane w teczkach. Otwieram drugą szufladę. W niej panuje podobny nieporządek, jakby ktoś przerzucił papiery.

Może Liam musiał czegoś szukać, kiedy odpoczywałam. Jestem pewna, że ktoś tu myszkował.

Już mam wypić resztkę porto, kiedy zza rogu wyłania się grupa umundurowanych postaci, jak oddział żołnierzy. Podwórko, przed chwilą puste, zapełnia się urzędowo wyglądającymi ludźmi.

Rzucam kieliszek i biegnę do salonu, uszy wypełnia mi odgłos tłukącego się szkła.

Ktoś mocno wali w tylne drzwi. Widzę ogon Alberta znikający na piętrze.

– Panno Clarke? – Grzechocze szyba w kuchennych drzwiach. – Proszę otworzyć drzwi, mamy nakaz.

Nakaz? Nie można kogoś aresztować, bo nie doręczył listu czy dwóch listów.

– Liam – szepczę, zaciskam pięści, żeby ręce przestały mi się trząść. – Pomóż mi.

Patrzę tęsknie do kuchni, na brązową buteleczkę ze środkami uspokajającymi, która stoi na blacie.

Walenie w drzwi robi się coraz głośniejsze.

– Panno Clarke, proszę otworzyć drzwi. Mamy prawo wejść siłą na teren pani nieruchomości, jeśli pani się nie podporządkuje.

Czasem mają z sobą taran, którym wyłamują całe drzwi. Widziałam w telewizji. Podskakuję, bo ktoś stuka także do drzwi frontowych.

Wyobrażam sobie, co myślą sąsiedzi. Jeśli wszyscy dookoła słyszą krzyki przy moich drzwiach, to w całej okolicy stanę się obiektem złośliwych plotek. Muszę to przerwać.

Biorę głęboki oddech i wchodzę do kuchni. Staję przy drzwiach i widzę zdeformowane kształty mundurów stojących po drugiej stronie cienkiego groszkowanego szkła.

– Czego chcecie?

Mam nadzieję, że powiedziałam to mocnym głosem. Nie dam im tej satysfakcji, żeby zobaczyli, jak się trzęsę i boję. To zbiry, co do jednego.

– Nazywam się Len Dichmont, proszę pani. Jestem wyższym funkcjonariuszem Wydziału Śledczego Poczty Brytyjskiej i mam nakaz, żeby przeszukać dom w celu odzyskania skradzionej poczty.

– Skradzionej poczty? – Mówię za słabym głosem, żeby mogli usłyszeć.

Nazywanie tego „skradzioną pocztą” jest po prostu śmieszne. Poczta na piętrze jest po prostu niedostarczona. Nikt niczego nie ukradł.

– Nie wiem, o czym pan mówi! – krzyczę, przełykając żółć podchodzącą mi do gardła. – Nie muszę was wpuszczać.

– Obawiam się, że pani musi – odpowiada głos odłączony od ciała. – Panno Clarke, mamy nakaz, a dwaj policjanci, którzy nam towarzyszą, mają prawo wejść siłą, jeśli okaże się to konieczne.

Wracam biegiem do salonu i przywieram plecami do chłodnego tynku ściany. Gdyby tylko Liam nadal tu był, wiedziałby, jak z nimi postępować.

Odruchowo chcę uciec, schować się, ale problem nie zniknie. W każdym

razie nie w tej chwili. Skończy się tak, że wywalą drzwi.

– Panno Clarke?

Trach.

Trach.

Trach.

– Otwierać.

Biorę głęboki oddech i przygotowuję się, rozpaczliwie próbuję logicznie myśleć.

Mam Liama. Czeka na mnie nowe życie. Mimo że robią taki hałas, nie jestem niebezpiecznym przestępcą. Po prostu wpadłam w pracy w tarapaty.

Wiem, że kiedy znajdą górę poczty, to stracę etat, ale co z tego? Już mówiłam Liamowi, że dam sobie radę bez zapłaty, przynajmniej przez jakiś czas.

Powoli wracam do kuchni. Staję przed szybą, robię oddech i otwieram drzwi.

– Nie zrobiłam niczego złego – mówię, mocno się starając, żeby głos mi się nie trząsł. – Marnujecie swój czas.

Mężczyzna o nazwisku Len Dichmont nastraja się odpowiednio po przelotnej chwili zaskoczenia, że wreszcie otworzyłam drzwi. Jego gruby brzuch napina złote guziki czarnej marynarki wyglądającej na urzędową. Dichmont robi długi krok do środka, przejeżdżając dłonią po tłustej zaczesse.

– Mamy nakaz przeszukania pomieszczenia w celu odzyskania skradzionej poczty – powtarza, nadymając się z poczucia własnej ważności. – Panno Clarke, proszę się odsunąć.

Czuję, jak przepelnia mnie nieustępliwa złość, kiedy grupa mężczyzn wpada przez kuchnię do salonu. Jest trzech funkcjonariuszy Wydziału Śledczego ze wsparciem dwóch policjantów. Trochę tego za dużo według wszelkich standardów.

– Czy na ulicach jest za mało przestępstw, żebyście tu przychodzili? – kpię z policjantów, idąc za nimi do pokoju.

– Spróbujmy zachowywać się uprzejmie, o ile to możliwe – mówi Dichmont, wyciągając do mnie wielką brązową kopertę. – Oto nakaz, jeśli życzy pani sobie sprawdzić, zanim rozpoczniemy przeszukanie.

– Możesz pan wsadzić sobie ten nakaz tam, gdzie światło nie dochodzi – odwarkuję.

Dichmont czerwieni się, kładzie kopertę na stole w salonie i kieruje wzrok na podkładkę do papierów.

– Jestem zobowiązany formalnie panią zapytać, czy chce pani coś oświadczyć, zanim dojdzie do przeszukania. Czy przyznaje się pani, że przetrzymuje w domu własność Poczty Brytyjskiej?

– Nie! – wrzeszczę i kopię w nogę krzesła. – Nie zrobiłam niczego złego, ty dupku.

Dichmont zaciska zęby.

– Proszę tutaj pozostać. Moi funkcjonariusze dokonają przeszukania.

Dwaj pozostali urzędnicy Wydziału Śledczego rozdzielają się. Jeden idzie do salonu, drugi wraca do kuchni.

Jeden z policjantów wyciąga krzesło i mimo że jestem wściekła, siada na nim. Tutaj, na parterze, niczego nie znajdują, ale niech mnie diabli, jeśli ułatwię im życie.

Opieram ręce na stole i przykrywam twarz dłońmi. Próbuję zachować spokój i równowagę psychiczną, ale nie potrafię powstrzymać się od płaczu. Ktoś dotyka mojego ramienia.

– Odczep się! – krzyczę na ślepo pod adresem jednego z policjantów. – Nie dotykaj mnie, kurwa.

Policjant cofa się z uniesionymi dłońmi. Spogląda na pozostałych, a ja znów zakrywam twarz.

Słyszę, jak otwierają i zamykają drzwi kredensów, jak grzechoczą plastikowe torby, jak z szuflad wyciągana jest zawartość. Czuję się bezbronna, jakbym przed nimi siedziała nago.

Rozpaczliwie potrzebuję tabletek, żeby się uspokoić, ale wiem, że gdybym zażyła ich więcej, popełniłabym błąd. Muszę zachować zdrowy rozsądek.

Z salonu wychodzi funkcjonariusz Wydziału Śledczego i kieruje się ku drzwiom na schody.

To jest to. Urzeczywistnia się mój najgorszy koszmar.

Czuję dziwne szczypanie na twarzy i ramionach. Patrzę, jak idzie, jakby w zwolnionym tempie. Potem, kiedy sięga po klamkę, wszystko wraca do normy.

– Nie! – ryczę, oburzona i przerażona. Podskakuję i rzucam się na niego. Jeden z policjantów łapie mnie od tyłu za ramiona.

– Daj spokój, kochana – mówi. – Uspokój się. Jakoś to przeżyjemy, co?

Drugi urzędnik Wydziału Śledczego wychodzi z kuchni i razem z pierwszym nikną na górze.

Dichmont mruga. Otwiera i zamyka usta. Widać, że jest inaczej, niż się spodziewał.

– Nie zrobiłam niczego złego – mówię. – Nie możecie tak sobie przychodzić i wywracać mi domu do góry nogami, wy dranie.

Sztywna wściekłość opuszcza mnie równie szybko, jak przyszła. Teraz jestem jak wypluta, cała nadzieja ze mnie uszła. Policjant puszcza moje ramiona. Kępki włosów spadają mi z palców na stół, zmiotam je na dywan.

Ostatnie wspomnienia przesuwają mi się przed oczami jak pokaz slajdów. Urząd pocztowy, niedostarczone listy w torbach zamknięte w skrzynkach pocztowych, worki wleczone na piętro, zrzucane w zapasowym pokoju.

Słyszę trzeszczenie podłogi na piętrze i rozpoznaję obłuzowane deski podłogowe tuż przed zapasowym pokojem. Jeszcze sekunda i po wszystkim. Jeden

z nich krzyknie, że to odkryli, a Dichmont pójdzie na górę, zadowolony z dokonań.

Już postanowiłam, że nie odezwę się ani słowem, kiedy będą próbowali wypytać mnie o pocztę, którą tam znajdują. Zakryję twarz rękami i nawet na nich nie spojrzę, żeby utrudnić im pracę, jak tylko się da.

Po cichu modłę się, żeby mnie nie aresztowali. Kto nakarmi Alberta, kto się nim zaopiekuje? Liam nawet nie wie, że mam kłopoty.

Odrzucam głowę do tyłu i zaczynam zawodzić, bucha ze mnie frustracja i żal.

– Panno Clarke...

– Zostawcie mnie – wyję. – Wynoście się z mojego domu.

– Niech pani da spokój... – zaczyna policjant i przerywa, kiedy słyszy odgłos schodzących z piętra ciężkich butów.

W pokoju zalega pełne napięcia milczenie. W drzwiach pojawiają się obaj urzędnicy Wydziału Śledczego. Przygotowuję się.

Ten wysoki kręci głową.

– Sir, tam nic nie ma.

– He? – Dichmont nie potrafi ukryć rozczarowania w głosie. – Mówisz, że w ogóle nic?

– Sir, wynik przeszukania jest negatywny.

Wstaję zza stołu.

Jak to możliwe? Niewidzialna pięść powoli zwalnia uścisk na moim gardle, znów zaczynam oddychać. Czuję, że moje zaciśnięte pięści zaczynają powoli się rozluźniać.

– Negatywny wynik – mamroczę do siebie.

Twaz Dichmonta robi się purpurowa.

– Nie wiem, jak ci się to udało – mówi przez zaciśnięte zęby. – Clarke, my wiemy, że przynosiłaś tu pocztę.

Jego dwóch pomagierów szura nogami. Dichmontowi niewiele było trzeba czasu, żeby zrzucić maskę uprzejmości i spokoju.

Już czuję się silniejsza. Wściekłość wróciła, ale tym razem jest skoncentrowana i mam nad nią kontrolę.

– Wynoś się – syczę Dichmontowi w twarz. – I zabieraj z sobą te twoje dwie małpy. Mój adwokat z tobą porozmawia.

Nie mam pojęcia, czy w ogóle podejmę jakieś działania przeciwko nim, ale warto było pogrozić, żeby zobaczyć, jak Dichmont blednie. Przecież naprawdę mam adwokata, z którym ja i Liam spotkamy się jutro po południu.

Wychodzą rządkiem, w milczeniu, z pokoju do kuchni.

– Panno Clarke, jakże mi przykro, że kłopotaliśmy panią! – krzyczę, kiedy przechodzą obok mnie. – Proszę przyjąć przeprosiny, że z nas takie palanty, co marnują pieniądze podatników.

Żadnej reakcji, chociaż jeden z policjantów beczelnie karci mnie wzrokiem.
– Co? – rzucam mu wyzwanie, oburzenie wylewa się ze mnie wszystkimi porami. – Może mi powiesz, że nie byłbyś wkurzony, gdyby właśnie twój dom rozbebeszyli bez powodu?

Idzie dalej, nic nie mówi.

– Popatrzcie na ten bałagan! – drę się na nich z kuchennych drzwi, kiedy idą podjazdem. – Kto to do diabła posprząta? Dranie!

Trzaskam drzwiami i roztrzęsiona wlokę się do środka.

Przez ostatnie dziesięć minut wyrzuciłam z siebie więcej przekleństw niż przez całe życie.

– Wiesz co, Albercie? – mówię, kiedy niepewnie wystawia głowę spod schodów. – To jest cholernie genialne.

Patrzy na mnie bez przekonania i przechodzi obok, żeby sprawdzić bałagan i wywahać dziwne zapachy nieproszonych gości.

Dom został zbezczeszczony. Obcy oddychali w mojej prywatnej przestrzeni.

Mogłabym teraz wziąć zapalki z kuchni i spalić go do fundamentów. Może tylko tak dałoby się po tym wszystkim oczyścić dom.

Patrzę przez okno na domy stojące przy moim ogródku, widzę, jak w jednym oknie czy dwóch oknach drżą firanki. Niech patrzą, nie mam nic do ukrycia. Właśnie udowodniło to przeszukanie dokonane przez Wydział Śledczy.

Zamykam na klucz kuchenne drzwi i biegnę do salonu. Widzę, jak pakują się z powrotem do swoich wozów. Kiedy wszystkie odjechały i zniknęły z pola widzenia, biorę trzy tabletki uspokajające zamiast, jak zwykle, dwóch.

Siadam znużona na kanapie. Brawura ulatnia się, znów jestem roztrzęsiona i pełna obaw.

Jak, do diabła, nie zauważyli góry listów na piętrze? Nawet słyszałam, jak trzeszczy podłoga przed zapasowym pokojem... Na pewno tam weszli.

Wstaję i idę do drzwi prowadzących na schody. Powoli wchodzę na górę, serce bije mi jak szalone, a nieodłączny ból głowy łomocze mi w skroniach.

Dzisiaj naprawdę muszę pozbyć się tej poczty. Jeśli wrócą, na pewno jej nie przegapią.

Len Dichmont jest z tych, którzy nie lubią się mylić. Nie uzna porażki i jak tylko dotrze do swojego biura, będzie zapewne naciskał, żeby przeprowadzić kolejne przeszukanie.

Kilka kroków korytarzem i docieram do skrzypiących desek podłogi: tych samych, które słyszałam dopiero pięć minut temu, kiedy urzędnicy z Wydziału Śledczego dotarli do miejsca, w którym teraz stoję.

Drzwi do pokoju są z lekka uchylone, a to dziwne. Za każdym razem, kiedy wrzucałam tam pocztę, zamykałam za sobą drzwi i nigdy o tym nie zapominałam. To mi pozwalało odseparować się od monstrum ukrytego w pokoju.

Więc musieli otworzyć drzwi. Ale jeśli tak, to jak mogli przegapić to, co w nim jest?

Popycham drzwi, otwierają się na całą szerokość, a ja zataczam się do tyłu. Gardło mam takie suche i zaciśnięte, a jeszcze pogarszam sprawę kaszlem.

Zamykam mocno oczy, liczę do trzech, otwieram je i dopiero wtedy mogę uwierzyć w to, co widzę.

Pokój jest pusty. Góra poczty zniknęła.

60

Trzydzieści lat wcześniej

Carla nie zapadła w spokojny sen po zażyciu tabletek.

Szczuta przez lokalną prasę, a nawet przez sąsiadów, zapakowała parę rzeczy do walizeczki i uciekła do kawalerki na drugim końcu kraju. Telefon komórkowy i nazwisko zostawiła za sobą.

Tam ukrywała się, przywalona nieszczęściem.

Połknęła środki uspokajające, które lekarz kazał zażywać po dwa na raz i splukała je chłodnym białym winem.

Nie mogła powstrzymać łomotania w głowie, pękających myśli.

Straciła miarę, ile tabletek już zażyła. Potem tabletek już nie było, a w butelce skończyło się wino.

Ściany pokoju wypaczały się wokół niej do środka i na zewnątrz. Opuściła nogi z krzesła i próbowała wstać, ale ciało miała jak z gumy.

Ruszyła, potknęła się i upadła do przodu, roztrzaskując sobie głowę o kamienną obudowę kominka.

Carla Bevin po raz ostatni zamknęła oczy.

Anna

Niedostarczona poczta była przecież w pokoju Danny'ego. Jestem tego pewna.

Ale ten koszmarny smród w domu też wydawał się realny, chociaż tylko ja go czułam.

Prawda, ostatnio trochę źle się czułam. Ale dokładnie pamiętam, że codziennie przynosiłam do domu torby z pocztą i wlokłam je na górę. I pamiętam, że paliłam listy, kiedy dwoje policjantów wpadło bez zapowiedzi, żeby zapytać o wypadek.

Oczywiście, nie mogłam wyobrazić sobie smrodu w domu. Jego lepka, wymiotna słodycz tkwi mi w nozdrzach, aż zbiera mi się na wymioty. Jest prawdziwa. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego Liam tego nie czuł ani dlaczego nie czuło tego dwoje policjantów w dniu, kiedy paliłam listy.

Czasem moje wspomnienia są trochę nieostre, i te złe, i te dobre zarazem, aż praktycznie nie można ich rozdzielić. Ale w końcu, czym są wspomnienia, jeśli nie obrazami w umyśle?

Nie ma czegoś takiego jak strażnik wspomnień, nie ma istoty, która miałaby władzę decydować, czy coś naprawdę się zdarzyło, czy nie. To, co mamy, to tylko obrazy i krótkie filmy, które odtwarzamy w kółko przed oczami duszy. Tylko na tym można opierać przeżycia z przeszłości.

Wlatuje mi do głowy masa obrazów. Niedostarczona poczta. Wypadek. Liam.

Prawie nie da się ich rozdzielić i powiedzieć, które są prawdziwe.

Jak trudno mieć oko na kogoś, na kim mi zależy, jeśli popełnia tak koszmarną pomyłkę. Wierzyć ślepo komuś, kto tylko krzywdzi ludzi, to według mnie krańcowa forma samozniszczenia.

Nikt nie chce mnie słuchać.

Moje życie uległo całkowitej zmianie od tego wypadku. Widziałam w sobie swego rodzaju fortecę, ale coś podkradło się od tyłu i obiecało mi ponowną szansę na szczęście. Na prawdziwą rodzinę, którą straciłam wraz ze śmiercią Danny'ego. Tak przynajmniej myślałam.

A teraz ta dziwka Amanda wydzwania w kółko do Liama, próbuje ukraść mi go sprzed nosa. On tego nie zrozumie, a kiedy zostanie zdradzony, będzie już za późno.

Dawne smutki klinują mi się w gardle jak kawałki chrząstki.

Już raz kiedyś patrzyłam przez palce i skutki były katastrofalne. Wtedy zignorowałam przecucie i pozwoliłam, żeby inni zabrali jedyne, co miałam cennego w życiu.

Gdybym podjęła inną decyzję, gdybym nie zaufała Amandzie Danson, mogłabym zapobiec śmierci Danny'ego.

Kimże bym była, gdybym pozwoliła, żeby to się powtórzyło?

Trach, trach, trach.

Znowu się zaczyna. Dochodzi od sąsiadki. Pani Peat musi mieć kłopoty. Wybiegam, nie patrząc przez okno, przewracam ławeczkę na mleko i chwytam klucze.

– Proszę pani. – Wpadam do pokoju. – Z panią w porządku?

Siedzi w fotelu jak zwykle, trzyma miotłę, której kij wymierzyła w naszą wspólną ścianę.

– A, tutaj jesteś, Anno. – Marszczy brwi. – Linda dała mi tę miotłę, na wypadek gdybym potrzebowała wsparcia w środku nocy.

– Potrzebuje pani pomocy. Co mam zrobić? – pytam szybko.

– Anno, kochana, dobrze się czujesz? Słyszałam głosy, ludzie byli...

– Wszystko w porządku – mówię krótko. – Ale teraz jestem bardzo zajęta. Potrzebuje pani czegoś?

– Napijmy się herbaty, to ci powiem. – Pani Peat jest jak zwykle irytująco spokojna, mimo że po mnie widać napięcie. – Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć. Coś, co powinnam ci powiedzieć już wiele lat temu, Anno.

Wzdycham, idę do kuchni i robię herbatę. Dwa razy próbuję, zanim wszystko układa się, jak należy. Z jakichś powodów mój umysł działa nieskładnie.

Nie ma sposobu, żeby wymknąć się pani Peat. Będę musiała zostać na jakieś dziesięć minut, żeby ją udobruchać. Ostatnio postanowiła żyć przeszłością, tymczasem ja daję sobie bez tego radę.

Ale jako troskliwa sąsiadka wypadłam marnie, a przecież pani Peat dbała o mnie w moich wczesnych latach lepiej niż moja matka.

Nie widziałam jej całymi dniami, nawet nie myślałam o niej.

– Cóż, kochana, najpierw najważniejsze – mówi, kiedy wracam do pokoju. – Przyszedł do mnie z wizytą młody człowiek. Siedział w tym fotelu, w którym ty teraz siedzisz.

– To miło – mruczę.

Pani Peat patrzy na swoją filiżankę i marszczy brwi. Odstawia ją na podstawkę, nie upijając nawet łyka.

Kiedy Liam dowie się o całej tej wizycie Wydziału Śledczego, na pewno będzie chciał, żebym bez zwłoki się wprowadziła.

Niestety, wtedy nie będę mogła tak często widywać się z panią Peat. Może teraz powinnam jej o tym powiedzieć? Byłoby samolubstwem, czymś nie fair,

gdybym po prostu przestała ją odwiedzać.

Ivy nie będzie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, bo jeśli zaprotestuje, Liam wprowadzi się tutaj. Do mojego domu. Żeby tu mieszkać. Teraz wie o jej niestabilności umysłowej, ona już tego nie ukryje.

Przełykam zły smak w ustach i zaczynam się przelotnie zastanawiać, dlaczego nie miałabym pozwolić sobie na szczęście. Choćby tym razem.

– Nie, kochana, nie rozumiesz – mówi pani Peat. – Ten młody człowiek chciał dowiedzieć się czegoś o tobie. Nigdy wcześniej go nie spotkałam, ale myślę, że to twój przyjaciel Liam.

Wyrwana z zamyślenia gwałtownie podnoszę głowę.

– Anno, widziałam te wszystkie samochody i mundury – mówi pani Peat. – I co z twoimi włosami? Wypadły?

– Kto to był? Czego chciał? – pytam słabnącym głosem. To nie mógł być Liam, nawet nie słyszał o pani Peat. Czy to kolejny urzędnik węszący wokół moich spraw, który próbuje wyciągnąć informacje od sąsiadów?

To już byłoby bez wątpienia nękanie. Jutro powinnam napomknąć o tym adwokatowi.

– Pytał mnie o różne rzeczy, na przykład od jak dawna tutaj mieszkasz, co się stało z twoją rodziną – a teraz najciekawszy kawałek – czy znam jakichś twoich żyjących krewnych. Powiedział, że ucięłaś sobie drzemkę.

Nagle to zaczęło mieć sens.

– Liam – szepczę i wraca mi trochę jasności umysłu.

– Tak.

Kiszki mi się skręcają.

– Co mu pani o mnie powiedziała?

– Powiedziałam, że nie mam zwyczaju oplotkowywać sąsiadów i jeśli ma jakieś pytania, to musi się z nimi zwrócić bezpośrednio do ciebie.

Wyregulowanie oddechu zajmuje mi kilka sekund.

Skąd Liam w ogóle wie o pani Peat? Pewnie zapomniałam, że mu o niej mówiłam. Czy wypaplałam coś jeszcze, o czym nie mam pojęcia?

– Bardzo się zdenerwował, aż musiałam poprosić, żeby wyszedł. – Pani Peat nachmurzyła się. – Bezczelny chłystek, który pakuje nos w twoje sprawy. Kochana, powinnaś uważać.

– To dobry przyjaciel. – Spoglądam wilkiem. – On się tylko o mnie troszczy.

– Anno, powinnaś być ostrożna, zawsze byłaś zbyt ufna. Musisz o siebie dbać, pamiętasz?

Patrzy na mnie, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, więc odwracam wzrok.

Pani Peat mylnie bierze jego troskę za coś złowrogiego, ale nie wie, co on do mnie czuje. Nie wie, jak niespodziewanie poczuliśmy się bliscy sobie.

Wzbijam jej poduszki i mówię, żeby używała kija od miotły, to wpadnę, choćby to była najmniejsza sprawa. Nie będzie mnie tutaj, ale ona nie musi o tym wiedzieć.

– Jest coś jeszcze, o czym chciałam z tobą porozmawiać, kochana. Najważniejsza rzecz. Chodzi o...

– Później, proszę pani – mówię, nagle wstając. – Zajrzę później, wtedy będzie mi pani mogła powiedzieć.

Zabieram jej filiżankę do kuchni i widzę, że jest w niej tylko gorąca woda. Bardzo dziwne, bo przecież pamiętam, że włożyłam saszetkę z herbatą.

Joan Peat

Joan od lat czekała na właściwy moment, żeby powiedzieć Annie, co się stało.

Dzisiaj Anna odwiedziła ją na dłużej niż na parę minut. Ale dla Joan to było nadal za krótko, żeby zebrać się na odwagę i wreszcie zrzucić ciężar z ramion.

Anna już poszła, Joan siedziała w fotelu, zamknęła oczy.

Mogła jeszcze raz odtworzyć zdarzenie w myślach, na wypadek gdyby Anna później do niej zajrzała, tak jak obiecywała. Porządek wypadków musiał być prawidłowy. To ważne.

Cały ten tragiczny epizod wbił się jej w głowę.

Wszystkie sceny i dźwięki były równie klarowne, jak wtedy, trzynaście lat temu...

Joan ściszyła telewizor, nasłuchiwała.

Znowu to samo, jakby dudnienie, jakby coś wleczono – potem płacz dziecka, histeryczny płacz.

Joan przypadkiem wiedziała, że Anna poszła na pozaszkolne lekcje rysunków. Wpadła wcześniej, żeby zabrać pastele i notatnik. Była blada, wyglądała na zmęczoną, oczy miała szerzej otwarte, a wzrok bardziej nawiedzony niż zazwyczaj.

– Kochana, wszystko w porządku? – zapytała Joan.

Anna kiwnęła głową i coś tam wymamrotała, że się spóźni. Zanim Joan zdołała jeszcze coś powiedzieć, dziewczyny już nie było.

Walenie, wycie, szlochanie... coraz głośniejsze.

Joan podskoczyła, chwyciła ze stołu szklankę do podsłuchiwania.

Podeszła do ściany w jadalni, bo Annie kiedyś się wymknęło, że za złe zachowania matka zamyka czasem Daniela w kredensie pod schodami. Ale głośne drapanie powiedziało jej, że akcja przeniosła się na górę.

Joan weszła na własne schody, na paluszkach przeszła przez długi korytarz, unikając wypaczonych desek, które zdradziłyby, że podsłuchuje. Chociaż nie musiała się o to martwić, bo u sąsiadki panowała taka wrzawa.

Przystawiła szklankę do ściany i słuchała. Na kilka chwil zapadła cisza, potem znów hałasy.

Daniel zawodził, Joan słyszała, że matka mocno go chłoszcze.

Wielki Boże, dziecko prosiło, żeby przestała.

Joan odjęła szklankę od ściany i wytarła mokre policzki. Nie mogła na to

pozwolić, musiała coś zrobić.

Joan zauważyła, że Monica robiła się wobec chłopca coraz bardziej brutalna, szczególnie kiedy Anny nie było w domu. Jedyne świadek, a przynajmniej Monice tak się wydawało.

Joan popędziła na dół, obiegła od przodu dom sąsiadki.

Zapukała, ale odpowiedzi nie było. Szarpnęła za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Zaczęła walić dłonią w szybę.

Nic.

Wróciła podjazdem do swojego domu. Może walenie w drzwi powstrzyma Monicę Clarke.

Ale parę minut później uderzeń i trzasków było jeszcze więcej. Joan znów podeszła do drzwi sąsiadki. Tym razem trzymała w dłoni zapasowy klucz Anny.

Zapukała, znów zapukała. Nie było odpowiedzi, więc włożyła klucz w zamek i otworzyła drzwi. Potem cicho je za sobą zamknęła.

Spojrzała w dół i zobaczyła na podłodze klucz Moniki. Musiał wypaść, kiedy waliła w drzwi i szarpała za klamkę. Odrzuciła go kopnięciem na bok.

Kuchnia była w opłakanym stanie, brudne talerze i rondle piętrzyły się wysoko. Kwaśny odór sprawił, że Joan zmarszczyła nos i przeszła do środkowego pokoju.

W przyćmionym świetle zobaczyła krzyże na ścianach, ale uwagę skupiła wyłącznie na piętrze. Zawodzenie, klapsy, jakieś bolesne chwyty powietrza, a potem... och, cisza.

Zaczęła wchodzić po schodach. Usłyszała, że ktoś się rusza, ale na szczęście Daniel już przestał płakać.

Na samej górze było tak duszno, że mało się nie udusiła. Przed sobą miała coś, co mogła nazwać tylko grozą, coś, co wisiało przed nią, jak niewidzialna chmura. Z trudem powstrzymała się, żeby nie uciec z tego domu.

Nie krzyknęła, w ogóle się nie odezwała. Po prostu szła dalej, zwinnie, z determinacją wąskim korytarzem bez dywanu.

Cisza.

Skrzypnęła deska w podłodze, kiedy przechodziła po niej na paluszkach, ale już się tym nie przejmowała. Musiała wreszcie zobaczyć, co się dzieje z chłopcem, z Danielem.

Zwróciło jej uwagę drapanie w środkowej sypialni. Wiedziała, że to pokój Daniela.

Z trudem przełknęła, pchnęła drzwi i natychmiast zachwiała się, i cofnęła.

– Dobry Boże – wyjęczała, przytrzymując się framugi, żeby się nie przewrócić.

Pozbawione życia ciało Daniela zwisało z odrzwi szafy ściiennej. Na szczęście twarzą było zwrócone do ściany, ale lekko chwiało się na słabym wietrze.

Monica Clarke stała obok niego na krześle z pętlą na szyi. Oczy miała szeroko otwarte, łzy spływały po jej bladej, wykrzywionej twarzy.

– Co ja zrobiłam? – wyszeptała do Joan. – Proszę pani, pomogłaby mi pani?

Joan nie ruszała się, nie mówiła. Nie była w stanie.

– Proszę – zaszlochała Monica Clarke. – Głupio się bawił, pośliznął się...

Joan zrobiła krok do przodu. Patrzyła, jak Monica rozgląda się na wszystkie strony, jak próbuje znaleźć wyjście z sytuacji.

– Mówiłam, żeby uważał. Kiedy zobaczyłam, co sobie zrobił, sama chciałam umrzeć. Mój syn nie żyje...

– Płakał, biłaś go – powiedziała łagodnie Joan. – Wszystko słyszałam.

– Nie! Niech pani zrozumie, próbowałam powstrzymać go, żeby nie zrobił sobie czegoś złego. – Monica poruszyła się na rozchwianym drewnianym krześle. – Próbowałam mu pomóc.

Joan pomyślała o strachu, który widziała w oczach Daniela i Anny na samo wspomnienie ich matki.

– Proszę. – Monica chwyciła sznur na szyi. – Pani może mi pomóc, żeby wyjaśnić to policji. Proszę mi pomóc zejść.

Do Joan dotarło, że idzie naprzód.

A kiedy dochodziła do Moniki Clarke, pomyślała o sińcach, które widziała na ramionach Daniela. Pomyślała, jak Annie trzęsły się ręce, gdy nadchodził czas powrotu do domu.

Pomyślała o dniu, w którym Arthur próbował interweniować, kiedy Monica ciągnęła Daniela za dom, i o tym, jak wystawiła dwa palce i powiedziała do Arthura: „Odpierdol się, ty stary chuju”.

Teraz Joan stała przed Monicą.

Próbowała nie patrzeć na Daniela, na jego chude ciało kołyszące się bez życia na linie. Dla biednego dziecka było już za późno, ale dla Moniki Clarke nie.

– Dziękuję – wyszeptała Monica, wyciągając szyję, żeby Joan mogła zdjąć pętlę. – Nigdy tego nie zapomnę. Gdyby pani mogła poluzować węzeł, to wyjęłabym głowę z pętli.

Joan patrzyła na nią.

– Proszę pani?

Robiąc krok do tyłu, patrzyła prosto na Monicę.

– Niech Bóg mi wybaczy – powiedziała Joan na głos i mocno kopnęła krzesło, na którym stała Monica.

Sąsiadka wrzasnęła, kiedy krzesło zachwiało się i nachyliło, ale wróciło do równowagi, a Monica nadal stała na nim jedną nogą.

– Co ty robisz, zwariowana stara...

Joan kopnęła ponownie, tym razem mocniej i krzesło wywróciło się na bok.

Monica Clarke zarzęziła, nogi jej się wyprostowały, zakręciła się na linie,

którą sama zawiązała. Joan odwróciła się i wyszła z pokoju, gardłowy odgłos duszącego się człowieka wypełniał jej uszy.

Kiedy zeszła na dół, było już cicho.

Podniosła klucz z podłogi i zahaczyła go luźno o zamek od wewnętrznej strony. Potem za pomocą zapasowego klucza Anny zamknęła za sobą drzwi.

Wróciła do domu i nastawiła czajnik.

Teraz

Amanda

Amanda Danson nie dysponowała realnymi dowodami, którymi mogłaby wesprzeć swoje podejrzenia, więc jeszcze nikomu o tym nie powiedziała.

To było tylko przeczucie. Nic więcej.

Powtarzała sobie: można być pewnym, że jest się pod obserwacją, ale zupełnie czym innym jest udowodnienie tego.

Oczywiście, mogło być i tak, że zbliżała się do szaleństwa, ale raczej, po tym, co zdarzyło się w pracy, po prostu była bardzo zdenerwowana.

Aż do wczesnego popołudnia dzień przebiegał zupełnie spokojnie, ale za każdym razem, kiedy pomyślała, że wkrótce zobaczy się z Liamem, coś trzepotało jej w brzuchu. Już dawno nie żywiła takich uczuć wobec ludzi. Wszystko zmieniło się po tragedii. Opuściła głowę, zbudowała sobie nowy, niewyróżniający się styl życia.

To wszystko było takie... nieodwołalne.

Ale to miał być nowy początek i przywykła do myśli, że jakaś część Carli nadal żyje. I to za jej pośrednictwem.

Całe rano myślała o spotkaniu z Liamem, nawet miała zamiar kupić po drodze bukiet kwiatów dla jego kochanej babci.

Kwadrans po drugiej, po dziesięciu minutach uprzątnięcia areny, na której miała odegrać swoją rolę, wszystko się zmieniło.

Właśnie miała zamiar wyjść na popołudniową przerwę, kiedy podeszła do niej Carol Hartnell, kierowniczka handlowa przedszkola.

Jej współpracowniczka, Susan, była właścicielką franczyzy Pracowitych Pszczółek na West Bridgford, ale zasadniczo zostawiała Carol prowadzenie placówki, a Carol, uwielbiała władzę, która jej przypadła, i to jak jeszcze!

– Wpadnij do mnie do gabinetu, jak będziesz miała minutkę – powiedziała dyskretnie do Amandy, przemykając obok niej. Zerknęła we wszystkie strony naraz, czy pracownicy aby czegoś nie zaniedbali.

– Co powiedziała? – syknęła Sarah z wykładanej dywanami czytelnicy, kiedy Carol wróciła do gabinetu. Najwyraźniej Carol była za mało dyskretna.

– Chce się ze mną zobaczyć.

– Aha, ciekawe, czy chodzi o pracę kierownika pomocników nauczyciela?

Amanda wzruszyła ramionami, ale pomyślała, że Sarah może mieć rację. Pewnie chodziło o nowe stanowisko, które miało się pojawić za parę miesięcy w filii Mansfield, kiedy Janis Lawton przeprowadziła się z powrotem na południe. Amanda zainteresowała się wakatem, ale to było przed wypadkiem i od tamtego czasu niewiele o tym myślała.

– Będiesz urzędzona, jak to dostaniesz – wypaliła Sarah. – Duża podwyżka, bardzo miła sprawa.

– Wątpię, żeby mi to dali, ot tak. – Amanda się roześmiała. A duża podwyżka i tak nie wyrównałaby zarobków, które miała wcześniej, ale takie były czasy, że uzalanie się nad sobą nie miało sensu. – Będą rozmowy. Janis powiedziała, że Karen Butler ma na to chrapkę.

– Uf, odrzuci rodziców, przyciągnie ich dzieci – powiedziała Sarah, wystawiając język. – Dresiara z opalenizną z solarium.

Amanda nie mogła powstrzymać uśmiechu. To była dobra uwaga, chociaż trochę okrutna.

Skończyła wieszać stroje policjantów na wieszaku i resztę przebrań zostawiła, żeby później zajął się nimi ktoś inny.

– Wrócę o piątej.

– Powodzenia! – zawołała za nią Sarah.

Amanda podeszła do otwartych drzwi Carol i zastukała w nie. Carol podniosła wzrok, uśmiechnęła się i zaprosiła ją gestem, ale na jej twarzy było jakieś napięcie, które nie spodobało się Amandzie.

– Jest pewna kwestia, którą podniósł jeden z rodziców. Muszę się jej przyjrzeć – powiedziała, jak tylko Amanda usiadła. Carol nie słynęła z uprzejmości.

Amanda poczuła, że mięśnie twarzy jej sztywnieją.

– Ten problem mnie dotyczy?

– Obawiam się, że tak. – Carol kiwnęła głową.

Amanda przebiegła w myślach kontakty z rodzicami i dziećmi w ostatnim tygodniu. Nic niestosownego nie przychodziło jej do głowy.

To był zupełnie normalny tydzień, w którym nic szczególnego się nie działo. Jakieś niegroźne przepychanki między dziećmi i jeden, dwa przypadki użycia apteczki. Tyle.

– A zatem – powiedziała Carol, wreszcie podnosząc wzrok znad drukowanego arkusza A4 – potencjalny klient napisał maila do dyrekcji w Mansfield, cytując: „bardzo złym doświadczeniu z panną Amandą Danson w filii w West Bridgford”.

Amanda otworzyła usta, już chciała zaprotestować, ale Carol uniosła rękę, żeby ją uciszyć, i czytała dalej.

– Panna Danson wydawała się rozkojarzona i niezaangażowana, kiedy

przyszłam obejrzeć obiekt z myślą o moim najmłodszym dziecku rozpoczynającym uczęszczanie do przedszkola. Musiałam kilka razy pytać o sprawy, które uważam za najważniejsze, a ona podczas rozmowy przyjmowała osobiste telefony.

Carol skończyła czytać i odłożyła papier na biurko. Złożyła ręce na kolanach i rozparła się w fotelu, patrząc wyczekująco na Amandę.

Amanda szeroko otworzyła oczy i pokręciła głową.

– Carol, przysięgam, nic takiego się nie zdarzyło.

Wiedziała, że mówi to obronnym i nieprzekonującym tonem, ale mówiła prawdę. Błyskawicznie przejrzała w myślach cały tydzień, szukając czegoś, co można by uznać za niedbalstwo albo brak profesjonalizmu. Wynik był zerowy.

– Czy ta osoba zostawiła swoje dane? – zapytała. – Gdybym poznała nazwisko, mogłabym...

– Nie dotarła do mnie ta informacja. – Carol pokręciła głową. – Najwyraźniej powiedzieli w Mansfield, że nie życzą sobie, żeby ich wplątywano w jakieś dochodzenia, ale po prostu chcą, żeby filia wiedziała, jakie doświadczenia wyniósł z niej nowy klient.

Amanda zmagala się z ostrym poczuciem niesprawiedliwości.

– Przecież każdy mógł zatelefonować i powiedzieć, co chciał, o nas wszystkich. – Próbowala podejść do tego racjonalnie. – Powinni chociaż podawać nazwisko, żeby udowodnić, że mówią prawdę.

Twarz Carol pociemniała.

– Amando, nie takiej odpowiedzi od ciebie oczekiwałam. – Przesunęła po biurku kartkę. – Zabierz to i dobrze się przyjrzyj. To lista spotkań, które miałaś z nowymi rodzicami w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Amanda wzięła listę, ale nie spojrzała na nią.

Oczywiście, że się bronila, przecież zaatakowano ją bez winy z jej strony. Nie mogła się tym zajmować, już na pewno nie po tym, co wcześniej się zdarzyło. Jakby historia się powtarzała.

– Już teraz wiem, że nie ma sensu przeglądać tej listy. – Rzuciła wściekle spojrzenie Carol. – Nigdy nie odebrałabym telefonu w sprawach osobistych podczas spotkania.

Jasne, mama dzwoniła do niej do pracy dwa razy, odkąd zdarzył się tamten wypadek, żeby sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku. Ale za każdym razem było to w czasie przerwy, a nie podczas oprowadzania rodziców. Nie miała co do tego wątpliwości.

– Cóż, muszę dodać, że ostatnio koledzy raz czy dwa razy zwracali się do mnie z komentarzami, więc nie tylko ta skarga mnie niepokoi.

Amandę zamurowało. Kto „komentował” – słowo zastępcze na donoszenie – do ucha Carol, ich wspólnego wroga? Nie Sarah. Była beztroska, a czasami bezmyślna, ale na pewno...

– Zdaję sobie sprawę, że borykasz się z tym wypadkiem. Może sobie przypominasz, że proponowałam ci, żebyś wzięła trochę więcej wolnego, jeśli ci to potrzebne – mówiła dalej Carol. – Ludzie zauważyli, że nie potrafisz już się na dłużej skoncentrować, tak jak to było wcześniej, i straciłaś zainteresowanie do prac społecznych, tak ważnych dla całej naszej filii.

– To jest po prostu niesprawiedliwe – powiedziała Amanda, powstrzymując łzy.

Kto ją obgadywał za plecami?

Wyrzła za szklaną przegrodę gabinetu i zobaczyła, że Sarah zagląda do środka.

– Całkowicie nie zgadzam się z tym, co mówisz. Próbowałam, chociaż to było trudne, żeby wypadek nie wpłynął na moją pracę.

– Rozumiem – zgodziła się Carol. – I dlatego proponowałam, żebyś nie spieszyła się z powrotem do pracy, ale ty wolałaś zrobić inaczej.

Amanda założyła ręce i popatrzyła na nią z gniewem.

– Nie ma co rozmawiać o tej skardze, bo brakuje tu szczegółów. Przyjmij to jako nieformalną pogawędkę. W twoim własnym interesie leży, żeby od tej chwili się poprawić.

– Ale to, co mówią, to nieprawda – zaprotestowała Amanda. Nie chciała odejść, dopóki Carol nie uwierzy w jej niewinność. – Ktoś najwyraźniej uwziął się na mnie, chce mi narobić kłopotów.

Na twarzy Carol pojawił się cień zniecierpliwienia.

– Nie mam czasu, żeby rozprawiać o tym bez końca – powiedziała stanowczo. – Zgódźmy się co do tego, że wrócisz do normy i skupisz się wreszcie na swojej pracy. Muszę powiedzieć, że w tej chwili nie powinnaś myśleć o pisaniu podania w sprawie zajęcia stanowiska kierownika pomocników nauczyciela.

Amanda zrozumiała, że to koniec rozmowy, i wyszła z gabinetu Carol powoli, jak zombi. Bolało ją serce, jej oddech niespodziewanie zrobił się szybki i płytki.

Gorączkowo szukała w myślach powodu, dla którego ktoś mógł złożyć na nią skargę. Może rodzic wziął kogoś innego za nią. Czy to możliwe? Ale nie. Według tego, co mówiła Carol, użyto jej pełnego nazwiska, z imieniem.

Może była trochę rozkojarzona podczas rozmowy z którymś z rodziców.

Wypadek wpłynął na nią, wywołał straszne wspomnienia... ale na pewno nie odbierała telefonu podczas rozmowy z rodzicem. Tego była pewna.

– Jak poszło? – pisnęła Sarah, kiedy Amanda wróciła.

Chwyciła torebkę i wyszła bez słowa. Bardzo potrzebowała odpoczynku i świeżego powietrza.

Amandzie jakoś udało się przebrnąć przez popołudnie.

Kiedy wróciła z krótkiego spaceru, powiedziała Sarah bez ogródek, że nie

chce rozmawiać o spotkaniu z Carol. Sarah, trzeba to zapisać na jej korzyść, wycofała się i zostawiła Amandę w spokoju do końca dnia.

Najgorsze było to nowe nerwowe uczucie, że nie wiadomo, komu można zaufać. Z tego, co wiedziała, jakaś koleżanka zadzwoniła anonimowo do kierownictwa filii w Mansfield i złożyła na nią kłamliwą skargę tylko po to, żeby zniweczyć jej szanse na awans.

Ale kiedy szła po pracy na przystanek autobusowy, stwierdziła, że ogląda się za siebie tylko dlatego, że czuje w brzuchu nerwowe skurcze.

Mózg po cichu połączył cieniutkim łańcuchem uczucie, że ktoś ją obserwuje, z faktem, że ktoś próbuje jej zaszkodzić w pracy.

Dokładnie przyjrzała się chodnikowi i jezdni za sobą, ale nikogo nie zobaczyła.

Dwa, trzy razy prawie coś zauważyła, jakkolwiek wariacko to brzmiało.

Przecież nie można prawie czegoś zauważyć. Albo się widzi, albo nie, prawda? A jednak tylko w ten sposób mogła to opisać.

Należało jeszcze wziąć pod uwagę telefony. Liczne milczące połączenia, kiedy niczego nie słyszała, ale czuła nienawiść sączącą się z komórki.

Dziesięć minut później wysiadła z autobusu i poszła dalej ulicą. Teraz czuła się dobrze. Może to był tylko przejściowy niepokój, wywołany napięciem w pracy, ale kiedy skręciła na podjazd, kątem oka dostrzegła jakiś ruch po drugiej stronie ulicy.

Kiedy popatrzyła, nic tam nie było, w ogóle nikogo.

Z początku była przekonana, że ktoś wbiegł za zaparkowany samochód, żeby uniknąć wykrycia, więc poczekała przed furtką jakąś minutę, ale nikt się nie pokazał.

Weszła do domu, napiła się herbaty, porozmawiała z mamą. Nie wspomniała o swoich obawach, a mama miała późną zmianę, więc Amanda mogła wcześniej pójść do łóżka.

Napisała esemesa do Liama, że źle się czuje. Nie chciała do niego iść, żeby udawać wesołość.

Próbował się do niej dodzwonić, ale zignorowała jego telefon.

Nie miała ochoty wychodzić wieczorem. Tęskniła za relaksującą kąpielą, potem chciała nadrobić odcinki opery mydlanej za parę ostatnich dni.

Dzięki temu mogłaby przestać myśleć o tamtych sprawach.

Dwie godziny później, kiedy była w sypialni, prawie zapomniała o wcześniejszych strachach. Ale kiedy odwróciła się, żeby zasunąć zasłony, zobaczyła ten sam irytująco szybki ruch tuż poza zasięgiem wzroku.

Wyłączyła lampkę nocną i wyjrzała przez okno. Przyjrzała się terenom przy kościele i ścieżce biegnącej wzdłuż drogi. Było tam mnóstwo drzew, krzewów i miejsc, za które można było wskoczyć, gdyby ktoś chciał się schować.

Zasunęła zasłony, ale zostawiła małą szczelinę. Mogła teraz stanąć i patrzeć, gdyby nasza ją ochota.

Naprawdę zaczęła się zastanawiać, czy nie wyobraża sobie różnych rzeczy. W końcu kto chciałby ją szpiegować albo za nią chodzić?

Następnego dnia Amanda wpisała swoje wyjście całą godzinę wcześniej. Kiedy szła na przystanek autobusu, oczy piekły ją od upokorzenia i niedowierzania.

Wychodząc, musiała znosić, że ludzie gapili się na nią, szeptali między sobą, a potem, kiedy przechodziła obok nich, oglądali z uwagą sufit albo podłogę.

Oprowadziła dwoje rodziców, potencjalnych klientów, po przedszkolu, a oni zaraz zapisali swoje córki bliźniaczki. Taki wynik, że nawet Carol się uśmiechnęła.

Amandzie udało się wreszcie zreorganizować miejsce na zajęcia na świeżym powietrzu i podczas porannej przerwy, zamiast siedzieć w cichym kąciku, żeby sobie poczytać, jak to zazwyczaj robiła, dołączyła do pozostałych i słuchała, a jak parę dziewczyn rozmawia o nowym barze, do którego się wybierały. Zgodziła się w tygodniu pójść z nimi na drinka.

Ale podczas przerwy popołudniowej, kiedy poszła na górę do kuchenki, zastała tam gęsty tłumek, w którym była również Sarah i Pete Tooley, konserwator. Wszyscy rozmawiali w kącie ściszymi głosami.

– Co jest nie tak? – Wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć, o co chodzi.

Kiedy się zbliżyła, na ich twarzach pojawił się wyraz paniki i grupka się rozleciała, niektórzy wychodzili z pokoju bijąc rekordy szybkości.

– Właśnie schodziłam, żeby ci pokazać – wyjąkała Sarah, kładąc na stole arkusz A4. – Był przyklejony do bocznych drzwi. Nie chciałam, żeby Carol to zobaczyła, zanim się dowiesz.

Amanda wzięła plakat domowej roboty. Było na nim napisane:

„Morderczyni dzieci pracuje w przedszkolu Pracowite Pszczółki”

Pod napisem widniał tekst napisany w reporterskim stylu, że Amanda Danson tuż przed Bożym Narodzeniem przejechała maluszka i uciekła z miejsca wypadku. Jak do tej pory policja nie była w stanie namierzyć kierowcy ani wozu, ale najwyraźniej prowadzą śledztwo po drugim wypadku sprawczyni. I znów podane zostały wszelkie szczegóły.

Na dole była ziarnista, biało-czarna fotokopia jej zdjęcia. Natychmiast rozpoznała je jako zdjęcie profilowe z Facebooka.

– To nieprawda – powiedziała cicho. Usiadła, przyłożyła dłoń do czoła. – To kupa bredni.

– Nie martw się – rzekła Sarah, nagle znów stała się zatroskaną przyjaciółką.

– Zniszczymy to, przecież nic złego się nie stało.

– Ktoś rozpętał kampanię nienawiści przeciwko mnie.

Najgorsze było to, że kłamstwa wymieszane były z prawdą: z wypadkiem na Green Road. W ten sposób całość stawała się bardziej strawna.

Nagle drzwi do pokoju gwałtownie się otworzyły i znów wpadł przez nie Pete Tooley.

– Amando, chodź, ale szybko. – Próbował coś powiedzieć, ale był zadyszany, bo biegł po schodach. – Plakaty są na całej High Street. Przynoszą je rodzice, a Carol się wkurwiła, jak jasna cholera.

Jedną z obsesji Carol Hartnell była dbałość o nieskazitelną opinię filii w lokalnej społeczności.

Jej slogan brzmiał „Ludzie zostawiają swoje dzieci ludziom, którym mogą zaufać”.

Zanim Amanda zdołała wyjść z budynku, żeby zerwać plakaty, Carol zaszła jej drogę.

– Myślę, że dzisiaj powinnaś wcześniej pójść do domu – powiedziała głosem niebezpiecznie pozbawionym uczuć. – Muszę dokładnie zbadać, co się stało, i zająć się tobą.

– Carol, to same kłamstwa. Ktoś się na mnie wziął, przysięgam...

– Widzimy się u mnie w gabinecie jutro o drugiej. Możesz kogoś z sobą przyprowadzić.

A więc Amanda wyszła godzinę wcześniej, teraz czekała na autobus. Po drodze z przystanku szybki ruch zwrócił jej uwagę, ale jak można się było spodziewać, kiedy podniosła wzrok znad komórki, niczego nie zobaczyła. Ogarnął ją niepokój. Kto ją aż tak nienawidził, że wymyślał wszystkie te kłamstwa?

Fakt, że na plakacie była mowa o wypadku z Green Road, w którym uczestniczyła, razem z wierutnym kłamstwem – „straszną prawdą”, że policja nadal nie odkryła tożsamości kierowcy, który przejechał chłopczyka i uciekł – sugerował, że to sfabrykowany wypadek. Ale jednocześnie jej tłumaczenie, że jest niewinna, stawało się przez to niewiarygodne.

Od rozmowy z Carol sprzed kilku dni sprawy w pracy zaczęły się jakoś układać. Amanda opuściła głowę, pracowała, a po każdym ze spotkań z rodzicami pytała ich, czy są zadowoleni z jej odpowiedzi i sposobu, w jaki ich potraktowała. Odpowiadali zawsze, że tak.

Wczoraj zwierzyła się Sarah, że koleżanki najwyraźniej powiedziały Carol na ucho o swoich zastrzeżeniach, ale Sarah machnęła tylko ręką.

– Wszyscy wiemy, jak upierdliwa potrafi być Carol – powiedziała. – Założę się, że to wymyśliła, żeby się do ciebie dobrać.

Ale teraz należało uwzględnić dzisiejszą katastrofę.

Był ktoś, kto tak jej nienawidził, że postanowił zniszczyć ją za wszelką cenę.

Historia się powtarzała.

Wiedziała, że nie mogą po prostu wyrzucić jej z przedszkola ze względu na złośliwy plakat. Takie oskarżenia muszą mieć uzasadnienie.

Niestety, była pewna, że Carol Hartnell wystarczy wyobraźni, żeby

wymyślić inny ważny powód – który miałby jakieś podstawy – żeby się jej pozbyć, zanim klientela przedszkola zacznie się naprawdę interesować publiczną kampanią nienawiści i zastanawiać się, kto w istocie opiekuje się ich dziećmi.

Szok, jak łatwo było doprowadzić do czyjejś dymisji bez żadnych dowodów.

Na zdrowy rozum Amanda musiała przemyśleć, dlaczego, do diabła, ktoś marnował cenny czas, żeby ją obserwować i śledzić. Prowadziła chyba najmniej interesujące życie w całej okolicy. Codziennie praca w przedszkolu, potem prosto do domu albo do domu Liama. Poza tym nic nie było.

Poprzedniego wieczoru do domu przyszła policjantka, żeby spisać zeznanie na temat wypadku. Była nieugięta, praktycznie oskarżyła Amandę, że zignorowała wcześniej wysłany list. Tyle że Amanda nie dostała tego listu.

Poczuła, że twarz się jej czerwieni, ale udało się jej utrzymać nerwy na wodzy, i odpowiedziała na pytania posterunkowej Cullen. Według policjantki z zeznań świadka wynikało, że Amanda była rozproszona tuż przed zderzeniem z Liamem. Ale oczywiście nie ujawniła źródła informacji.

Potem posterunkowa Cullen zaczęła zadawać cokolwiek dziwaczne i niezwiązane ze sprawą pytania o kontakty Amandy z Liamem i jego babcią. Czy próbowała w jakikolwiek sposób wywrzeć na nich nacisk?

Śmieszne: Liam zaprosił ją do domu.

Oczywiście, to wszystko było na pokaz. Niech myślą, co chcą, nie mają dowodu, że w ogóle zrobiła coś złego. Pojawił się znikąd na motocyklu. Nie miała czasu, żeby zahamować.

To była jej wersja i potrafiła się jej trzymać.

Możecie się zastanawiać, po co to robię, co z tego mam.

Dlaczego robić plany, tak ciężko pracować, żeby zbliżyć się do kogoś, kogo się nienawidzi?

Cóż, powiem wam.

Chodzi o satysfakcję.

Nie mam nic. Nic. To dlaczego ktoś miałby coś mieć?

Ludzie są tacy głupi. Otaczają się rzeczami materialnymi, bo uważają, że one się liczą. Rzeczy, które sprawiają, że czują się lepsi i myślą, że ich bezwartościowe życie jest coś warte.

Ale nadchodzi taka chwila, że możesz zabrać rzeczy, których nie są w stanie zastąpić. Wtedy widzisz, jak gaśnie światło w ich oczach. W tym pięknym ułamku sekundy zdają sobie sprawę, co naprawdę przez cały czas się liczyło.

Zaufanie. Miłość. Poczucie własnej wartości.

A jak im to już odbiorę, zrobię, co trzeba, żeby to nigdy do nich nie wróciło.

Anna

Chociaż środki uspokajające wzięłam już jakiś czas temu, wiem, że jeszcze nie powinnam prowadzić.

Ale nie mam wyboru.

Myślę, żeby wszystko sprawdzić, dla bezpieczeństwa, ale nie robię tego.

Kiedy będę miała więcej czasu, wrócę do początku i znów wszystko doprowadzę do porządku. Uporządkuję to, co mi się pomieszało w głowie i ułożyło w niewłaściwej kolejności.

Przyjeżdżam do Liama, jeszcze nie jestem przy drzwiach kuchennych, a już słyszę podniesione głosy dobiegające z domu.

– Nie wyjdę dopóki mi nie powiesz...

Drzwi są lekko uchylone. Widzę najpierw Liama, potem Amandę, która stoi na dole schodów i krzyczy. Kiedy wchodzę, Liam całkiem zwinnie rzuca się do przodu. Ze zdumieniem spostrzegam, że w ogóle nie są mu już potrzebne kule.

– Anno, dzięki Bogu, że jesteś. – Obejmuje mnie ramionami i szepcze mi do ucha. – Próbuję się jej pozbyć, ale ona nie chce wyjść.

– Anno, muszę z tobą porozmawiać... – zaczyna Amanda.

– Chyba już czas, żebyś sobie poszła – mówię ostrym tonem, a Liam odsuwa się ode mnie, żeby też wściekle na nią popatrzeć. – Twoje żalosne zagranie nie podziałało. Liam wie, że próbujesz wykręcić się od odpowiedzialności sądowej.

– To nie ma z tym nic wspólnego. – Amanda wzdycha. – Anno, powinnaś wiedzieć...

– Wiem wszystko, co powinnam. – Patrzę na nią zza zmrużonych powiek. – O tobie.

Amanda przejeżdża sztywnymi palcami po włosach.

– Jego nie znasz. – Pokazuje skinięciem głowy Liama.

– Ale znam ciebie. – Robię krok w jej stronę. – Znam cię bardzo dobrze.

Pamiętam wszystko, co się stało, wszystko, co zrobiłaś, Carlo.

– Kto to jest Carla? – Liam marszczy brwi.

– Skąd o niej wiesz? – Twarz Amandy robi się śmiertelnie blada.

Jestem zaskoczona. Ona zdołała przekonać samą siebie, że Carla to inna osoba. Musi cierpieć na jakieś zaburzenie osobowości.

– Spójrz na moją twarz. – Wystawiam podbródek. – Teraz pamiętasz? Co?

– O czym wy mówicie?! – krzyczy Liam. Krzyżuje przed sobą ramiona, jak tarczę z mięśni.

– Wszystko ci opowiem, Liam – mówię, podchodząc do niej. – Jak tylko się jej pozbędziemy.

Chwytam ją za ramię, ale wyswobadza się.

– Odczep się ode mnie, wariatko – wyrzuca z siebie.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, wybiega z domu i trzaska za sobą drzwiami.

Wtedy słyszę walenie na piętrze.

– To tylko babcia – mówi pospiesznie Liam. – Nie czuje się dobrze, lekarz mówi, że ma leżeć w łóżku.

To mi odpowiada. Przynajmniej nie będzie mieszać się tutaj, na dole, i będę miała czas, żeby porozmawiać z Liamem.

– Przejdźmy do salonu – proponuję. – A ja ci opowiem wszystko o tak zwanej Amandzie Danson.

– Anno!

Słyszę słabe wołanie Ivy.

– Proszę... chodź tutaj...

Stawiam stopę na najniższym stopniu.

– Nie – mówi Liam i przyciska mi ręką ramię. – Zostaw ją, niech odpoczywa.

– Anno... – Głos Ivy znów spływa na dół.

– Chyba jest czymś przygnębiona – mówię. – Lepiej tam zajrzę.

– Powiedziałem, zostaw ją.

Coś błyska mu w oczach, zdejmuję stopę ze stopnia.

– Anno, muszę mieć trochę czasu tylko dla siebie, żeby pomyśleć – mówi, odwracając wzrok. – Mogłabyś wrócić później?

Przez jakiś czas siedzę w samochodzie i myślę o tym, co się stało.

Liam zachował się niezrozumiale, był zmieszany. Zastanawiam się, czy znów przestał brać lekarstwa. Próbowałam go przekonać, żeby pozwolił mi zostać i zrobić mu coś do jedzenia, ale nie chciał o tym słyszeć.

Przyczyną tego zamieszania jest Amanda, Carla, czy jak ją tam zwać.

Po prostu wiedziałam, że zniszczy wszystko, jak tylko dać jej cień szansy, wzbudzi w Liamie wątpliwości co do nas, co do wypadku.

Mrugam, żeby rozproszyc mrok, który osiadł mi przed oczami. Zauważyłam, że tak się dzieje, kiedy biorę środki uspokajające. Stępują mi myśli, uwalniają je od smutku, jakby wszystko to działo się w cudzej głowie.

Włączam silnik. Czuję się trochę zamroczona, chcę jak najszybciej wrócić do domu. Jak się uspokoję, będzie dobrze. Kiedy wrócę, wezmę jeszcze jeden proszek i położę się do łóżka.

Kiedy człowiek wypocznie, sprawy często wyglądają inaczej.

Niebo się chmurzy. Wygląda, że wkrótce będzie lało.

Jadę powoli ulicą Liama i skręcam na Cophorne Way. To długa ulica i kiedy dojeżdżam do końca, widzę znajomą postać, która skręca za róg i błyskawicznie znika mi z oczu.

W żyłach krąży mi adrenalina, nie mogę się czegoś doczekać.

Skręcam w najbliższą ulicę. Oto i ona, drepcze jak rozczochrany szczur, głowę ma zwieszoną, oczy utkwione w chodniku.

Nadszedł czas. Stań z nią oko w oko.

Powoli przejeżdżam obok niej.

Ma wilgotną, obrzmiałą twarz, jest całkowicie zatopiona w myślach, w ogóle mnie nie dostrzega. Pewnie w kółko powtarza sobie tę kłótnię, którą miała z Liamem.

Skręcam za róg i zatrzymuję się w połowie ulicy, przed następną przecznicą, obok rzędu sklepików. Wiem, że przechodzi tędy skrótem na swoją ulicę.

Chwilę potem, kiedy zbliża się do mojego samochodu, wysiadam i staję jej na drodze. Mało na mnie nie wpada. Dopiero wtedy zaczyna widzieć, co się wokół niej dzieje.

– Przepraszam – mamrocze i próbuje mnie obejść.

– Chwileczkę, Carlo – mówię głośno i wyraźnie, ona podrywa głowę i przestaje wpatrywać się w chodnik.

– Ach, to ty – mówi beznamiętnym głosem.

– Tak, to ja – parodiuje jej głos. – Co, nie byłaś dzisiaj w pracy? Zazwyczaj nie wracasz przed piątą.

Widać po niej nerwy, twarz natychmiast jej czerwienieje. Potem powoli mówi:

– Obserwowałaś mnie?

Uśmiecham się ironicznie i podchodzę o krok.

– Więcej niż obserwowałam.

Twarz się jej ściąga.

– Przez cały czas to byłaś ty?

– O czym ty mówisz? – Nie mogę pozwolić, żeby mnie rozproszyła.

– Wiesz o czym: kampania nienawiści w pracy. Dlaczego to robiłaś?

Niewiarygodne. Zniszczyła życie tylu ludzi, a nadal udaje się jej udawać oburzenie i zmyślać historyjki o kampaniach nienawiści. Ani krzty w niej pokory.

– Nie wiem, o czym mówisz, Carlo. – Robię kolejny krok w jej stronę.

– Nie jestem Carlą.

Chce się przepchnąć obok mnie, ale nie pozwalam jej. Mocno walę ją ramieniem w bok, kiedy próbuje przejść. Zatacza się na wystawę sklepu.

– Muszę wracać do domu. – Podnosi głos, jakby była panią sytuacji.

Czas udowodnić jej, że tak nie jest. Szybko podchodzę i swoją masą przyciskam ją do szyby.

– Na litość boską! – krzyczy. – Anno, co z tobą?!

Przechodnie zwalniają kroku, widzę, że klienci sklepu podchodzą do okna, żeby lepiej widzieć, co dzieje się na ulicy.

– Nawet na sekundę mnie nie nabrałaś, wiesz? – syczę. – Zawsze wiedziałam, że w tym wypadku było coś dziwnego, ale tobie do tej pory udawało się oszukiwać Liama. Czy taki był twój plan: skorzystać z jego ufnej natury?

– Co? Odczep się ode mnie. – Próbuje się wyrwać. – Chciałam z tobą porozmawiać tam, w domu, Anno. Są sprawy, o których muszę ci powiedzieć.

Zbliżam twarz do jej twarzy.

– Więc lepiej zacznij teraz mówić, Carlo.

– Kim jesteś? – szepcze.

– Pamiętasz ośmiolatka, którego poświęciłaś? Daniela Clarke'a?

Podrywa dłoń do ust.

– To, co się stało z tym chłopcem, nie ma ze mną nic wspólnego. – Głos unosi się jej o oktawę. – Daj mi spokój.

– Wszystko w porządku? – Sklepiarka wystawia głowę zza drzwi.

– W jak najlepszym – odpowiadam miłym głosem.

Carla znów próbuje się wyrwać, ale łapię ją za ramię i mocno szarpię nim do tyłu.

– Nie tak szybko, Carlo.

– Nie jestem Carlą. Carla nie żyje! – wrzeszczy i dostaje ataku kaszlu.

Na kilka sekund zapada cisza.

– Ona nie umarła tylko dlatego, że zmieniłaś nazwisko. – Wbijam palce w jej ramię. – Nie możesz sobie dla wygody zapomnieć o tym, co zrobiłaś. Wreszcie nadszedł czas, żeby zmierzyć się z konsekwencjami.

Wiem, że paru przechodniów zatrzymało się, zainteresowała ich ta scena.

Krzyczę do nich.

– Chyba mamy tu kogoś, kto trzynaście lat temu spowodował śmierć małego chłopca, on zaufała jej, a ona go zdradziła.

Carla, jak można się było spodziewać, zaczyna płakać, twarz ma moką, lśniąca, rozmazaną.

Rozglądam się po rzadkim tłumku. Szeroko otwarte oczy patrzą na mnie z mruganiem. Ludzie nie wiedzą, jak zareagować.

– Mojego chłopaka też mała nie zabiła, straciła go z motocykla dwa tygodnie temu. Nazywa się Carla Bevin.

Wykrzykuję jej nazwisko, rozgłaszam prawdę. To jest jak narkotyk, chcę więcej i więcej. Carla patrzy na mnie, twarz ma wykrzywioną, wzrok dziki i zropaczony.

Zaczyna mi być bardzo gorąco, mimo że wieje chłodny wiatr. Chciałabym zdjąć polar, ale nie mogę jej puścić.

– Zwariowałaś! – krzyczy, zwracając się do gapiów. – To wariatka. Proszę, niech ktoś wezwie policję.

Odwracam się, żeby sprawdzić, czy ktoś wziął to na poważne. Carla mocno mnie popycha, udaje się jej wyrwać. Biegnie ulicą.

Rzucam się za nią i kiedy jestem blisko, znów chwytam ją za ramię. Szarpię za nie, żeby ją przyciągnąć. Carla krzyczy. Słysząc trzask i kiedy ją puszczam, ramię zwisa bezużytecznie pod dziwnym kątem.

Wolną ręką łapię ją za włosy i zmuszam, żeby uklękła na chodniku. Szlocha tak teatralnie, że zaczynam się śmiać i nie mogę przestać.

Tłum jest dwa razy większy, ludzie idą za nami, żeby popatrzeć.

– Puść ją! – krzyczy ktoś.

– Co się stało? – słyszę kogoś innego.

Nie zwracam uwagi na tłum ani na zawodzenie Amandy, nachylam się i zbliżam usta do jej ucha.

– Skończyła się twoja wstrętna intryga – szepczę, nadal chichocząc pod nosem. – Wszyscy wkrótce się dowiedzą, że naprawdę to z ciebie przebiegła kłamczucha.

– Nie jestem Carlą – mówi powoli, w wymuszony sposób.

Jest zakłamana do tego stopnia, że aż trudno uwierzyć.

– Nie wystarczy coś powiedzieć, żeby to stało się prawdą! – wrzeszczę. – To ty jesteś Carlą, rozpoznaję cię. Ty zabiłaś Daniela i teraz za to zapłacisz.

Kiedy na mnie patrzy, w jej wzroku jest coś takiego, że aż zamieram.

Nachyla się do mnie i szepcze:

– Carla była moją siostrą. Bliźniaczką. Dlatego wydaje ci się, że mnie znasz.

– Kłamiesz. – Mocniej chwytam ją za włosy, aż krzyczy.

– Carla umarła! – dyszy. – Po tym, co się stało z Danielem. Nie chciała żyć.

Puszczam jej włosy i patrzę, jak teatralnie opada na chodnik.

Przepycham się przez tłum, idę do samochodu, jestem zdezorientowana, w piersi słyszę ogłuszające walenie, ręce mi się trzęsą.

Odjeżdżając, oglądam się przez ramię, widzę, jak ludzie się nią zajmują.

Ona kłamie. Znowu kłamie, a mnie nie wolno jej uwierzyć.

Próbuje oszukać mnie tak jak wszystkich. Po prostu nigdy nie przestanie.

A poza tym, czy to możliwe, żebym przez cały czas była w błędzie? Jak mogłam aż tak źle ocenić sytuację? Nie chcę o tym nawet myśleć.

Skup się.

Jej nędzna maskarada skończyła się, tyle że ona walczy do końca. I tyle.

Amanda

Zdrową ręką grzebała w torbie, mało nie upuściła kluczy, kiedy w końcu je znalazła. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, szybko weszła i zatrzasnęła je. Nie sprawdzała, czy na ulicy znów nie widać ruchu.

Teraz była bezpieczna. No i dobrze. Znów mogła oddychać.

Mama pracowała na późną zmianę, więc w tle nie było słycać telewizora i nie było różowego blasku lampy w holu. W domu było chłodno, ciemno i cicho.

Z trudem zdjęła płaszcz, skopała buty i włączyła ogrzewanie.

W kuchni naląła sobie duży kielich białego wina i wypila łyk, chociaż wiedziała, że ciepło i światło nie zmniejszą bólu w ramieniu ani napięcia w zeszywniałym ciele.

Awantura z Anną przyprawiła ją o dreszcze i łzy. Właściwie należałoby powiedzieć napad, nie awantura. Powinna zadzwonić na policję.

Anna zaatakowała ją na ulicy w obecności mnóstwa świadków i zrobiła coś złego z jej ramieniem.

Amanda z wahaniem podniosła je i ostry, drążący ból rozszedł się wokół stawu ramienia. Kiedy trzymała ramię nieruchomo, wrócił tępy ból, który jakoś mogła znieść. W każdym razie trzeba będzie poczekać, aż mama wróci i przyjrzy się temu, bo nie było mowy, żeby Amanda wyszła z domu wieczorem, nawet do szpitala, nawet na zabieg.

Myszkowała w szufladzie, póki nie znalazła prostego temblaka w budzącej szacunek apteczce matki. Po chwili zmagani udało się jej go założyć. Poczula natychmiastową ulgę, bo temblak wziął na siebie wagę ramienia i cokolwiek je unieruchomił.

Ta szalona kobieta potraktowała ją tak bestialsko na ulicy, jak jakaś wredna dziewczynka na placu zabaw. Na samą myśl o tym Amanda kurczyła palce u stóp. Co najmniej kilkoro ludzi stało i patrzyło, zamiast wezwać policję.

Sprawy skomplikowały się. Najpierw wypadek i wizyta policji... a teraz Anna i to, co powiedziała o Carli.

Amanda nie byłaby w stanie wyjaśnić wszystkiego policji, w każdym razie nie teraz.

Poza fizyczną napaścią ze strony Anny, Amandę najbardziej niepokoiło, że ta kobieta przez cały czas wiedziała i o Carli, i o tym, co stało się z chłopcem.

Jak to możliwe?

Amanda rozejrzała się po pokoju i straciła chęć na cokolwiek, bo zaczęła

myśleć, dlaczego wróciła do mamy, mimo że wyleciała z gniazda i jak normalna młoda kobieta zaczęła żyć na własną rękę na długo przed trzydziestką.

Chociaż wtedy to nie miało z nią nic wspólnego, śmierć Daniela Clarke'a zmieniła jej życie. Zmieniła życie ich wszystkich. W tej sprawie Anna nie była samotna.

Mimo że Amanda uciekła i ukrywała się przez trzynaście lat przed napiętnowaniem, Anna знаła prawdę.

Łyknęła jeszcze sporo wina i zamknęła oczy. Takie myślenie nie pomagało, ale trudno zachować optymizm, jeśli robi się krok naprzód, a dwa kroki w tył.

Nawiązywanie kontaktów, podróżowanie i wszystkie normalne rzeczy, którymi powinna się cieszyć kobieta w jej wieku, okazały się poza zasięgiem Amandy. Po prostu nie była w stanie pokonać przeszkody, jaką stanowiła przeszłość.

Przez jakiś czas jej życie wydawało się całkiem ustabilizowane i Amanda głupio liczyła na to, że sprawy się nawet poprawią. Potem zdarzył się ten wypadek na drodze i życie zaczęło się bardzo szybko pruć.

Podniosła kieliszek, ręka zadrżała jej nerwowo. Rozlała wino na kuchennym stole. Zaskoczył ją hałas na dworze, jakby trzepnięcie albo łamanie się czegoś. Wstrzymała oddech, nasłuchiwała.

Łagodny mruczenie bojlera, pies szczekający w oddali i... nic więcej. Wypuściła powietrze i zamknęła oczy.

Chyba zaczynała wariować. Wyobrażała sobie, że jest śledzona, a teraz podskakiwała, słysząc dźwięki, których nie było. Musi się uspokoić i wziąć w ryzy.

Wyrzała przez kuchenne okno, ale w pociemniałej szybie zobaczyła tylko odbicie własnej, bladej, zaniepokojonej twarzy. Wstała, wyłączyła światło i ogród znów stał się widoczny.

Stała przy zlewie i wyrzała. Za szybą widziała ciemne kępy rozrośniętych krzewów zarastających płot i gołe gałęzie drzewa, które mama zasadziła w rogu, żeby uczcić pamięć taty.

Amandzie przyszło na myśl, że tam spokojnie mógł ktoś przykucnąć i w tej chwili ją obserwować.

Jakiś zboczeniec albo oszalały stalker, którego ona nie znała, ale on wiedział o niej wszystko.

Roześmiała się na głos, że ma takie myśli. Odbiło jej, to oczywiste. W każdym razie, jeśli tam ktoś był, to najprawdopodobniej Szalona Anna, jak zaczęła nazywać ją w myślach.

Jasne, od samego początku wiedziała, że z tą kobietą jest coś nie tak. Choćby to, że na wszystkich tak przebiegle patrzyła.

W każdym wypowiedzianym przez nią słowie był niewypowiedziany podtekst, który tylko ona rozumiała, a teraz, dzisiaj, nastąpiła ogromna eskalacja

całej sprawy. Poziom agresji Anny wzniósł się wysoko, na ulicy zraniła Amandę, i to dosłownie.

Tego nie można było odpuścić, Amanda musiała coś z tym zrobić. Tylko że nie dziś wieczór.

Liam i Ivy tego nie powiedzieli, ale Amanda domyślała się, że oboje widzą, jak Anna od czasu do czasu dziwnie się zachowuje.

Ciągle do nich przychodziła, próbowała wkręcić się w ich codzienne życie, proponowała, że posprząta albo zabierze Liama na wizyty w szpitalu.

Amanda przeczytała kiedyś w jakiejś bulwarówce opowiadanie z życia wzięte. Pewna kobieta mówiła o horrorze, który przeżyła przez prześladowaną ją latami kobietę, bo kiedyś pokłóciła się z nią w pracy.

Nikt, włączając w to ofiarę, nie brał wygłupów na poważnie aż do dnia, kiedy kobieta otworzyła drzwi i wariatka oblała jej twarz kwasem solnym.

Może Amandę spotka jeszcze coś gorszego niż to, co wydarzyło się do tej pory.

Wpatrywała się przez szybę w ciemność za oknem. Anna była całkiem solidnie zbudowana, podczas gdy Amanda była drobna i słaba. Fizycznie jej nie dorównywała.

Jeśli Annie uda się wejść do domu Amandy ze złymi zamiarami, nie wiadomo, co jej zrobi. A mama wróci dopiero za parę godzin. Nawet dla Amandy brzmiało to dramatycznie, ale ignorowanie dzisiejszego zachowania Anny mogło okazać się groźne.

Poczuła swędzenie na karku. Znów odezwały się te hałasy.

A po drugiej stronie trawnika... pod płotem przesunął się jakiś cień.

Ktoś był w ogrodzie.

Amandzie zaschło w gardle, musiała pokonać chętkę, żeby wbiec po schodach na górę i przykryć się kołdrą, tak jak wtedy, kiedy na Carlę przychodziła kolej, żeby być Skaczącym Potworem.

Do tylnych drzwi ktoś mocno zastukał, Amanda aż krzyknęła.

Zignorowała stukanie i ukucnęła przy zlewie, żeby nie można było zobaczyć jej przez okno. Ramię zareagowało ostrym bólem.

Znowu stukanie. I znowu.

Ten, kto tam stał, czekał na odpowiedź. Amanda zacisnęła dłoń zdrowego ramienia w pięść, żeby powstrzymać drżenie ręki.

A jeśli Annie odbiło do końca i przyszła dokończyć robotę?

Amanda straciła nadzieję, kiedy przypomniała sobie, że zostawiła telefon w torebce, w przedpokoju. Powinna tam pobiec i natychmiast go wyjąć. I zadzwonić na policję.

Ale wtedy można by ją zobaczyć przez okno.

Znów ktoś się dobija. Potem odzywa się znany jej głos.

– Amanda?

Ostrożnie wstała, żeby nie urazić się w ramię. Nabrała powietrza i powoli je wypuściła. Nie chciała rozmawiać z niezapowiedzianym gościem, ale lepsze było to niż radzenie sobie z niepoczytalną Anną. Poza tym od czasu do czasu i tak musiała się z nim spotykać.

Włączyła światło, odsunęła zasuwę, przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

– Liam.

Miał dzikie spojrzenie, był trochę wzburzony, jakby biegł.

– Wiesz, chciałem trochę pogadać, żeby wyjaśnić pewne sprawy.

Naprawdę nie chciała, żeby u niej był. Chciał wykręcić się od przedstawienia Annie prawdy.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – powiedziała Amanda, modląc się, żeby nie usłyszał, że mówi lekko drżącym głosem.

– Owszem, jest. – Przepchnął się obok niej do kuchni. – Wierz mi, to bardzo dobry pomysł.

Liam przeszedł obok Amandy i usiadł przy barze śniadaniowym. Jeszcze nigdy u niej nie był, ale nie okazał zainteresowania i nie rozglądał się po domu.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

Czekała, aż odpowie, ale on milczał i patrzył na swoje ręce. Lekko się uśmiechnął. Zdumiewała ją jego śmiałość, ale to ona miała przewagę, była u siebie.

– Liam, po co przyszedłeś?

– Co ci się stało w ramię? – Popatrzył na temblak. – Czy to choroba dłoni od ciągłego nakładania błyszczyka na usta?

Mówił chłodnym, sarkastycznym tonem, jakby był kimś innym.

– Po co przyszedłeś? – Usłyszała drzenie w swoim głosie. Miała nadzieję, że on tego nie usłyszał.

– Powinnaś wyjść ze mną na drinka – powiedział spiętym głosem. – W końcu jesteś mi to winna.

– Winna? Za co?

– Za to, co zrobiłaś. Za wypadek.

A więc jednak ją o to obwinał. Do tej pory machał ręką na jej przeprosiny, nie był zainteresowany tym, co zaszło.

– Liam, sto razy mówiłam, że przepraszam. Nie wiem, co jeszcze...

– Możesz wyjść ze mną na drinka. To byłoby na początek.

Zapraszał ją już kilka razy, kiedy odwiedzała go w domu, ale do tej pory odmawiała. Nie bardzo wiedziała, dlaczego się nie zgadzała. Bywało, że wyglądał na zmieszanego, sfrustrowanego. Wtedy nie czuła się za dobrze.

– Powiedziałam, że pójdziemy na drinka, jak ci się polepszy.

– Już czuję się lepiej, znacznie lepiej niż kiedykolwiek. – Jego cienkie, suche wargi wyglądały, jakby za chwilę miały pęknąć, a niebieskie oczy były ciemniejsze, niż zapamiętała. – Dzięki Annie wkrótce skończą się moje problemy.

– Nie wiem, jak się dogadałeś z Anną, ale powinieneś jej powiedzieć o długu. Liam, to nie jest w porządku, że ją oszukujesz.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Szyderczy uśmiech przemknął przez jego twarz. – Straciłem pamięć, zapomniałaś?

– Ivy wszystko mi powiedziała. O kupnie motocykla, o lichwiarzu.

Sapnął i mocno złapał ją za zdrowy nadgarstek.

– Nie powinnaś słuchać starych wariatek: wymyślają historyjki.

– Liam, puść mnie. – Szarpnęła się.

Oddech jej przyspieszył, jakby płuca próbowały łyknąć więcej powietrza. Otworzyła usta, żeby tego nie usłyszał.

Puścił jej nadgarstek i sięgnął do kieszeni kurtki. Wyjął pudełko zapalek.

Wziął jedną, zapalił i zafascynowany patrzył, aż wypaliła się do końca.

– Liam – nie wiedziała, jak to ująć, więc powiedziała wprost – przerażasz mnie. Zachowujesz się, bo ja wiem... dziwnie. Dobrze się czujesz?

– Nie tylko ty się liczysz, nie tylko o ciebie chodzi. – Podniósł na nią wzrok, oczy mu płonęły. – Nigdy nie chodziło tylko o ciebie.

Pomasowała sobie skronie, próbując powstrzymać narastający szum w głowie. Jakże dziwnie się zachowywał.

Gdzie się podział uprzejmy, pełen zrozumienia Liam? Rozmawiała z obcym. Nawet jego głos miał inne brzmienie.

Zapalił następną zapalną. Potem jeszcze jedną.

Żołądek się jej wywracał, przypomniała sobie, że jest sama, że mama wróci z pracy po północy. Chciała, żeby po prostu sobie poszedł. Powinna się go jakoś pozbyć.

– Jestem bardzo zmęczona. – Ostentacyjnie ziewnęła, próbowała, żeby jej słowa zabrzmiały zwyczajnie. – Mam zamiar wcześniej się położyć. Jak chcesz, to jutro wpadnę do ciebie.

Była wykończona, chciała, żeby po prostu sobie poszedł.

Nagle twarz mu się zmieniła, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem w jego głowie. Minę twardziela zastąpiła nadąsana dziecięca twarzyczka.

– Nie chciałem zrobić im krzywdy – powiedział. – To pożar się rozszerzył. Nie dał się opanować, a ja nic nie mogłem zrobić.

– Jutro możemy o tym porozmawiać. – Zaprowadziła go do drzwi. – Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

Zamknęła za nim drzwi na klucz i odetchnęła z ulgą.

O czym on do diabła mówił? Komu zrobił krzywdę i gdzie był ten pożar? To nie miało sensu. Ivy powiedziała, że jego tato i siostra zginęli w wypadku. Carla założyła, że to był wypadek komunikacyjny.

Przeszła przez kuchnię, odwróciła się i popatrzyła, zanim zgasła światła. Jej wzrok padł na stół.

Na kuchennym blacie leżały dziesiątki wypalonych zapalek.

Anna

Wracam do domu i po nauczce, jaką dałam Carli Bevin na ulicy, wcale nie jestem śpiąca. Jestem naładowana energią i silna.

Znów panuję nad sobą, czuję, że mogę zrobić wszystko.

Wbiegam na piętro i wyjmuję trochę czystych rzeczy. Tę noc mam po raz pierwszy spędzić u Liama, czy tej starej wariatce Ivy to się podoba, czy nie.

Teraz robię to, co ja uważam za właściwe. Nic mnie nie obchodzi, co powiedzą inni.

Ale ten zapach. Ten zapach nie ustaje, ale mnie nie pokona.

Zaczynam od kuchni, wyciągam szuflady, wyrzucam ich zawartość na podłogę. Zdejmuję z półek kredensów to, co na nich stoi. W jednej z szuflad znajduję młotek ciesielski, używam go do wyłamania dekoracyjnych szuflad i rozbicia narożnej szafki.

Przechodzę do środkowego pokoju, potem do salonu. Opróżniam, wyłamuję, rozpruwam – to musi gdzieś być. Coś śmierdzi, muszę to coś znaleźć.

Widzę, jak Albert wymyka się tylnymi drzwiami. Dociera do mnie, że jeszcze nie zamknęłam ich na klucz.

W głowie mi się kręci, w brzuchu burczy. Przypominam sobie, że nie jadłam cały dzień, ale mam dużo czasu, żeby zrobić to później.

Kończę z salonem, ciężko stąpając, wchodzę na piętro. Dom chwieje się wokół mnie, ściany pokoiów to nadymają się, to kurczą.

Na szczycie schodów siadam, żeby zaczerpnąć tchu. Nie mogę normalnie myśleć, nie potrafię się przebić przez obrazy rojące mi się w głowie. Twarze nachylają się nade mną, potem znikają. Liam, Carla... Danny.

– Anno...

Oddech więźnie mi w gardle. Słyszę swoje imię, na pewno... cichutko wyszeptane.

Świat przestaje się obracać, a ja słucham.

Nic.

Naprawdę to słyszałam, czy to jakiś hałas z ulicy? Głos brzmiał jak głos Danny'ego. Siedzę całe pięć minut, nasłuchuję, czy nie usłyszę jeszcze czegoś, czegokolwiek. Ale zwycięża cisza.

Coś rusza się na końcu piętra, aż podskakuję, gardło mam ściśnięte i spieczone.

– Albert?! – wołam cichutko.

Ale to wcale nie Albert.

Rozpoznaję wyraźne imbirowe plamy i wielkie białe łapy. To Boris, kot Ivy.

Pojawia się płatanina strasznych wyobrażeń. Czy przez pomyłkę zabrałam Borisa do siebie?

Nie pamiętam, żebym go zabierała. Nie zrobiłabym tego. Kotu potrzebne jest bezpieczeństwo, własny dom. Czy Liam prosił mnie, żebym zaopiekowałam się Borisem?

Zamykam oczy i powstrzymuję nudności pulsujące mi w brzuchu.

Wpadłam do domu, bo chciałam się odświeżyć i pognać do Liama, żeby powiedzieć mu, co Carla Bewin uczyniła Danny'emu, żeby zrozumiał, dlaczego tak bardzo jej nienawidzę i dlaczego zagraża naszemu rodzinnemu szczęściu.

Jestem zła, że dałam się od tego odwieść poszukiwaniem źródła smrodu, a teraz ten kłopot z Borisem.

Jakoś muszę zawieźć kota do domu Liama, i to tak, żeby mnie nie zauważyli. Nikt nie uwierzy, że nie mam nic wspólnego z uprowadzeniem kota.

Gdybym tylko odpoczęła, wyspała się chociaż troszeczkę, umysł sam wróciłby mi do normy i przypomniałabym sobie, skąd tu się znalazł ten kot.

Głośne walenie w ścianę przerywa mi myśli. Dochodzi z sąsiedztwa. Ale nie mam czasu, żeby teraz zajść do pani Peat.

Patrzę na zwój włosów na palcach. Już nawet nie czuję, że je sobie wrywam. Otrząsam się z nich i schodzę, trzymając się ściany, żeby nie upaść.

Kiedy wracam do kuchni, zaczynam czuć się winna. Wkładam buty i pędzę do sąsiadki.

Zaglądam przez boczne okienko, sapię. Ręka podlatuje mi do ust, ogarnięta zmieszaniem potykam się i ocieram sobie kolano. Stojak na butelki do mleka stoi tam gdzie stał, ale klucza nie ma. Naciskam klamkę, drzwi otwierają się szeroko.

W środku jest cicho i spokojnie, nawet bardziej niż zazwyczaj. Pani Peat nie odzywa się.

Siedzi w fotelu, usta ma lekko otwarte. Na skroni widać strup z rozciętej skóry i krzepnącej krwi.

Krzyczę, dotykam jej twarzy i szybko cofam rękę, bo zamrugła.

Myślę o naszym ostatnim spotkaniu, ależ mnie zdenerwowała.

Byłam bardzo zmieszana i zdezorientowana.

Jak Borisowi udało się znaleźć drogę do mojego domu, a ja nie pamiętałam, co się stało.

Może pani Peat potknęła się i upadła.

Coś rusza mi się w brzuchu, pędzę do kuchennego zlewu i wymiotuję. Nie byłabym w stanie skrzywdzić pani Peat, ale mógł to zrobić ktoś inny.

Muszę zadzwonić na policję. Muszę to zrobić już teraz.

Biegiem wracam do siebie, chwytam telefon i wzywam pogotowie. Nie

zwracam uwagi na jej słowa, zagłuszam ją, trzy razy podaję nazwisko pani Peat i jej dokładny adres.

Operator pyta mnie, co się stało pani Peat, ale ja nie wiem, co jej odpowiedzieć. Policja może namierzyć telefon i zamknąć mnie w celi, a ja nie mogę na to pozwolić, bo nadal muszę powiedzieć Liamowi, kim naprawdę jest Amanda Danson.

Kończę połączenie.

Czas powiedzieć wszystko Liamowi.

Przed domem Liama stoi karetka pogotowia, a sanitariusz zamyka tylne drzwi i wsiada do wozu. Patrzę, jak ambulans odjeżdża.

Serce wali mi w piersi, w gardle czuję pulsowanie. Czy Danny zasłabł, albo się załamał?

Nie, nie Danny. To dom Liama.

Tak, Liam.

Wyskakuję z samochodu, biegnę przez ulicę, potem ścieżką prosto do tylnych drzwi.

Liam pomaga Ivy zdjąć płaszcz. Ivy trzyma kurczowo torbę z lekarstwami. Karetka nie zabrała jej, tylko podrzuciła do domu.

Jestem spokojna, ale roztrzęsiona w środku, kiedy myślę o pani Peat. Nie powinnam zostawiać jej samej w takim stanie, kiedy drzwi nie są zamknięte na klucz.

Ale musiałam tutaj przyjechać. Muszę porozmawiać z Liamem, ale jest jeszcze coś, co mnie czeka, jeśli tylko będę miała okazję. Coś naprawdę ważnego.

– Gdzie byłaś? – mówi Liam ostrym głosem. – Wpadłem wcześniej do ciebie, do domu.

– Musieliśmy się minąć – odpowiadam, patrząc na niego uważnie.

– Zostań tutaj, a ja zajmę się babcią – mówi, ale idę za nimi do holu. – Będziemy musieli za minutkę wyjść, bo spóźnimy się na wyznaczony termin.

Termin spotkania z adwokatem.

Zupełnie o tym zapomniałam.

– Przełożę go – mówię, spoglądając na zegar ścienny. Widzę, że został tylko kwadrans.

– Nie!

Patrzę na niego, zaskoczył mnie tym warknięciem.

– Nie – mówi już łagodniejszym tonem. – To ważne dla ciebie. Martwię się o twoją sytuację w pracy, że zabiorą ci wszystko, co masz.

– Nic nie mogą mi zrobić. – Wzruszam ramionami. – Szukali, ale niczego nie znaleźli.

– A jednak, myślę, że powinniśmy...

Tylne drzwi otwierają się szeroko. Pojawia się Carla Bevin, pędzi cała zdyszana. Na brodzie ma sińca, ramię na temblaku.

– Anno, musisz natychmiast opuścić ten dom – mówi stojąc za mną. Ma roztrzęsiony głos.

Nie zwracam na nią uwagi.

– Liam, muszę ci o niej powiedzieć, o tym, co zrobiła.

– Proszę, przestań już! – krzyczy Liam. Chwyta się za głowę.

Na kilka sekund zapada nieprzyjemna cisza. Wtedy odzywa się Ivy, mówi zmęczonym, przybitym tonem.

– Zgubiliśmy kota, ale Liam nie może wyjść, żeby go poszukać. Widzicie, jakie ma bóle głowy – mówi cicho. – Prawda, chłopcze?

Liam kręci głową.

– To tylko te głupstewka, które tam siedzą. – Stuka się w czoło, uśmiechając się dziko. – Nic ważnego.

– Muszę odpocząć. – Ivy wzdycha i szurając nogami, idzie w stronę schodów. – Idę się położyć, ale nie chcę tutaj całą noc czuwać. Słyszałeś Liam?

– Ivy, nie wydaje mi się, żebyś była w stanie samodzielnie wejść na górę – mówi Carla.

Bardzo sprytnie. Odgrywa rolę zatroskanej przyjaciółki.

– Mamy umówione spotkanie, Anna i ja – mówi Liam. – Musimy iść.

– Dokąd? – pyta Carla.

– Do kancelarii adwokackiej – odzywam się i uśmiecham się, widząc jej zatroskaną minę. – Liam przejmuje opiekę nad moimi sprawami osobistymi.

Carla patrzy na niego.

– Liam?

Serce mi rośnie, kiedy Liam odwraca się od niej i mówi:

– To sprawa między mną a Anną.

– Czy to ma coś wspólnego ze splątą twojego długu?

– O czym ty do cholery mówisz? – pytam ostro. – Dalej, Liam, idziemy. Po drodze mogę ci powiedzieć to, co powinieneś wiedzieć na jej temat.

– Anno, nie rób nic nieprzemyślanego w sprawach finansowych. – Carla odwraca się do mnie, prawie dotyka mojego ramienia. – Naprawdę powinnam z tobą porozmawiać w cztery oczy. Wystarczy kilka minut. To w twoim interesie.

Popycham ją mocno i zbliżam twarz do jej twarzy. Nie zwracam na jej pełen bólu skowyt, kiedy ramię na temblaku uderza o ścianę.

– Żebyś pierwsza mogła opowiedzieć swoją historyjkę? Nawet nie ośmiel się mówić, że liczysz się ze mną albo z Liamem. Dlaczego teraz mu nie powiesz, kim jesteś?

Nie ma niczego dziwnego w tym, że nie przedstawia informacji na swój temat.

– Anno, mówiłam ci, mylisz się...

Biorę głęboki oddech i zwracam się do Liama.

– Nazywa się Carla Bevin i to ona trzynaście lat temu spowodowała śmierć mojego brata.

Carla patrzy prosto na mnie, trzyma się troskliwie za uszkodzone ramię.

– Anno, współczuję ci, ale mylisz się. Nie jestem Carlą, a ona nie zabiła

Daniela. Ona... cóż, popełniła straszny błąd.

Głowa mi pulsuje od tępego bólu, czuję się, jakbym po brzegi wypełniona była szlamem.

Chcę dać jej mocno w twarz, obnażyć jej kłamstwa, ale w jej słowach, w jej twarzy jest coś prawdziwego. Gasi to we mnie pożar.

Liam w ogóle nie reaguje, nawet na nas nie patrzy.

Odwraca się i wchodzi do salonu. Idę za nim, patrzę, jak siada, opiera głowę o rękę, kołysze się w przód i w tył.

Carla nadskakuje Ivy, jedną ręką pomaga jej zdjąć płaszcz. Coś tu jest bardzo nie tak, coś nie pasuje.

Dociera do mnie, że to dla mnie okazja.

– Muszę skorzystać z toalety – mówię cicho, ale nikt nie odpowiada.

Parę minut później jestem w sypialni Ivy i szperam w szafie, dopóki nie znajduję pudełka na buty. Na wierzchu leży raport psychologiczny.

Rozkładam go i siadam na brzegu łóżka.

– Anna?! – krzyczy do mnie Liam. Mam mało czasu. Przeglądam całość. Nie stać mnie na luksus przeczytania wszystkiego, ale mam trochę więcej czasu niż poprzednim razem, więc mogę przejrzeć zdanie za zdaniem.

Jest. Brakujący fragment, który poprzednio przeoczyłam. Ten fragment nadaje sens wszystkiemu.

Opiekun prawny pacjenta, Ivy Wilton, pozwala, żeby jej podopieczny, Liam Wilton, nadal był leczony w klinice...

– Anno, zejdź, musimy jechać! – ryczy Liam.

Przeskakuję do podpisu Ivy na dole strony.

Podpisana poniżej, w imieniu małoletniego pacjenta, Liama Bradbury'ego...

Przez cały czas chodziło o Liama.

Znowu jestem na dole, siadam obok Liama. Jestem oszołomiona, jakbym stanęła trochę dalej i zobaczyła inną osobę. Wszystko na to wskazuje, że też tego nie zauważyłam.

Liam obgryza krótko przycięte paznokcie.

– Musimy iść, musimy iść – mamrocze pod nosem.

Słyszę, jak Carla rozmawia w kuchni z Ivy, ale nagle pojawia się w drzwiach i podchodzi do nas.

– Mów do mnie – zwraca się do Liama. – Liam, powiedz prawdę. Pamiętasz sprawę... ważną sprawę? Twoja babcia powiedziała mi, że przed wypadkiem miałaś problemy finansowe, pamiętasz?

– Co? – pytam słabym głosem.

– Wziął kredyt u lokalnego lichwiarza. Nie chciał, żebyś wiedziała. Dlatego Ivy nie pozwoliła ci zostać u nich w domu.

Liam gwałtownie wstaje i chwyta mnie za ramię, zaskoczona Carla cofa się.

Przechodzą mnie ciarki.

– Chodźmy.

Dziwnie się zachowuje, ciągle wraca do tej sprawy. Raport jest sprzed wielu lat, a ludziom może się poprawić, ale wypadek... musiał go wyprowadzić z równowagi.

– Ivy powiedziała mi o pożarze, Liam – mówi Carla. – I że zmieniła ci nazwisko, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Liam sięga do klamki, ale zamiera w połowie ruchu.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Głos ma łagodny, cichy. Oczy szeroko otwarte, ale szkliste, jakby patrzył na coś w oddali.

– O pożarze? – powtarzam słabym głosem, ale nikt mi nie odpowiada.

– Czy te wspomnienia wracają? – pyta Carla. – Przez parę ostatnich dni nie byłeś sobą. Chcesz o tym porozmawiać?

Liam staje i odtrąca jej rękę.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – mówi, jakby wracał mu zdrowy rozum.

– Twoja babcia powiedziała mi, co się stało – stwierdza Carla. – O pożarze w domu, kiedy byłeś chłopcem, o twoim tacie i siostrze... Potrzebujesz pomocy, żeby o tym porozmawiać...

– Ona kłamie! – wybucha Liam. – Jest stara i traci rozum. Niczego takiego nie było.

Hałas na szczycie schodów sprawia, że wszyscy podnosimy wzrok. Ivy, roztrzęsiona i krucha, stoi na schodach, trzyma się poręczy.

– Liam, czas, żebyś z kimś porozmawiał. Nic ci nie zrobią, byłeś za mały. Przez wszystkie te lata próbowałam to ukrywać, ale myliłam się. Potrzebujesz pomocy psychologicznej, jesteś...

– Zwariowałaś! – krzyczy Liam, błądzi wzrokiem po nas trzech. – Wszystkie powariowałyście!

Zaczyna wchodzić po schodach, szybciej niż powinien po wypadku, ale furia przyćmiewa ból.

– Babcia ma demencję. Będzie musiała pójść do domu starców.

– Liam, mogę ci pomóc. Możemy porozmawiać.

W połowie schodów Liam odwraca się i rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– A ty, Anno, jesteś najbardziej zwariowana z nich wszystkich. Wszystko to, co zrobiłaś Amandzie, te oszczercze plakaty, które wysyłałaś jej do pracy, anonimowe skargi na nią.

– O czym ty mówisz? Niczego takiego nie zrobiłam.

– Anno, możesz spokojnie się do tego przyznać – mówi cicho Amanda.

– Parę razy zadzwoniłam na twój numer i kazałam dostarczyć ci nawóz.

Przyznaję, to byłam ja, zasłużyłaś sobie na to.

– Więc jeśli to nie ty, kto zrobił resztę? – pyta wściekłe Amanda.

Liam zaczyna się śmiać dziwnie wysokim tonem.

– Wy głupie baby, a jak myślicie, kto?

Przyciskam dłoń do ściany, żeby nie upaść. Czy jego sympatia do mnie to była tylko gra? Zaczynam wchodzić na górę, sięgam ręką, żeby go dotknąć.

Ale głos Ivy przesywa moje myśli.

– Liam, to wszystko jest tutaj. – Wolną ręką trzyma wycinki z gazet, takie jak te w pudełku z szafy. Potrząsa nimi, łyżki toczą się po jej miękkich, białych policzkach. – Nie możesz tak sobie udawać, że to się nie stało.

– Nie!

Jestem teraz prawie u szczytu schodów, a Liam rzuca się naprzód, w stronę kawałków papieru.

Nie bardzo wiem, co dzieje się dalej.

Absolutna cisza okrywa wszystko. Coś niewidocznie gęstnieje w atmosferze.

Ivy wydaje straszliwy skowyt i przewraca się, macha ramionami jak szalona, próbuje się czegoś złapać, ale nie ma czego. Scena zatrzymuje się przede mną jak stop-klatka, potem przyspiesza.

Ivy upada, odbija się od stopni, koziółkuje obok mnie i zatrzymuje się dopiero na ścianie u dołu schodów.

Tracę oparcie, słyszę krzyk Carli, kiedy sama zaczynam spadać. Chwytam się balustrady, udaje mi się powstrzymać upadek, ale i tak zlatuję na podłogę i zwijam się na niej tuż obok Ivy.

Cisza.

Łagodne trzepotanie kawałków gazety opadającej w dół schodów na stopnie na samym dole. Patrzę na tytuł.

„Ojciec i córka giną w podejrzanym pożarze”

– Ivy. – Carla nachyla się nad starą kobietą, pociera jej ramię. – Słyszysz mnie?

Liam, kulejąc schodzi w dół, krzywi się teraz ze zmęczenia po biegu na górę. Policzki płoną mu czerwienią, oczy ma bardzo przekrwione. Zaczyna zbierać porzucane wycinki z gazety.

Carla, zawodząc, odsuwa się od Ivy.

Podczołguję się bliżej, idę za jej wzrokiem. Nie widzę twarzy starej, ale jej głowa pokryta jest kleistą, rubinową masą, która nadal sączy się na drewnianą podłogę.

Patrzę na swoją rozcapierzoną dłoń. Odrzuca mnie widok obrzydliwych plam jej krwi na mojej skórze.

Liam jednak nie przestaje zbierać wycinków. Patrzymy na siebie z Carłą.

Dopada mnie fala mdłości, z trudem wstaję, idę w stronę kuchennych drzwi, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zamroczone robię pełne koło.

Liam i Carla rozmywają się i przenikają, ich głosy są głębokie i spowolnione, jak ze starej płyty gramofonowej puszczonej w niewłaściwym tempie. Upadam na podłogę.

Kiedy otwieram oczy, Liam kuca przy mnie. Oczy ma szeroko otwarte, twarz bladą. Trwa to wieki, ale pstryk, i widzenie wraca, skupiam wzrok na jego twarzy.

– Co się stało? – pytam. Z trudem udaje mi się wreszcie usiąść.

– Anno – mówi, potrząsając mną za ramiona. – Popatrz na mnie.

W głowie mi huczy, roi się od obrazów, które wolałabym zapomnieć. Ale podnoszę wzrok i patrzę na niego.

– Anno! – mówi. – Co ty, do diabła, zrobiłaś?!

Słyszę go jakby z oddali, słowa pędzą, są coraz bliżej. Wreszcie zaczynają odbijać się bolesnym echem w moich uszach.

A potem wszystko się kończy.

Posterunkowy Gant strzela mi palcami przed twarzą.

– Anno, powiedz nam jeszcze raz, co się stało.

– Próbowałam mu powiedzieć – szepczę. – O jej kłamstwach.

– Czyich kłamstwach? Ivy Bradbury? Co zrobiłaś z jej kotem?

Zamykam oczy. Jestem taka zmęczona, kompletnie wykończona.

– Anno, musisz się skoncentrować. Znaleźliśmy twoją sąsiadkę, Joan Peat. Jest ciężko ranna w głowę, a telefon na pogotowie był z twojej komórki. Czy to ty ją uderzyłaś?

Otwieram oczy i patrzę na jego wąsatą, obwisłą twarz. Jest za blisko mojej twarzy.

– Gdzie jest Amanda Danson? – pyta.

Wszystko, co złe, to jej sprawka. Próbowała mnie oszukać, że Carla Bevin to jej siostra bliźniaczka, i prawie się jej udało.

Posterunkowy spogląda na kolegę.

– Co chciałaś powiedzieć, że to jej sprawka?

Czy powiedziałam to na głos? Jestem pewna, że te słowa pozostały w mojej głowie.

– Anno, czy zabiłaś Ivy Bradbury i napadłaś na Joan Peat?

Patrzę na jego ręce. Ma obrączkę ślubną, cienkie pasemko, podrapane i znoszone.

– Danny nie powiedział mi o pożarze – mówię. – Pomogłabym mu.

– Kto to jest Danny?

– To beznadziejne – stwierdza drugi policjant.

– Rozzłościłaś się? Anno, wszyscy czasem się złościąmy.

– Chciałam tylko, żeby Liam poznał prawdę.

Posterunkowy Gant kiwa głową.

– Rozumiem – mówi. – Chciałaś, żeby poznał prawdę, ale oni cię rozzłościłi.

– Tak – mówię. – Mam jej krew na rękach.

Podnoszę ramiona do światła, ale już nie widzę plam.

– Liam nam powiedział – ciągnie posterunkowy. – Że rozzłościłaś się i zepchnęłaś Ivy ze schodów. Wiesz, gdzie jest Amanda Danson? Dokąd ją wywiozłaś samochodem?

– Ona nazywa się Carla Bevin – poprawiam go.

Odwraca się i szepcze do drugiego mężczyzny.

Moje usta to kwaśna pieczara. Wnętrznosci mam puste i spieczone, jakby zamieniono moje organy w kupę wyschniętych łachmanów.

– Anno, Carla była siostrą bliźniaczką Amandy – mówi posterunkowy Gant.

– Identyczną bliźniaczką. Carla popełniła samobójstwo trzynaście lat temu.

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Zamykam oczy i próbuję sobie przypomnieć. Czy to się stało dzisiaj, czy wczoraj... a może parę tygodni temu?

Wchodzenie po schodach, zlatujące w dół wycinki gazet i blada twarz Liama nade mną. Zmięty kształt Ivy leżącej u podnóża schodów i krew. Tyle krwi.

– Pamiętasz? – naciska na mnie, a drugi mężczyzna wymyka się z pokoju. – Zepchnęłaś Ivy Bradbury, kiedy cię rozzłościła?

– Wyciągnęła ręce – mówię. – O tak.

Wyciągam ręce. Trzęsą mi się, widzę owinięte wokół palców kępki włosów.

– Pamiętasz, jak ją popchnęłaś?

Czy ja ją popchnęłam?

Pamiętam, jak wchodziłam po schodach i widziałam Ivy na górze. Gazetę zlatującą w dół, jak wielkie, postrzępione, jednobarwne płatki.

Myślę o poczcie w zapasowym pokoju: że najpierw tam była, a potem jej nie było. O smrodzie w domu, którego nikt poza mną nie czuł.

Ukrywam głowę w dłoniach. Łokciami stukam o stół, a myśli przesypują się przeze mnie jak piasek w klepsydrze.

– Nie zepchnęłam jej – mówię.

Drugi detektyw wraca do pokoju.

– Wiemy, że wdałaś się na ulicy w przepychankę z Amandą Danson. Znaleźli się świadkowie. – Słyszę ślad zniecierpliwienia w jego głosie. – Napadłaś na nią. Anno, gdzie ona teraz jest?

– Poszła do piekła – szepczę.

Dwaj mężczyźni znowu zbliżają się głowami, potem posterunkowy Gant wstaje i wzdycha.

– Cóż, nikt nie powie, że nie próbowałem – mówi do kolegi.

Kiedy poszli, wstaję i chodzę po kawałku podłogi. Liczę kroki, potem zastępuję liczby słowami.

– Gdzie... podziąła się... poczta... skąd... dochodzi... smród... co...

– Anno?

Nie zauważyłam, jak do pokoju weszły dwie kobiety. Jedna w mundurze policyjnym, druga w zwyczajnym ubraniu.

– Jestem posterunkowa Cullen – mówi policjantka. – Spotkaliśmy się już u ciebie w domu, pamiętasz?

Papier się pali, miliony kawałeczków roi się w powietrzu jak biała szarańcza. Zepsuta toaleta, która nie jest zepsuta.

– A to jest doktor Marsh.

Lekarka uśmiecha się do mnie i wyciąga rękę. Ma krótkie, ładne paznokcie i doskonale okrągły, czekoladowy pieprzyk na nadgarstku.

– Gdzie jest Danny? – pytam, siadając.

Rok później

Anna

Moim ulubionym miejscem odpoczynku w klinice jest oszklona weranda z oknami od podłogi po sufit, wychodzącymi na trawniki.

W cieplejsze dni otwierają składane drzwi i można usiąść, poczytać książkę i cieszyć się łagodnym wietrzykiem.

Tutaj też we wtorki przychodzą goście.

Wizyty trwają cały dzień, ale panuje zasada, że nie należy przekraczać dwóch godzin. Chodzi o to, żeby w salonie nie było tłumu gości.

Dzisiaj jest wtorek, przez cały tydzień czekałam na czas wizyt.

Przechodzę z holu do salonu i na chwilę zatrzymuję się przy drzwiach.

Uśmiecham się, kiedy widzę, jak siedzi przy oknie i czeka na mnie, wyglądając na wypielęgowany ogród.

Podchodzę bliżej i widzę, że słońce pokryło cętkami jego twarz i że mruży oczy od światła.

– Cześć, Liam – mówię i stawiam koszyk z owocami na stoliku.

Podnosi na mnie wzrok, ale w oczach ma pustkę.

– Cudowny dzień. – Siadam na krześle naprzeciwko niego. – Albert i Boris wylegają się w słońcu, na balkonie, od ósmej.

Dziś rano, kiedy się obudziłam, nawet trochę sobie porysowałam.

Lubię swoje ładne mieszkanie. Jak dobrze, że wreszcie opuściłam tamten dom.

To nie znaczy, że muszę zapomnieć szczęśliwe chwile z Dannym, chodzi raczej o to, żeby wreszcie odejść od zła, które tam się wydarzyło. Teraz to zrozumiałam.

Linda, pielęgniarka społeczna, skontaktowała się ze mną kilka miesięcy temu. Spotkałyśmy się i wręczyła mi piękną wyszywaną krzyżówką opiętą na ramie. Przedstawiała chatę. Pani Peat zrobiła ją dla mnie w domu opieki.

Dodała moje imię i nawet obrazek przedstawiający Alberta. Nazwała to *Nowy początek*.

Odwiedzę ją w przyszłym tygodniu. Przesłała przez Lindę wiadomość, że musi mi powiedzieć coś bardzo ważnego.

Bardzo w to wątpię, ale oczywiście zrobię tak, jak chce.

Na razie zajmuję się domem Liama. Dzięki temu mam co robić, bo już nie pracuję. Odejście z pracy było najlepszą rzeczą, jaką mogłam zrobić dla podtrzymania zdrowia.

Doktor Marsh powiedziała, że stres był bezpośrednim skutkiem wszelkich problemów. Z tego brał się nawet urojony smród, który zmuszał mnie wiele razy do rozkładania domu na kawałki.

Nie mogli udowodnić, żeby śmierć Ivy nie była przypadkowa. W związku z tym z jej ubezpieczenia na życie spłacona została hipoteka. Nikt nie wie, kiedy Liamowi na tyle się poprawi, żeby mógł opuścić klinikę, ale kiedy to się stanie, chcę, żeby miał dom, do którego będzie mógł wrócić, miejsce, które rozpozna.

– Liam?

Mruga, patrzy jak zauroczony na lśniący, szmaragdowy trawnik za oknem. Palce wbija w udo. Widzę, jak się po nim drapie przez specjalne mitenki, które musi nosić.

Podnoszę wzrok i widzę, że Janet, pielęgniarka, macha do mnie z drugiej strony pokoju. Uśmiecham się i odpowiadam machaniem. Teraz zna mnie już cały personel. Ciągłe mówią, że bardzo pomagam Liamowi w jego długiej drodze do odzyskania zdrowia.

Przecież nie robię niczego szczególnego. Po prostu mówię mu o tym i owym. Nie zadaję mu pytań na nieprzyjemne tematy.

Jeśli dowiedziałam się czegoś z wielu miesięcy terapii u doktor Marsh, to że nie wolno naciskać na ludzi, żeby mówili, póki nie są gotowi, żeby się otworzyć.

Przyglądam się jego profilowi w słońcu, jego długim ciemnym rzęsom i lokom opadającym na szyję. Wcale nie przypomina Danny'ego. Teraz to widzę.

Nadal patrzy tępo przez szybę, ale napominam się, że przecież nie wiadomo, co się warzy w cudzej głowie.

Kto by uwierzył, że wróciła mu pamięć zaledwie parę dni po wyjściu ze śpiączki po wypadku? Przez cały czas robił z nas durniów.

Mówią, że uraz związany z wypadkiem otworzył swego rodzaju szczelinę w jego psychice i ujawnił osobowość, którą od lat udawało mu się trzymać w kokonie aż do czasu, kiedy wypadek strącił wszystko, jak zgniłe jabłko z drzewa.

To musi być straszne, spalić rodzinę żywcem i zapomnieć o tym. Był zbyt małym chłopcem, żeby mogli go jakoś ukarać. Przez parę lat dostawał pomoc psychologiczną, a potem system po prostu o nim zapomniał.

Ivy chroniła go przez wszystkie te lata, przeprowadziła się, nawet zmieniła mu nazwisko, żeby się za nim nie ciągnęło. Dawała mu lekarstwa, uzależniła go od siebie, traktowała jak chłopczyka, którym wtedy był, żeby utrzymać go pod kontrolą.

Ale w końcu nawet ona zrozumiała, że Liam postradał zmysły.

Przebaczyłam mu, chociaż powiedział policji, że to ja zabiłam Ivy. To nie

Liam napadł na panią Peat, kiedy zagroziła, że wezwie policję, to był „ten inny”, jak teraz zwykłam myśleć, ta druga strona Liama, o której istnieniu nie wiedzieliśmy.

Kiedy zasnąłam oszołomiona tabletkami, Liam odkrył w szufladzie kredensu akty prawne dotyczące domu i rachunki bankowe. Wiedział, ile jestem warta, zanim mu o tym w zaufaniu powiedziałam.

Musiał zdać sobie sprawę, że aresztowanie mnie za zaległą pocztę leżącą na piętrze może pokrzyżować mu plany, więc kiedy spałam, z pomocą syna Beryl usunął pocztę z zapasowego pokoju. Zapewne powiedział, że mu da trochę moich pieniędzy w zamian za pomoc.

Ale ja nie z tych, którzy chowają urazę.

Przebaczyłam mu nawet, że powiedział, jakobym to ja porwała Amandę, chociaż on to zrobił.

Znaleźli ją zwiniętą, ledwie oddychającą w drewnianej skrzyni w pokoju Liama.

Wykorzystał moje lekarstwa, żeby uśpić ją, kiedy odmówiła wzięcia udziału w jego planie wrobienia mnie w śmierć Ivy. Kto by pomyślał, że mój stary wróg będzie mnie bronił?

A posterunkowa Cullen, której przypięłam łątkę wścibskiej, co to uszczęśliwia ludzi na siłę, cóż dzięki Bogu była na tyle zaciekawiona sprawą, że odwaliła trochę pracy detektywistycznej i odkryła ukrytą przeszłość Liama.

Aresztowali go, zabrali do komisariatu na rozpytanie, i to sprawiło, że rozkleił się.

Przyznał się do wszystkiego, nawet do zamiaru odebrania mi domu i pokaźnej sumy, której nie tknęłam, odkąd zmarł Danny i nasi rodzice.

Oczywiście, tego nie zrobił prawdziwy Liam. Prawdziwy Liam jest łagodny i uprzejmy. Tym razem zło przeważyło, ale wierzę, że pewnego dnia znów odrodzi się w nim dobro.

Będę tutaj dla niego, kiedy ten dzień nadejdzie.

Jeszcze w tym tygodniu spotykam się z Amandą na kawie. Przyjdzie ze mną Roisin, żeby dać mi trochę moralnego wsparcia. Jak to miło mieć w końcu przyjaciela.

Doktor Marsh pokazała mi zdjęcia Amandy i Carli jako dzieci. Były podobne jak dwie krople wody. Przez wszystkie te lata, kiedy myślałam, że używa życia, leżała w ziemi, tak jak Danny. Amanda musiała dawać sobie radę z przykrymi następstwami, tak jak i ja.

Amanda dochodziła do siebie całe miesiące po ciężkich przeżyciach, które zaserwował jej Liam, ale kiedy wszystko wyszło na jaw, włączając w to mściwe działania Liama w jej miejscu pracy, ludzie z przedszkola stanęli po jej stronie i zaproponowali jej nowe stanowisko, nowy początek.

Teraz pracuje w Derby, na etacie kierownika opieki przedszkolnej, ale w ten weekend wróciła do Nottingham.

Parę razy tu była, żeby spotkać się z Liamem, ale opiekę nad nim zostawia przede wszystkim mnie, i taki układ odpowiada nam obu.

Ludzie czasem zaskakują w sposób pozytywny i nigdy nie wiadomo, w którą stronę skręci życie. Czasem nie ma w tym logiki.

Życie zmienia bieg i nagle wszystko jest inaczej i już nie można tego poskładać tak, jak było wcześniej.

– Liam, chcesz owoce?

Nie reaguje.

Wzdycham i rozglądam się po sali, patrzę, co robią inni. Do wszystkich przyszli goście, tylko nie do chłopca, który zawsze siedzi samotnie w tym samym miejscu, przy oszklonych drzwiach i układa puzzle.

– Przyniosę ci szklankę wody – mówię i wstaję.

Dystrybutor wody stoi blisko stolika chłopca. Przechodząc, spoglądam na rozwiązana do połowy układankę.

– Dobrze ci z tym idzie – uśmiecham się.

Nic na to nie poradzę, moja nowa umiejętność, prowadzenie rozmów z ludźmi, przyprawia mnie o dreszczyk emocji. Z pomocą doktor Marsh nauczyłam się zaczynać od czegoś lepszego, od założenia, że ludzie są godni zaufania i mili.

Chłopiec podnosi wzrok i na jego poważnej twarzy pojawia się uśmiech.

– To układanka czwartego stopnia – mówi.

– Rzeczywiście, wygląda na trudną.

– Usiądź, jeśli masz ochotę – mówi. – Możesz mi pomóc.

Zerkam na Liama, ale on nadal gapi się przez okno. Nawet nie wie, że odeszłam. Janet, pielęgniarka, zajęta jest rozmową z pacjentami i ich gośćmi. W niczym im nie przeszkodzę.

– Tylko na minutkę – mówię i biorę kawałek układanki.

Ma na imię Darren. Kiedy mam problem, pokazuje, gdzie pasuje ten kawałek.

– Bardzo dobrze ci to idzie – mówię, a on się rozpromienia.

Układamy jeszcze kilka kawałków i Darren mówi:

– Czy teraz jesteś moim gościem?

Patrzę na Liama.

Darren robi smutną minę. Zaczyna bębnić palcami o brzeg stołu.

– Chyba jestem – mówię. – Przynajmniej dzisiaj.

Zanoszę Liamowi wodę i wracam do stolika Darrena.

– Pomożesz mi przy innych układankach? – pyta.

Ma jasnobrązowe, opadające włosy, które zasłaniają mu oczy, kiedy patrzy w dół, na układankę. Danny miał właśnie takie włosy. Doprowadzało go to do

szалу.

Kiedyś, kiedy matki nie było w domu, włożyłam mu opaskę na włosy i śmieliśmy się do rozpuku, kiedy tańczył z nią na głowie.

Przełykam i czuję drapanie w gardle.

Po paru minutach postanawiam wrócić do Liama.

– Nie idź – prosi Darren i kładzie rękę na mojej.

Spoglądam w dół i łagodnie wysuwam rękę.

– W przyszłym tygodniu przyjdę i usiądę z tobą – proponuję.

Jego brązowe oczy smutnieją, a z tą opadającą grzywką przypomina mi opuszczonego psiaka. Szkoda, że Liam chociaż trochę nie reaguje na moje wizyty. Tak miło czuć, że jest się potrzebnym.

– Zostań, proszę – mówi znów Darren, przygryzając wargę. – Zostań i pomóż mi.

Powoli robię wdech i patrzę na trawniki, które ciągną się jak gładki zielony dywan aż do stawu.

I łagodnie wyciągam dłoń spod jego dłoni.

Podziękowania

Przede wszystkim ogromne podziękowania należą się Lydii Vassar-Smith, mojej redaktorce, za to, że zobaczyła potencjał w Niebezpiecznej dziewczynie i za to, że z taką pasją podeszła do tej książki. Dziękuję Lydii także za fachowość i przewodnictwo w procesie wydawniczym.

Chciałabym podziękować całemu zespołowi wydawnictwa Bookouture za wszystko, co zrobił, a zwłaszcza Kim Nash, która tak hojnie szafowała swoim czasem, radą i entuzjazmem. Dziękuję także innym autorom Bookouture tak bardzo nawzajem się wspierającym.

Dalej, wielkie podziękowania dla mojej agentki, Clare Wallace, która wraz ze mną pracowała nad pierwszymi redakcjami tekstu i robiła to bez przerw, żeby oddać Niebezpieczną dziewczynę przed pójściem na urlop macierzyński. Teraz ja mam książkę, a ona Minnie, śliczną córeczkę!

Ogromne podziękowania dla reszty nieprawdopodobnie zapracowanego zespołu w Darley Anderson Literary, TV and Film Agency, szczególnie dla Naomi Perry, Mary Darby, Emmy Winter, Kristiny Egan i Rosanny Bellingham.

Szczególne podziękowania należą się także:

Angeli Marsons, mojej koleżance pisarce, która zachęciła mnie do zrezygnowania z pracy zarobkowej w ostatnim roku, do wyciągnięcia z szuflady Niebezpiecznej dziewczyny i pokierowania się intuicją... Chwała Bogu to podziałało!

Julie Sherwin za przedstawione na początku trafne spostrzeżenia co do pracy pocztowca. Wszelkie pomyłki są wyłącznie z mojej winy.

Carol Roberts za jej czas i opinie, jako jednego z pierwszych czytelników.

Henry'emu Steadmanowi, który zaprojektował tak wspaniałą okładkę do brytyjskiego wydania Niebezpiecznej dziewczyny, że zakochałam się w niej w chwili, gdy ją ujrzałam.

Mojemu mężowi, Macowi, za jego niezachwianą wiarę we mnie i wszystko, co robię. Za to, że zawsze ze mną był, zarówno w dobrych, jak i złych chwilach, za cierpliwość i miłość i za to, że przynosił mi herbatę, kiedy pisałam. Mojej córce Francesce i mojej mamie Christine, które zawsze wspierały mnie i zachęcały.

Całej rodzinie i przyjaciołom, którzy się tym interesowali i wspierali moje pisanie – wiecie, o kim mówię!

List K.L. Slater do czytelników

Bardzo dziękuję za przeczytanie Niebezpiecznej dziewczyny, mojej debiutanckiej, a zarazem dojrzałej powieści.

Po wielu nieudanych latach wysyłania prac do agentów literackich i wydawców postanowiłam w wieku czterdziestu lat wrócić na uniwersytet, żeby dać sobie czas na rozwój i skoncentrować się na pisaniu.

Niebezpieczna dziewczyna narodziła się w formie zaledwie kilku rozdziałów jako praca na stopień naukowy z angielskiego i twórczości literackiej. Miała wtedy inny tytuł, a i sama fabuła była nieco inna, ale głos Anny, głównej bohaterki, był dokładnie taki sam jak dzisiaj... I nawet po obronie pracy Anna domagała się, żeby do końca przedstawić jej opowieść. Więc pisałam dalej!

Wiem, że wszyscy to mówią, ale recenzje naprawdę są bardzo ważne dla autorów. Jeśli podobała wam się Niebezpieczna dziewczyna i możecie poświęcić parę minut, żeby to napisać, byłabym wam bardzo wdzięczna.

Możecie też skontaktować się ze mną za pośrednictwem mojej strony internetowej na Facebooku albo na Twitterze.

Jeśli moja debiutancka powieść podobała się wam, to może was zainteresuje, że pracuję nad następnym thrillerem psychologicznym. Myślę, że będzie was trzymał w napięciu i będziecie chcieli domyślić się zakończenia. Byłabym więc zachwycona, gdybyście przeczytali moją książkę numer dwa!

Pozdrawiam i życzę pomyślności

Kim x

